

E. JARZYŃSKI
Lublin, Plac Bernardyński Nr 235

SZKICE HISTORYCZNE.

WYDAWNICTWO MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

Macaulay Thomas Babington

SZKICE HISTORYCZNE

TOMASZA BABINGTONA

Lorda Macaulay

BARÈRE — MIRABEAU — FRYDERYK WIELKI — MACCHIAVELLI.

przełożył z oryginału angielskiego

JAN KARŁOWICZ.



WARSZAWA.

—
1876.

D-198/94

Hd



140744

Дозволено Цензурою.
Варшава, дня 2 Юня 1876 года.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0413024



Warszawa. — Drukiem S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20.

A. JARZYŃSKI
Lublin, Plac Bernardynski № 235

Bertrand Barère.^(*)

Dzieło to z wielu względów zasługuje na baczną uwagę naszą. Jest ono bowiem uroczystem odwołaniem się do potomności—człowieka, który odegrał znakomitą rolę w wielkich wypadkach, a teraz staje przed nami jako pokrzywdzony porywczym i nieżyczliwym wyrokiem społeczeństwa. Takiego odwołania się powinniśmy zawsze z gotowością wysłuchać. Nie możemy bowiem wyświadczyć żadnej usługi pożyteczniejszej społeczeństwu, a milszej własnym naszym uczuciom, nad oczyszczenie, ile jest w naszej mocy, spotwarzonych i prześladowanych dobroczyńców ludzkości. Skwapliwie przeto pod rozwałę wzięliśmy obszerną tę obronę życia Bertranda Barèra,— i po namyśle postanowiliśmy, przy boskiej pomocy, wymierzyć mu pełną i należytą sprawiedliwość.

Dodajmy, że pozywający nie sam jeden staje przed sądem. Towarzyszą mu przed kratkami opinii publicznej dwaj uniewinniający świadkowie, zajmujący nader zaszczytne stanowiska. Jednym z nich jest p. David d'Angers, członek Instytutu, znakomity rzeźbiarz i, jeżeli się nie mylimy, ulubiony uczeń, chociaż nie krewny, malarza tegoż nazwiska. Drugim, któremu zawdzięczamy przedmowę biograficzną, jest p. Hipolit Carnot, członek Izby deputowanych a syn głośnego dyrektora. Zdaniem panów Davida i Carnota, Barère był mężem za-

(*) Zarys ten ogłosił Macaulay w kwietniu 1844 r. z powodu wyjścia w r. 1843 w Paryżu *Pamiętników Barère'a* p. t. *Mémoires de Bertrand Barère*, publiés par M. M. Hippolyte Carnot, Membre de la Chambre des Députés, et David d'Angers, Membre de l'Institut, précédés d'une notice historique par H. Carnot, 4 vol., Paris, 1842 et 3.

służonym, nie wolnym wprowadzić od zarzutów, ale zniesławionym, a nawet po uwzględnieniu okoliczności i słabości natury ludzkiej, zasługującym na zupełny nasz szacunek. Publiczność przeto, po dokładnem wysłuchaniu sprawy, osądzi: czy, łącząc nazwiska swe z imieniem Barèra, panowie wydawcy podnieśli jego godność, czy też poniżyli własną.

Zdaje się nam, iż otwierając tę książkę nie byliśmy pod wpływem żadnego uczucia zdolnego sąd nasz znać. Wprawdzie oddawna utworzyliśmy sobie niepoehlebne mniemanie o Barèrze, lecz nie skłoniła nas do tego żadna namietność, żaden interes. Wstręt nasz był wyrozumowany i dałby się rozumem pokonać. Oczekiwaliśmy nawet, że te pamiątniki oczyszczą nieco reputację Barèra. Wiedzieliśmy, że byłoby niepodobienstwem, iżby się mógł obronić od wszystkich czynionych mu zarzutów; sami też wydawcy przyznają, że nie dokazał tego. Mieliśmy wszelako za rzecz bardzo do prawdy podobną, że zdoła odeprzeć niektóre ważne oskarżenia i potrafi złagodzić niejedno przewinienie, jeżeli już zmuszony będzie do niego się przyznać. Toteż nie byliśmy usposobieni do surowości. Pojmowaliśmy, że takie pokusy, jakim ulegali członkowie Konwencji i Komitetu bezpieczeństwa publicznego, musiały wystawiać na straszne próby dzielność najsilniejszej cnoty. Skłonni więc byliśmy zawsze do patrzenia z pobłażliwością, — która niejednemu surowemu moralisście zbyt uczynną się wydawała, — na winy popełniane nieraz przez zające i szlachetne nawet umysły, w uniesieniu walki, pod odurzającym wpływem zapału i błędnie skierowanej żarliwości ku sprawie powszechniej.

Z takimi uczuciami odczytaliśmy to dzieło, porównyując je z innemi opisami wypadków, w których Barère brał udział. Teraz więc mamy sobie za obowiązek wyrazić przekonanie, któregośmy po zbadaniu rzeczy nabyli.

Przekonanie to jest: iż żadna postać, czy to dziejowa, czy mityczna, żaden człowiek, żaden szatan — nie stanął tak blisko ideału zupełnego i ostatecznego skażenia, jak Barère. Bo wszystko to, co obudza szczerą nienawiść i co najwyższą pogardę wywołuje, w nim dochodzi do niezwykłej i doskonałej zgody. Miał on wprawdzie współzawodników w każdym prawie szczególe swego niegodziwego charakteru. Zmysłowość jego była niezmierną; lecz przywarę tę dzielił Barère z wielu znakomitymi i sympatycznymi ludźmi. Często bywali ludzie tak zajętego jak on serca; bywali czasem jak on okrutni; bywali, choć rzadko, jak on niekczemni i jak on bezczelni; bywali może i tak wiecy kłamcy, — choć nigdy takich nie spotykaliśmy ani w życiu, ani w książkach. Lecz zebrawszy to wszystko razem: rozpustę, tchórzowstwo, podłość, zuchwalstwo, fałszywość i barbarzyństwo, — otrzymujemy coś takiego, co w powieści nawet nazwalibyśmy karykaturą, a co w dziejach, rzec śmiemy, nie ma nic sobie równego.

Byłoby krzyczącą niesłusznoscia, wyznajemy zresztą, człowieka w takim położeniu będącego jak Barère sądzić według surowych zasad. Tak też nie postąpiliśmy, a sąd nasz o nim utworzyliśmy porównyując go nie z takimi nieposzlakowaną duszą politykami, jak kanclerz D'Aguesseau, jak generał Washington, jak taki Wilberforce, albo lord Grey, ale z własnymi jego towarzyszami z Góry („La Montagne“). Stronictwo to zawierało niemało najgorszych, jacy kiedykolwiek żyli, ludzi; ale nikogo w niem równego Barèrowi nie widzimy. Obok niego Fouché wydajesię uczciwym, Billaud ludzkim, a Hébert, rzekłbyś, w godność się wzmaga. Wszyscy inni naczelnicy stronnictw, powiada p. H. Carnot, znaleźli orędowników: jedni wynoszą Żyrodystów, drudzy uniewinniają Dantona, inni znowu ubóstwiają Robespierrea; jeden Barère pozostał bez obrońcy. Lecz, zdaniem naszym, objaw ten bardzo łatwo się tłómaczy: wszyscy inni przywódcy partii mieli jakiekolwiek zalety; Barère nie miał żadnej. Zdolności, mężstwo, patriotyzm i ludzkość żyrodystowskich statystów hojnie wynagradzały to, co było zdrożnego w ich postępowaniu, i powinnyby im oszczędzić obelgi porównania z taką figurą jak Barère. Danton i Robespierre byliby to istocie źli ludzie; ale u obudwu pewne strony ducha pozostały zdrowymi. Danton był dzielny i stanowczy; lubił rozkosze, władzę, odznaczenie, miał gwałtowne żądze i niepewne zasady, ale obok tego — nieco męskiego i pocziwego uczucia; zdolny był do wielkich zbrodni, ale zarazem i do przyjaźni i do litości: więc, naturalnie, znajduje wielbicieli w ludziach śmiałego i krewkiego usposobienia. Robespierre był człowiekiem próżnym, zazdrośnym i podejrzliwym, o sereu zatwardziałem, o słabych nerwach i ponurym temperamencie. Lecz nie chcąc rozmiąć się z prawdą, musimy przyznać, że był bezinteresownym, w pospolitem rozumieniu tego słowa, że życie jego domowe było bez zarzutu, oraz że szczerze oddany był swoim zasadom politycznym i moralnym. Nie dziw przeto, iż ma chwalców pomiędzy uczciwymi, ale posępnymi i zgorzkniałymi demokratami. Że zaś żadne stronictwo nie wzięło Barèra w obronę, powód do tego jasny: Barère nie miał ani jednej cnoty, ani jednego nawet cnoty pozoru.

Zdaje się wprawdzie, że Barère nie był z natury dzikim; lecz ta okoliczność w naszych oczach pogorsza tylko jego winę. Są bowiem nieszczęśliwi ludzie, skłonni od kolebki do ponurych namietności, ludzie, których krew jest samą żółcią, którym gorzkie słowa i bezlitośne postęпки są wrodzone, jak zajądłemu psu warczenie i kąsanie. Przyjść na świat z takim fatalnem kalectwem — gorszą jest klęską, niż urodzić się ślepym lub głuchym. Człowiek, który mając takie usposobienie, zdoła je przezwyciężyć i zmusi samego siebie do ludzkiego i sprawiedliwego obchodzenia się z podwładnymi, wydaje się nam zasługującym na najwyższe uwielbienie. Bywały przykłady podobnego zapanowania nad sobą; należą one do najświetniejszych

tryumfów filozofii i religii. Z drugiej zaś strony, człowiek, którego przyroda obdarzyła łagodnym charakterem, a który jednak stopniowo dochodzi do udęczenia bliźnich z obojętnością, z zadowoleniem, a wreszcie z ohydą srogością, zasługuje, na to, aby był uważanym za wcieloną niegodziwość; a takim właśnie był Barère. Dzieje powolnego upadku jego wielce są pouczające. Przyniósł on z sobą na świat słabość, tchórzowstwo i płochę; najlepszą stroną duszy, jakiej mu udzieliła przyroda, było łagodne usposobienie. Prawda, że nie bardzo to był obiecujący materiał, ale z takiego wyrabiali się nieraz męczennicy i bohaterowie pod wpływem wzniosłych uczuć wiary lub honoru, surowe zasady bowiem tem są często dla słabych umysłów, czem dla wątpliwych ciał sznurówki. Ale Barère nie miał żadnych zgoła zasad. Charakter jego pozbawiony był wszelkiej mocy, tak wrodzonej jak nabytej. Nigdy ani w życiu, ani w książkach nie natrafiliśmy na umysł tak niestały, tak dalece bezsilny, tak niezdolny do niezależnego myślenia i poważnych upodobań, a tak skory do odbierania i zatracania wrażeń. Podobny był do wijącej się rośliny, która koniecznie musi o coś się opierać, a z odjęciem podpory upada i mdleje. Nie mógł on dźwigać samodzielnie jakiegokolwiek sprawy na swoich własnych barkach, jak bluszcz nie może się wznieść na wzór dębu, a winorośl strzelić w niebo na podobieństwo cedru libańskiego. W najlepszym razie, pod dobrym kierunkiem, w pomyślnych okolicznościach, taki człowiek mógłby się przeslizgnąć przez życie bez hańby. Ale ten niedołężny statek, grożący zatonięciem wskutek własnej zgnilizny nawet na cichej wodzie, ciśnięto na roz hukany ocean, w taki huragan, gdzie cała armada dzielnych okrętów zgubę znalazła. Najślabszy, najbardziej służalczy ze śmiertelników znalazł się nagle działaczem w rewolucyi, która cały świat ucywilizowany uposaż wstrząsnęła. Z początku dostał się pod wpływ ludzi szlachetnych i umiarkowanych i odzywał się mową szlachetną i umiarkowaną. Lecz wkrótce otoczyły go dzikie i zuchwałe umysły, nie cofające się przed żadnem niebezpieczeństwem i niekrepowane żadnemi skrupułami. Miał do wyboru: stać się albo ich ofiarą, albo współnikiem. Nie wahał się jednak w postanowieniu. Raz zakosztował krwi, nie poczuł żadnego obrzydzenia; zakosztował raz drugi — i bardzo we krwi zasmakował. Odtąd okrucieństwo stawało się w nim najprzód nałogiem, potem — żądzą, наконец — szaleństwem. Upadek jego natury tak był zupełny i szybki, że w ciągu kilku miesięcy, z człowieka uchodzącego za łagodnego, przeszedł w istotę patrzącą na rozpacz i nędzę bliźnich z radością szatanów, których Dante widział czuwających nad kałużą wrzącej smoły w Malebolge (*Pieśń*, pieśń XVIII). Wielu miał współwinowajców, ale odznaczył się pomiędzy wszystkimi szaloną radością, którą zdawał się uczuć pośród dzieła zniszczenia i śmierci. Upojony krwią niewinnych i szlachetnych, śmiał się i wykrzykiwał mordując, ryczał okropną pieśnią i miotał się wściekłym płasem wśród rzezi. Lecz oto nadecho-

dzi nagle i gwałtowny zwrot fortuny. Strącono nędznika z wyżyn potęgi w ostateczną hańbę i zgubę. Cios wytrzeźwił go odrazu. Rozwiał się tuman okropnego odurzenia. Ale teraz tak już był niepowrotnie spodlonym, żeszkoła przeciwności tylko do większej go ohydy popychała. Panowanie rozwinęło w nim okrutne występki, o które nigdy go nie podejrzewano. Inne zdrożności, mniej może obmierzłe, lecz bardziej godne pogardy, wyległy się w nim przez ubóstwo i upadek. Przeraziwszy cały świat wielkimi zbrodniami, spełnionemi pod płaszczykiem zamiłowania wolności, stał się najpospolitszym narzędziem despotyzmu. Niełatwo odszukać porządku pojawienia się wad jego; skłonni wszakże jesteśmy do mniemania, że w ogóle nikczemność jego była czemś rzadszem i dziwniejszem jeszcze, niż jego okrucieństwo.

Oddawna ustalił się w nas taki pogląd na charakter Barèra; ale aż do przeczytania tych pamiętników żywiłmy pewną nieufność do tego poglądu, jak przystało na sędziego, który wysłuchiwał jednej tylko strony. Wyrok zdawał nam się słusznym i prawie niezbitym, ale nie wiedzieliśmy, co oskarżony ma do powiedzenia na własną obronę; a że nie jesteśmy pochopni do patrzenia na bliźnich albo jak na aniołów światła, albo jak na duchów ciemności, więc podejrzewaliśmy, że może przesadzono zdrożności jego. Teraz podejrzewania te ustały. Mamy przed oczyma czterotomową obronę, owoc czterdziestoletniej pracy Barèra. Broni się on w niej, naturalnie, od wszystkich ważnych zarzutów, w których, rozumie się, obrona jest możebną. Ale czy od wielu obrońców jest w stanie? Ani od jednego.

Mnóstwa oskarżeń obciążających go ani wspomina. W takich razach, oczywiście, sąd musi przeciw niemu wyrokować, jako przeciwko niestawiającemu. W ogóle jednak nie nudniejszego i bardziej suchego nad jego opowiadanie o wielkich sprawach, w które był wpłątany. Ze słów jego nie prawie nowego nie dowiadujemy się o czynnościach Komitetu Ocalenia Publicznego; ale za to czytamy długą gadaninę o tem, co zaszło przed jego wynurzeniem się z mroku i po zapadnięciu w mrok. A co najgorsza, że jak tylko przestanie prawić o drobiazgach, zaczyna zaraz pisać kłamstwa, i jakie jeszcze kłamstwa! Kto nigdy nie był pod zwrotnikami, nie wie co to są burze i pioruny; kto nie oglądał Niagary, słabe ma pojęcie o wodospadzie; a kto nie czytał pamiętników Barèra, nie pojmuje, co to jest kłamstwo. Pomiedzy licznymi rodzajami, składającymi się na wielki gatunek *Mendacium*, od kilku wieków *Mendacium Vasconicum*, czyli kłamstwo gaskońskie, wysoce ceniono jako nader obmyślane i specjalnie bezczelne. Otoż pomiedzy kłamstwami gaskońskimi, „*Mendacium Barerianum*“ niezawodnie najpyszniejszą jest odmianą. Znakomityto, zaprawdę, okaz, zdolny zakasować niejedne Mendacia, na które przywykliśmy patrzeć z uwielbieniem.

Mendacium Wraxallianum⁽¹⁾ naprzykład, choć wcale niedopogardzenia, nie wytrzymuje z niem ani chwili porównania. Ale bez żartu, sądzimy, że bardzo tu zganić należy p. Hipolita Carnot. Bo nie wątpimy, że niegorzej od nas zna on dzieje Konwencji, dzieje, które go żywo obchodzić muszą, nie tylko jako Francuza, ale i jako syna. Powinien był więc dostrzedz, że najważniejsze twierdzenia, zawarte w tem dziele są takimi fałszami, jakich „Dorant“ Kornela, „Scapin“ Moliera, albo „Monsieur de Crac“ Collina d'Harleville⁽²⁾ nie powstydziliby się wygłosić. Dalecy zresztą jesteśmy od czynienia p. Carnota odpowiedzialnym za nieprawdomówność Barèra. Ale p. Carnot przeziarał te pamiętniki, wprowadził je w świat pochlebną przedmową, nazwał historycznym dokumentem wielkiej wartości i objaśnił przypisami. Mniemamy więc, że tak postępując, przyjął na siebie pewne zobowiązania, o których, jak widać, ani pomyślał; a zdaje się, że nie powinien był dopuścić, iżby tak potworne wymysły okazywały się pod osłoną jego nazwiska, bez kilku chociażby wierszy u spodu stronicy, ku przestrodze czytelnika.

Ograniczymy się tymczasem na wytknięciu dwu przykładów dobrowolnego i rozmyślnego fałszowania wypadków przez Barèra, a mianowicie: opowiadania jego o zgonie Marii Antoniny i opisu śmierci Żyrondystów. Pierwsze brzmi jak następuje: „Robespierre z kolei wniósł projekt wygnania członków rodziny Kapetów i stawienia Marii Antoniny przed trybunałem rewolucyjnym. Lepiejby był uczynił doradzając przygotowania wojenne, któreby naprawiły nasze niepowodzenia w Belgii i powstrzymały postępy kontrarewolucyi na zachodzie“ (t. II, str. 312).

Powszechnie jednak wiadomo, że Marię Antoninę odesłano do trybunału rewolucyjnego nie w skutek domagania się Robespierrea, ale zgoda wbrew jego życzeniu. Przytoczymy na to jeden dowód, ale stanowczy. Bonaparte, nie mający tu najmniejszego powodu do przecistaczania prawdy, mogący znać ją najdokładniej, a po zaślubieniu arcyksiężniczki, z natury rzeczy przejęty chęcią bliższego poznania losów krewnej swojej małżonki, wyraźnie utrzymuje, że Robespierre sprzeci-

(1) Macaulay ma tu zapewne na myśli kłamstwa *Wraxalla*, (Sir N. W. Wraxall urodz. 1751 r. w Bristolu zmarły w r. 1831) podróżnika, dziejopisarza i czynnego polityka angielskiego. Ten Wraxall jest autorem dzieła zawierającego dane o stanie i działalności politycznej Polski p. t. „*Memoirs of the courts of Berlin, Dresden, Warsaw and Vienna*“ (1799). Książę Woronców wytoczył Wraxallowi proces za jego *Pamiętniki współczesne* i zamieszczone w nich fałsze. Wraxall jako historyk był mało poważanym; jako podróżnik, objechawszy niemal całą Europę, wydał opis tej podróży, który wiele powątpiewań obudził. O innym Wraxallu nigdzie nie znaleźliśmy wzmianki.

(2) *Collin d'Harleville*, komediopisarz francuzki z drugiej połowy XVIII w. (1755 — 1806). Miał wielkie powodzenie. „*Monsieur de Crac*“ napisał w r. 1791. Najlepszym z jego utworów jest *Stary kawaler*.

wiał się wytoczeniu procesu królowej⁽¹⁾. Któż-to istotnie postawił wniosek o wygnanie rodziny Kapetów i oddanie pod sąd Marii Antoniny? Szczegółową odpowiedź na to znajdziemy w „*Monitorze*“⁽²⁾. Okazuje się z tej szacownej kroniki, że d. 1 Sierp. 1793 r. pewien mówca wydelegowany przez Komitet Ocalenia Publicznego wygłosił w Konwencji długą i wypracowaną mowę. Zapytywał namiętniemi słowy: czemu się to dzieje, że wrogowie rzeczypospolitej ciągle jeszcze marzą o powodzeniu. „Czy-to dla tego, wołał, żeśmy tak długo zapominali o zbrodniach Austriaczki? Czy to skutkiem dziwnej naszej obojętności względem krewniaków dawnych naszych ciemiężców? Czas już otrząsnąć się z tego niepolitycznego odrętwienia i wykarczować ostatnie korzenie królewskości z gruntu rzeczypospolitej. Potomkowie „*Ludwika Spiskowca*“ niech będą zakładnikami republiki. Dość będzie dwojgu dzieciom jego wyznaczyć tyle, ile niezbędnie potrzeba na wyżywienie ich i utrzymanie. Skarb publiczny nie powinien odtąd wyczerpywać się na istoty, które zbyt długo za uprzywilejowane uważano. Lecz po za niemi kryje się kobieta, która była sprawczynią wszystkich nieszczęść Francyi, a której udział we wszystkich knowaniach i spiskach kontrarewolucyi oddawna jest znanym. Sprawiedliwość narodowa dopomina się swoich praw nad nią. Trzeba więc ją odesłać do trybunału na spiskowców. Bo ugodziwszy w Austriaczkę, damy dopiero uczuć Franciszkowi, Jerzemu, Karolowi i Wilhelmowi zbrodni ich ministrów i armij“. Mówca zakończył wnioskiem, aby Marię Antoninę oddano pod sąd i w tym celu przeniesiono ją natychmiast do Conciergerie; oraz, aby na członków „rodziny Capet“, oprócz tych, którzy się już znajdowali pod mieczem prawa i oprócz dwojga dzieci Ludwika, ogłoszono wygnanie z terytorium francuzkiego. Wniosek przyjęto bez rozpraw.

Ale któż-to i tę mowę i wniosek ten wygłosił? Sam Barère. Rzecz jasna tedy, że Barère swoje własne podle zuchwalstwo i okrucieństwo przypisał komuś, co winnym będąc niejednej może zbrodni, w tym razie był czystym. Pozostaje tylko zapytanie: czy go pamięć zawiodła, czy napisał fałsz z rozmysłem?

Przekonany jestem, że skłamał świadomie. Wydawcy opisują pamięć jego jako szczególnie dokładną i byłaby ona prawdziwie złą, gdyby nie zatrzymała takiego jak ten wypadku. Prawda, że ilość morderstw, w których Barère później wziął udział, tak była wielką, że mógł brać łąco jedno za drugie, że mógł zapominać którą część codziennej hekatombi na śmierć wyprawiał on sam, a którą jego koledzy. Ale dwie okoliczności dowodzą, iż byłoby rzeczą

(1) *O'Meara*: Voix de Sainte Helène, II, 170.

(2) *Monitor* z 2, 7, i 9-go Sierpnia 1793 r. (*Przypiski autora*).

niedouwierzenia, izby mógł przepomnieć wdanie się swoje w sprawę śmierci Maryi Antoniny. Była-to najprzód jedna z najpierwszych jego ofiar; powtórę,—jedna z najznakomitszych. Najzawziętszy zbrojca pamięta, kiedy pierwszy raz krew przelał; a wdowa po Ludwiku nie była pospolitą pacyentką. Gdyby chodziło o jakąś tam modniarkę, zamordowaną za ukrywanie na poddaszu brata, któremu wymknęło się słówko na klub Jakobinów; gdyby się rzecz tyczyła jakiej starej mniszki, wleczonej na rusztowanie za to, że mruzczała na różańcu jakieś fanatyczne wyrazy, jak mówiono wówczas, to pamięć snadnie mogłaby omylić Barèra. Wymagać, aby pamiętał wszystkich biedaków, których potracił, byłoby taką samą niedorzecznością jak żądać, aby wiedział ile szczypt tabaki zażył. Ale chociaż Barère zamordował niejedną setkę istot ludzkich, królową tylko jedną o śmierć przypawił. W życiu małomieskiego adwokata, który przed kilku laty czułby się uszczęśliwionym przez jedno spojrzenie, jedno słowo córki tyłu Cezarów, to, że dziś mógł ją przeżywać Austryaczką, że mógł ją wyprawiać z więzienia do więzienia, że mógł ją oddać w ręce oprawcy,—było niezawodnie wielkim wypadkiem. Czy miał się tem chlubić, czy wstydić się tego? Na to pytanie możebyśmy się z wydawcami jego pamiętników pogodzić nie zdołali; lecz sądzimy, że sami oni przyznają, iż zapomnieć o tem nie mógł.

Śmiało więc oskarżamy Barèra o napisanie rozmyślnego fałszu i nie wahamy się dodać, że nigdy, w żadnych poszukiwaniach dziejowych, którymeśmy się oddawali, nie napotkaliśmy tak wierutnego kłamstwa, prócz chyba tego, o którym zaraz powiemy.

O postąpieniu z Żyrondystami Barère mówi z należytą surowością. Nazywa je okrutnem bezprawiem, dokonaniem na prawodawcach rzeczypospolitej. Opłakuje tych znakomitych deputowanych, których, zamiast osadzić znów w Konwencji, wyprawiono jak spiskowców na rusztowanie. Dzień ten, wykrzykuje, był dniem żałoby dla Francji; okaleczono przedstawicielstwo narodu; zachwiano świętą zasadę nietykalności wybrańców ludu. Zaklina się, że żadnego udziału w występku tym nie miał. „Zdobyłem się, powiada, na cierpliwość, przejrzałem całego „Monitora“, wynotowałem wszystkie oskarżenia, wszystkie wyroki aresztowania lub oddania pod sąd deputowanych. Nigdzie nazwiska mojego nie znajdziecie. Nigdy nie oskarżyłem żadnego mojego kolegi, nigdy żadnego nie denuncyowałem, na żadnego nie napisałem aktu obwiniającego“ (t. II, str. 407).

Otoż utrzymujemy, że to fałsz. Twierdzimy: że sam Barère przewodniczył napaściom Konwencji na Żyrondystów; że 28 Lipca 1793 r. podał wniosek pozywający dziewięciu deputowanych Żyrondystów i skazujący na śmierć bez sądu szesnastu innych takichże deputowanych; a gdy obawiano się, aby wymowa ich nie wywarła wpływu na

wet na trybunał rewolucyjny, tenże sam Barère popierał postanowienie upoważniające sąd ten do wydania wyroku bez wysłuchania obrońcy; na dowód zaś naszych twierdzeń odwołujemy się do tego samego *Monitora*, którym ośmiela się świadczyć Barère (¹).

Nie jesteśmy w stanie pojąć, co rozumiał p. H. Carnot o tem dziele, nazywając je szacownym nabytkiem dla skarbnicy dziejów, bo przecież musiał wiedzieć, że zawiera ono takie fałsze, jak te, któreśmy powyżej przytoczyli. Gdy któs nie wstydi się kłamliwie mówić o wypadkach, które zaszły wobec secin świadków, które zapisano w dobrze znanych i łatwo dostępnych książkach, jakąż wiarę dopiero dawać mamy opowiadaniom jego o sprawach pokątnych? Toteż żaden historyk bez wystawienia się na pośmiewisko, nie odważy się nigdy oprzeć na samem tylko świadectwie Barèra dla dowiedzenia czegokolwiek bądź. Zdaje się nam, że dzieło to wyświetla jakotako jedną rzecz tylko: niezmierną nikczemność autora.

Tyle o wiarygodności tych pamiętników. Co do ich wartości literackiej, stoją one niżej od wszelkiej krytyki. Tak są płytkie, gadatliwe i wymuszone jak krasomówstwo Barèra w Konwencji, a nadto, czego w tamtem niema, są strasznie niesmaczne. Podobne są do mętów i zlewków w butelce, której pierwszy szumek był już wielce podejrzanego zapachu.

A teraz postaramy się odmalować czytelnikom obraz życia tego człowieka. Ma się rozumieć, bardzo szczupły użytek uczynimy z jego *Pamiętników* i to zawsze z nieufnością, chyba że wsparte będą innemi świadectwami.

Bertrand Barère urodził się w roku 1755 w Tarbes, w Gaskonii. Ojciec jego był właścicielem małej majątności w Vieuzac, wśród pięknej doliny Argelès. Bertrand zawsze lubił, gdy go nazywano Barère de Vieuzac, i pochlebiał sobie, że z pomocą tego feudalnego przydomka uchodzić będzie mógł za szlachcica. Wychowywano go na prawnika do Tuluzy, siedliska naówczas jednego z najrozgłośniejszych parlamentów królestwa; wystąpił tam jako adwokat z niezłym powodzeniem i napisał kilka rozprawek, które rozesłał głównym towarzystwom naukowym Francji południowej. Zdaje się, że pomiędzy miast prowincjonalnych Tuluzę szczególnie się odznaczała obfitością mierznych wierszopisów i krytyków. Najbardziej się szczyliła instytucją zwaną „Akademią Igrzysk Flory“ (jeux floraux). Stowarzyszenie to odbywało coroku walne zgromadzenie, obudzające ogromne zajęcie w całym mieście; rozdawano na niem złote i srebrne kwiaty w nagrodę za ody, sielanki i za coś, co zwano elokwencją. Szczodroblwość

(¹) „Moniteur“ z 31 Lipca 1793 r., oraz z Nonidi (dziewiątego dnia) pierwszjej dekady Brumaire'a roku II, (Przyp. Autora).

podobna, oczywiście, wywierała taki sam skutek, jak i wszelka inna: ludzi, którzyby mogli zostać znośnymi adwokatami i pożytecznymi aptekarzami obracała w dowiecipnisiów i wierszokletów. Zdaje się, iż Barère nie dostąpił szczęścia zarobienia na żaden ów kwiatek szacowny; ale jedno piśmko jego otrzymało zaszczytną wzmiankę. W Montauban był szczęśliwszym. Tameczna Akademia uwieńczyła go kilku nagrodami: jedną za pochwałę Ludwika XII-go, w której uwydatnił błogosławieństwa monarchii i wierność narodu francuzkiego; drugą za panegiryk na Lefranc'a de Pompignan, w którym, ma się rozumieć, ostro napadał na filozofię ośmnastego wieku. Następnie Barère znalazł stary kamień z napisem trzech słów łacińskich i sporządził o tem rozprawę, która mu wyjednała wstęp do towarzystwa uczonego, zwanego „Akademią nauk, napisów i literatury w Tuluzie“. Nareszcie i drzwi „Akademii Igrzysk Flory“ otwały się dla tak wielkich zasług. Barère w trzydziestym trzecim roku życia zasiadł w gronie tego znakomitego bractwa, wygłosiwszy mówkę bardzo naówczas podziwianą, w której przeproszał, za wyliczanie tryumfów młodzieńczego swojego geniuszu. Wyznajemy, iż nie możemy mu ganić rozwlekłego wspomnienia o najmniej sromotnym okresie jego życia. Wprawdzie rozwodzenie się w deklamacjach nad nagrodami rozdawanymi przez akademie prowincjonalne nie jest ani bardzo pożytecznem, ani zaszczytnem dla człowieka dorosłego; ale dobrzeby się stało, gdyby Barère zawsze tem tylko się zajmował.

Roku 1785 poślubił młodą osobę, znacznej fortuny. Czy i pod innemi względami zdolna była ona dom uszczęśliwić, nie wiemy dokładnie. W piśmku zatytułowanem „*Pages mélancoliques*“ wydanem w roku 1797, Barère utrzymuje, że związek ten był czysto-konwencyonalnym, że u ołtarza serece jego ścisłało się smutnemi przeczuciami, że zbłądł wymawiając uroczyste „tak“, że mimowolne łzy potoczyły się po jego policzkach, że matka jego dzieliła przeczucia i że ostatecznie złe wróżby sprawdziły się. „Małżeństwo moje, powiada, było jednym z najnieszczęśliwszych“. Tak romantyczna powiastka, podana przez tak znakomitego kłamcę, nie obudzała w nas wiary. Niebardzo więc byliśmy zdziwieni, wyczytawszy w *Pamiętnikach*, że żonę nazywa najmilszą kobietą i oświadcza, iż po przeżyciu z nią sześciu lat znajduje ją równie miłą jak zawsze. Żałuje wprawdzie, że zanadto była przywiązana do monarchii i starych przesądów, lecz zapewnia, iż przez szacunek dla cnót jej nauczył się znosić jej zabobony. Ale Barère żeniąc się był sam i royalistą i katolikiem. Toć przecie jedną nagrodę swoją otrzymał za pochlebienie tronowi, drugą za obronę kościoła. Trudno zatem przypuścić iżby sprzeczki o polityce lub religii zakłócić mu mogły spokój domowy zaraz po ślubie. Pozwalamy więc sobie domyslać się, że żona jego, jak sam powiada, była enotliwą i miłą kobietą i że w ciągu pierwszych lat pożycia wszelkich usiłowań dokładała, aby go uczynić szczęśliwym. Rzecz jasna, iż później, gdy okoliczności wyprowadziły na jaw utajoną szka-

radę jego charakteru, nie mogąc go znieść, odmawiała widzenia się z nim, i odsyłała listy nierozpieczętowane. Wtedy-to musiał wymyślić historyjkę o swoim smutku w dzień ślubu.

W roku 1788 Barère odbył pierwszą podróż do Paryża; przypatrywał się przeglądowi wojsk, słuchał Laharpa w Liceum, a Condorceta w Akademii Umiejętności, przyglądał się posłom Tipo-Saiba, widział obiad rodziny królewskiej w Wersalu i prowadził dzienniczek, do którego zapisywał swe przygody i rozmyślenia. Niektóre ustępy jego mieszczą się w pierwszym tomie *Pamiętników* i rzeczywiście bardzo są malownicze. Nie widać tu jeszcze najgorszych wad ich autora, ale słabość, ich rodzicielka, występuje z każdego wiersza. Płochosć, niestałość i służalstwo ukazują się już tutaj takimi, jakimi do końca pozostały. Wszystkie zdania, wszystkie uczucia kręcą się w kółko, jak chora-giewka na dachu. Wrażenia, które mu zmysły przynoszą, dwu dni nie wytrzymują bez zmiany. Oto widzi Ludwika XVI; i zaraz lojalność tak go zaślepia, że znajduje króla jegomości—pięknym. „Wpatrywałem się, powiada, z żywą ciekawością w to nadobne oblicze; wydało mi się ono otwartem i szlachetnem.“ Ale za następne oglądanie króla wszystko się zmienia. Oczy jego królewskiej mości nie mają najmniejszego wyrazu; jego królewska mość śmiech ma gminny, zakrawający na idyotyzm, postać pospolitą, chód niezgrabny i minę źle wychowanego wyrostka. Takasama zmienność i w ważniejszych rzeczach. W poniedziałek Barère jest za parlamentami, we wtorek przeciwko parlamentom, zrana za feudalizmem, po obiedzie przeciwko feudalizmowi. Jednego dnia wynosi konstytucję; zaraz potem wzdyga się na myśl, że w zapasach o jej zdobycie barbarzyńscy wyspiarze zamordowali króla i oddaje pierwszeństwo konstytucji Bearnu⁽¹⁾. Bearn, powiada, ma przepyszną konstytucję, śliczną konstytucję; tam szlachta i duchowieństwo zasiadają w jednej izbie, a gmin w drugiej; gdy się różnią w zdaniu, król ma głos rozstrzygający. A w kilka tygodni potem znajdujemy go już wyrzekającego na tę śliczną, przepyszną ustawę. Dopuszczanie posłów od szlachty

(¹) Bearn, dawne wicehrabstwo, a następnie księstwo, na początku XVI wiekułączonym został z królestwem Nawarry i wraz z niem po śmierci Henryka IV w r. 1620 uległ wcieleniu do Francji. Utraciwszy w ten sposób udziałność polityczną nie utracił jednak skarbowej i administracyjnej i pozostał nadal w używaniu praw odpowiednich, zwanych *fors* (fueros). Stanowiły one jego autonomię, która przetrwała aż do r. 1789. Corocznie zbierało się ciało prawodawcze prowincji, dla wydawania uchwał w zakresie autonomii, której królowie francuzcy nie naruszali. Składało się to przedstawicielstwo interesów Bearnu ze szlachty, duchowieństwa wyższego i deputowanych miast—byli nimi prawie zawsze merowie. W r. 1790 po utracie autonomii utracił Bearn i geograficzną swoją odrębność; rozdzielono go pomiędzy dzisiejsze departamenty: des Basses Pyrénées i des Landes. Ludność, pochodzenia baskijskiego, podziśdzień zachowała swoją osobną mowę, obyczaje, zwyczaje i ubiory.

i duchowieństwa do prawodawstwa jest, powiada, ni mniej ni więcej, tylko dopuszczaniem wrogów kraju do władzy ustawodawczej.

W takim-to stanie umysłu Barère wystąpił w szranki życia publicznego, bez ustalonych zdań i poglądów, — niewolnik ostatniego wyrazu, arystokrata lub demokrata, stosownie do chwilowego wpływu kawiarni lub salonu, do którego ostatnio zajął. Zwołano stany generalne. Barère wrócił w swoje strony, dał się wybrać na posła średniego stanu i wrócił do Paryża w maju 1789. r.

Wielki, oddawna przepowiadany przełom nadszedł nareszcie. Zdaje się, iż w żadnym kraju wolność myśli obok politycznej niewoli nie trwała tak długo jak we Francji w ciągu siedmdziesięciu czy ośmdziesięciu lat, które poprzedziły ostatnie zwołanie stanów. Starodawne nadużycia i nowe teorie kwitły z równą siłą obok siebie. Naród pozbawiony wszelkich dróg konstytucyjnych do powściągnięcia rządu, chociażby ten był najniegodziwszym, wynagradzano za ucisk patrząc przez palce na to jak sobie zapuszczał się w anarchiczne dociekania, podkopując i ośmieszając wszystkie zasady, na których spoczywała budowa państwa. Ci, którzy przypisują upadek dawnych instytucji francuzkich nadużyciom władzy, i ci, co wyprowadzają go z doktryn filozofów, według nas zapatrują się na jedną tylko stronę przedmiotu. Znoszono bowiem nieraz równie ciężkie bezprawia bez wywoływania rewolucji; głoszono równie suchwałe teorie bez sprowadzania przewrotów. Rozbieranie przeto pytania: czy lud francuzki rozbraiał się z dawnymi swymi ustawami z oburzenia na wybryki i występki sułtanek i wezyrów, którzy go łupili i bezczęścili; czy też uczynił to pod wpływem pism Woltera i Rousseau, — wydaje się nam tak próżnem, jak dochodzenie: czy ogień, czy proch wysadził w powietrze młyny w Hounslow. Ani jedna ani druga przyczyna nie wystarcza sama przez się. Tyrania może trwać całe stulecia tam, gdzie dyskusja jest niemożliwą, bo tylko rządy oparte na zasadach czysto ludowych mogą bezpiecznie znosić wolne rozprawy. Lecz gdy się połączy londyńska wolność druku z rządem nakształt konstantynopolańskiego, wyniknąć musi ztąd wybuch całym światem wstrząsający. Tak się właśnie stało we Francji. Despotyzm i swawola, sprzężone w potworny związek spłodziły tę potężną rewolucję, w której rysy obojga rodziców tak dziwnie się pokrzyżowały. Długo noszony płód dojrzał, a Europa z nadzieją i zgrozą przypatrywać się zaczęła śmiertelnym bólem porodu i złowieszczym narodzinom.

W tym tłumie prawodawców, którzy natenczas ze wszystkich stron zaleli Paryż, Barère do wydatniejszych należał. Zasady, które w owej chwili wyznawał, były popularnemi, chociaż nie kraincowemi. Miał piękną reputację; posiadał, jak powiadają, przymioty osobiste wcale

niepospolite; a z portretu dołączonego do *Pamiętników*, który go przedstawia, gdy wchodził do Konwencji, wnosić możemy, że odznaczał się uderzająco pięknymi rysami twarzy, chociaż zdaje się nam, że wyczytać z nich możemy tchórzostwo i niechęć do bardzo czytelnie wypisane ręką bożą. Rozmowa jego była żywa i łatwa, a zachowanie się wcale dystygnowane, jak na prawnika z prowincji. Damy wyższego towarzystwa i dowcipu utrzymywały, że on jeden tylko przybywając z odległego partykularza, miał w obejściu to coś nieopisanego, co, jak mniemano, sam Paryż tylko miał nadawać. Wymowa jego, co prawda, wcale nie obudzała tak wielkiego podziwu w stolicy, jak niegdyś wśród dowcipnych akademików w Montauban i Tuluzie. Uważano, że styl miał bardzo zły i taki, zdaje mi się, zachował aż do końca, jeżeli wolno cudzoziemcowi o tem sądzić. Niesłusznie byłoby jednak odmawiać mu pewnych zdolności w mówieniu i pisaniu. Wymowa jego, choć oszpecona wszelkimi możebnymi przywarami smaku, od nadętości aż do błazeństwa, niecałkiem jednak pozbawiona była siły i żywotności. Miał nadto zaletę, która w życiu praktycznem daje nieraz przewagę ludziom czwartorzędnym nad pierwszorzędnymi: cokolwiek robił, robił bez wysilenia, na zawołanie, obficie i wielostronnie. Bo też wistocie zachodziła u niego doskonała zgoda pomiędzy moralnym i umysłowym charakterem. Urodził się z przeznaczeniem na niewolnika, a zdolności usposabiały go na niewolnika pożytecznego. Zgoła niezdolnym był do myślenia samodzielnego, ale posiadał zadziwiającą łatwość porządkowania i wyrażania cudzych myśli.

Zgromadzenie narodowe nie nastęczało mu żadnej sposobności do rozwinięcia talentów lub wad w całej ich okazałości; zaćmiwali go tam daleko zdolniejsi ludzie. Płynął wedle swego zwyczaju, z potokiem, przemawiał kiedyniekiedy z niejakim powodzeniem i począł wydawać dziennik *Le Point du Jour*, który ogłaszał rozprawy Zgromadzenia.

Z początku wcale nie stał w szeregu gwałtownych reformatörów. Nie był przychylny owemu nowemu podziałowi ziemi francuzkiej, który należał do najważniejszych zmian wprowadzonych przez rewolucję, i szczególną niechęć okazywał rozczłonkowaniu ojczystej swojej prowincji. Powierzono mu wkrótce ułożenie sprawozdania o stanie lasów w kraju. Ludwik XVI w wielkiej był obawie o tę sprawę: będąc zapamiętałym myśliwym, wolałby raczej postradać swoje *veto*, lub prerogatywę ogłaszania pokoju i wojny, niż wyrzec się polowania i obław. Wysłano dworzan królewskich do Barèra, aby się wstawili za danielami i bażantami; wdanie się to nie pozostało bez skutku. Sprawozdanie tak zostało zredagowanem, że później obwiniano Barèra o nieuczciwe poświęcenie dobra publicznego dla upodobania dworu. Na jednym z raportów,

BIBLIOTEKA
NARODOWA

uniesiony niepojętą niedorzecznością i złym smakiem, zamieścił Barère dwuznaczne motto z Wirgiliusza, stosowne chyba do ramotek, jakie pisywał dla igrzysk Flory:

„Si canimus sylvas, sylvae sint Consule dignae“.

Ta fanfaronada literacka była jedną z wielu rzeczy, w których okazywał się stałym. Będąc royalistą czy Żyryndystą, Jakobinem czy imperyalistą, nie przestawał być „Trissotinem“.

Gdy stronnictwo monarchiczne coraz bardziej słabło, Barère stopniowo usuwał się coraz dalej od niego, skłaniając się ku republikanom. Zdaje się, iż podczas tego przejścia zbliżył się na czas jakiś ściśle z rodziną orleańską. To pewna, że powierzono mu opiekę nad głóśną Pamelą, później żoną lorda Edwarda Fitzgerald; utrzymują także, iż przez kilka lat pobierał pensję dwunastu tysięcy franków z Palais-Royal.

Pod koniec września 1791 prace Zgromadzenia Narodowego zakończone zostały, a rozpoczęły się posiedzenia pierwszego i ostatniego Zgromadzenia Prawodawczego.

Uchwalono, aby żaden członek zgromadzenia narodowego nie zasiadał w zgromadzeniu prawodawczem; niedorzecznemu i zgubnemu temu postanowieniu przypisywać w części należy późniejsze klęski. Coby powiedziano w Anglii o parlamencie, któremu by nie wolno było przyjmować nikogo, kto w poprzednich parlamentach uczestniczył? Śmiało jednakże twierdzić można, że liczba Anglików, którzy nigdy nie biorąc udziału w sprawach publicznych, zdolni by byli znajomością rzeczy i doświadczeniem swoim należeć do prawodawstwa, przynajmniej storazyprzewyższa liczbę Francuzów podobnie usposobionych wr. 1791. Czyż mogłoby być inaczej? Od wieków w Anglii działający rząd reprezentacyjny uczynił wszystkich wykształconych ludzi do pewnego stopnia statystami. We Francji zgromadzenie narodowe złożyło się wprawdzie z najlepszych zasobów, jakie naówczas znaleźć się dały. Usunęło ono niezaprzeczenie mnóstwo nadużyć; niektórzy jego członkowie wiele przeczytali i przemyśleli o teoriach rządu; inni okazali wielkie zdolności krasomówcze. Ale ogromny był brak tego rodzaju biegłości, która jest niezbędną do zbudowania, wprawienia w ruch i kierowania maszyny rządowej. Książki są niezawodnie tak pożyteczne dla polityka, jak dla marynarza i doktora. Ale prawdziwy żeglarz wyrabia się dopiero na morzu; prawdziwy lekarz kształci się przy łóżu chorego; a walki polityczne państw wolnych są istotną szkołą statystów konstytucyjnych. Jednakże zgromadzenie narodowe odbyło już dwa lata mozolnego i pełnego przygód terminowania. Nie ukończyło było wprawdzie jeszcze wealeswego wychowania, ale już teraz nie było tak nieokrzesanem w sprawach politycznych, jak pierwszego dnia swego istnienia. Ostatnie

jego czynności dostatecznie dowodzą, że członkowie jego wiele skorzystali z doświadczenia. Niema wątpliwości, że podówczas nie znalazłoby się już we Francji poza zgromadzeniem równej liczby osób posiadających w takim samym stopniu przymioty konieczne do rozsądnego kierowania sprawami publicznymi; a właśnie w tej samej chwili, prawodawcy ci, ulegając dziecinnej żądzy popisania się swą bezinteresownością, odbiegli od swych obowiązków, których do połowy się tylko ponaucezali, a których nikt inny się nie uczył, i ustąpili miejsce swych gromadzie nowicyuszów, którzy musieli dopiero poznawać początkowe zasady sztuki rządzenia. Kiedy Barère pisał *Pamiętniki*, niedorzeczność tej samobójczej uchwały stwierdzały już wypadki i uznawały ją, jak się zdaje, wszystkie stronnictwa. On sam z właściwą sobie przewrotnością mówi o niej słowami dającymi do zrozumienia, że był jej przeciwnym. Nie było, powiada, żadnego dobrego obywatela, któryby nie żałował tego fatalnego postanowienia. Owszem, dodaje, wszyscy ludzie rozsądni żądali, aby zgromadzenie narodowe ciągnęło dalej swe posiedzenia jako pierwsze zgromadzenie prawodawcze. Ale nie uwzględniono życzeń światłych przyjaciół wolności i dokonano tego szlachetnego acz zgubnego samobójstwa. Tymczasem nie ulega wątpliwości, że Barère, daleki od sprzeciwiania się temu nieszczęsnemu rozporządzeniu, był jednym z najgorliwszych jego orędowników; wystawiał je z mównicy jako mądre i wspaniałomyślne, a na stwierdzenie swojego poglądu błysnął kilku takimi frazesami, które to wprawiają w zachwycenie podobnych jak on krasomówców, lecz na ludzi mających choć trochę zmysłu politycznego, wywierają wrażenie takie jak ipekakuana. „Ci, prawili, którzy obdarzyli kraj ustawą, są, że tak powiem, poza obrębem tego stanu społecznego, który wytworzyli; albowiem władza wytwórcza nie należy do tej sfery co władza przez nią wytworzona.“

Pan Hipolit Carnot zauważył wprawdzie to kłamstwo, ale je przypisuje prostemu zapomnieniu. Pozostawiamy mu pogodzenie tego nader miłosiernego przypuszczenia z tem, co mówi gdzieindziej o lokalnej, na szczególną uwagę zasługującej pamięci Barèra.

Wielu członków zgromadzenia narodowego za wyrzeczenie się władzy prawodawczej wynagrodzono posadami w różnych zawodach służby publicznej. Barère należał do rzędu tych szczęśliwych ludzi. Tylko co ustanowiono wysoki sąd apellacyjny; zasiadać on miał w Paryżu, ale jurydykcyja jego miała się rozciągać na całe królestwo, a departamentu powinny być doń sędziów wysłać. Departament Górnych Pirenejów wybrał Barèra, który też zasiadł w Pałacu Sprawiedliwości. Utrzymuje on, a czytelnik może wierzyć lub nie wierzyć, że około tego czasu zamyślano mianować go ministrem spraw wewnętrznych i że w celu uchylecia się od tak ważnej odpowiedzialności, on, Ba-

rère, wyrobił sobie pozwolenie odwiedzenia swoich stron rodzinnych. To pewna, że opuścił Paryż w początku r. 1792 i przepędził kilka miesięcy we Francji południowej.

Tymczasem stało się oczywiste, że konstytucja z r. 1791 nie da się w ruch wprowadzić. W istocie nie można było oczekiwać, iżby ustawa, zupełnie nowa tak w zasadach jak w szczegółach, zaczęła odrazu z łatwością w życie wchodzić. Chociażby bowiem najwyższy urzędnik kraju cieszył się zupełnem zaufaniem ludu, wypełniał zadanie swoje z najwyższą gorliwością, wiernością i zdolnością, chociażby grono przedstawicieli składało się z najmędrszych polityków Francji, — jeszcze i tak znalazłoby się nieprzebyte trudności. Ale w rzeczy samej próba odbywała się w niekorzystnych warunkach. Król, bardzo naturalnie, nie cierpiał konstytucji. W zgromadzeniu prawodawczem zasiadali ludzie wprawdzie wielkich zdolności i najlepszych chęci, ale nie było wśród nich ani jednego doświadczonego. Jednakże gdyby dozwolono Francji urządzić sprawy domowe bez obcego wdania się, może być, iż następne klęski dałyby się były odwrócić. Król, niepozabawiony zalet choć niedołężny i zmysłowy, za stracone przywileje znalazłby wynagrodzenie w ogromnej swej liście cywilnej, w pałacach i kniejach, w rosołkach, pasztetach perygordzkich i winie szampańskim. Lud, czując się bezpiecznym w korzystaniu z szacownych reform, przez zgromadzenie narodowe, mimo wszelkie jego pomyłki, dokonanych, niełatwo dałby się demagogom namówić do czynów gwałtownych; a w razie dopuszczenia się takowych, objawiłby zapewne szybkie i potężne przeciwdziałanie. Gdyby jaki taki spokój potrwał choć kilka lat, to ustawa z r. 1791 możeby zapuściła korzenie, może stopniowo nabrałaby siły, której czas tylko udziela, może nawet przetrwałaby aż do dnia dzisiejszego, choć z pewnemi zmianami, niezbędnymi zresztą potrzebnymi. Ale koalicja europejska przeciw rewolucji odjęła wszelką nadzieję takiego obrotu rzeczy. Złożenie z tronu Ludwika było, zdaniem naszym, koniecznem następstwem koalicji. Bo teraz już nie o to chodziło: czy król ma mieć *veto* stanowe, czy zawieszające, czy powinna być jedna Izba czy dwie, czy członkowie Izby poselskiej mogą być nanowo wybierani czy nie; ale o to: czy Francja ma należeć do Francuzów. Zagrożoną była niepodległość narodu, całość kraju; musimy więc wyznać otwarcie, że szczerze pochwalamy postępek tych Francuzów, którzy w tym razie postanowili, jak nasz Blake, ⁽¹⁾ stanąć mężnie za ojczyznę, nie pytając: pod jaką formą rządu upadnie lub zwycięży.

(1) *Blake Robert*, zaimprovizowany przez Kromwela admirał angielski. W wojnie domowej stał po stronie republikanów, ale był przeciwnym śmierci Karola I. Nieposiadając żadnej zgoda kwalifikacji do dowództwa na morzu, sprawował je przez

W naszym przekonaniu wojna z koalicją kontynentalną była początkowo ze strony Francji walką obronną, a zatem słuszną. Nie była to walka o błahę rzecz ani też znieprzyjacielem godnym pogardy. Stawiono na kartę najdroższe interesa narodu francuzkiego. Przede wszystkim zpośród grozących potęg wystąpiły dwa wielkie i wojownicze państwa, z których każde przy ówczesnem położeniu rzeczy mogło być uważane za strasznego przeciwnika. Rzecz jasna, iż w takich warunkach nie mogli Francuzi, bez popełnienia największej nieroztropności, powierzać głównego steru rządu osobie, której przywiązanie do sprawy narodowej nie było wolne od wątpliwości. A znowu nie będzie to zniewagą pamięci Ludwika XVI, gdy powiemy, że nie był on przywiązany do sprawy narodowej: gdyby tak było, byłby więcej niż człowiekiem. Trzymał w rękę władzę nieograniczoną, i to nie przez przywłaszczenie, lecz na zasadzie urodzenia i dawnych praw królestwa; władzy tej używał wogóle z łagodnością; dobrze życzył swojemu ludowi. Skłonny był z własnego popędu do takich ustępstw, jakich nigdy żaden monarcha nie czynił, chyba pod przymusem. Dźwigał na sobie ciężar win, nie własnych, ale wynikłych z pychy i ambicji jednych, z rozwiązłości i niekzemności innych swoich poprzedników. Został zwyciężony, uwięziony, poprowadzony w tryumfie i pod straż oddany. Uciekł, — przytrzymano go i odprowadzono jak zbiega-galernika do rudla. Odtąd był więźniem stanu. Mącono mu pokój codziennymi zniewagami i paszkwilami. Przyzwyczajony od kolebki do głębokiego uszanowania, teraz musiał tłumić swe uczucia, gdy tacy ludzie, co na kilka miesięcy przedtem byli płatnymi pismakami albo wiejskimi adwokatami, siadali w jego obecności z nakrytą głową i przemawiali doń lekkim tonem zapanbrat. Świadomy dobrych swych chęci, drażliwy na złe obejście, musiał niewątpliwie nienawidzić rewolucji; nie dziw więc, że mając sobie narzucone prowadzenie wojny ze związkowymi tęsknił w duchu do orłów niemieckich, do huku bębnow cesarskich. Nie możemy jednak przyganiać mu tego. Ale czyż mamy prawo ganić i tych, co postanowiwszy bronić dzieła Zgromadzenia Narodowego przeciw wniekszaniu się cudzoziemców, nie życzyli sobie mieć go na swem czelu w strasznej walce jaka nadchodziła? Nie mamy do powiedzenia na obronę lub wytłómaczenie zuchwałości, niesprawiedliwości i okrucieństwa, z jakimi, po zwycięztwie republikanów, obchodzono się z nim lub z jego rodziną. Ale twierdzimy, że Francuzi mieli jedynie do wyboru: albo wyzuć go z władzy pierwszego urzędnika, albo złożyć broń i poddać się cierpliwie obcej przemocy. Wypadki przeto 10 sierpnia

lat kilka z wielkiem powodzeniem na La Manche, na Atlantyku i morzu Śródziemnem, i odniósł kilka świetnych zwycięstw. Złżył od r. 1599 do r. 1658. Odznaczał się niepospolitą prawością. Inny *Blake* dowodził Anglikami w Waleney r. 1812.

Szkice.

2



(1792 r.) nieuchronnie wynikały z przymierza pilnickiego (1). Napa-
dnięto na pałac królewski; wymordowano straż; zawieszono króla w urzę-
dzie królewskim, a Zgromadzenie Prawodawcze wezwało naród do wy-
brania nadzwyczajnej Konwencji, opatrzonej wszelką władzą, jakiej
chwila bieżąca wymagała. Do Konwencji wolno było wybierać członków
Zgromadzenia narodowego; Barère obrał własny jego departament.

Konwencya zgromadziła się dwudziestego pierwszego września
1792 r. Pierwsze uchwały były jednogłosne. Zniesiono monarchię
ogólnym okrzykiem. Nie uczyniono żadnych zarzutów przeciw tej
wielkiej zmianie, ale też nie podano żadnych do niej powodów. Bo
już ciż nie możemy uczcić nazwą „powodów“ takich, na przykład, sentencyj,
jak ta, że królowie tem są w świecie moralnym, czem potwory w fizycz-
nym, albo że dzieje królów są historią męczeństwa ludów. Chociaż
jednak rozprawy te godne były studenckiej schadzki, zdaje się, że
uchwałę Konwencji podyktowała zdrowa polityka. Mówiąc to nie
utrzymujemy wcale, aby rzeczpospolita była najlepszą formą rządu
w ogólności, albo najstosowniejszą dla Francuzów w zwyczajnych oko-
licznościach. Zdaniem naszym, monarchia ograniczona jest najlepszym
rządem, jaki kiedykolwiek istniał na świecie; a Francya szczególnie, ni-
gdy nie używała takiej pomyślności i swobody, jak pod rządem parla-
mentarnym. Niemniej jednak pochwalamy postanowienie Konwencji,
znoszące rząd monarchiczny. Wdanie się państw zagranicznych spro-
wadziło przesilenie, które uczyniło środki nadzwyczajne niezbędne-
mi. Monarchia dziedziczna, zdaniem naszym, może być, a nawet
i jest bardzo użyteczną instytucją dla takiego kraju jak Francya. Bo
i maszty są bardzo potrzebnymi częściami okrętu; ale kiedy ten leży na bo-
ku, zajęść może konieczność odrabiania ich; chociaż po wyprostowaniu
się znów może wpłynąć nadsztukowany do portu i tam otrzymać zupeł-
ną naprawę, tymczasem zaś musi być niemiłosiernie obrabianym, bo inaczej
to, co w zwykłych okolicznościach stanowi najważniejszą część jego bu-
dowy, w chwili nieszcześćia mogłoby go w otchłań pogrążyć. Podobnie
bywają wypadki polityczne, w których koniecznie potrzeba naruszyć

(1) Przymierze to zawarto w Pillnitz w Saksonii pomiędzy cesarzem niemiec-
kim Leopoldem II, królem pruskim Fryderykiem Wilhelmem II i elektorem saskim Au-
gustem III w dniu 27 Sierpnia 1791 r. stanęło w celu przywrócenia Ludwika XVI do praw
monarchicznych, a to zarówno środkami pokoju jak i wojny. Europa cała wezwana
była do udziału w tem przymierzu, a 50,000 emigrantów francuzkich i zacieźnych
awanturników z innych narodów stało na pograniczu dla wtargnięcia do Francji.
Wojna w obronie Ludwika XVI odwleka się jednak do r. 1792. Z początku ze
strony Francuzów zaczęła się bardzo opieszale. Płomień rozpalili się dopiero po manife-
ście księcia Brunświckiego (25 lipca 1792 r.) i wtargnięciu Niemców nad Mozellę
w drugiej połowie sierpnia 1792 r. Formalne przymierze zaczepno-odporne między
Austrią i Prusami przed najazdem koalicji na Francję przyszło do skutku w lutym
1792 roku.

piękny układ maszyny rządowej, bo inaczej może być na zawsze zgu-
bioną; a właśnie taki zbieg rzeczy wydarzył się Konwencji. Głównym
celem dobrego Francuza musiało być uchronienie Francji od losu,
jaki spotkał Polskę; a najważniejszym wymaganiem od rządu—to, aby
był całą duszą oddany sprawie narodowej. Temu wymaganiu Ludwik
odpowiedzieć nie mógł; w takich zaś chwilach niepodobna tego ro-
dzaju niedostatku zastąpić publicznie czy domowymi enotami. Po
usunięciu króla, zniesienie monarchii koniecznie nastąpić musiało.
W takim stanie umysłów, jakiwówczas panował, daremnemiby były ta-
kie kroki, do jakich się uciekli przodkowie nasi w r. 1688, a francuzka
Izba deputowanych w r. 1830. Próba tego rodzaju chybiłaby,—wy-
śmiana, potępiona przez ogół, zniechęciłaby zagorzalców wszystkich
odejści,—a któż naówczas nie był mniej lub więcej zagorzałym? Stron-
nictwa, zmęczone długim ścieraniem się, wyćwiczone surowem do-
świadczeniem szkoły, w której jedynie ludzkość czegoś się naucza,
skłonne bywają iść za głosem pośrednika. Lecz dopóki kipią
młodością, dopóki nie nabyły doświadczenia, dopóki zrywają się do walki,
pełne nadziei i wrzącej zawziętości, dopóty w tem jednym są tylko
zgodne: aby usuwać z drogi rozjemców, usiłujących stanąć pomiędzy
niemi dla poskromienia ich. Taki był stan Francji w r. 1792. Po
jednej stronie brzmiało wielkie imię spadkobiercy Hugona Kapeta,
a trzydziestego trzeciego króla trzeciej dynastji; po drugiej stronie
dźwięczało wielkie hasło rzeczpospolitej. Oprócz tych dwóch, nie
było żadnego więcej sztandaru. Należało wybierać; i ci, zdaniem na-
szem, dobrze wybrali, co usuwając na stronę wszelkie pytania pod-
rzędne, przenieśli niepodległość nad poddanie się, a grunt ojezysty
nad obóz wychodźców.

Co do usunięcia monarchii i energicznego prowadzenia wojny,
cała Konwencya zdawała się myśleć, jak jeden mąż; lecz zkądinąd nie-
zgrabiona przepaść dzieliła Izbę na dwa wielkie stronnictwa.

Jedno z nich składało się ze statystów, zwanych albo Żyrondy-
stami, od departamentu, który pewni z nich przedstawiali, albo Bris-
sotystami, od nazwiska jednego z ich wydatniejszych przywódców.
Brisson i Gensonné odznaczali się w niem działalnością i praktycznymi
zdolnościami. Vergniaud przewyższał wszystkich owego czasu Fran-
cuzów wymową parlamentarną. W obcym nawet kraju, po upływie
pół wieku, niektóre ustępy mów jego czytają się jeszcze ze smutnem
uwielbieniem. Nikt, zdaniem naszym, nie wznosił się nigdy tak szyb-
ko do takiej wzniosłości krasomówczej. Cały zawód jego publiczny
trwał ledwo dwa lata, i to go wyróżnia od największych naszych mów-
ców, jak: Fox, Burke, Pitt, Sheridan, Windham, Canning. Któryż
z tych znakomitych ludzi uchodziłby dziś za mówcę, gdyby umarł we
dwa lata po zajęciu miejsca? Condorcet wniósł do stronnictwa Żyron-
dystów inny rodzaj siły. Ogół uważał go sprawiedliwie za wyborne-

go matematyka i, mniej zresztą słusznie, za wielkiego mistrza w naukach moralnych i politycznych; filozofowie poczytywali go za swego wodza, za prawego dziedzica, — drogą duchowego spadku i uroczystego przysposobienia, — zmarłego ich wodza Dalemberta. W tym samym szeregu stali: Guadet, Isnard, Barbaroux, Buzot i Louvet — zbyt dobrze znany autor bardzo dowcipnego, choć nader swawolnego romansu, a zaszczytniej wsławiony szlachetnością, z jaką stawał w obronie nieszczęśliwych, i nieustraszonem męstwem, z jakim wyzywał niegodziwych i potężnych. Dwaj jeszcze ludzie, nie tak świetnych zdolności, ale cieszący się reputacją prawości i patriotyzmu, Pétion i Roland, zdobyli także rozgłosem swych imion obóz Żyrondystów. Zona Rolanda ożywiała narady przyjaciół małżonka męską odwagą i dzielnością umysłu, złagodzoną niewieściem wdziękiem i dowcipem. Nie brakło świetności i wielkiej sławy wojennej rozgłosnemu temu stronnictwu: Dumouriez, świeży pogromca obcego najazdu, stojący u szczytu popularności, należał także do zwolenników Żyrondy.

Wiele, i to niemałych, błędów popełnili Brissotyści, lecz rzetelnie porównyując postępy ich z zachowaniem się innych stronnictw, działających lub cierpiących w rewolucyi francuskiej, musimy przyznać im wyższość we wszystkich zaletach, oprócz jednej, która, w podobnych okolicznościach, przeważa wszystkie inne, mianowicie: stanowczości. Z całą gorliwością przywiązani oni byli do przewrotu społecznego, dokonanego przez zgromadzenie narodowe — i mieli słusność. Bo chociaż przewrót ten pod niektórymi względami posunął się za daleko, był jednak dobrodziejstwem, wartem straszliwej zapłaty, jaką się okupił. Postanowili utrzymać niepodległość kraju od obcej napaści, — itu również mieli słusność, bo najcięższym jarzmem jest jarzmo cudzoziemskie. Zdawało im się, że gdy Ludwik pozostanie na tronie, nie zdołają z należytą energią przeprowadzić walki z koalicją europejską. Zespolili więc siły swojej na ustalenie rządu republikańskiego — i w tem także mieli słusność, bo w podobnej walce na śmierć lub życie szaleństwem było ufać chwiejnemu, a tembardziej nieprzyjaznemu, przywódcy.

Dotąd szli Żyrondyści z ruchem rewolucyjnym. Lecz na tym punkcie stanęli, — i, zdaniem naszym, mieli słusność stanąć, tak jak mieli słusność iść za ruchem. Dla wielkich celów, w nadzwyczajnych okolicznościach, musieli się uciekać do środków, które wiele dobrego, ale zarazem i wiele złego koniecznie wydały: zamięciły umysły ogółu, pozbawiły rząd uświęcenia dawności, podkopały posady własności i prawa. Myśleli więc, że teraz jest ich obowiązkiem podtrzymywać to, co niedawno powinni byli niszczyć. Kochali wolność, ale wolność skojarzoną z porządkiem, sprawiedliwością, miłosierdziem i cywilizacją. Byli republikańcami, ale chcieli przystroić swą republikę w to wszystko, co nadawało wdzięk i godność upadłej monarchii. Spodziewali się, że ludzkość, uprzejmość i polor, które w dawnych czasach tak dzielnie się

przykładały do złagodzenia niewoli Francyi, dodadzą nowego uroku jej wolności. Ze zgrozą więc patrzyli na zbrodnie przewyższające okropnością te, które się skalają rozwścieklone zamieszki religijne XVI wieku, a popełniane jakoby w imię rozumu i filantropii. Domagali się tego z wymowną gwałtownością, aby winowajców straszliwej rzezi, którą wyprawiono w więzieniach paryżkich, przed samem zgromadzeniem się Konwencyi, poddać surowej karze. Traktowali ze słuszną wzdrgą błahe wymówki, jakimi usiłowano upożorować te haniebne występki. Przyszawali, że kraj jest w wielkiem niebezpieczeństwie, ale przeczyli, iżby to usprawiedliwiało pogwałcenie zasad moralności, na których wszelka społeczność spoczywa. Twierdzili wreszcie, że należy bronić niepodległości i honoru Francyi, ale bronić tryumfami, nie zaś morderstwami.

Stronnictwo przeciwnie Żyrondystom, długo przeklinane przez cały świat ucywilizowany, w ostatnich czasach znalazło nietylko obrońców, ale nawet chwalców, — taki to jest przypływ i odpływ opinii. Nie możemy przeczyć, iż niektórzy członkowie Góry byli szczerymi patriotami. Ale najlepsi nawet z pomiędzy nich, jak Carnot i Cambon, zbyt mało przebierali w środkach do osiągnięcia wielkich celów; a w orszaku tych zapaleńców roił się cały tłum takich ludzi, którzy ze zmysłowych, beceenych lub złośliwych pobudek pożądalni nieograniczonej swawoli.

Gdy się Konwencya zgromadziła, większość stanowili Żyrondyści, a Barère trzymał się większości. Ale w procesie króla opuścił partję, której dotąd hołdował, głosował odtąd z Górą i przemawiał przeciwko więźniowi z taką gwałtownością, jakiej żaden prawie z członków Góry się nie dopuścił.

Znalezienie się przywódców Żyrondystowskich podczas procesu niewielki im zaszczyt przyniosło. Nie czynimy im wcale zarzutu okrucieństwa; lecz niepodobna oczyścić ich od występnego wahania się i obłudy. Dalekimi oni zapewne byli od czyhania na krew Ludwika, owszem, bardzo sobie życzyli go obronić. Lecz obawiali się, by idąc prosto do celu, nie podali w podejrzenie swej miłości ku ustawie republikańskiej. Chcieli ocalić życie króla, ale zarazem pozyskać różgłos królobójców. Wytknęli więc sobie krzywą drogę postępowania, którą spodziewali się osiągnąć dwojakiej mety: z początku głosowali za winnością króla; później wotowali za odwołaniem się do całego ludu względem rozstrzygnięcia jego losu. Pokonani w usiłowaniach uratowania go, niechętnie i ze złe tajonym wstydem i pomieszaniem, głosowali za karą śmierci. Uciekając się wreszcie do ostatniej próby na rzecz jego, wnosili głosy za odłożeniem wykonania wyroku. Ta kołująca polityka wydała skutki łatwe do przewidzenia każdemu, co się otarł o sprawy publiczne: Żyrondyści zamiast osiągnąć dwu celów naraz, chybili obudwu. Góra słusznie oskarżała ich o chęć obrony króla pokątnymi środkami. Własne sumienie z równą słusnością wyrzucało

im, że zbroczyli ręce we krwi najniezwyklejszego i najniebezpieczniejszego z ludzi. Prosta droga, wszelakoż, była tu jak zwykle, drogą nie tylko najzaszczytniejszą, ale i najbezpieczniejszą. Żyrodysty, jako stronnictwo, opierali się na zasadzie, że pora gwałtów rewolucyjnych przeminęła i że panowanie prawa i porządku powinno być się rozpocząć. Ale postępowanie z królem było, oczywiście, rewolucyjnej natury, jako niezgodne z prawami. Jedną rzecz tylko na obronę tego postępowania można było powiedzieć: że zwyczajne prawidła moralności i prawa zawieszały się na czas niezwyklego niebezpieczeństwa publicznego. Ten właśnie powód stawiała była Góra na obronę rzezi wrześniowej, ale Żyrodysty odmówili mu podówczas uznania. Głosując więc teraz za śmiercią króla ustępowali Górze w głównym punkcie spornym obu stronnictw.

Gdyby śmiało wotowali przeciw karze śmierci, królobójcy znaleźliby się w mniejszości; prawdopodobnie odwołano by się natychmiast do siły, a Żyrodysty możeby zwyciężyli. W najgorszym razie upadliby z niesplamionym honorem. To pewna, iż śmiałością i ucieczką niegorszych naówczas dokonali by rzeczy, niż teraz — bojaźliwością i wykrętami.

Barère, jakśmy rzekli, połączył się z Górą, w czasie tych zawiłań. Głosował przeciw odwołaniu się do ludu i zawieszeniu wyroku. Zachowaniem się i mową bardzo się różnił od Żyrodystów: tych serca były ściśnięte, a słowa nacechowane smutkiem. Vergniaudowi przypadło oznajmić skutek głosowania.⁽¹⁾ Błady, drżący ze wzruszenia, cichym i złamanym głosem obwieścił, że Ludwika skazano na śmierć. Barère nie dosięgał był wprawdzie jeszcze doskonałości w sztuce mieszania żartów i konceptów ze słowami śmierci; ale obiecywał już przyszłe odznaczenie się i w tej jeszcze gałęzi krasomówstwa jakobińskiego. Zakończył mowę sentencją godną swej głowy i serca. „Drzewo wolności, rzekł, jak powiada pewien pisarz starożytny, zakwita, gdy jest podlewane krwią ciemieżców wszelkiego rodzaju.“ Pan Hipolit Carnot przytoczył ten frazes, chcąc zapewne uczyć tem swojego bohatera. Pragnęlibyśmy, aby objaśnił w przypisku, jakiego to starożytnego autora Barère cytował. W ciągu skromnych naszych studyów nad łacińskimi i greckimi pisarzami nie zdarzyło się nam nigdzie natrafić na drzewa wolności i konewki

⁽¹⁾ W dniach głosowania ostatecznego nad losem Ludwika XVI Vergniaud przytywał w Konwencji. Głosowanie, przeplatane rozprawami, rozpoczęło się dnia 14 Stycznia 1793 r. Wyrok śmierci wygłoszony przez Vergniauda zapadł wieczorem d. 17 t. m. Usiłowania nadaremne, aby powstrzymać wykonanie wyroku przeciągnęły sprawę jeszcze do 20 Stycznia. Proces Ludwika XVI — jeżeli o procesie można mówić tam, gdzie nie było ani prawa ani sprawiedliwości — rozpoczął się 3 grudnia 1792 r. Mowę za odwołaniem się do ludu, uważaną za jedno z najświetniejszych wystąpień Vergniauda, deputowany ten wygłosił w d. 31 grudnia 1792 r. Była ta mowa improwizowaną, na razie przyniosła Konwencji i na samego nawet Robespiera oddziaływała. Podczas przesłuchiwania króla, oskarżycieli i obrońców przytywał w Konwencji sam Barère.

z krwią; tak dalece nawet ciemni jesteśmy w starożytnościach klasycznych, że nie wyobrażamy sobie attyckiego lub rzymskiego mówcy, używającego przenośni tego rodzaju. Mówiąc po prostu, Barère, powołując się na swego starożytnego autora, kłamał, jak to czynił zwykle, gdy dowodził jakiegoś faktu, wielkiego czy małego. Dlaczego kłamał w tym razie? Nie możemy odgadnąć; chyba dlatego — aby się nie odzwyczajać.

Bardzo być może, iż gdyby nie pewna okoliczność, Barère, idąc za tymi, z którymi zwykle działał, głosowałby za odwołaniem się do ludu i powstrzymaniem wyroku; ale przed samém rozpoczęciem procesu, odkryto papiery dowodzące, że będąc już członkiem Zgromadzenia Narodowego, porozumiewał się z dworem względem swojego sprawozdania o lasach i puszcach. Konwencya uznała go za niewinnego; ale żarliwi republikanie mieli go za jedno z narzędzi upadłej władzy; zarzut ten długo się powtarzał w dzienniku Marata i w mowach klubu jakobińskiego. Nie więc dziwnego, że taki człowiek jak Barère usiłował w tym razie odznaczyć się wśród rzeszy królobójców szczególną dzikością. Ponieważ był royalistą, musiał teraz stać się jednym z najpierwszych w krwi przelewie.

Król już nie żył.⁽¹⁾ Przywódcy Żyrodystów przez swoje z nim postąpienie stracili w oczach i przyjaciół i wrogów. Nie przestawali jednak podtrzymywać walki z Górą; wołali o pomstę na morderców wrześniowych i oświadczeni przeciw bezrządnym i krwawym poduceńcom Marata. Czas jakiś zdawało się, że przeważą. Jako publicyści i mówcy nie znajdowali równych sobie w Konwencji. Mieli za sobą, bezwątpienia, znaczną większość w deputowanych i w narodzie francuskim. Taka przewaga, zdawałoby się, powinna by rozstrzygnąć skutek walki. Ale i przeciwne stronnictwo posiadało odpowiednie korzyści, choć odmiennego rodzaju. Wodzowie jego, niezbyt odznaczający się wymową i światłem, górowali jednak śmiałością, działalnością i stanowczością. Konwencya i Francya były przeciwko nim; ale gmin paryżki, kluby i zarząd miejski stolicy trzymały ich stronę.

Polityka Jakobinów, w tem położeniu, dążyła do poddania Francji pod jarzmo arystokracji nieskończenie gorszej od tej, która wyemigrowała z hrabią d'Artois, arystokracji nie rodowej, nie pieniężnej, nie umysłowej, ale — czysto miejscowej. Nie chcieli oni słyszeć o przywilejach stanów, ale chcieli mieć: miasto uprzywilejowane. Uważali za rzecz nieznośną, iżby sto tysięcy szlachty i księży rządziło dwudziestu pięciu milionami Francuzów; a że nad temi dwudziestu pięciu milionami pannało sto tysięcy Paryżan, — to się im wydawało rzeczą naturalną. Dość było mieszkać blisko sali, w której zasiadała Konwencya, wciskać się

⁽¹⁾ Ścięto go na Placu Rewolucyi d. 21 stycznia 1793 r. przed południem.

codzień na galerię podczas rozpraw i kiedyniekiedy z piką w ręku trzymać straż przy drzwiach, aby mieć zupełną kwalifikację na członka tej nowej oligarchii. Godziło się to z zasadami Góry: że kupa rozwozicieli piwa z browaru Santerre'a, albo banda szubrawców z drukarni Héberta pozwalała sobie zagłuszać głosy mężów, upoważnionych do przemawiania w imieniu takich miast, jak: Marsylia, Bordeaux, Lugdun; że hałastra nawpół nagich tragarzy z przedmieścia ś. Antoniego posiadała władzę kasowania wyroków uchwalonych przez pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt departamentów. Ale należało wynaleźć pozór dla tej ohydnej i bezmyślnej tyranii. Znaleziono go nareszcie! Do starych godeł „wolności i równości“ przyczepiono dźwięczne hasła „jedności i niepodzielności.“ Odkryto nową zbrodnię ochrzczoną ja imieniem „federacyi.“ Utrzymywano, że celem Żyryndystów było rozczłonkowanie wielkiego narodu na małe niezależne rzeczypospolite, spojone jedynie związkiem, jaki łączył kantony szwajcarskie albo Stany Zjednoczone Ameryki. Głównym ratunkiem na ten zgubny zamach miał być wpływ Paryża. Pierwszem więc zadaniem każdego patrioty winno było być wzmacnianie wpływu tej stolicy.

Oskarżenie rzucone na przywódców stronnictwa Żyryndystów było czystą potwarzą. Niema wątpliwości, że pragnęli oni zapobiedz przeprowadzeniu stolicy nad rzeczpospolitą i z przyjemnością widzieliby przeniesienie Konwencji na pewien czas do jakiego miasta na prowincyi, albo umieszczenie jej pod opieką wiernej jakiej straży, któraby potrafiła utrzymywać w korbach gmin paryżki; lecz niema znowu najmniejszego powodu podejrzewać ich o jakieś zamiary zagrażające jedności kraju. Tylko Barère był istotnym federalistą i, jak się nam zdaje, jedynym w całej Konwencji. Jeżeli o człowieku tak niestałym i służalczym jak on powiedzieć można, iż czuł skłonność do jakiejkolwiek formy rządu, to zdajesię, że przekładał formę federacyjną nad inne. Urodził się on pod Pirenejami; był Gaskonem z Gaskonów, ludu wydatnie różniącego się moralnym i umysłowym charakterem, zwyczajami, narzeczem i fizyognomią od Francuzów z nad Sekwany i Ligeru; miał też niejedną właściwość plemienia, do którego należał. Opuszczając poraz pierwszy prowincję, rozpoczął trzydziesty czwarty rok życia i miał już nabytą wysoką sławę miejscową w piśmiennictwie i wymowie. Przybywał do Paryża poraz pierwszy i znalazłszy się tam jakby w nowym świecie, czuł się niejako wygnańcem. Rzecz jasna także, iż go nie ominęły pewne drobne zawody i upokorzenia, spotykające tak często literatów, którzy, wynoszeni pochwałami na prowincyi, ryzykują się na zabłyśnięcie talentami swymi przed oczyma wybrednych krytyków stołecznych. A nadto, ile razy powracał w góry, wśród których się urodził, stawał się tam przedmiotem powszechnego uwielbienia. Niechęć przeto ku Paryżowi i przywiązanie do rodzinnego zakątka tak były w nim silne i trwałe, ile być mogła uczucia w tego rodzaju istocie,

co on. Długo utrzymywał, że przewaga jednego wielkiego miasta gubi Francję; że wyższość smaku i inteligencji, których przyznawanie mieszkańcom tej stolicy było modą, jest całkiem urojona; że wreszcie naród póty nie będzie się cieszył prawdziwie dobrym rządem, dopóki luddek alzacki, luddek bearnijski, luddek prowanecki nie doczeka się bytu niezależnego i praw przypadających do jego upodobań i zwyczajów. Gromady te zalecał połączyć związkiem podobnym do tego, który jednocy poważnych purytanów Konnektyku z hulaszczymi plantatorami Nowego-Orleanu. Paryżowi nie chciał takiego miejsca nawet przeznaczyć, jakie Washington zajmuje w Stanach Zjednoczonych; wołałby, aby kongres federacyi francuzkiej nie miał żadnego stałego siedliska, lecz zgromadzał się to w Rouen, to w Bordeaux, to wreszcie w ukochanej Tuluzie.

Takimi uczuciami przejęty, pozostawał aż do końca maja 1793 r. Żyryndystą, a może nawet ultra-Żyryndystą. Wykrzykiwał na nieczystych i krwiożerczych ludzi, którzy usiłowali niebezpieczeństwo publiczne czynić pokrywą okrucieństwa i łupieży. „Niebezpieczeństwo, powiadał, nie powinno być żadną wymówką zbrodni. Właśnie, gdy wiatry dmą szalenie i piętrzą się fale, kotwica jest najpotrzebniejszą; właśnie wśród burzy rewolucyjnej wielkie prawa moralności najniezbędniejszymi są dla bezpieczeństwa kraju.“ O Maracie odzywał się ze wzgardą i wstrętem, o władzach miejskich Paryża — ze słuszną surowością. Głośno narzekał na tych Francuzów, którzy oddawali Górze cześć, należną jedynie Konwencji. Kiedy poraz pierwszy wniesiono ustanowienie trybunału rewolucyjnego, (9 maja) połączył się z Vergniaudem i Buzotem, którzy mocno się sprzeciwiali temu ohydnemu środkowi. „Nie może być, wołał Barère, aby ludzie istotnie do wolności przywiązani, chcieli naśladować najstraszliwsze gwałty despotyzmu!“ Dowodził Konwencji, po swojemu, z Sallustysza, że takie samowładne sądy mogą czas jakiś srożyć się na prawdziwych winowajców, ale że wkrótce koniecznie się muszą wyrodzić w narzędzia prywatnej chciwości i zemsty. Gdy d. 10 marca (1793) najbrzydsza część ludności paryżkiej dopuściła się spełzłego bezskutecznie zamachu na zgubę Żyryndystów, Barère gorąco domagał się energicznego poskromienia i skarcenia winnych. Dnia 2 kwietnia doniesiono Konwencji o powtórne pokuszeniu się Jakobinów paryżkich na przywłaszczenie najwyższej władzy w rzeczpospolitej; wtedy Barère znów powstał z zapałem na nową tyranję, trapiącą Francję i oznajmił, że ludność departamentów nigdy się nie ugnie pod ciemnictwem żadnego władcy miasta. Wniósł nawet postanowienie tej treści, iżby Konwencya rozwinęła taką samą energię przeciwko demagogom stolicy, jakiej użyła przeciw „tyranowi Ludwikowi.“ Zapewniają, iż w samej rzeczy naówczas, — czy to prywatnie, czy publicznie, — odzywał się zawsze z wielkim wstrętem o Górze.

Widoczna ta gorliwość dla sprawy ludzkości i porządku nie po-

została bez nagrody. Na początku kwietnia nadbiegły wieści o odstępstwie Dumouriez'go. Był to ciężki cios dla Żyrondystów. Dumouriez był ich generałem; świetność jego zwycięstw okrywała blaskiem całe stronnictwo; spodziewano się, że wojska jego, w razie potrzeby, ochronią przedstawicieli narodu od rozruchanych pikinierów z poddaży Paryża. A teraz ten Dumouriez został zbiegiem i wygnańcem i, ci, co niedawno z całą ufnością polegali na jego pomocy, zmuszeni byli łączyć z głosami śmiertelnych swych wrogów przekleństwa na jego zdradę. Podwplywem tak groźnego obrotu rzeczy, postanowiono wyznaczyć komitet ocalenia publicznego i przyoblec go we władzę, niewielką, zaiste, w porównaniu z tą, którą później sobie przywłaszczył, zawsze jednak potężną i straszną. Stronnictwo umiarkowane, uważając Barèra za wyraziciela swych uczuć i mniemań, wybrało go na członka tego komitetu. W tym nowym zawodzie zaraz okazał się on pożytecznym. Nie wniósł wprawdzie do obrad komitetu ani światła, ani zręczności wielkiego statysty, ale oddał na jego użytek język i pióro, którym nigdy słów nie zabrakło, byleby inni nasuwali pomysły. Głowa jego była poprostu środkiem komunikacyjnym dla innych: nie poczyniała niczego, nie nie zatrzymywała, ale przepuszczała wszystko. Stanowisko wyznaczone mu przez kolegów, nie miało wistocie pierwszorzędnej ważności; było jednak wydatne i ściągало uwagę całej Europy. Gdy chodziło o przedstawienie nowego projektu, o zdanie sprawy z jakiego ważnego kroku, on zwykle bywał rzecznikiem administracji. Niema więc nic dziwnego, iż ludzie, którzy mieszkali daleko od siedziska rządu, a szczególnie cudzoziemcy, znający Francję w czasie wojny jedynie z dzienników, uważali go za głowę administracji, której on właściwie był tylko sekretarzem i mówcą. Zdaje się, że i autor *Dziejów Europy* w naszych *Annual Register* ulegał w zupełności temu złudzeniu.

Ścieranie się nieprzyjaznych stronnictw zbliżało się tymczasem ku przesileniu. Uspokojenie Paryża codziennie stawało się dzikszem. Delegaci, wybrani przez trzydzieści pięć z liczby czterdziestu ośmiu okręgów miasta, stanęli przed kratkami Konwencji i domagali się, aby Vergniaud, Brissot, Guadet, Gensonné, Barbaroux, Buzot, Pétion, Louvet i inni deputowani zostali z izby wypędzeni. Żądanie to, odrzucone przez trzy czwarte przeszło zgromadzenia, gdy się rozniosło po departamentach, wywołało powszechny okrzyk oburzenia. Bordeaux oświadczyło, że będzie obstawać za swoimi przedstawicielami i, w razie potrzeby, z orężem w rękustanie dla obronienia ich od tyranii Paryża. Podobne uczucia ożywiały Lugdun i Marsylię. Te objawy opinii publicznej dodały męztwa większości Konwencji. Zagłosowano podziękowanie Ludowi miasta Bordeaux i wyznaczono komisję z dwunastu członków dla zbadania postępów władzy miejskiej w Paryżu, upoważniając ją do aresztowania osób podejrzanych o należenie do spi-

sków przeciwko władzy Konwencji. Postanowienie to przyjęto na wniosek Barèra (d. 18 maja 1793 r.).

Nastąpiło potem kilka dni burzliwego wzruszenia i strasznej obawy; potem wybuchła katastrofa. Trzydziestego pierwszego maja (!) powstał gmin paryzki i obległ pałac Tiulerjów gęstemi szeregami pik; większość deputowanych po daremnych wysiłkach i napomnieniach ustąpiła przemocy i nie zdołała przeszkodzić Górze w ogłoszeniu uchwały, nakazującej zawieszenie od urzędu i uwięzienie deputowanych, oskarżonych przez okręgi stolicy.

Podczas tego zajścia Barère miotał się pomiędzy obu rozszalałymi partjami. Uczucia jego, słabe i niestałe jak zawsze, pchały go ku Żyrondystom, lecz dzielność i stanowczość Góry napełniały go przerażeniem. Jednego dnia przemawiał głośno i śmiało, użalając się, iż Konwencja nie była wolną i protestując przeciwko ważności uchwał dokonanych pod przymusem. Drugiego dnia namawiał do ułagodzenia Paryżan obaleniem tej samej komisji dwunastu, którą przed kilkoma dniami sam był proponował, i własnoręcznie kreślił odezwę potępiającą postanowienie, które przyjęto na jego nalegania, a chwalać obywatelski duch rokoszian. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, iż nie bez pewnych oznak wstydu odczytał ten dokument z mównicy, z której tak często wygłaszał całkiem odmienne uczucia. Powiadają, że rozumiał się przy niektórych ustępach. Być to mogło: był jeszcze nowicjuszem w niegodziwości.

W kilka dni potem podał wniosek: aby wysłano departamentom zakładników, poręczających bezpieczeństwo osobiste deputowanych oskarżonych — i ofiarował się sam na jednego z takich zakładników. Nie wątpimy ani chwili o szczerości tej ofiary, gdyż zdaje się nam, że czułby się daleko bezpieczniejszym w Bordeaux lub Marsylii, niż w Paryżu. Ale wniosek nie przyszedł do skutku, a autor jego pozostał w mocy zwycięskiej Góry.

Było to przesilenie w jego życiu. Dotychczas nie dopuścił się jeszcze niczego, co by się nie dało odpokutować, — niczego, co by go napiętnowało hańbą większą od innych współtowarzyszów w Konwencji. Dotychczas głos jego przechylał się na stronę umiarkowaną. Gdyby

(!) Dzień przesilenia terrorystycznego w przedstawicielstwie Francji nazywany bywa powszechnie Trzydziestym Pierwszym Maja. Właściwie jednak przesilenie to nastąpiło dopiero dwoma dniami później, d. 2 czerwca. 31 maja na wniosek tegoż samego Barèra, który zaprojektował Komisję Dwunastu, komisję tę rozwiązano, postanowiono śledzić spiski, odwołać się do narodu, a co najważniejsza, przez uchwalenie dla hałastu paryzkiej prawa ustawicznego znajdowania się pod bronią przygotowano gwałt 2 Czerwca. Uchwała, o której mówi Macaulay, a która odejmowała wolność i charakter deputowanych Żyrondystom znakomitszym oraz członkom zniesionej Komisji Dwunastu — zapadła d. 2 czerwca. Wykrętną ową odezwę zredagował Barère nazajutrz po wypadkach 31 maja.

meźnie podzielił los Żyryndystów i cierpiał wraz z nimi, zająłby, podobnie jak oni, wcale zaszczytne miejsce w dziejach. Gdyby wraz z wielu deputowanymi, którym przy najlepszych chęciach zabrakło odwagi do wystawienia się na męczeństwo, ugiął się spokojnie pod władzę tryumfującej mniejszości i znosił w milczeniu bezoporne uchwalanie wniosków Robespiera i Billauda, nie zarobiłby sobie na żadną szczególną niesławę. Lecz zdaje się, że ta droga była już dlań zamknięta. Zanađto się był odznaczył pomiędzy przeciwnikami Góry, iżby ta przebaczyć mu mogła bez pewnej pokuty; aby wejść w łaski nowych panów, nie dosęby mu było grać rolę mileżącego i biernego niewolnika. Niewiadomo napewne, jak się tam ułożono z nim prywatnie, ale niebawem skutek stał się oczywistym. Odnowiono Komitet Ocalenia Publicznego; umiarkowańszych członków jego zastąpiono zawziętymi zwolennikami panującego stronnictwa, jak: Couthon i St. Just, ale Barère nie usunięto (10 lipca).

Pobłażliwość, z jaką go traktowano, obudziła szemranie niektórych surowych zagorzalców. Marat w ostatnich wyrazach, które napisał, a które ujrzały świat, wtedy, gdy już sztylet Karoliny Corday pomścił Francję i ludzkość, narzekał, że człowiekowi bez zasad, trzymającemu się zawsze mocniejszego, człowiekowi, który był niegdyś royalistą, i w razie innego obrotu rzeczy gotówby znowu royalistą zostać, powierzono tak ważną godność w zarządzie (1). Ale przywódcy Góry rozumowali nieco roztropniej. Wiedzieli oni tak dobrze, jak Marat, że Barère był człowiekiem bez czei i wiary, że jeżeli miał jakie skłonności polityczne, to pewno nie ku nim; że dla Żyryndystów czuł tylko pewną mdłą i chwiejną przychylność, na jaką jedynie serce jego mogło się zdobyć; i że, gdyby miał wolny wybór, wolałby raczej zamordować Robespiera i Dantona, niż Vergniauda i Gensonnégo. Lecz słusznie oceniali tę jego lekkość, która go czyniła niezdolnym do szczerego przywiązania i szczerzej nienawiści, oraz to upodlenie, które sprawiało, że nie mógł obejść się bez pana. Wistocie, to, co plantatorowie z Karoliny i Luizyany powiadają o płaskonosych i kędzierzawych murzynach, dałoby się wiernie zastosować do Barère. Kłątwa Chanaanu ciążyła nad nim: urodził się niewolnikiem; podłość była w nim instynktem. Popęd, który go uniósł ze stronnictwa pogiębionego do obozu zwycięzców, tak był nieprzepartym, jak ten, który zmusza do odlotu kukułkę i jaskółkę za zbliżeniem się chmurnych i zimnych miesięcy. Prawo skazujące go na pokorne służalstwo przy tęższych umysłach podobne było do instynktu przykuwającego rybkę zwaną „Sternikiem“ (2) do wilka morskiego. „Czy znacie, mówił pewien chytry lord szkocki, którego spytano co myśli

o Jakobie I-szym, czy znacie małpę Żoko? Kiedy ja trzymam Żoko za obrozę, może was ukąsić, ale kiedy wy ją trzymacie, może ukąsić mnie.“ Taką jakraz istotą był Barère. W rękach Żyryndystów skorym był do zguby Jakobinów; wdawszy się z Jakobinami, czyhał na Żyryndystów. Przywódcy więc Góry nie mogli, oczywiście, liczyć na wierność takiego człowieka; pozyskanie go cenili tyle, ile ów niezbyt wybredny kochanek z wesołej piosenki Congreve'a (1) cenił zdobycie przedanej istoty innego rodzaju. Barère, jak Chloe, był fałszywy i gminny; ale, jak ona, póty był stałym, póki go posiadano; a niczego też więcej nie żądano. Jakobini wymagali od niego takich posług, do jakich doskonale był zdolnym. Chociaż bowiem brakło mu zgola zaletczynnego imyslącego statysty, posiadał jednak wielką łatwość w napisaniu raportu lub wygłoszeniu mówki o czemkolwiek bądź i z jakąchcąc dążnością. Gdy inni dostarczali faktów i myśli, on miał zawsze w pogotowiu frazesy, a talent swój oddał tymczasem w zupełne rozporządzenie swoim panom. Nie pozostawił też żadnego gniewu w sercach dotychczasowych przeciwników: nie większą czuli urazę do niego, niż do koni, które woziły armaty księcia brunświckiego lub sasko-koburskiego; konie te wypełniały właściwy gatunkowi swemu obowiązek i, gdyby wpadły w ręce Francuzów, ciągałyby z równą siłą i uległością działa rzeczywospolitej; należałoby ich nie tylko oszczędzać, ale jeszcze i karmić i czyścić porządnie. Tak samo rzecz się miała z Barèrem: był on z natury tak podłym, że możnaby wątpić, czyby mógł być naprawdę przedmiotem nienawiści dla istoty myślącej. Nie był wrogiem, a teraz nie stał się przyjacielem: był tylko kłopotem, a teraz mógł zostać — popychadłem.

Chociaż przywódcy Góry przebaczyli mu i dopuścili go do swej spółki, nie uczynili tego bez wymożenia takich rękojmi, któreby mu, pomimo całą jego fałszywość i zmienność, niepodobniły powrót do szeregów, którym się przemieształ. Zaprawdę, straszny to był zastaw, którym odstępeca ten wkupił się w ich społeczeństwo: wymagali iżby główną odegrał rolę w wymordowaniu dawnych przyjaciół. Oczywiście, odmowę przypłaciłby życiem. Ale czegoż warte życie, gdy jest tylko długiem konaniem w zgryzocie i hańbie? Lecz szkoda czasu mówić o tych uczuciach, gdy roztrząsa się postępek takiego człowieka jak Barère. On zabrał się ochoczo do rzeczy, wstąpił na mównicę i przemówił do Konwencji, że nadeszła pora wymierzenia surowej sprawiedliwości i wytepienia wszystkich spiskowców bez różnicy. Wniósł więc, aby Buzota, Barbaroux, Pétion i trzynastu innych deputowanych wyjąć z pod opieki prawa, czyli innemi słowy, ścąć

(1) „Le Publiciste“ z 14 lipca 1793. Marat zginął 13-go wieczorem.
(Przyp. Aut.)

(2) *Centronotus pilota* z rodziny *Acanthopterygii scombroidei* w m. Śródziemnem

(1) William Congreve (1669 — 1729) dramaturg angielski; pisał udatne komedye. Macaulay szczegółowo się nim zajmuje w jednym ze swych *Essays* literackich.

bez sądu; a zaś Vergniauda, Guadeta, Gensonnégo i sześciu innych pod sąd oddać. Wniosek — bez rozpraw przyjęto ⁽¹⁾.

Widzieliśmy już jak bezczelnie Barère w *Pamiętnikach* swoich wypiera się wszelkiego udziału w prześladowaniu Żyryndystów. Doprawdy, tego tylko zaparcia się brakowało do uzupełnienia jego nikczemności: najbezwstydniejsze kłamstwo godnem tu było towarzyszeniem najbezpieczniejszego morderstwa.

Ale Barère nie zyskał tem jeszcze przebaczenia. Stronnictwo jakobińskie posiadało w swem łonie taką jeszcze zgraję, że w tej party nawet, celowała ona we wszelkiej podłej i dzikiej szkaradzie, — zgraję tak niskich i nieludzkich istot, że obok nich Robespierrea można by nazwać wspańiałomyślnym i miłośniwym. Hébert był może najlepszym okazem tego rzędu nędzników. Ulubioną jego zabawą było dręczenie i wyszydzanie nieszczęsnych niedobitków wielkiego rodu, który ośm wieków rządził Francją, a teraz stał się przedmiotem politowania dla najlichszego wyrobnika, najuboższego wieśniaka. Wpływ tego człowieka i jemu podobnych skłonił Komitet Ocalenia Publicznego do wyroku skazującego Maryę Antoninę na rusztowanie. Wezwano powtórnie Barèra, aby spełnił swą powinność. Cztery dni zaledwie upłynęły po wniesionym przezeń wyroku na Żyryndystów, a już znowu wstępował na mównicę, żądając, aby królową stawiono przed trybunał rewolucyjny ⁽²⁾. Czynił przytem szybkie postępy w towarzystwie nowych swych sprzymierzeńców. Domagając się głowy Vergniauda i Pétiona, przemawiał jak człowiek mający niejakię poczućie własnej winy i poniżenia; powiedział mało i to niegwałtownie, pozostawiając Saint-Justowi szerokie rozwiedzenie się nad występkami dawniejszych przyjaciół. Ale teraz, występując powtórnie w roli oskarżyciela, zupełnie był innym. Teraz wołał krwi wielkim głosem prawdziwego, wrzącego pragnienia i rzucił się na Austryaczkę z zjadłością, właściwą tchórzowi, któremu dano wolność lżenia tego, czego się lękał, czego zazdrościł. Wykazaliśmy już bezczelną kłamliwość, z jaką w *Pamiętnikach* usiłuje zrzucić ciężar swej winy na niewinnych.

Tego dnia, gdy upadła królową nawpół żywą wleczono na śmierć, (16 paźdz.) Barère podejmował Robespierrea i kilku innych Jakobińców w tawernie; że Robespierre przyjął zaproszenie, zdziwiło to niepomierzenie tych, którzy wiedzieli, jak długo i zawzięcie umiał on nienawidzić. „Robespierre tutaj!“ mruknął Saint-Just. „Barèrowi więc tylko jednemu potrafił przebaczyć“. Posiadamy opowiadanie o tej szczegó-

⁽¹⁾ Dnia 28 lipca 1793 (por. wyżej). Akt oskarżenia przeciwko Żyryndystom na powództwo St. Justa wydała Konwencya dopiero 3-go października.

⁽²⁾ Aż do procesu Żyryndystów (paźdz. 1793) trybunał ten nazywał się „Nadzwyczajnym“.

nej uczie, przez jednego z gości. Robespierre potępiał bezmyślne brutalstwo, z jakim Hébert prowadził sprawę Austryaczki, i mówiąc o tem, tak się zapalił i tak gestykulował, że rozbił talerz. Barère zawołał, że gilotyna rozcięła węzeł dyplomatyczny, który trudno było rozwiązać. W przerwach pomiędzy burgundem a szampanem, między potrawką z kwiczołów a kuropatką z trufkami, ogniście wygłaszał wyznanie nowej swej wiary politycznej. „Nowa rzeczpospolita, prawil, zawinać może do portu tylko na falach krwi. Powinniśmy rozpocząć od członków Zgromadzenia Narodowego i Zgromadzenia Prawodawczego; trzeba pozbyć się tego śmiecia“.

Barère przemawiał w Konwencyi tak samo, jak za stołem; właściwy mu styl krasomówczy ustalał się teraz. Nie był on zresztą zgoła pozbawiony dowcipu i żywości; ale w innych czasach i krajach wydałby się niestosownym do obrad poważnego zgromadzenia, a tembardziej do pism dyplomatycznych. Miałby może powodzenie na mityngu jakiego protestanckiego stowarzyszenia w Exeter-Hall, na jakim irlandzkim obiedzie Repealistów, po rzęsiwych libacyach, albo w amerykańskiej mówce w dzień Czwartego Lipca. Ale dzisiaj żadna Izba sejmowa nie zniosłaby nie podobnego. We Francyi jednakże za panowania Konwencyi, dawne prawidła oratorskie w takiej miano poniewierce, jak dawny rząd, lub dawna wiara. Poprawne i szlachetne wysłowienie, wraz z wersalską etykietą i uroczystościami w Notre-Dame, należało już do przeszłości. Jak na gruzach starożytnej monarchii wylął się cały rój przelotnych konstytucyj demokratycznych, dyrektoryalnych, konsularnych; jak na zwaliskach starożytnego kościoła wybujały chwasty nowych przesądów, cześć bogini rozumu, wybryki teofilantropów: tak samo na ruinach starej francuzkiej wymowy zagnieżdżyła się nowa moda krasomówstwa, dla zrozumienia której potrzeba było nowych grammatyk i słowników. Ten sam popęd do nowości, który zmienił zwykłe frazesy przy przywitaniu, który setki Janów i Piotrów obrócił w Seewolów i Arystogitonów, który wygnał Niedzielę i Poniedziałek, Styceń i Luty, Zwiastowanie i Boże Narodzenie z kalendarza, zamieniając je nazwami Décadi i Primidi, Nivôse i Pluviôse, świętami Opinii i Najwyższej Istoty, — ten sam popęd przekształcił wszystkie formy urzędowej korespondencyi. Zamiast spokojnego, powściągliwego i ściśle grzecznego wysłowienia, do którego rządy oddawna przywykły, wprowadzono dwuznaczniki, wykrzykniki, ossyaniczne deklamacye i retorykę godną, conajwyżej, studenta, zrubasnością — godną przekupki. Barère górował nad wszystkimi współczesnemi frazeologią, którą wówczas uważano za najstosowniejszą do raportów i manifestów, i uchodził za wielkiego mówcę podczas krótkiego acz gwałtownego napadu obłąkania rewolucyjnego. Gdy szalł przeminał, uważano go za to, czem był w istocie: za człowieka bystrego pojęcia i płynnej wymowy, ale nie posiadającego ani oryginalności, ani głębszej nauki, a ma-

jącego smak równie zły jak serce. Raporta, które pisał, lud nazywał „*karmaniolami*“. Kilka miesięcy temu ⁽¹⁾ byłbym w niejakim kłopotcie, chcąc dać angielskiemu czytelnikowi dokładne wyobrażenie o dokumentach ohrzeżonych tem przezwiskiem. Na szczęście, pewna wysoce urodzona i znakomita osoba, której ministrowie J. K. Mości uznali za stosowne powierzyć najważniejsze stanowisko w państwie, ułatwiła nam zadanie. Ktokolwiek czytał odezwy lorda Ellenborough'a, ⁽²⁾ może mieć doskonałe pojęcie o karmaniolu.

Nie samemu tylko zepsuciu smaku narodowego przypisywać należy wrażenie, jakie naówczas wywierały mowy Barère. Okoliczności, w których głos zabierał, takiej nieraz były natury, że najgorszemu deklamatorowi zdołałyby zapewnić przychylnie posłuchanie. Skoro tylko odnoszono jaką przewagę wojenną, Komitet Ocalenia Publicznego zaraz jemu polecał oznajmienie dobrej nowiny. Izba grzmiała od oklasków, gdy wstępował na mównicę z depeszami w ręku. Deputowani i cudzoziemcy przysłuchiwali się z rozkoszą jak wygłaszał: że zwycięztwo było na porządku dziennym; że gwineje Pitta daremnie się sypały na wynajmowanie sześć stóp wysokich machin do transportowania armat; że ucieczka lamparta angielskiego godną jest opiewać Tyrteusza i że saletrę wydobytą z podziemi Paryża obrócono na gromy, które mają zdruzgotać braci-tytanów: Jerzego i Franciszka.

Tymczasem, nadszedł dzień rozsądzenia sprawy oskarżonych Żyrodystów, więzionych w Paryżu. Łudzili się oni byli próżną nadzieją ucieczki; liczyli coś na swą niewinność, a trochę na swoją wymowę. Zdawało się im, że sam wstyd powstrzyma najzawziętszych i najokrutniejszych nawet ludzi od jawnego dopuszczenia się krzyżującej niegodziwości w skazaniu ich na śmierć. Trybunał rewolucyjny tykoko działać był zaczął; żadnego jeszcze członka Konwencji nie ukarano gardłem;

⁽¹⁾ Przypominamy, że szkic ten wyszedł w Kwietniu 1844 r.

⁽²⁾ Prawdopodobnie Macaulay chce tu wytknąć, między innemi, proklamację lorda Ellenborough do Hindostańczyków winszującą im odzyskania bram świątyni na Somnath, a wydaną w czasie kiedy szkic niniejszy ogłoszonym został. Proklamacja ta była tak dziwną, że ściągnęła na siebie naganę w parlamencie. Od roku 1841 do 1844 był Ellenborough gubernatorem Indji wschodnich, za rządów Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, której nie podobala się jego wojowniczość. Znacomity znawca stosunków indyjskich, należał do kilku gabinetów angielskich. W gabinecie Peela przez dwa lata blisko był pierwszym lordem admiralicyi. Ostatnio zajmował urząd przewodniczącego w urzędzie kontroli. Podniesiony do godności hrabiowskiej wszedł do Izby Parów i zasiadał w niej aż do śmierci (w r. 1871). Ellenborough odznaczał się szlachetnym sposobem myślenia, i ujawniał go we wnioskach swoich, mocjach i interpellacjach. Najważniejsze jego wystąpienia są w polityce indyjskiej i w zagranicznej. W roku 1864 gorąco przemawiał za wspomoczeniem Danii. Urodził się jeszcze w XVIII wieku (1790 r.)

zdawało się więc, że najśmielszy Jakobin wzdrygnie się na myśl, iż byłby pierwszym w pogwałceniu świętości, jaką otaczano godność przedstawiciela ludu.

Proces trwał kilka dni ⁽¹⁾. Gensonné i Brissot bronili się bardzo zrecznie i z wielką przytomnością przeciw nizezmemu Hébertowi i Chaumette'owi, stawającym w charakterze oskarżycieli. Poraz ostatni dał się słyszeć wymowny głos Vergniauda. Przemawiał on za sobą i przyjaciółmi z taką potęgą rozumu i taką wzniosłością uczucia, żesmer miłosierdzia i uwielbienia napełnił Izbę. Sami nawet sędziowie, nieprzyzwyczajeni jeszcze do codziennego napawania się rzezią, okazywali wzruszenie. Posiedzenie odłożono; rozbiegła się pogłoska, że nastąpi uniewinnienie. Jakobini zgromadzili się w klubie dysząc zemstą. Robespierre wziął na siebie wyrażenie ich uczuć. Nazajutrz (30 paźdz.) zabrał głos w Konwencji i zaproponował tak straszliwy środek, że równego mu nie było w dekretach owego roku. Upoważniał on trybunał do przerwania obrony więźniów, do ogłoszenia, że sprawa jest oczywistą i do natychmiastowego odbycia sądu. Jeden tylko deputowany zlekka temu się sprzeciwił. Barère poskoczył wnet poprzeć Robespierrea, — Barère, federalista; Barère, twórca owej Komisji Dwunastu, która głównie się przyczyniła do nienawiści Paryża ku Żyrodystom; Barère, co w *Pamiętnikach* wypiera się wszelkiego współdziałania przeciw Żyrodystom; Barère, co beczelnie głosi, że bardzo kochał i szanował Vergniauda. Wyrok przyjęto, a trybunał niepozwalając więźniom na dokonanie obron, uznał ich winnymi.

Dzień następny ⁽²⁾ był najposępniejszym w posępnych dziejach rewolucyi. Ofiary tak były niewinne, tak odważne, tak wymowne, tak wykształcone, a tak młode! Niektórzy ze skazanych ślicznymi, pięknymi byli młodzieńcami w dwudziestu sześciu lub siedmiu latach życia; Vergniaud i Gensonné mieli niewiele więcej nad trzydzieści. Od kilku miesięcy dopiero zajmowali się sprawami publicznymi i już

⁽¹⁾ Przed Trybunałem Rewolucyjnym od 24 do 30 Października 1793 r. Oskarżycielami urzędowymi byli prócz Héberta i Chaumette'a jeszcze Pache, Chabot i Fabre d'Églantine. Chaumette niegdyś ksiądz, był stale prokuratorem Gminy Paryżkiej; on-to wydał obmierzłą ową *Instrukcję o podejrzanym*, która sama jedna wystarczyć by mogła do pohafbienia ludzkości w owych straszliwych czasach. Oskarżycielem stałym przy Trybunale Rewolucyjnym był Fouquier-Tinville, tajny policyant, ten sam który będąc prokuratorem chciał gilotyę ustawić nawet w sali Konwencji. Wyrok na 21 Żyrodystów zapadł w nocy 30 października. Wykonano go tylko na 20 skazanych, Valazé bowiem wraził sobie sztylet w piersi zaraz po wysłuchaniu wyroku. Już po wyroku Vergniaud miał jeszcze jedną, wspaniałą mowę do braci swoich z ducha i cierpień. Lamartine i Thiers, zwłaszcza pierwszy, pięknie malują ostatnie chwile Żyrodystów.

⁽²⁾ Dzień 31 października 1793 r. W tym dniu stracono na placu Grève 20 Żyrodystów skazanych wyrokiem Trybunału Rewolucyjnego.

w ciągu tak krótkiego czasu rozgłos ich zdolności napełnił Europę; szli na śmierć za tę tylko zbrodnię, że pragnęli wolność połączyć z porządkiem, sprawiedliwością i miłosierdziem. Główną ich winą był brak odwagi, ma się rozumieć, odwagi politycznej, takiej, co stawiało krzykom i potwarzom, takiej, co w nagłej potrzebie chwyci się śmiałych i stanowczych środków. Niestety! zbyt dobra nadarzyła się im sposobność pokazania, że nie zbywało im na mężstwie do zniesienia z niezlomną pogodą mąk zadawanych przez takich tyranów jak Saint-Just i słuzalców takich jak Barère!

Nie sami jedni padli oni w ofierze dla tej szlachetnej sprawy. Pani Roland poszła za nimi na rusztowanie z równem im bohaterstwem; mąż jej ukrywał się w bezpiecznym miejscu, ale nie potrafił przeżyć małżonki; ciało jego znaleziono na drodze bitej pod Rouen: przebił się własną szpadą. Condorcet zażył opium. W Bordeaux gilotyna przecięła dni śmiałego i dowcipnego Guadeta, oraz Barbaroux'a, przywódcy owych zapaleńców z nad Rodanu, których śmiałość, w wielkich zapasach Dziesiątego Sierpnia zwróciła była prąd walki od Luwru na Tiulerje. Na polu niedaleko Garonny znaleziono niedojedzone przez wilki ciało Pétiona, sławionego niegdyś, zresztą nad zasługi, jako wzór cnoty republikańskiej. Dalecy jesteśmy od patrzenia na najlepszych Zyrondystów z nieograniczonym uwielbieniem, ale historia musi oddać im to zaszczytne świadectwo, iż mając do wyboru: stanie się ciemniejszymi lub ofiarami, — śmiało i rozmyślnie woleli znieść sami męki, niż innym je zadawać.

A teraz rozpoczął się ów okres, znany pod nazwą: panowania terroryzmu. Jakobini przemogli; nadeszła ich godzina, a z nią potęgą ciemności. Oto już i Konwencja ujarzmiona i zmuszona do głębokiego milczenia w najwyższych sprawach krajowych. Władza przeniosła się do Komitetu Ocalenia Publicznego ⁽¹⁾. Rozkazom tego komitetu zgromadzenie narodowe nie śmiało stawiać ani takiego nawet cienia oporu, jaki dawniejszy parlament często stawiał nakazom ówczesnych królów. Sześciu ludzi trzymało wszechwładzę w tym małym gabinecie, który teraz panował nad Francją: Robespierre, St.-Just, Couthon, Collot, Billaud i Barère.

Należy oddać słusność niektórym z nich, oraz ich poplecnikom, że fanatyzm, co ich wyrwał z karbów sprawiedliwości i miłosierdzia, uwolnił ich również i od ulegania gminnej chciwości i bojaźni; że zaledwo wiedząc z kąd dostać kilkofrankowy papierek na opłacenie obiadu, z najwyższą rzetelnością rozporządzali ogromnymi summami skarbu, nagromadzanymi wszelkiego rodzaju grabieżą; że wreszcie, za swoją

⁽¹⁾ Niewłaściwie, zdaniem naszym, komitet ten (*C. de salut public*) nazywany bywa komitetem bezpieczeństwa. Nazwa ta przysługiwaćby raczej winna innemu komitetowi współistniającemu z nim (*C. de sûreté publique*). Oba ustanowione w kwietniu 1793 roku.

sprawę gotowi byli iść na rusztowanie z równą obojętnością, z jaką podpisywali wyroki śmierci na arystokratów i księży. Wszelakoż z takich, jak te, zasobów nie można stworzyć wielkiego stronnictwa; istnieje bowiem niechybne prawo, mocą którego tacy, jak wyżej opisani, zagorzalczy mogą zgromadzać około siebie jedynie tłumy niewolników, tchórzów i rozpustników, których dzikie popędy i rozkiełzane żądze, hamowane są tylko obawą praw i zwierzechności od popadnięcia w najgorsze bezprawia i którzy też puszczają się na wszystko, skoro tylko nastanie dzień bezkarności. Fakeya wyłamująca się dla jakiegokolwiek pobudek zpod wielkich praw moralności musi niezbędnie przyciągnąć do siebie najgorszą część społeczeństwa. Dowiodły tego niejednokrotnie wojny religijne. Wyprawy krzyżowe, walka z Albigenami, z Hugonotami, wojna trzydziestoletnia: wszystkie wynikły z pobożnej gorliwości. Zapal ten do tego stopnia rozgrzewał zapasników kościoła, iż wszelką wspaniałość myślności względem zwyciężonych poczytywali oni za grzeszną słabość. Niewiernego, kacerza, należało ścigać jak psa wściekłego. Zaden gwałt dokonany przez katolickiego wojownika na niewiernym wrogu nie ulegał karze. Niedziw przeto, że jak tylko się pokazało, iż puszczaono wodze barbarzyństwu i bezprawiom, tysiące nędzników, których nie święta sprawa nie obchodziła, ale którym chciało się wyłamać z pod dozoru praw miejskich lub karności obozowej, zbiegały się pod chorągiew wiary. Ludzie zatykający ten sztandar byli szczerzy, czysti, niechciwi, a może, gdy o nich samych chodziło, nawet i litościwi; lecz dokoła tego sztandaru zgromadzała się taka hałastra łotrów, rabusiów, i drapieżnych zbójców, jakiej nigdy podobno nie bywało nawet pod chorągwią jakiegokolwiek państwa wojującego za sprawę doczesną. Zupełnie tak samo złożyło się stronnictwo jakobińskie: był tam mały związek, złożony z zapaleńców; ale około niego zebrała się masa bezecnej szkarady; a w całej tej massie nikogo nie było tak bezecnego i szkaradnego, jak Barère.

Nadeszła tedy pora, gdy najokrutniejszy z trybunałów wykonywał najokrutniejszy z kodeksów; gdy nikt nie śmiał pozdrowić sąsiada, odmówić pacierzy, nawet uczesać się bez narażenia się na karę śmierci; gdy szpiegowie zaczajali się po wszystkich kątach; gdy gilotyna każdego rana długo i ciężko była w robocie; gdy więzienia tak były przepełnione jak dno okrętu wiozącego murzynów; gdy ścieki sączyły krew do Sekwany; kiedy być wnuczką kapitana gwardii królewskiej, albo przyrodnim bratem doktora z Sorbony, wyrazić wątpliwość, czy nie spadną assygnaty, napomknąć, że Anglicy bodaj zwyciężyli w potyczce z dnia 1 czerwca, posiadać w pulpicie odpis jednego z pamfletów Burkego śmiać się z Jakobina, że się przezywał Kassysuszem albo Tymoleonem, albo nadawać piątemu dniowi Sankiulotydów dawne jego zabobonne miano dnia S. Mateusza — znaczyło: narażać się na śmierć. Podczas gdy wozy naładowane ofiarami codzień przeciągały przez ulice Paryża, zdążając ku miejscu egzekucyi, prokonsulowie rozesłani przez

wszechwładny Komitet po departamentach, srożyli się z niesłychanem okrucieństwem, jakiego nawet w stolicy nie widziano. Topór machiny śmierci wznosił się i spadał zbyt wolno dla ich żądzy morderczej: poczęli więc kartaczami zwać całe szeregi więźniów i przedziurawiać dna statków napełnionych ofiarami. Lugdun obrócili w pustynię; w Arras odmawiali uwiezionym nawet okrutnego miłosierdzia szybkiej śmierci. Na całej długości Ligeru, od Saumur do morza, ogromne stada kruków i jastrzębi sprawiały sobie ucztę z ciał nagich, splecionych ohydny miłosciami. Nie okazywano żadnego miłosierdzia. Na seciny liczyć można dziewczęta i młodzieńców siedemnastoletnich, pomordowanych przez ten rząd obmierzły. Dzieci odrywano od piersi i przerzucano z piki na pikę wśród szeregów jakobińskich. Pewien zapaśnik wolności napakował kieszeń uszami; inny znowu paradował z palcem dziecięcia zatkniętym na kapeluszu. Dość było kilku tych miesięcy na zepchnięcie Francji do poziomu Nowej Zelandji.

Niedorzecznością jest twierdzić, że jakiegokolwiek niebezpieczeństwo publiczne usprawiedliwić może podobny system, niemówiąc już wobec zasad wyższej moralności, ale nawet wobec prawideł machiawelskiej polityki. Prawda, że wielkie przewroty powołują do działania i czujności, że uniewinniają surowość, któraby w czasach zwyczajnych zasługiwała na miano okrucieństwa. Ale bezwzględna surowość nigdy, w żadnych okolicznościach, nie może być pożyteczna. Rzecz jasna bowiem, że cała skuteczność kary zawisła od staranności z jaką rozróżnianym jest stopień winy. Prześladowanie dosięgające winnego i niewinnego bez różnicy, działa jedynie tak jak zaraza albo klęska naturalna, i niewiele więcej zdoła przestępstwom zapobiedz nad cholera albo trzęsienie ziemi podobne lizbońskiemu. Energia, którą w administracji jakobińskiej wychwalają, nieчем się nie różni od energii Malajczyka, co odurzony opium, chwytając za nóż i leci jak szalony przez ulicę, rażąc na prawo i na lewo przyjaciół i nieprzyjaciół. Nietaką była energia, na przykład, Elżbiety angielskiej, Cromwella, Fryderyka Wielkiego. Nie byli oni wprawdzie skrupulatnymi; lecz gdyby nawet mniej w środkach przebiegali, to sama potęga i rozległość umysłu powstrzymywałyby ich od dopuszczania się takich zbrodni, jakie małeńcy ludzie z Komitetu Ocalenia Publicznego mieli za wyskok mądrości politycznej. Ta wielka królowa, co tak długo stawiała czoło domowym i obcym wrogom, doczesnemu i duchownemu orężowi; ów wielki lord-protektor, co rządził z większą od królewskiej władzą na przekór royalistom i republikanom; ten wielki król, co z pobitem wojskiem i skarbem wyczerpanym bronił do ostateczności swego drobnego państewka przeciw zjednoczonym wysiłkom Rosyi, Austrii i Francji, — z jakążby wzgardą przyjęli twierdzenie, iż nie zdołaliby utrzymać zbawiennej grozy w malkontentach, gdyby nie wyprawiali na śmierć studentów i pensjonarek — całemi wozami i statkami!

Powszechnem, zdaje się, jest mniemanie, że przywódcy terrorystów byli niegodziwymi, ale zarazem wielkimi ludźmi. My nie w nich wielkiego nie widzimy, prócz chyba wielkiej ich niegodziwości. Błędem także jest pospolite zdanie, jakoby polityka ich była śmiała i oryginalna. Ich polityka tak jest stara, jak najstarsze podania o bezrządach ludzkich. We Francji, i to w osmnastym wieku wydawała się ona nową dlatego tylko, iż oświecenijsza część ludności oddawna była ją zarzucała, z powodów bardzo chwalebnych; lecz polityka ta przemagała, i dziś jeszcze przemaga, u dzikich i napół dzikich ludów, stanowiąc tam główną przeszkodę do wyższego uobczyżnienia. Tysiące deków, bejów, baszów, radzów, nababów — okazywali się takimi samymi mistrzami w sztuce rządzenia. Dżezzar, ⁽¹⁾ zdaje się nam, przewyższył ich wszystkich razem wziętych. Wistocie, pierwszy lepszy tyran azjatycki lub afrykański, jakkolwiek ciemny i głupi, podołałby i polityce i skarbowości jakobińskiej. Seinać głowy tuzinami, nie pytając się o winnych i niewinnych; wydierać pieniądze bogatym za pomocą zbirów i egzekucji; obdzierać wierzycieli skarbu i karać śmiercią, gdyby się temu sprzeciwiali; zabierać gwałtem chleb z piekarni; odziewać i uzbrajać wojsko, chwytając od jednego sukno i płótno, a od drugiego konie i siodła, i nie nie płacąc, — najprostszy to i najłatwiejszy ze wszystkich sposobów rządzenia. O moralności jego nateraz nie mówimy. Ale to pewna, że zdolności nie wymaga on większych od zdolności barbarzyńcy albo dziecka. Środkami, któreśmy opisali, Komitet Ocalenia Publicznego niezawodnie potrafił na czas jakiś wymócić zupełną uległość i nagromadzić mnóstwo pieniędzy. Ale wymuszać posłuszeństwo rzezią i napełniać skarb łupieżą, nie jestto jeszcze rządzić. Ten jest prawdziwym politykiem, kto w czasach rozruchów umie powściągać burzliwych bez niepotrzebnego drażnienia dobrze myślących, i kto w razie potrzeby znaczniejszych środków pieniężnych zaspakaja ją bez gwałcenia własności i wysuszania źródeł pomyślności przyszłej. Jesteśmy przekonani że taki statysta utrzymałby niepodległość Francji w roku 1793 bez przelania kropli krwi niewinnej bez ograbienia jednego choćby magazynu. Lecz, naniesszcześnie, rzeczpospolita ulegała władzy ludzi którzy byli czystymi domagogami, a w żadnym razie politykami. Umieeli oni deklamować po klubach; zdolni byli prowadzić motłoch na bezprawia, ale ani pojęcia nie mieli o kierowaniu sprawami państwa. Brak tej umiejętności zastępowali jakiś czas okrucieństwem i ślepymi gwałtami. Zamiast zdolności prawodawczych, finansowych,

(1) Dżezzar, wielkorządca turecki w Accie w końcu XVIII wieku. W warowniach Akki stawiał czoło Bonapartemu, za wyprawy do Egiptu, podczas pochodu Syryjskiego w r. 1799. Dżezzar był wielkim niegodziwcem i okrutnikiem: zjadł też otrzymał w języku arabskim nazwę, pod jaką znany jest w historii.

wojskowych, dyplomatycznych, jedną rzecz tylko dali od siebie Francyi — gilotynę. Wistocie, niesłychana ich ciemnota i jałowość pomysłów najlepszą jest wymówką dla ich morderstw i rabunków. Mocno wierzymy, że nie ścięliby tyle głów i nie opróżnili tylu kieszeni, gdyby umieli byli rządzić inaczej.

Prawda, że za ich rządów wojna z koalicją europejską szła pomyślnie; ale tak samo szła i przed ich wyniesieniem się i po ich upadku. Terrorizm nie był jeszcze na porządku dziennym, gdy Bruksella otworzyła swe bramy Dumourietu, a zszedł już z porządku dziennego, kiedy Piemont i Lombardia uległy Bonapartemu. Niema wątpliwości, że Francję ocalił nie Komitet Ocalenia Publicznego, ale patryotyzm, energia i meztwo narodu francuzkiego; te-to wysokie zalety odniosły zwycięstwo pomimo niezdolności rządzących, których polityka była szeregiem nietylko zbrodni ale i błędów.

Nie mamy czasu na opowiedzenie jak przywódcy tej dzikiej fakcji zaczęli nareszcie obrażonej ludzkości dawać odwet na samych sobie; jak nikczemnego Héberta, płaczącego i drżącego, wleczono na śmierć; jak szlachetniejszy nieco Danton, zbyt późną skruchą przejęty, nadaremnie silił się naprawić złe, które zrządził, i jak nawpół okupił wielką zbrodnię wrześnieją, mężnie stawiając czoło śmierci za sprawę miłosierdzia (*).

Lecz wracajmy do Barèra. We wszystkich tych sprawach okazywał on nie tylko przyzwolenie, ale gorące i radosne poparcie. Nie tylko należał do bezecnego rządu, lecz zdawało się, że przyjął na siebie wyłączny obowiązek wnoszenia i bronięcia rzeczy pogwałcających ludzkość i sprawiedliwość, okraszając ohydne rozporządzenia odpowiednią zaprawą szpetnej fanfaronady. On pierwszy ogłosił z mównicy Konwencji, że terrorizm musi być na porządku dziennym. On przysłużył się trybunałowi rewolucyjnemu w Paryżu dodaniem oskarżyciela publicznego, godnego takiego sądu, niecnego Fouquier-Tinville'a. On-to nakazał zwołać nowy sąd, kiedy ów trybunał uniewinnił jednego z dawnych posłów. „Uwolnili członka Zgromadzenia Narodowego! zawołał; ho, trybunał zwraca się przeciw rewolucyi.“ Nie potrzebuje my dodawać, że głowa więźnia spadła zaraz do kosza. Niektó inni

(*) Pod tą „sprawą miłosierdzia“ rozumiećby wypadało wogóle niechęć Dantona do mordów zorganizowanych, systematycznych, odmawianie uczestnictwa w K. Oc. i usunięcie się od ludzi najkrwawszych na początku 1794 r. W żadnej szczególnej sprawie miłosierdzia Danton nie wystąpił, chybaśmy wzięli w rachubę współzucie dla Héralta de Sehelles, twórcy konstytucyi z sierpnia 1793 r. uwięzionego razem z Hebertystami a złączonego z Dantonem węzłami życzliwości, o ile ludzie owi mogli coś kochać. Danton zginął na gilotynie d. 5 kwietnia 1794 r. Proces jego trwał 5 dni. Oskarżył go przyjaciel Robespierre, potępił St. Just. Głowa Dantona spadła w jednej godzinie z głowy Héralta i Desmoulins'a.

tylko Barère postawił wniosek o zburzenie Lugdunu. „Niechaj pług zorze to miasto! krzyczał z mównicy. Niech imię jego przestanie istnieć! Buntownicy pobie, ale czyż wszyscy wytepieni? Żadnej słabości! Żadnego miłosierdzia! Ugodźmy wszystkich. Dosyć dwóch słów na to: Lugdun walczył z wolnością, —niema Lugdunu.“ Po wzięciu Tulonu, Barère wystąpił z oznajmieniem tego wypadku. „Zwycięstwo, mówił przeniewierca Bryssotystów, odniesione przez Górę nad Bryssotystami, musimy upamiętnić pomnikiem na tem miejscu, gdzie stał dawniej Tulon. Grom narodowy niech zdruzgotuje domy wszystkich handlarzy tego grodu“. Kiedy Kamil Desmoulins, który się oddawna odznaczył pomiędzy republikanami zapałem i zdolnością, odważył się wznieść wymowny swój głos przeciwko panowaniu terrorizmu i wykazać ścisłe podobieństwo rządu, który przygniatał Francję podówczas, z rządami najgorszych cesarzów rzymskich, Barère począł wygłaszać skargi, na tę pełną słabości litość, dążącą do wzniecenia nadziei w arystokraty. „Ja wam powiadam, prawili, każdy szlachcic —podejrzany, każdy ksiądz dworak, prawnik —podejrzany; bankier —podejrzany; ktokolwiek się uskarża na wszystko, co robi rewolucya, — podejrzany. Są kasty z góry potępione; są zawody same przez się potępione; są pokrewieństwa podejrzane przez prawo. Republikanie francuzcy! — wołał zaprzaniec Żyrodystów, dawniejszy wróg Góry —Bryssotyści prowadzą was pocichu do niewoli; Góra ciągnie was potężnie do wolności. Ach, ileż złego przyczynić może litość fałszywa!“ Gdy przyjaciele Dantona zdobyli się na odwagę prosząc Konwencję, aby przynajmniej wysłuchała jego własnej obrony przed wyprawieniem go na śmierć niechybną, Barère najgłośniejszy sprzeciwiał się tej prośbie. Kiedy zbrodnie Lebona, jednego z najgorszych, jeśli nie najgorszego z wicesgerentów Komitetu Ocalenia Publicznego, do takiej rozpacz doprowadziły ludność departamentu Du Nord, że chwyciła się ostatecznego środka i zawezwała opieki Konwencji, Barère bronił sprawy oskarżonego ciemnie i groził prosiącym najwyższą zemstą rządu. „Skargi te, powiadał, podszeptli chytro arystokracy. Człowiek, co gnębi wrogów ludu, chociażby ze zbytęzną gorliwością i przesadzonym patryotyzmem, nie powinien być obwinianym przed wami. Postępki Lebona były może trochę zaszczerne w formach.“ Otóż, jedno z tych małych zbrodni tak delikatnie strofowanych, było następne: Lebon trzymał pewnego biedaka cały kwadrans pod nożem gilotyny, aby go udręczyć przed śmiercią czytaniem listu, o którego treści przypuszczał, że powiekszy mugorycz samej nawet śmierci. „Lecz cóż może być wzbronionem, ciągnął Barère, nienawiści republikańskiej ku arystokracji? Iluż szlachetnymi uczuciami wynagradza się pewna owa cierpkość w prześladowaniu wrogów ludu! O rewolucyi wolno mówić tylko z szacunkiem, a o jej rządzie ze względnością. Wolność jest dziewicą, której zasłonę podnosić — jest występkiem.“

Po tem wszystkim nie mamy potrzeby rozwodzić się nad czyną-

mi, które same przez się wystarczyłyby na okrycie każdego imienia sromotą, a które nie prawie nie dodają do hańby imienia Barèra. Po cóż, na przykład, opowiadać: że on, literat, członek Akademii Napisów, stawał w pierwszym szeregu tej wojny wypowiedzianej naukom, sztuce i dziejom, która splamiła rządy jakobińskie; że zalecał spalanie wszystkich księgozbiorów; że domagał się zburzenia wszystkich pamiątek z wypadków zaszłych przed rewolucją; że spustoszył opactwo świętego Dionizego, obalił pomniki uświęcone czią stuleci i rozsypał na wiatr prochy dawnych królów! Rzadko zresztą tak dobrze używał czasu, jak wtedy, gdy zamiast wojować z żyjącymi prześladował nieboszczyków.

Również zbyt dużą byłoby rzeczą rozszerzać się nad zmysłowymi wybrykami Barèra. Nieraz powtarzano, że u niego, jak w całym plemieniu Kaligulów, Neronów i Domicyanów, rozpusta szła w parze z okrucieństwem; że dwa razy na dekadę usuwał się od krwawej roboty do rozkosznych ogrodów Clichy i tam topił troski polityczne w potokach wina i uściskach zalotnic. Pan Hipolit Carnot niezupełnie zaprzecza prawdziwości tych opowiadań, dodając słusznie, że rozrywki nigdy nie przeszkadzały pracowitości Barèra. Wielka to prawda, gdyż Barère nigdy się tak dalece nie oddawał rozwiązłości, aby zaniedbywać mordowania; chełpił się tem nawet, że w chwilach zabawy przysparzał roboty trybunałowi rewolucyjnemu. Tym, którzy wyrażali obawę, iż praca szkodzić mu może na zdrowiu, odpowiadał wesoło, że mniej jest zatrudnionym niż sądzą. „Gilotyna wszystko robi, powtarzał, gilotyna rządzi.“ Co do nas, skłonni jesteśmy patrzeć daleko pobłaźliwiej na uciechy, których sobie pozwalał, niż na krzywdy, które wyrządzał bliżnim.

Atque utinam his potius nugas tota illa dedisset

Tempora saevitiae, claras quibus abstulit urbi

Illustresque animas, impune ac vindice nullo. ⁽¹⁾

Nieumiarkowany popęd do rozkoszy zmysłowych szpeci niewątpliwie sławę Henryka IV-tego, lorda Somersa i Foxa: ale przywary ucziwłych ludzi są enotami u Barèra.

Teraz stał się już on prawdziwym okrutnikiem. Pierwsze zbrodnie popełnił z czystego techniczności. Lecz całe dzieje rodu naszego świadczą, że dusze z natury nieokrutne, zbyt łatwo nabywają upodobania w dręczeniu bliźnich, i upodobanie to raz nabyte, gwałtowniejszem się staje od innych, wrodzonych, skłonności. Dość było kilku miesięcy, aby człowiek ten doszedł do takiego stanu serca, że widok rozpaczki, jęków i śmiereci wywierał na nim rozweselające wrażenie i dawał mu natchnienia, jak go dodają ludziom swobodnego i wesołego usposobienia: wino i miłość. Turkot wozu obciążonego codziennym ładun-

kiem ofiar—starców, młodzieńców i pięknych dziewic; skępowane ręce; twarz wysuwająca się przez lufek gilotyny narodowej; łoskot topora; kałuża krwi za rusztowaniem; głowy staczające się tuzinami do kosza: wszystko to tem było dla niego, czem Lalage ⁽¹⁾ i dzban wina falerneńskiego dla Horacyusza, czem jest Rozetta i butelka zamrożonego szampana dla Bérangera. Skoro tylko zaczynał mówić o rzezi, zaraz mu serce rosło, a umysł płodził mnóstwo konceptów i gaskonad. Robespierre, St. Just i Billaud, których barbarzyństwo wynikało z ponurej i zaciętej nienawiści, byli w oczach jego ludźmi biorącymi przyjemność za trudy. Okrucieństwo nie tak mu się posępną sprawą wydawało, aby je brać do serca, chmurzyć sobie czoło i przybierać ton płacziwy: była to sobie rozrywka umiłona śpiewką i śmieszkami. Doprawdy, możnaby przyrównać Robespierrea i Barèra do dwu sławnych katów Ludwika XI-go: obaj jednakowo byli bezlitości, jednakowo krwi łakomi; ale ścinając głowy, jeden marszczył się i mruczał, drugi wyszczerzał zęby i żartował. Co do nas, wolimy Płaksę niż Wesołowskiego.

Pośród grobowego smutku, który ciążył nad Paryżem, wesołość, dziwniejsza i straszniejsza od okropności więzienia i rusztowania, napełniała mieszkanie Barèra. Corano zgromadzała się tam rzesza suplikantów, błagając jego protekcyi. Barère ukazywał się w bogatym szlafroku, obchodził do koła przedpokój, rozdawał uśmiechy i obietnice pokornej gawiedzi, zwracając się ze szczególną uprzejmością do każdej ładnej kobiety stojącej w kole, prawiąc komplementa w kwiecistym gaskońskim stylu o jej kwitnących polieczkach i błyszczących oczkach. Nasyćwszy się przestracaniem i niepokojem proszących, odprowadzał ich i nie czytając rzucił w ogień wszystkie ich podania. Uważał to za najlepszy sposób zapobiegania gromadzeniu się spraw zaległych. Ale i w tem był tylko naśladowcą: kardynał Dubois zwykł był tak samo oczyszczać swój stół do pisania. Nie pierwsze i nie ostatnie to było zresztą podobieństwo pomiędzy najgorszym mężem stanu monarchii i takimże mężem stanu rzeczypospolitej.

Jeden z przysięgłych trybunału rewolucyjnego, poufały kolega Barèra, opowiada anegdotę, z której powziąć można wyobrażenie o osobliwszego rodzaju konceptach tego ostatniego. Jakaś zalotnica, grająca wydatną rolę w orgiach w Clichy, upraszała Barèra, aby użył swej władzy przeciw pewnemu ubraniu głowy, które nie było jej do twarzy, a które rywalizująca z nią piękność próbowała w modę wprowadzić. Przywołał on wnet jednego z dygnitarzy stolicy i wydał mu stosowne rozkazy. Arystokracya, powiedział Barère, zaczyna znów

⁽¹⁾ *Juvenalis*: Satyra IV, wiersz 150—2.

⁽¹⁾ Nazwisko kobiety u Horacyusza.

głowę podnosić: te nowe peruki tracą kontrarewolucyą; wiadomo z pewnych źródeł, że wyrabiane są z długich pięknych włosów ładnych arystokratek, ściętych na rusztowaniu narodowym; więc każda pani, która się przystraja pamiątkami przestępców, słusznie może być podejrzaną o brak cywizmu. — Śmieszne to kłamstwo zaimponowało władzom Paryża: przestrzeżono uroczyście obywatelki, aby unikały niebezpiecznych kędziorów, oddając im do wyboru zachowanie stroików albo głów. Radość Barèra z powodu udania się tego pociesznego pomysłu była niedoopisania: opowiadając o tem zanosił się od śmiechu tak, iż słuchacze myśleli, że się udusi. Dla jego umysłu — w szczególnem tem zestawieniu błazeństwa z okropnością, fałszywych puklów i żelazek do fryzowania z tryskającymi arteryami i dymiącym się toporem, było coś niezmiernie komicznego i rozweselającego.

Ale chociaż udało się Barèrowi dosłużyć się zaszczytnych przydomków: „*Śmieszka Terroryzmu*“ i „*Anakreona Gilotyny*“, był jednak zakątek, gdzie długo i niepochlebnie pamiętano, że jakiś czas odzywał się głosem ludzkości i umiarkowania. Tym zakątkiem był klub Jakobińców. Chociaż Barère główny przyjął udział w wytopieniu Żyrodystów, w zamordowaniu królowej, w zburzeniu Lugdunu, nie śmiał jednak ukazywać się w tem gronie poświęconych. Na jednym zgromadzeniu tego klubu, któryś z członków użalał się, że w komitecie, którego kierunkowi najwyższe sprawy powierzono, po wszystkich zaszczytach w nim zmianach, zasiadał dotąd człowiek niezasługujący na zaufanie. Robespierre, którego wpływ na Jakobińców był nieograniczonym, wziął na siebie obronę kolegi i, przyznając pewną słusność zarzutom, wychwalał pilność i zdolności Barèra. Wdanie się jego w porę zamknęło usta oskarżycielowi; ale nie prędko jeszcze potem nowochrzczenie odważył się ukazać w klubie.

Nakoniec, arcydzieło niegodziwości, nie mające sobie równego, jak się nam zdaje, nawet w najpotworniejszych czynach Barèra, wyjednało dlań zupełne przebaczenie u tej tak surowej konfraternii. Nieznosna tyrania Komitetu Ocalenia Publicznego doprowadziła w końcu umysły mężczyzn, a nawet kobiet, do tak dzikiego i zuchwałego usposobienia, że poczęli sobie śmierć lekceważyć i radośnie ją witać. Życie, które pierwszego lepszego poranku można było utracić za kilka słów poszepniętych przez prywatnego nieprzyjaciela, widocznie traciło już wartość. Umrzeć, zabiwszy któregoś z ciemiężców, przekazać pozostałym strach taki sam, jakim oni napełniali, — niejednemu uśmiechała się myśl taka. Ludzie, ścigani i udręczani do ostateczności, wpadali w zapamiętałą wściekłość. Fouquier-Tinville obawiał się pokazać na ulicy; ktoś wystrzelił z pistoletu do Collota d'Herbois; młoda dziewczyna, natehniona, jak się zdaje, przykładem Karoliny Corday,

starala się dostać do Robespierrea: powzięto podejrzenie, przetrząśnięto ją, znaleziono przy niej dwa noże; agdy ją badano, mówiła o panowaniu Jakobińców z głęboką pogardą i nietajonym wstrętem; ma się rozumieć, zginęła na gilotynie. Barère oznajmił z mównicy, że źródło tych zamachów było oczywiście: Pitt ze swojemi gwinejami był sprawcą wszystkiego; rząd angielski osnuł cały systemat morderstw: uzbroił rękę Karoliny Corday i obecnie tą samą drogą chciał dosięgnąć dwu najznakomitszych przyjaciół wolności we Francyi. Nie potrzebujemy dodawać, że obwinienia te były nietylko błędnymi, lecz pozbawionymi wszelkich pozorów prawdy; oczywiście, były one nawet niedorzeczne: napastnicy, o których Barère nadmieniał, szli na śmierć niechybną, — dowód niezbity, iż nie byli najęci. Za wszystkie skarby Anglii nikt przy zdrowych zmysłach nie dokonałby tego, co Karolina Corday: postępek jej wtedy się tylko naturalnie wytłómaczy, gdy go przyjmujemy za skutek uniesienia. Tacy nawet pisarze francuzcy, którzy dość naiwnie wierzą, że rząd angielski wymyślił machinę piekielną i przyczynił się do śmierci cesarza Pawła, nie mają pretensyi do Pitta o uczestnictwo w zabójstwie Marata i w zamachu na Robespierrea. A jednak na tak błahych potwarzach jak powyższe, Barère opierał swój wniosek, który cały świat chrześcijański wprowadził w osłupienie: wymagał dekretu nakazującego zabijać bez pardonu wszystkich żołnierzy angielskich i hanowerskich. (1) Karmaniola jego warta była wniosku, który ją zakończył: „Konwencya narodowa nie może ścierpieć, aby oszczędzano Anglików, aby mowa naszych wojsk znała jeszcze słowo: „wspaniałomyślność“ dla niewolników Jerzego i żołdaków-machin Yorka. Walka na śmierć z każdym żołnierzem angielskim! Gdyby przeszłego roku, podczas oblężenia Dunkierki, nie oszczędzano żołnierzy angielskich, których zuchwała hardość nauczyła się wreszcie padać na kolana przed zwyciężkami republikanami; gdyby wojska nasze wytepiły były ich wszystkich zamiast dać im zapowietrzać nasze place swoją

(1) P. Hipolit Carnot wszelkimi siłami stara się usprawiedliwić ten dekret. Obelgi, które na Anglię ciska, śmiech tylko obudzają. Anglia potrafiła dać sobie radę z nieprzyjaciółmi zupełnie innego rodzaju, niż on i jego bohater. Nie możemy wszelako nie wytknąć jednego grubego błędu.

P. Carnot twierdzi, że i w angielskim parlamencie nieboszczyk lord Fitzwilliam podał wniosek taki sam jak wniosek Barèra. Twierdzenie to jest mylne, bo p. Carnot nie potrafił podać ani daty ani brzmienia wniosku, o którym mówi. Nie oskarżamy go o umyślne przeistoczenie rzeczy, ale śmiało obwiniamy o ogromną ignorancję i zuchwalstwo. Dla rozrywki czytelnika podajemy powagę, na której odważa się głosić te bajki: nie przytacza ani dzienników izby lordów, ani rozpraw parlamentu, cytując tylko szumne orędzie Dyrektoryatu wykonawczego do Pięciuset, orędzie, którego znaczenia wcale nie zrozumiał. (Przyp. Aut.).

obecnością, rząd angielski nie ośmieliłby się tego roku znowu granic naszych znieważać. Umarli tylko nie wracają. Zkąd się wzięła ta zaraza moralna, co rozsiała w naszych zastępach błędne pojęcia ludzkości i wspaniałości? Brysotyści-to rozszerzyli ową zasadę filantropijną, że należało oszczędzać Anglików; tak postępował i pełen cywizmu Dumouriez. Niema pardonu dla przeklętych Anglików! Takie jest uczucie każdego Francuza, gdyż wie on, że należy do narodu rewolucyjnego jak przyroda, potężnego jak wolność, a ognistego jak saetra, którą tylko wydarł z wnętrza ziemi. Zapaśnicy wolności! gdy zwycięstwo w ręce wasze poda Anglików, zabijajcie ich! Żaden z nich nie powinien wrócić ani na swobodobójcze ziemie Brytanii, ani w granice wolnej Francji!

Konwencya, zupełnie ogłuszona i przywiedziona do milczenia, przystała na wniosek Barèra—bez rozpraw. Teraz nareszcie rozwarły się drzwi klubu Jakobinów dla ucznia, który przeszedł mistrzów: okrzyknięto go członkiem, a wkrótce wybrano na prezydującego.

Czas jakiś, zdawało się; że dekret jego wejdzie w zupełne wykonanie. Nadeszły wieści z placu wojny o ostrej utarczce oddziałów francuskich z angielskimi, w której republikanie wzięli górę, a jeńców nie dostali; zdarzają się takie przypadki we wszystkich wojnach; ale Barère przypisywał zażartość potyczki swojemu ulubionemu dekreto-wi i poczęstował Konwencję nową karmaniołą. „Republikanie, prawili, spostrzegają zdaleka dywizję w czerwonych mundurach; nacierają bagnietami na nieprzyjaciela. Ani jeden nie umknął z pod ciosów republikanów. Wszystkich czerwonych zabito. Bez miłosierdzia, bez pardonu ścigano tych zbójów. Ani jeden Anglik rażony przez republikanów nie żyje. Jak sądzicie, ile wzięliśmy niewolnika? Tylko jednego przez cały ten dzień pamiętny.“

Odtąd już pragnienie krwi w tym niegodziwcu stawało się nasyconem. Im więcej pił, tem więcej łaknął. Zaczął od Anglików, ale wkrótce namawiał już do rzezi nowego rodzaju. „Wszystkie wojska sprzysiężonych tyranów, mówił, które są zamknięte w warunkach Condé, Valenciennes, Le Quesnoy i Landrecies trzeba w pień wyciąć, jeżeli we dwadzieścia cztery godziny nie poddadzą się na łaskę i niełaskę. Ma się rozumieć, że Anglicy, jak zawsze, wyjęci będą od tej natychmiastowej kapitulacji. Dla Anglików mamy tylko układy śmierci. Dla innych: poddać się na łaskę we dwadzieścia cztery godziny, albo śmierć—takie jest żądanie narodu. Jeżeli opierać się będą ci niewolnicy, wyrznięć ich codonogi“ A potem zaraz stał się żartobliwym. „Za taką zapłatę, dodał, rzeczpospolita zgadza się im dać lekcję sztuki wojennej.“ Kilku słuchaczy godnych takiego mówcy, roześmiało się

z tego konceptu. Barère ciągnął dalej poważnie: „Niech giną wrogowie; powiedziałem już raz z tej mównicy, że tylko umarli nie wracają. Królowie nie będą się sprzysięgać przeciw wolności, gdy ich nie będzie; a nie będzie ich, kiedy ich wojska zostaną zniszczone. Walczmy więc z niemi na śmierć. Czyż wari są litości niewolnicy, których cesarz na wojnę pędzi kijami, których król pruski wiedzie na rzeź płazując po grzbiecie, których książę York poi rumem i dżynem?“ Na wspomnienie rumu i dżynu—Góra i galerie roześmiały się znowu.

Gdyby Barère miał siłę na uskutecznienie swojego projektu, trudno było, zaiste, ocenić doniosłość klęski, jakaby zadał rodzajowi ludzkiemu. Każdy rząd, jakkolwiek przeciwny okrucinstwu, chcąc być sprawiedliwym względem swych poddanych, musiałby prawem odwetu również nie dawać pardonu; byłoby to nietylko słusznym, ale świętym obowiązkiem. Howe i Nelson musieliby każdego majtka francuskiego, wziętego do niewoli, wrzucać do morza. Anglia nie ma szczególnych powodów do obawiania się, aby zasady takie wprowadzonemi nie zostały. Przeciwnie, działanie nowego prawa wojennego, wymyślonego przez Barèra, więcejby szkody przyniosło rodakom jego, niż nam, gdyż pewni jesteśmy, że od początku do końca wojny nie było ani chwili, w którejby liczba jeńców francuskich w Anglii nie przewyższała ilości angielskiego niewolnika we Francji, i tak, zdaje się, będzie we wszystkich wojnach, dopóki Anglia utrzyma przewagę na morzu. Gdyby mordercze postanowienie Konwencji wykonywane było od r. 1794 do 1815, jesteśmy przekonani, że za każdego Anglika zabitego przez Francuza, trzech przynajmniej Francuzów zginęłoby z ręki Anglików. Nie jako Anglik przeto, lecz jako członek wielkiej społeczności ludzkiej, odzywam się ze zgrozą i oburzeniem o nowości, którą Barère usiłował zaprowadzić. Samo zabijanie byłoby najmniejszą częścią złego. Zamordowanie jednego bezbronnego człowieka z zimną krwią, na zasadzie wyroku prawodawczego, zdziałołoby więcej złego, niż dziesięć rzezi takich jak na polach Albuery.¹⁾ Prawo publiczne wstrząsnęłoby się w swych posadach; nienawiści narodowe rozgorzałyby do takiej wściekłości, jakiej, naszczęście, nie jesteśmy nawet w stanie sobie wystawić; szczerzy pokój stałby się niemożliwym. Moralność narodów europejskich zapadłaby się nagle i głęboko; bo we wszystkich krajach ludzie, których powołaniem jest wystawiać życie na niebezpieczeństwo w obronie dobra publicznego, używają wysokiego szacunku i poczytują się za najlepszych sędziów w sprawie honoru i waleczności. Ogólny poziom obyczajów musi w znacznej mierze obniżyć się lub podnosić wraz z poziomem zasad

¹⁾ Albuera albo *Albuhera* w Estremadurze Hiszpańskiej. Soult stoczył tu morderczą bitwę z Anglikami i Hiszpanami w maju 1811 r. Pod *Albuferą* w Walencji pobił Suchet Anglików w zimie z roku 1811/12.

stanu wojskowego. Wielkiem więc jest szczęściem to, że przez długie lata poszanowanie słabego i ludzkość względem zwyciężonego uważały się za nie mniej konieczne dla doskonałego żołnierza, niż osobiste męstwo. Czy długo byłoby tak, gdyby zabijanie jeńców stanowiło codzienny obowiązek wojownika? Czyby ktokolwiek z zacych i szlachetnych ludzi zechciał dobrowolnie nosić oręż w takich warunkach? A będąc zmuszonym do służenia pod bronią, czy długoby pozostał zacych i szlachetnym? Czy można wątpić o tem, że gdyby barbarzyństwo względem nieszczęśliwych weszło w charakter wojskowych, to życie obywatelskie i życie domowe zarazby się niem zaraziło? Czy można wątpić, że barbarzyństwo to odbiłoby się nieuchronnie we wszystkich stosunkach silniejszego ze słabszym: małżonków z żonami, panów ze sługami, wierzycieli z dłużnikami?

Ale, dzięki Bogu, dekret Barèra pozostał martwą literą. Mieli go wykonywać ludzie wielce różniący się od tych, co w sercu Francyi byli narzędziami Komitetu Ocalenia Publicznego, co paplali w klubie Jakobiów i biegali do Fouquier-Tinville denuncyując o brak cywizmu kobiety, których im się nie udało uwieśdź lub bankierów, od których nie powiodło im się wyłudzić pieniędzy. Wojownicy, co pod Hochem zasłaniali mury Dunkierki, co pod Kleberem bronili lasu w Monceaux, cofnęli się ze zgrozą przed rzemiosłem bardziej poniżającym od katowskiego. „Konwencya, powiedział pewien officer do swoich żołnierzy, przysłała rozkaz zabijania wszystkich jeńców angielskich.“ „Nie będziemy zabijać!“ — odrzekł jakiś dzielny sierżant. „Odsyłajcie ich konwencyi. Jeżeli deputowani czują przyjemność w zabijaniu niewolników, niech sobie sami ich zabijają i zjadają kiedy chcą — jak dzikim przysłało.“ Takie same było usposobienie całej armii. Bonaparte, który doskonale znał prawa wojny, który w Jaffie i gdzieindziej złożył dostateczne dowody, iż nie był od tego, aby z najwyższej surowości praw wojennych czasami nieskorzystać, Bonaparte, którego nienawiść ku Anglii dochodziła do szaleństwa, odzywał się jednak zawsze z obrzydzeniem o dekrete Barèra chlubiąc się, iż wojsko odmówiło posłuszeństwa Konwencyi.

Podobną krnąbrność ze strony innej warstwy obywateli ukarano by natychmiast rzezią na wielką skalę; ale Komitet Ocalenia Publicznego pojmował, iż dyscyplina, która poskromiła niewojowniczą ludność miast i wiosek, nie miałaby powodzenia w obozach. Strącać po kilkudziesięciu ludzi ze statków do wody, odcinać im siekierą palce, gdy za brzeg łodzi chwyтали, było niewątpliwie bardzo przyjemną rozrywką dla czystej krwi Jakobina, szczególnie kiedy, jak w Nantes, ofiarami byli starzy księża, dziewice lub kobiety ciężarne. Ale próbować takiej zabawki w strasznych szeregach grenadyerów, pokiereszowanych bliznami z pod Fleurus, byłoby trochę niebezpiecznie.

Barère znalazł gdzieindziej pociechę. Nie powiodło mu się mordowanie Anglików i Hanowerczyków, ale wynagrodziła go za to sowa nowa rzeź rodaków i rodaczek. Jeżeliby to, co na obronę członków Komitetu Ocalenia Publicznego usiłowano wydobyć, słuszne miało podstawy, jeżeliby prawdą było, iż dlatego tylko rządili z niesłychaną surowością, że kraj był w największem niebezpieczeństwie — rzecz jasna, że surowość ta o tyle powinna byłaby się zmniejszać, o ile niebezpieczeństwo ustępowało. Ale w rzeczywistości, zbrodnie, które osłanianie płaszczykiem niebezpieczeństwa publicznego, stawały się coraz okropniejszemi, właśnie wtenczas, kiedy niebezpieczeństwo słabło, a doszły do najwyższego stopnia, gdy zgoła żadne już nie istniało. W jesieni r. 1793 istotnie obawiać się można było, że Francya nie podoła walece z koalicją europejską. Nieprzyjaciół zwyciężał na granicach; większa część departamentów nie uznawała władzy Konwencyi; pomimo to kilka głów przeznaczonych na ścięcie wystarczało na codzienną strawę gilotyny paryskiej. Latem r. 1794 Bordeaux, Tulon, Caen, Lugdun, Marsylia uległy przewadze stolicy; oręż francuzki brał górę pod Pirenejami i nad Sambrą; Bruksella upadła; Prussy oznajmiły zamiar uchylecia się od walki; rzeczpospolita, niezadawalniając się obronieniem własnej niepodległości, zamyslała o podbojach za Alpami i za Renem; stała się teraz groźniejszą dla sąsiadów niż kiedykolwiek był Ludwik XIV: a właśnie wtedy trybunałowi rewolucyjnemu zamało już było kilkadziesiąt głów na jeden poranek. Właśnie po licznych szeregu zwycięstw, zbijających całą siłę jedyne dowodu, jaki się dał przytoczyć na obronę terroryzmu, Komitet Ocalenia Publicznego postanowił srożyć się z niebawa dotąd energią. Wniesiono projekt przetworzenia Trybunału Rewolucyjnego. Ułożono listę dwunastu sędziów i piętnastu przysięgłych z pomiędzy najzawziętszych Jakobiów. Prawo doraźne opiewało poprostu, że wszystko, cokolwiekby trybunał uważał za szkodliwe dla rzeczpospolitej, pociągało za sobą karę śmierci. Co do świadectw, powiedziano, iż coby tylko przekonywało przysięgłych, było dostatecznym dowodem. Procedura odpowiednio też została uproszczona: przeciwko więźniowi musiał przemawiać oskarżyciel, za więźniem nie mógł przemawiać obrońca. Wyraźnie też powiedziano, że gdy przysięgli w jakikolwiek sposób przekonani byli o winie więźnia, mieli prawo ogłaszać go winnym, nie słuchając ani jednego świadka. Sąd skazywać mógł jedynie na karę śmierci.

Projekt, w tej treści, wniósł Robespierre. Po przeczytaniu wniosku powstał szmer w Konwencyi. Strach, który długi czas powstrzymywał deputowanych od sprzeciwiania się Komitetowi, ustąpił przed jeszcze silniejszym strachem: każdy poczuł nóż na gardle. „Dekret ten, powiedział jeden deputowany, wielkiej jest wagi; wnoszę, aby go wydrukowano, a rozprawy nad nim odłożono. Gdyby taki środek miał być przedsięwziętym bez namysłu, wypaliłbym sobie w łeb natychmiast.“ Inni jeszcze poparli

odroczenie. Wtedy Barère poskoczył na mównicę: „Gdy wnoszą prawo korzystne dla patriotów, a zapewniające szybkie skarcenie spis-kowców, prawodawcy jednej powinni być myśli. Żądam więc, aby przynajmniej odroczenie nie przechodziło trzech dni.“ Na te słowa przeciwnicy, przerażeni, umilkli; dekret przyjęto, a w ciągu następujących sześciu tygodni morderstwa przybrały niesłychane przedtem rozmiary. ⁽¹⁾

Złe stało się niedozniesienia. Owa bojaźliwa większość, która jakiś czas podtrzymywała Żyryndystów, a po ich upadku ograniczała się milczeniem notowaniem w pamięci dekrétów Komitetu Ocalenia Publicznego, większość ta poczęła nakoniec czerpać męztwo w rozpacz. Nie brakło jej przywódców, śmiałego i nieugiętego charakteru, jak Fouché i Tallien, którzy długo będąc na czele Góry, spostrzegli teraz, że własne ich życie i życie osób droższych im od nich samych, narażone było na najwyższe niebezpieczeństwo. Zresztą nietajnym już się stało, że w samowładnym Komitecie znaleźli się odszczepieńcy. Z jednej strony stali: Robespierre, St. Just i Couthon; z drugiej: Collot i Billaud. Barère przechylał się ku ostatnim, ale tylko się przechylał: według swojego zwyczaju, jak tylko nadchodziło przesilenie, nadszakał to jednej, to drugiej stronie, to wreszcie uderzał na obie, i był zawsze gotowym albo wygłosić pochwałę, albo podpisać wyrok śmierci jednej lub drugiej. Na wszelki wypadek chował w zanadru karmaniołę; drzewo wolności, krew zdrajców, sztylet Brutusa, gwineje wiarołomnego Albionu służyć mogły zarówno dla Billauda jak i dla Robespierrea.

Pierwszy napad na Robespierrea był ubocznym. Pewna stara kobieta, Katarzyna Théot, pół-waryatka, pół-oszustka, była w łaskach u niego i wywierała dziwny wpływ na jego umysł; skłonny był on bowiem z natury do zabobonów, a że się wyrzekł wiary, w którejgo wychowano, szukał więc czegoś, w co by mógł wierzyć. Barère przeciw Katarzynie wystosował raport, naszpikowany konceptami, a kończący się, oczywiście, wnioskiem o stawienie jej i kilku innych biednych istot płci obojej przed trybunałem rewolucyjnym, czyli, innemi słowy, o wydanie ich na śmierć. Nie śmiał jednakże sam przeczytać tego aktu w Kon-

⁽¹⁾ Jestto straszliwe prawo z 22 Prairiala II roku rewolucyi (10 czerwca 1794 r.). Zostawiało ono jedynie karę śmierci i pozbawiało obrony. Odtąd gilotyna była nieustającą. Według Thiersa (*Hist. Rew.* rozdz. XXXIV) trybunał paryżki od marca 1793 do czerwca 1794 r. skazał 577 osób, od czerwca do końca lipca, przez sześć tygodni, o których mówi Macaulay, 1285 osób. Przeszło 30 skazanych codziennie ścinano. W podobnym stosunku wzrosły się funkcje gilotyny na prowincyi. Według obliczeń dokonanych za Dyrektoryatu, w rok po ustaniu terroryzmu, idea rewolucyjna kosztowała Francję milion głów ludzkich.

wencji: namówił innego, mniej bojaźliwego posła do ojcostwa tej okrutnej bufonady, a tymczasem prawdziwy rodzic cieszył się bezpiecznie z przestrachu i udręczenia Robespierrea.

Zdawało się Barèrowi, że dosyć uczynił dla jednej strony i że czas było zawrzeć pokój z drugą. Siódmego więc termidora wygłosił w Konwencji mowę pochwalną na cześć Robespierrea. „Ten przedstawiciel ludu używa reputacji patriotycznej, na którą zasłużył pięcioletnimi trudami i niewzruszonym wyznawaniem zasad wolności i niepodległości“. Nazajutrz nie było wątpliwości, iż nadeszła stanowcza walka. Pierwsze ciosy zadał Robespierre. Wstąpił na mównicę i wygłosił długą filippikę na przeciwników. Wniesiono, aby mowa jego została wydrukowana; i Barère za tem przemawiał, ale głosowanie naraz okazało, że Konwencja była innego zdania; więc Barère przeproszał za swe poprzednie przemówienie i błagał kolegów, aby się powstrzymali od rozpraw, mogących jedynie ucieszyć Pitta i Yorka. Nazajutrz, w pamiętny dzień dziewiątego termidora, nastąpił przełom. Dzielnym Tallien z narażeniem życia prowadził do ataku; Billaud szedł za nim; cała ta śmiertelna nienawiść, długo przestrachem powstrzymywana, wybuchnęła nareszcie, zrywając wszystkie zapory. Kiedy nakoniec głos Robespierrea zagłuszony dzwonkiem prezydenta i krzykami „*Prez z tyranem!*“ przeszedł w ochryple wrzeszczenie, Barère powstał z miejsca. Rozpoczął mowę od trwożliwych i chwytliwych frazesów, śledząc wrażenie każdego wyrazu, a kiedy zgromadzenie już bez dwuznaczności objawiło co myśli, wystąpił przeciw Robespierrowi. Nie czuł się jednak zupełnie spokojnym, dopóki lud otaczający izbę, a szczególnie artyleria paryżka, nie wzięła strony Konwencji. Wtenczas dopiero pobiegł na mównicę, wygłosił karmaniołę o Pizystratach i Katylinach i domagał się w końcu, aby Robespierrowi i jego współnikom pościnano głowy bez sądu. Wniosek przyjęto. Następnego rana (10 Termidora) zwyciężeni członkowie Komitetu Ocalenia Publicznego oraz ich główni stronnicy—śmierć ponieśli. Było to jakraz w rok po pierwszym wystąpieniu Barèra na polu morderstw, które rozpoczął był na swych dawnych sprzymierzeńcach, Żyryndystach. Wątpimy, bardzo czy ktokolwiek na świecie potrafił spełnić więcej niegodziwości w przeciągu trzystu sześćdziesięciu i pięciu dni.

Dziwiąty Termidora jest jedną z wielkich epok w dziejach Europy. Prawda, że trzej zwycięzcy członkowie Komitetu Ocalenia publicznego wcale nie byli lepszymi od trzech upadłych. Istotnie, gotowi jesteśmy myśleć, że z tych sześciu statystów najmniej złymi byli Robespierre i St.-Just: okrucieństwo ich wynikało ze szczerzego fanatyzmu, a ten wylał się z ciasnoty umysłu i oschłości serca. Najgor-

szym z sześciu był niewątpliwie Barère; nie miał on zgoda wiary w systemat, który podtrzymywał prześladowaniem; posyłał na śmierć współrodaków za to tylko, że byli w dalekim powinowactwie z royalistami, a w sobie samym nie wyrobił wcale przekonania, iż rzeczpospolita lepszą była od monarchii; mordował starych przyjaciół za federalizm, a sam był większym federalistą od nich wszystkich; stał się mordercą jedynie dla własnego bezpieczeństwa, a nie przestawał nim być dla przyjemności.

Ludzie mają dążność do uosabiania każdej rzeczy. Wybierają pewną osobistość, często bardzo nietrafnie, za przedstawiciela każdego wielkiego prądu społecznego, każdego wielkiego przewrotu w sprawach ludzkich; na tę osobistość skupiają całą miłość i całą nienawiść, wszelkie uwielbienie i wszelką wzdargę, które ona właściwie winnaby podzielać z całym jakimś stronnictwem, z całą sektą, z całym narodem, z całym pokoleniem. Nikt może tyle nie ucierpiał na tej skłonności ludzkiej, ile Robespierre: uważany on jest nie tylko za to, czem był w istocie, — za zawistnego i stetryczalego zagorzałego, — ale za wcielenie terroryzmu, za uosobienie jakobinizmu. Istotnie jednak nie on popchnął system grozy do ostatecznych granic: w dziejach trybunału rewolucyjnego paryskiego najokropniejszymi były dni poprzedzające Dziewiąty Termidora; ale wtedy już właśnie Robespierre przestał ucześnieć na zgromadzenia wszechwładnego komitetu, a kierunek spraw zostawał w rękach Billauda, Collota i Barèra.

Nigdy nie przyszło na myśl tym trzem tyranom, że obalając Robespierrea, wywracali i sam terroryzm, do którego więcej niż on byli przywiązani. Zamiarem ich było: mordować jeszcze nie-miłosierniej niż przedtem; ale nie zrozumieli znaczenia wielkiego przełomu, który nadszedł nareszcie. Jarzmo Komitetu skruszyło się na zawsze; Konwencya odzyskała swobodę; próbowała sił swoich: zwyciężyła i ukarała swych wrogów. Rozpoczęło się potężne oddziaływanie. We dwadzieścia cztery godziny po śmierci Robespierrea wniesiono i postanowiono wśród hucznych oklasków zawieszenie posiedzeń Trybunału Rewolucyjnego. Billauda w tej chwili nie było: gdy wszedł do izby i dowiedział się z oburzeniem co zaszło, podał wniosek o unieważnienie dekretu. Ale głośnie okrzyki: „Nie, nie!“ dały się słyszeć z tych samych ławek, które, tak jeszcze niedawno, ze ślepem posłuszeństwem ulegały jego rozkazom. Barère przemawiał tego samego dnia, zaklinając Konwencyę, aby nie rozluźniała systematu terroryzmu. „Wystrzegajcie się przedewszystkiem zgubnego umiarkowania, które tam prawi o pokoju i łagodności. Niech arystokracja nie zapomina, że ma tutaj tylko niezlomnych mścicieli i nieubłaganych sędziów“. Ale pora karmanioł przeminęła; okowy strachu nadwątliły się, a nienawiść, z jaką lud patrzył na panowanie Jakobińców

wybuchnęła z niepowstrzymaną gwałtownością. Nigdy prąd opinii publicznej nie uderzał z taką siłą na dawną monarchię i arystokrację w czasie szturm Bastylii, z jaką teraz napadał na ciemność Góry. Seciny ofiar wysypały się ze wszystkich więzień. Dekret zabraniający żołnierzom darowywania życia Anglikom odwołano jednogłośnie wśród radosnych okrzyków; zresztą, przez wzgląd na okoliczności, w których go wydano, przez wzgląd na to, że nie był wykonywanym, i że nakoniec zniesionym został, nie powinniśmy go poczytywać za plamę na honorze narodu francuzkiego. Klub Jakobińców stawiał się opornie: zamknięto go więc, i to bez trudności. Żyjącym jeszcze Żyromdystom, którzy się ukrywali przed zemstą nieprzyjaciół w podziemiach i na poddaszach, przywrócono dawniejsze w Konwencyi (1). Nie przeszedł żaden dzień bez wynagrodzenia jakiej ciężkiej krzywdy; żadna ulica Paryża nie była bez jakiegokolwiek śladu świeżej odmiany. W teatrze strącono z podstawy i pobito na drobne kawałki popiersie Marata, wśród oklasków publiczności; zwłoki jego wyrzucono z Panteonu, słynny zaś obraz, przedstawiający jego zamordowanie, a zawieszony w sali Konwencyi, usunięto z tamtąd. Poznikały z murów stolicy okrywające je dotąd dzikie napisy; ludzkość, hasło nowego rządu, przebiegała się wszędzie, zamiast śmierci i grozy. A tymczasem wesołe usposobienie Francuzów, gnębione dotychczas uciskiem, podniecone teraz radością wyzwolenia, zaignało w tysiącznej postaci. Odżyła sztuka, wytworność — odrodził się przepych. Piękność niewieścia odzyskała swą władzę, tem silniejszą, że podniesioną wspomnieniami wszystkich tych tkliwych i wzniosłych cnót, jakimi w dniach nieszczęścia zajaśniały kobiety delikatnego wychowania, uważane dawniej za lekkomyślne. Ogląda obyczajów i uczucia rycerskie poszły w ślad za rydwanem miłości. Świt dnia letniego po zimie podbiegunowej, nagłe tajanie wód, rozbudzenie się życia zwierząt i roślin, raptowne złagodnienie powietrza, szybki rozkwit kwiatów, zazielenienie się lasów — niezem są w obec tego świetnego i szczęśliwego przewrotu z dnia dziewiątego termidora.

Ale w tem zmartwychwstaniu wszelkich dobrych i szlachetnych uczuć, była jeszcze pewna cząstka społeczeństwa, na którą samo miłosierdzie niejako przyzywało pomsty. Dotychczasowych naczelników rządu i ich zauszników nie inaczej nazywano teraz jeno „Ludźmi krwawymi, krwiożercami, kannibalami.“ W niektórych okolicach Francyi, gdzie siepacze Góry szczególnie dali się we znaki, ludność sama poczęła wykonywać prawa, odmierzając sprawiedliwość miarką jakobińską; ale w Paryżu karano porządnie i przyzwyczaję; liczba ukaranych

(1) Pozostało ich podówczas tylko pięciu. Ci odzyskali prawa deputowanych w marcu 1795 r.

była niewielka w porównaniu z ilością przestępstw, a kary łagodne wobec okropności zbrodni. Wkrótce po Dziewiątym Termidora uwieziono dwóch najniegodziwszych z ludzi: Fouquier-Tinville'a, którego Barère umieścił w trybunale rewolucyjnym i Lebona, którego tenże Barère bronił w Konwencji. Trzeci złoczyńca, Carrier, tyran Nantes, niezadługo los ich podzielił. Procesy tych ludzi wydobły na jaw okropności przechodzące wszystko, co Swetoniusz i Lamprydusz zapisali o najgorszych Cezarach. Lecz niepodobna było karać niższych urzędników—co, jakkolwiek źli, działali jednak zgodnie z duchem rządu, któremu służyli—a puszczać obok tego bezkarnie winy naczelników tego okrutnego rządu. Okrzyk powszechny tak w Konwencji, jak i poza nią domagał się sprawiedliwości na Collota, Billauda i Barèra.

Dwaj pierwsi, przy wszystkich swoich wadach—zdaje się,—byli odważnej natury. Ani myśleli poddawać się, i na nienawiść całej ludzkości odpowiadali z początku zuchwałym oporem, a później ponurą i zaciętą wytrwałością. Ale Barère jaktylko począł pojmywać prawdziwe znaczenie przewrotu termidorowego, postarał się zaraz wziąć rozbrat z Górą i weisnąć się znów do starych przyjaciół ze stronnictwa umiarkowanego. Oświadczał wszędzie, że nigdy nie lubił surowych środków, że zawsze potępiał i opłakiwał postąpienie z Bryssotystami. Z tejsamej mównicy, z której niedawno wygłaszał śmierć i potępienie, teraz zalecał miłosierdzie. „Nadszedł czas, mówił, że bez niebezpieczeństwa możemy dać się powodować łagodnością. Czasowe uwieszenie możemy uważać teraz za dostateczną karę na przewinięcia polityczne.“ Nie więcej niż na dwa tygodnie przedtem, z tejsamej trybuny piorunował przeciw umiarkowaniu, które ośmielało się mówić o łagodności; od dwóch tygodni zaledwo przestał wyprawiać mężczyzn i kobiety na gilotynę, po trzysta dusz na tydzień. A teraz pragnął zawrzeć pokój ze stronnictwem umiarkowanym, kosztem terrorystów, tak samo jak przed rokiem pogodził się był z terrorystami wystawiając na szwank stronnictwo umiarkowane. Oszukał się jednak; nie zostawił sobie żadnego odrotu. Twarz jego, głos, frazesy i żarty obrzydły Konwencji; przerywano mu mowę szemraniem; wyrzucano mu codziennie z goryczą teńcówstwo i przeniewierstwo. Pewnego razu Carnot powstał, aby oznajmić jakieś zwycięstwo i tak dalece zapomniał o swej powadze, iż wdał się w ten rodzaj gadaniny, którego Barère używał w podobnych zdarzeniach; przerwano mu krzykami: „Dość tych karmanioł! dość konceptów Barèrowskich!“

Wreszcie, w pięć miesięcy po przełomie termidorowym, Konwencya wyznaczyła komitet złożony z dwudziestu jednego członków do zbadań postępów Billauda, Collota i Barèra. Po kilku tygodniach wygotowano sprawozdanie. Dowiadujemy się z niego, że się znalazło pismo, podpisane przez Barèra, a zawierające projekt ostatecznego wydo-

skonalenia terroryzmu: radził on Francję podzielić na okręgi i rozesłać wędrownie trybunały rewolucyjne, złożone z wypróbowanych Jakobinów, na objazd po departamentach; w orszaku ich miała podróżować gilotyna.

W obronie swojej Barère dowodził, że żaden z jego wniosków i żadna z jego mów, które wygłosił w Konwencji, nie mogą być, bez pogwałcenia wolności rozpraw, za występki poczytane. Zapytano go więc: jakim prawem uciekał się do takiej obrony, on, co wyprawiał na śmierć tylu deputowanych za zdania wyrażone w Konwencji? Nic innego nie umiał odpowiedzieć, tylko to, że mocno ubolewać należało nad ustawicznym pogwałcaniem tak wielkiej zasady.

Przypisywał sobie Barère znaczną część zasługi w rewolucyi termidorowej. Ludzie, którzy narazili życie swoje dla spełnienia tego przewrotu, którzy wiedzieli, że wrazie niepowodzenia Barère według wszelkiego prawdopodobieństwa byłby się bez sądu śmierci ich dopominał, byłby zredagował odezwę oznajmającą całej Francji jaką to zbrodnię spełnili i jaką ponieśli karę—ludzie ci nie byli teraz bynajmniej skłonni do uznania jego uroszczeń za słuszne. Przypomniało mu, że na niecałe czterdzieści ośm godzin przed chwilą stanowczego starcia, on, Barère, z wysokości mównicy obsypał był Robespierra kwiatami uwielbień. Na zarzut ten dał Barère odpowiedź godną siebie. „Potrzeba było udawać—mówił—potrzeba było pogłaskać próżność Robespierra i przez nadmierne pochwały zagnać go do ataku. Ten wzgląd właśnie skłonił mnie do obławowania Robespierra pochwałami, na które się uskarżacie. Miałże kto kiedy za złe Brutusowi, że nie szczerze wychodził z Tarkwiniuszem?“

Oskarżeni tryumfirowie mieli jedną tylko drogę do uniknięcia kary. Sroga nędzą przyniatała pod ową chwilę lud roboczy stolicy. Jakobini kładli tę nędzę na karb rewolucyi termidorowej, łagodności, z jaką teraz obchodzono się z arystokratami, i wreszcie środków przedsięwziętych przeciwko ludziom, którzy w ostatnich czasach stali na czele rządu. Niema na świecie nic tak dalece niedorzecznego, ażeby nie znalazło wiary w pospółstwie, które nie jadło śniadania, a nie wie co jeść będzie na obiad. Motłoch z Przedmieścia S-go Antoniego powstał, zagroził deputowanym i gromkim głosem zażądał uwolnienia „patriotów przesławianych“. Ale Konwencya nie była już teraz tem, czem dawniej, kiedy-to podobne środki użyte przeciwko Żyrondystom wydały były skutki aż nadto doniosłe. Nabrała teraz ducha. Wypróbowała już swe siły. Wojsko znajdowało się już pod jej rozkazami. Wzburzenie uśmierzono i tegoż samego wieczora jeszcze wydano dekret, że Collot, Billaud i Barère bezzwłocznie wywiezieni być mają na więzienie do jakiej miejscowości położonej odlegle od stolicy.

Nazajutrz rozkaz Konwencji wykonany został. Opowiadanie, jakie dał Barère o przygodach tego dnia stanowi najbardziej zajmują-

jący i najwiarogodniejszy ustęp z jego *Pamiętników*. Niema tak niegodziwego świadka, któregoby świadectwo przeciwko samemu sobie przez jakikolwiek sąd przyjętem nie zostało; możemy też uwierzyć Barèrowi, gdy nam opowiada ile nienawiści i pogardy w dniu tym zebrał.

Powóz, w którym Barère miał odbyć swą podróż, otoczony zbrojnymi, posuwał się wzdłuż ulicy Ś. Honoryusza. Nagle tłum go osaczył, tłum rosnący co chwila. Na stopniach wchodowych przed kościołem Ś. Rocha stali w długich szeregach ciekawi widowiska. Z wielkim tylko trudem kocz utorować sobie zdołał drogę przez tłumy, które zagradzały ulicę: tłumy te złorzeczyły w niebogłosy, przeklinały, groziły wyłamaniami drzwi u powozu. Barère myślał już, że życie jego w niebezpieczeństwie, i na własne swoje żądanie zaprowadzonym został do jednego z budynków publicznych, gdzie spodziewał się znaleźć schronienie, dopóki by nie zbiegowisko nie rozproszyło. W tej samej godzinie rozprawiano jeszcze nad jego losem w Konwencji. Rzucono myśl, aby postąpić z nim tak, jak on postąpił z ludźmi, którzy więcej od niego byli warci, — aby go wyjąć z pod prawa i bez sądu wydać w ręce kata. Ale ludzkość, kierująca obradami publicznymi od Dziwiątego Termidora, powstrzymała deputowanych od takiego kroku (1).

(1) Śledztwo przeciwko Barèrowi, Collotowi i Billaudowi ciągnęło się przez całą zimę z r. 1794 na 5. Dopiero 1 germinała (21 marca) 1795 r. Konwencya przystąpiła do roztrząśnienia sprawy. Rozruchy wzniecone przez demagogów jacobinów, wołanie o chleb i konstytucję z r. 1793, połączone z parokrotnem najściem na przedstawicielstwo narodu, opóźniły wydanie decyzji i ta zapadła dopiero nad ranem z 12 na 13 Germinała. Na wniosek prezydującego Dumonta wyrzeczono na wszystkich trzech tryumwirów — deportację. W parę godzin po zapadnięciu tej decyzji przystąpiono do wprowadzenia jej w wykonanie. — Powyższe opowiadanie Macaulaya o wstrzymaniu przejazdu Barèra przez Paryż, poparte niezawodnie *Pamiętnikami* samego bohatera wypadku, niezupełnie zgadza się z opowiadaniem Thiersa (*Historja Rewolucyi*, rozdz. XC). Thiers również mówi o wstrzymaniu, ale je innym, wprost przeciwnym, przypisuje przyczynom. Przeszkoda tamująca podróż wyjęć miała od demagogów, którzy na Polach Elizejskich rozpedzili żandarmeryę. Nie wiedziało pospólstwo kto jedzie w powozach, głuche zaś pogłoski obiegające między ludem przez cały czas zaburzeń germinałowych wieściły, że cała Konwencya zabierając ze sobą skarb publiczny przenosi się do Châlons. W niepewności zatem odstawiono powozy do urzędu pół Elizejskich. Zbiegowiska zbrojne potworzyły się na dwóch jeszcze innych punktach dzielnic. Niewiadomo z opowiadania Thiersa czy po rozpoznaniu Barèra, chcieli mu ułatwić ucieczkę i czy on sam o ratowaniu się ucieczką myślał. Cała zawierucha musiała mieć bardzo szybki przebieg. W porę jeszcze nadciągnął z wojskiem Pechégru, mianowany w samym początku zaburzeń germinałowych dowódcą sił zbrojnych Konwencji w Paryżu — i po krótkiej walce, w której życie jego znajdowało się dwukrotnie w niebezpieczeństwie — odpędził burzycieli. Powozy mogły już swobodnie odjechać. Działo się to 13 germinała (2 kwietnia) 1795 r. *Historję Rewolucyi* pisał Thiers jeszcze przed rokiem 1830; nie mógł więc znać szczegółów podanych przez Barèra w jego *Pamiętnikach*.

Noc zapadła; nastała cisza na ulicach. Zegar wybił północ, i Barère, pod ścisłą strażą, odbywał dalej swą podróż. Zawieziono go przez rzekę do miejsca, gdzie droga orleańska oddzielała się od bulwaru du Midi. Stały tam dwa powozy podróżne: w jednym siedział Billaud w towarzystwie dwu oficerów; w drugim również dwaj oficerowie czekali na Barèra; Collot był już w drodze.

W Orleanie, który straszliwie ucierpiał pod jarzmem Jakobinów, lud otoczył trzech deputowanych, okazując żądę rozszarpania ich w kawały. Cała gwardya narodowa, zgromadzona z okolicy, zaledwie zdołała uśmierzyć motłoch, który długo jeszcze gonił za powozami drogą ku Blois.

W Amboise więźniowie dowiedzieli się, że Tours zgotowało im przyjęcie. Wspaniały most roił się mnóstwem ludu, odgrającego się, że ludzom, za rządu których wody Ligeru unosiły massy trupów, da poznać na własnych ich osobach co to są *noyady*. Na tę wiadomość, oficerowie pilnujący przestępców urządzili wjazd tak, że powozy przybyły do Tours o drugiej w nocy, zmierzając prosto na pocztę; przeprężone konie ruszyły natychmiast z kopyta. Nie było czasu do stracenia bo na dane hasło widać już było zapalające się światła, a wrzaski zawiedzionego w swej zemście motłochu łączyły się z turkotem umykających pojazdów.

W Poitiers musieli także ratować się ucieczką. Oddalając się od budynku pocztowego ujrzeni całą ludność goniącą za nimi z wściekłością po stromej pochyłości, na której stoimiasto. Przejeżdżając około Niort nie odważyli się tam wstąpić: mieszkańcy w groźnej postawie wyszli na ich spotkanie i krzyczeli z całej siły na pocztylionów, aby stanęli, ale ci puścili się galopem i wkrótce zostawili miasto za sobą. Nareszcie, przebywszy tyle niebezpieczeństw, krwiożery w całości odstawieni zostali do Roszelli.

Oléron, ponura wysepka pośród huczących fal zatoki Biskajskiej, przeznaczona im była na pobyt. Zamknięto ich w zamku, każdego w oddzielnym pokoju; przy drzwiach stała straż; każdy z więźniów dostawał rację prostego żołnierza; zakazano im mieć stosunki z załogą i z ludnością wyspy, a wkrótce po przywiezieniu zabroniono nawet przechadzki na wałach; wolno było więźniom używać ruchu tylko na placyku, gdzie się wojsko ćwiczyło.

Wkrótce doszły ich wieści, że Jakobi paryżcy dopuścili się ostatniego zamachu dla odzyskania przewagi, że rozwścieklone tłumy wpadły do sali Konwencji, zamordowały jednego z deputowanych i głowę jego wsadziły na pikę; że czas jakiś życie prezydującego było w niebezpieczeństwie; że kilku członków zgromadzenia nie wstydziło się połączyć z wicherzycielami — ale wojsko w czas nadeszło i zapobiegło rzezi, rozpraszając buntowników; że ludność niespokojnych dzielnic stolicy rozbrojono, winnych deputowanych słusznie za zdradę uka-

rano i że nareszcie potęga Góry na zawsze runęła ⁽¹⁾. Wypadki te zwiększyły jeszcze wstręt, z jakim patrzano na systemat grozy i jego promotorów. Jeden z członków Konwencji postawił wniosek, aby trzech więźniów z wyspy Oléron ukarać śmiercią; inny, aby odwieźć ich napowrót do Paryża i stawić przed sądem wojennym. Wnioski te odrzucono; uczyniono jednak pewne ustępstwo dla stronnictwa domagającego się surowości: okręt przygotowany z wielkim pośpiechem do wypłynięcia z Rochefort zatrzymał się przy brzegu wysepki Oléron; wezwano Collota i Billauda, aby natychmiast stawili się na pokładzie; okręt wyruszył i zawiózł ich do Guyany, gdzie Collot wkrótce zapił się wódką. Billaud żył jeszcze długo, stronił od ludzi, i sam przez nich omijany, rozrywał się w samotności ucząc mówić papugi ⁽²⁾. Dla czego uczyniono różnicę pomiędzy Barèrem i jego współwinowajcami, tego, o ile wiem, ani on sam, ani nikt inny nie wyjaśnił. Nie zdaje się wszelakoż, iżby to odróżnienie oznaczać miało pewną dla Barèra pobłażliwość, wkrótce bowiem nadeszły z Paryża rozkazy, aby go stawić za przestępstwa przed sądem karnym departamentu Haute-Charente. Odwieziono go przeto znowu na łód stałą i trzymano kilka miesięcy w Saintes, w starym klasztorze, który tylko obrócono na więzienie.

Podczas gdy tam zostawał, reakcyja po wielkim przełomie termidorowym natrafiła na chwilową zawadę. Przyjaciiele domu Burbonów, licząc na pobłażanie, jakiego doświadczali po upadku Robespiera, nie tylko odważali się głosić swe opinie, prawie się z nimi nie kryjąc, lecz wkrótce wzięli się do broni przeciw Konwencji, tak, że nim ich zmożono, dużo jeszcze krwi popłynęło po ulicach Paryża ⁽³⁾. Czujność władzy przeto znowu głównie się skierowała na royalistów, a surowość, z jaką niedawno obchodzono się z Jakobinami, nieco osłabła. Konwencyja powtórnie jednak nakazała wysłać Barèra do Guyany; ale ten dekret nie wszedł w wykonanie. Więzień, zapewne w porozumieniu z niektórymi wysoko położonymi osobami, uciekł z Saintes do Bor-

⁽¹⁾ Ten zamach jakobiński wydarzył się d. 3 Października 1795 r. Dwóch dni potrzebowała Konwencyja na powalenie zagorzalców; było ono już jednak stanowczem. Zamach i oddziaływanie przeciwko niemu znane są pod nazwą wypadków 12 i 13-go Vendémiaira roku IV rewolucyi. Odnaczyli się w tych wypadkach Barras i Bonaparte.

⁽²⁾ Collot d'Herbois zmarł w Guyanie w r. 1797 na zgnilą gorączkę, poprzedzoną pijactwem. Billaud-Varennes zmarł na San-Domingo w r. 1819. Ofiarowano mu łaskę po 18 Brumaira: nie przyjął jej.

⁽³⁾ Do 4 września 1797 r. (18 Fructidora roku V rew.) republikański odłam Dyrektoryatu uwięził Dyrektorów, Starszych i członków izby Pięciuset, podejrzanych bądź wręcz o royalizm bądź o mdły i chwiejny republikanizm. 18 Fructidora nauczył Bonapartego jak ma sobie w potrzebie poradzić: zamach w dniu tym dokonany niczem się, istotą swoją jako fakt, nie różnił od zamachu 18 Brumaira.

deaux i tam kilka lat przebywał w ukryciu. Zdaje się, iż istniał pewien tajemny układ pomiędzy nim a rządem, układ tego rodzaju, że dopóki się Barère ukrywał, dopóty nie mógł być znalezionym, lecz gdyby się nawinął na oczy władzom, musiałby sam ponieść skutki swej niebaczności.

Przez cały czas działania konstytucyi z r. 1795, z jej dyrektoryatem wykonawczym, z jej Radą Starszych i Radą Pięciuset, Barère żył tak, wyjęty z pod prawa. Nadaremnie w chwilach nawet gdy zdawało się, że polityka Góry znowu przeważa, błagał unieważnienia wyroku Konwencji: sami koledzy królobójcy, sami nawet sprawcy mordów wandemierowych i aresztowań fruktydorowych ⁽¹⁾ wstydzili się go.

W ośmnaście niespełna miesięcy po ucieczce Barèra z więzienia, nazwisko jego znowu wymówiono publicznie. Rodzinna jego okolica zachowała coś z dawnej ku niemu życzliwości. Od upadku monarchii nie był tam ani razu. Gaskońscy stronnicy Góry, żyjąc daleko od siedziska rządu, nie dokładnie wiedzieli co się w stolicy działo. Słyszeli, że rodak ich odgrywał ważną rolę, czuli, że w niektórych razach opiekował się ich miejscowymi sprawami; sprzyjali więc mu w przeciwnościach i poniżeniu ze stałością stojącą w dziwnej sprzeczności z nikczemną płochością protegowanego. Zdumiała tedy cała Francya na wiadomość, że departament Hautes-Pyrénées wybrał wygnanego tyrana na członka Rady Pięciuset. Rada, mając przywilej, jak nasza Izba Gmin, potwierdzania lub unieważniania wyborów własnych swoich członków, odmówiła Barèrowi przyjęcia. Kiedy nazwisko Barèra, przeczytano na spisie, z ławek podniosły się głosy oburzenia. „Któryż z was, zawołał jeden z członków, chciałby siedzieć obok takiego potwora? — „Ja nie, i ja nie!“ odpowiedziało mnóstwo głosów. Pewien deputowany oświadczył, iż opuściłby miejsce, jeśliby się Izba splamiła przyjęciem takiego nędznika. Wybór uznano za nieważny, na zasadzie, iż wybraną osobą był przestępca krwawiący się przed sprawiedliwością; przyczem dały się słyszeć narzekania na zbyt dużą pobłażliwość, dzięki której Barère od tak długiego już czasu na wolności zostawał.

Próbował Barère pogodzić się z Dyrektoryatem, pisząc obszerny paszkwil na Anglię pod tytułem: *Wolność mórz*. Zdaje się, że pełnym był ufności, iż pismo to sprawi wielkie wrażenie: kazał je wydrukować w trzech tysiącach egzemplarzy, a na pokrycie kosztów wydania sprzedał jedną ze swych posiadłości za dziesięć tysięcy franków. Książka wyszła na świat, ale nikt jej nie kupował, a to skutkiem niegodziwości Pitta, jak utrzymuje autor, bo ten przekupił Dyrektoryat, aby zakazał

⁽¹⁾ Są to wyżej wspomniane wypadki 12 i 13 Vendémiaira oraz 18 Fructidora.

krytykom wspominać o tym strasliwym zamachu na przewagę morską wiarołomnego Albionu.

Upływały trzy lata od czasu zamieszkania Barèra w Bordeaux, gdy pewnego razu otrzymał on zawiadomienie, że gmin tego miasta zamierza zaszczyścić go odwiedzinami w rocznicę dziewiątego termidora, zapewne w zamiarze domierzenia na nim tego, co sam w obronie przyjaciela swego Lebona nazywał rzetelną sprawiedliwością z pozorami nieco szorstkimi⁽¹⁾. Musiał się tedy przebrać za cieślę portowego i z pekiem wiorów pod pachą zmykał przez winnice otaczające miasto; ukrywał się kilka dni w chacie wiesniaka i dopiero po obchodzie strasznej rocznicy wślizgnął się napowrót do miasta. W kilka miesięcy potem spadło nań nowe niebezpieczeństwo. Przyszedł tedy do przekonania, iż nigdzie nie znajdzie schronienia pewniejszego niż w okolicach Paryża. Opuścił więc Bordeaux, przemknął się niepoznany przez miasto, gdzie przed czterema laty życia jego zagrażało wielkie niebezpieczeństwo, przesunął się przez stolicę o świcie, kiedy na ulicach nie było nikogo, oprócz chłopców sklepowych otwierających okiennice, i przybył szczęśliwie do pięknej wsi St. Ouen nad Sekwaną. Tam zostawał w ukryciu przez kilka miesięcy. Tymczasem Bonaparte, wróciwszy z Egiptu, stanął na czele zjednoczonych stronnictw mal-kontentów, a pokrywając swe zamiary powagą Rady Starszych, rozpe-dził bagnetami Radę Pięcuset i stał się nieograniczonym panem Francji pod nazwą „Pierwszego Konsula“.

Barère upewnia, że te wypadki przesywały mu serce, że nie mógł znieść widoku Francji uciemnionej przez nowego władzcę i że przedstawiciele narodu, gdyby istotnie godnymi byli tego zaszczytnego miana, byliby uwieźli ambitnego generała, który nimi poniewierał. Te uczucia jednakże nie przeszkodziły Barèrowi polecić się łaskawym względem nowego rządu i ofiarować pierwszemu konsulowi pięknego egzemplarza książki: *O wolności mórz*.

Polityka Bonapartego nakazywała mu puścić w niepamięć wszystko, co zaszło. Należał on w połowie do rewolucyi a w połowie do reakcyi; był zarazem parweniusem i monarchą; miał w sobie coś z Jakobina i coś z royalisty. Każdego zatem, czyto Jakobina, czy royalistę, byle gotów był wspierać jego rządy, chętnie przyjmował; ale też każdego, co patrzył z niezadowoleniem na jego władzę, czy Jakobina czy royalistę, przesładował i gnębił. W przedpokojach jego i w więzieniach spotykali się okowoko ludzie zamieszani do najokropniejszych zbrodni z czasów terroryzmu, z osobistościami, które walczyły pod księciem Condé. Tymsamym krzyżem ozdobił on Fouché'go,

(¹) Porównaj wyżej str. 39.

co i Maury'ego⁽¹⁾; na tem samem rusztowaniu zginęli z jego woli Aréna i Jerzy Cadoudal⁽²⁾. Od rządu powodującego się takimi zasadami łatwo Barèrowi udało się uzyskać przebaczenie, którego mu stale odmawiał Dyrektoryat: uwolniono go od wyroku wydanego przez Konwencyę i pozwolono mu przebywać w Paryżu. Amnestya zawierała wprawdzie nie zbyt zaszczytne wyrażenia, a korzystający z niej zostawał przez czas niejaki pod ścisłym nadzorem policyi; pośpieszył on pomimo to ze złożeniem uszanowania do pałacu luksemburskiego, w którym Bonaparte wówczas przemieszkował, i zaszczycony został kilku oschłemi i nienieznaczącemi słowami władcy Francji.

Tu się rozpoczyna nowy rozdział dziejów Barèra. Nie możemy z taką dokładnością wiedzieć co zaszło pomiędzy nim a rządem konsularnym, z jaką znamy mowy i raporta jego z czasów Konwencyi. Nietrudno wszelakoż, zestawiając powszechnie znane wypadki ze wskazówkami rozsianymi w kłamliwych *Pamiętnikach*, utworzyć sobie mniej więcej wierne wyobrażenie o tem jak się rzeczy miały. Bonaparte potrzebował kupić Barèra, a Barère chciał się sprzedać Bonapartemu; chodziło więc tylko o cenę; ale tu właśnie wystąpiła ogromna różnica pomiędzy zapłatą żadaną a zapłatą ofiarowaną.

Bonaparte, u którego gwałtowność woli, stałość w postanowieniach i zaufanie we własne zdolności były nie tylko potężnymi ale i nadzwyczajnymi, patrzył z pogardą na niesłychanie zniewieściały i służalczy umysł Barèra. Zdolny był w uniesieniu ambicyi lub zemsty popełnić zbrodnię, ale wcale nie ulegał wpływowi tej przekłetej monomanii łaknącej krwi i łez, która była opętana niejednego z przywódców jakobińskich. Prześladowanie terrorystów nie zgadzało się zgoła z jego widokami; ale ze wszystkich rodzajów ludzi, których gościnny systemat jego przyjmował, pierwszy konsul najmniej znosił terrorystów, a Barère był z pomiędzy

(¹) *Fouché*, niegdyś republikanin i konwencyonalista, pomocnik Collota w rzeziach i spustoszeniach ludzkości, za Dyrektoryatu, Konsulatu i Cesarstwa, aż do r. 1810, zdolny minister policyi. *Maury* royalista, emigrant, kardynał i, wbrew woli papieża, arcybiskup Paryża, z ramienia Napoleona. Tego Maurego po pierwszym podboju Francji w r. 1814 papież więził przez kilka miesięcy na zamku S. Aniola. Maury posiadał wysokie zdolności krasomówcze.

(²) *Aréna*, korsykańin z rodziny nienawistnej Bonapartym. W zimie r. 1800 uwikłał się w spisek nazwany od ulicy Lepelletier, gdzie miał nastąpić zamach na życie Bonapartego. Po odkryciu spisku przez policyę Aréna aresztowany wraz ze współnikami poszedł na gilotynę d. 31 stycznia 1801 r. *Cadoudal* szuan znany ze spisku na życie Napoleona, uknętego wspólnie z Moreau i Pichégru w 1803. Stracony 25 czerwca 1804 r. wraz z 11 współnikami.

nich najgorszym. Nędznika tego napiętnowała hańba najprzód Konwencya, później Rada Pięciuset. Ludność czterech czy pięciu wielkich miast o mało go na sztuki nie poszarpała. Występi jego nie okupywały się żadnemi wyższymi zdolnościami do rządu lub prawodawstwa. Byłoby nieroztropnością umieszczać człowieka tak niegodziwego, tak nienawistnego, tak mało zdolnego do spełniania wyższych posług w kraju, na jakim szacownym lub ważnym stanowisku rządowym. Ale z drugiej strony zdawało się, że mógłby on być na innej drodze użytecznym rządowi. Pierwszy konsul, jak sam to później przyznawał, zbyt wysoko oceniał zdolności literackie Barèra. Wprawdzie odezwę Komitetu Ocalenia Publicznego czyniły ogromne wrażenie w obozach wojsk republikańskich; sam Napoleon, będąc młodym żołnierzem, zachwycał się temi utworami, które mu przypominały pieśni ulubionego jego wieszcza Macphersona; już to wyznać należy, iż smak wielkiego wojownika i polityka nigdy nie był bardzo czystym, gdyż jakkolwiek jego buletyny, rozkazy dzienne, proklamacye bywały nieraz arcydziełami swego rodzaju, ale nawet najlepsze zbyt często brzmiały oddźwiękiem Fin-gala i karnaniol. Nie więc dziwnego, iż smak pragnął pozyskać sobie pomoc pióra byłego członka Komitetu Ocalenia Publicznego. Mógł on być zresztą użytecznym rządowi konsula i w inny jeszcze sposób. Łatwo mu było znaleźć przystęp do owych ciemnych nór, gdzie się kryli od przekleństw ludzkich tacy Jakobini, których stałości nie zachwiała żadne niepowodzenia, lub których przestępstwa niczem się nie dawały odpokutować. Dla tych ludzi, opętanych fanatyzmem, oswojonych z niedolą i śmiercią, nie było przedsięwzięcia zbyt śmiałego, zbyt okropnego. Rząd koniecznie musiał wiedzieć co się działo na ich tajnych schadzках; a niktby go lepiej zawiadamiać o tem nie potrafił nad Barèra.

Z tych tedy powodów pierwszy konsul miał ochotę przyjąć Barèra na płatnego pisarza i szpiega. Ale Barère—czyżby się zgodził na takie poniżenie? Jakkolwiek był złym, odegrał znakomitą rolę. Należał do rzędu takich zbrodniarzy, co-to rozgłosem swych zbrodni cały świat napełniając; wchodził w skład gabinetu, który samowładnie rządził Francją i wojował z całą Europą, z niepospolitą powodziem; w gabinecie tym był, jeżeli nie najpotężniejszą, to po Robespierre' najwydatniejszą osobistością. Imię jego powtarzały wszystkie usta od Moskwy do Filadelfii, od Edynburga do Kadyksu. Ręce jego zbroczone były krwią królowej francuskiej, krwią największych mówców i filozofów Francji. Rzekł — a postanowiono, iżby pług zaoarał miejsce, gdzie stało wielkie miasto, Lugdun. Rzekł znowu, — i wydano wyrok, aby ulice Tulonu z ziemią zrównane zostały. Jeżeli niegodziwość jaka jest tak jak on wysoko położona, to z nienawiścią, którą obudza, połączyć się musi i przestrach. Miejsce dlań było obok

wielkich tyranów, jak Krycyasz ⁽¹⁾ i Sulla, jak Ezzelino ⁽²⁾ i Borgia, ale nie obok najemnych pismaków i zbirów policyjnych.

*Virtue, I grant you, is an empty boast,
But shall the dignity of vice be lost?* ⁽³⁾.

Tak śpiewał Pope; tak też myślał Barère. Gdy mu zaproponowano, aby wydawał dziennik w obronie rządu konsularnego, ze wstydu i oburzenia uczuł w sobie poraż pierwszy i ostatni coś nakształt odwagi. Jego, co w oczach ludzkości zajmował miejsce mniej więcej takie, jak Pitt albo Washington, jego zapraszano teraz z zimną krwią, aby raptem się zniżył do poziomu pana Ludwika Goldsmitha. A nadto, z piekielną zazdrością widział on różnicę, jaką czyniono pomiędzy nim a innymi działaczami rewolucji, wezwanymi do pomocy w rządzie. Wymagano od nich wprawdzie wielkiego poświęcenia zasad, — ale nie zmuszano ich do wyrzeczenia się tego, co w mniemaniu pospolitem stanowi godność osobistą. Ponaszano ich na trybunów i prawodawców, posłów i radców stanu, ministrów, senatorów i konsulów. Mogli oni słuszenie się spodziewać wyższego jeszcze odznaczenia ze wzrostem szczęścia swojego pana; jakoż w istocie niejednemu z nich los później pozwolił nosić otrzymany z rąk Bonapartego order legii honorowej, za-

⁽¹⁾ Krycyasz, jeden z 30 tyranów Aten po zwalczeniu tego miasta przez Spartanów r. 404. Przypomnienie Krycyasza w życiorysie Barèra nasuwa na myśl porównanie między terroryzmem paryżkim z r. 1792 do 94 po Ch. a terroryzmem ateńskim o 2200 lat wcześniej. Tu i tam jedne namiętności, jedne żądze, jeden i ten sam rozum stanu, jednakie środki działania, jednakie grupowanie się stronnictw w fakcji panującej. W Atenach tylko nie było motłochu paryżkiego, a było więcej łupieżności dla celów osobistych niż w Paryżu. Zresztą, taksamo był Moderrantyzm i Jakobinizm; taksamo przywódcy spychali jedni drugich, taksamo wyprawiano tłumne rzezie i karano najmniejszy objaw niechęci. Co się we Francji dokonywało na rzecz demagogii, w Grecji obliczone było na korzyść oligarchii. Instytucję podejrzanych znali już tyranzi Ateńscy. Krycyasz był duszą tych kilkumiesięcznych rządów. Jego-to można przyrównać do Robespierre'a, nie z charakteru ale z czynnej energii, jaką miał ustawicznie na posługi swej niegodziwości. — Dzielną jego charakterystykę daje Ernest Curtius w swej Historji Grecji (Griechische Geschichte T. II, str. 716—721).

⁽²⁾ Ezzelino albo Eccelino, tyran Vicenzy, trzeci i ostatni z rodu, który w XII w. pod skrzydłami cesarzów niemieckich wzbił się do politycznego znaczenia. Nazwano go *dzikim* dla straszliwych okrucieństw, jakie spełnił. Papież Aleksander IV w połowie XIII w. ogłosił przeciwko niemu wojnę krzyżową. Ezzelino w wojnie tej pokonany, utracił życie; panowanie jego szeroko już, dzięki orężowi, rozpostarło się było po Włoszech północnych. Cały jego ród wytępiono. Dante w szóstym kręgu *Piekieła* mieści nie tego Eccelina, ale jego dziada, namiestnika Barbarossy w Treviso, — również okrutnika a założyciela dynastji (*Piekieło* Pieśń XII).

⁽³⁾ „Cnota, przyznaję, jest pustą przechwałką, lecz czyż koniecznie już tracić potrzeba — godność występku?“

wiesić sobie na piersiach żelazną koronę, albo zostać arcyskanclerzem, arcyskarbnikiem, hrabią i księciem. Sześć lat przedtem Barère był daleko głośniejszym od każdego z nich; a teraz, gdy ich uznawano godnymi przedstawiania majestatu Francji na dworach zagranicznych, gdy do ich złocistych przedpokojów cisnęły się tłumy z czołobitnością, on miałby przepędzać życie na odmierzaniu paragrafów i łajaniu korektorów! Tego było nadto. Usta, które nigdy dawniej nie umiały się złożyć na wymówienie: „Nie“, teraz wyszeptwały wyrazy wyrzutu i odmowy. „Nie mogłem, są własne jego słowa, nie mogłem się poniżyć tak dalece, abym rządowi Pierwszego Konsula miał posługiwać w roli gazeciarza, podczas gdy tylu miernych, niskich i służalczych ludzi, takich jak Treilhard, Roederer, Lebrun, Maret i wielu innych, których wymienić nie warto, pozajmowało najpierwsze posady w tym parweniuszowskim rządzie“.

Lecz ten wybuch animuszu nie trwał długo. Napoleon nie dał się ubłagać. Powiadają wprawdzie, że czas jakiś skłaniał się już na wpół ku przypuszczeniu Barèra do Rady Stanu; ale członkowie tego zgromadzenia stanowczo się oparli nowemu koleżeństwu, oświadczając, że mianowanie Barèra poczytywaliby wszyscy za hańbę dla siebie. Projekt więc skończył się na niczem. Odtąd już tylko jedna droga pozostawała dla Barèra do wkupienia się w łaski rządu: zrzuciwszy pychę z serca, trzeba mu było zapomnieć, iż onego czasu na jedno słowo jego zleciałyby głowy wszystkich trzech konsulów, a pokornie i skrzętnie zabrać się do komponowania paszkwilów na Anglię i panegiryków na cześć Bonapartego.

Utrzymywano nieraz, chociaż nie wiemy na jakiej zasadzie, że rząd używał Barèra nietylko jako pisarza, ale i jako cenzora. Zaprzecza on temu twierdzeniu w *Pamiętnikach*; ale czytelnik zgodzi się zapewne z nami, iż zaprzeczenie to wcale kwestyi nie zmienia.

Barère zaczął miewać, to co grzecznie nazywa się: „stosunkami z policją.“ Nie jesteśmy pewni czyśmy powzięli sami i czy potrafimy dać dokładne wyobrażenie o naturze nowego tego zawodu Barèra, bo w naszym kraju należy on do rzeczy nieznanych. Zdarzało się wprawdzie często w Anglii, że o przedsięwzięciu spisku donosił jeden z jego uczestników; że czasami zalecano donosicielowi, aby nie dawał o tem do zrozumienia innym, chcąc tym sposobem doprowadzić knowania do stanu dojrzałości: ale zwykle, zaraz po spełnieniu zlecenia, starają się tego, co wydał, usunąć z oczu publiczności, wysyłając go do jakiej zapadłej okolicy, albo odległej osady. Pomimo to używanie donosicieli jest w Anglii niepopularnem do najwyższego stopnia; ale zawiadamiacz polityczny z powołania jest istotą od jakiej wyspa nasza równie jest wolną jak od wilków. We Francji gatunek ten dobrze jest znany, a nigdy nie był on liczniejszym, cheiwszym, przebieglejszym i dzikszym niż za rządów Bonapartego.

Pojęcie nasze o jegomości zostającym w stosunkach z policją konsularną, a później cesarską, może być niedokładnem: bądźco bądź jednak postaramy się je przedstawić czytelnikowi. Wyobrażamy sobie figurę porządnie ubraną, mającą słodki głosik i miłutkie obejście; opinie jej nie różnią się od przekonań towarzystwa, w którym się znajduje, są tylko troszkę wydatniejsze. Często ubolewa ona z miną szlachetnego oburzenia, że to, co się mówi w prywatnej rozmowie, nieraz dziwnym sposobem dochodzi do uszu rządu i ostrzega znajomych, aby się mieli na baczność rozmawiając z osobami niezupełnie pewnymi. „Co do mnie, dodaje, nigdy się nie mogę powstrzymać od wypowiedzenia tego, co myślę, i dlatego-to dotychczas nie jestem prefektem departamentu.“

Taki jegomość słyszy, na przykład, w galerii Palais-Royal dwu przyjaciół żywo rozmawiających o królu i hrabi Artois. Idzie więc za nimi do kawiarni, siada niedaleko od nich przy stoliku; każe sobie podać filiżankę kawy i kieliszek koniaku, bierze gazetę i wydaje się zajętem nowinami. Sąsiedzi rozmawiają dalej bez żadnej ceremonii używając wyrażen dowodzących gorącego przywiązania do rodziny wygnanej. Wychodzą, a nasz jegomość dąży opodal trop w trop za nimi przez ulice i bulwary aż do ich mieszkania; tam dowiadyuje się u stróża o ich nazwiska, i od tego dnia każdy list adresowany do jednego z nich bywa otwieranym i posyłanym z poczty na policję; rząd wie już z kim korespondują i starannie czuwa nad nimi—i takim sposobem kilka ucziwłych rodzin, w różnych okolicach Francji, znajduje się, ni ztąd ni zowąd, pod dozorem i niełaską rządu, ani się domyślając czem mu się mogły narazić. Potem, jednego z podejrzanych oddalają z urzędu, a drugi dowiadyuje się z przerażeniem, że wiele obiecującego syna jego wyprawiono ze szkoły politechnicznej.

To znowu niezmordowany sługa ojczyzny spotyka się ze starym republikaninem, którego czas nie zmienił, który oplakuje czerwone czapki i drzewa wolności, który nie przestał tykać w rozmowie i kończyć listów słowami: „Pozdrowienie i braterstwo.“ Do ucha tego niezłomnego polityka przyjaciół nasz wlewa długą skarg litanie: „Co za czasy przekłete! Co za zmiany od tej pory, gdy Góra rządziła Francją! Cóż to jest pierwszy konsul? Król pod nowem nazwaniem! Co to jest legia honorowa? Nowa arystokracja! Stare przesady odżyły wraz z dawnym despotyzmem. Robią konkordat z papieżem, a księżom płacą pensję. Mnóstwo szlachty powraca z emigracyi i lepiej ją w Tuileryach przyjmują niż ludzi z Dziesiątego Sierpnia. Tak być dalej nie może. Cóż po życiu bez wolności? Śmierć nie przeraża prawdziwych patriotów.“ Na to stary Jakobin zapala się, składa i przyjmuje pocałunek braterstwa, napomyka, że niezadługo będą wielkie nowiny i że potomstwo Harmodyusza i Brutusa jeszcze nie wygasło. Nazajutrz

siedzi już w więzieniu, a wszystkie jego papiery znajdują się w rękach rządu.

Poniżył się więc teraz Barère do takiego powołania, obok którego stan żebraka, rzeźmiesza, stręczyciela — jest jeszcze zaszczytnym. Stałym było jego zwyczajem, przystępując do nowego stronnictwa, opłacać wpisowe głowami przyjaciół. Z początku był royalistą: zmazał tę winę podlewając drzewo wolności krwią króla. Potem należał do Żyrondy: odpokutował ten grzech mordując Vergniauda i Gensonnégo. Nadskakiwał Robespierrowi aż do 8 termidora, poczem obmył się ze zmazy wnosząc, aby go ścięto bez sądu. Teraz zaciągnął się na służbę nowej monarchii i zaraz przystąpił do prześlągania jej za swe kacerstwo republikańskie wysyłając kilka głów republikańskich pod nóż gilotyny.

Pomiędzy najbliższymi jego towarzyszami był pewien Gaskończyk, nazwiskiem Demerville, używany do bardzo poufnych posług za Komitetu Ocalenia Publicznego. Był on fanatycznie przywiązany do zasad jakobińskich i wspólnie z innymi zapalciecami tegoż rodzaju uknuł spisek na pierwszego konsula. Kiedy rozmawiał z Barèrem wymknęło mu się słówko o tem sprzysiężeniu. Barère doniósł o tem Lannesowi, który dowodził strażą konsularną. Demerville (1) został uwięziony osądzony i ścięty, a pomiędzy świadkami stawającymi przeciwko niemu figurował i jego przyjaciel Barère.

Opowiadanie, które nam zostawił Barère o tych sprawach, namiętnie jest zawikłane i grubo nierzetelne. Zdaje się nam jednak, że w tym sztucznym zamęcie i licznych fałszach domać się możemy nieco prawdy, którą ukryć usiłował. Nie wątpimy, że rząd podejrzewał go o to, co Włosi nazywają podwójną zdradą. Takiego rodzaju podejrzenie bardzo naturalnie mogło padać na niego; niedawnymi bowiem czasy jeszcze żarliwie wygłaszał jakobińską zasadę, iż ten, kto zabija tyrana, zasługuje na większą chlubę, niż ten, kto ratuje współobywatela. Możliweż-to było rzeczą, aby członek Komitetu Ocalenia Publicznego, zabójca króla i królowej, miał naprawdę wydawać w ręce kata swoich dawnych sprzymierzeńców, swoich serdecznych przyjaciół za to tylko, że zamierzali dokonać czynu w najwyższym stopniu cnotliwego i zaszczytnego, według słów własnych jego karmaniol? Czy nie było podobniejszem do prawdy, że sam on należał do spisku, a do nosił o nim jedynie na to, aby uspić lub zbałamucić policję? Jakoż wysłano szpiegów na szpiega; kazano mu opuścić Paryż i aż do dalszego rozporządzenia nie zbliżać się więcej nad dwadzieścia mil ku stolicy; myślano nawet nienależąco wysłać go wraz z kilku dawnymi przyjaciółmi na Madagaskar.

(1) Służył za rewolucyj Komitetowi Ocalenia Publicznego. Współnikami jego byli: Lebrun, Ceracchi i Diana.

Wkrótce jednak o tyle już pogodził się z rządem, iż mu pozwolono przez lat kilka mieszkać spokojnie w Paryżu, a nawet zaczęto go używać do najniższych posług politycznych. — Latem r. 1803, gdy właśnie wybierał się w podróż na południe Francji, otrzymał list, który zasługuje tu na zamieszczenie; napisał go Duroc, który, jak wiadomo, cieszył się wielkimi względami i zaufaniem Napoleona.

„Pierwszy konsul, pisał Duroc, dowiedziawszy się, że obywatel Barère zamierza wyjechać na prowincję, życzy sobie, aby obywatel ten pozostał w Paryżu.

„Obywatel Barère będzie cotydzien pisywał sprawozdania o stanie opinii publicznej w przedmiocie postępowania rządu i wogóle o wszystkim, co w mniemaniu jego mogłoby być zajmującym dla pierwszego konsula...

„Pisać może z zupełną swobodą.

„Sprawozdania swoje składać ma zapieczętowane do rąk własnych generała Duroca, a ten wręczać je będzie pierwszemu konsulowi. Niebędnie jest jednak potrzebnem, aby nikt się nie domyślał istnienia tych stosunków; jeżeli bowiem obudzą się w publiczności tego rodzaju podejrzenia, pierwszy konsul przestanie przyjmować sprawozdania obywatela Barèra.

„Wypada także, aby obywatel Barère często zamieszczał w dziennikach artykuły dążące do podniesienia ducha publiczności, szczególnie przeciwko Anglikom.“

Przez kilka lat Barère spełniał obowiązek, jaki nań pan jego włożył: nosił cotydzien do Tiuleryów sekretne raporta, napelnione ehami gawęd kawiarnianych. Przyjaciele jego zapewniali, że szkodził, ile mógł, powracającym wychodźcom. Jeżeli tedy Napoleon nie był dostatecznie zawiadomiony o każdej plotce i szykanie na system cesarski, wychodząc z ust starych markizów bez majątku i starych księży bez prebend, to już chyba nie było winą Barèra. Przykro widzieć, iż pan Hipolit Carnot do tego stopnia zaślepią się duchem stronnictwem, że zdaje się, jakgdyby zaliczał tę brudną złośliwość do rzędu wysokich zasług publicznych swojego bohatera.

W tym samym czasie był Barère niezmordowanym napoldziennikarstwem i pamfletów. Założył gazetę, z dążnością skierowaną przeciwko Anglii, a pod nazwą: *Mémorial Antibritannique*. Zamierzał napisać dzieło pod tytułem „Francya uświatniona i podniesiona do wielkości przez Napoleona.“ Po ustanowieniu cesarstwa, dawny królobójca odznaczył się nawet w licznej rzeszy pochlebców szczególną obmierzłością swego nadskakiwania. Przetłómaczył na francuzkie nędzny zbiorek wierszy włoskich pod tytułem: „*Korona poetyczna, ułożona na pamiątkę wstąpienia na tron Napoleona Pierwszego*“

przez pasterzy arkadyjskich.“ Rozpoczął nowy szereg karmanioł, wielce różnych od tych, jakie niegdyś zachwycaly Górę. Tytuł „Cesarz Francuzów“, powiadał, jest lichy; Napoleon powinien się nazywać „Cesarzem Europy.“ „Król Włoski“ brzmi zbyt pokornie; imię Napoleona musi być: „Król Królów.“

Niewiele jednakże powodzenia doznawał Barère w obu zawodach: i jako pisarz i jako tajny działacz mało przynosił korzyści. Uskarża się też gorzko, że dziennik jego szczerpł, miał liczbę prenumeratorów. Gdy *Journal des débats*, kwitnący naówczas pod zręcznym kierunkiem Geoffroy'a, rozchodził się w liczbie przeszło dwudziestu tysięcy egzemplarzy, *Mémorial Antibritannique* nigdy, w najpomyślniejszej chwili, nie miał więcej nad półtoratysiąca przedpłatników, a i ci, prawie bez wyjątku, byli-to ludzie daleko od Paryża zamieszkali, zapewne Gaskończycy, na których nie utraciło jeszcze pewnego wpływu nazwisko Barèra.

Pisarz niemogący znaleźć czytelników przypisuje zwykle obojętność ogółu najrozmaitszym przyczynom, lecz nigdy rzeczywistej; Barère nie stanowił wyjątku od tej ogólnej zasady. Dawna jego nienawiść ku Paryżowi ożyła z całą wściekłością. „To miasto, powiada, nie ma żadnych uczuć dla Francji. Żaden Paryżanin nie chce trzymać dziennika, który zajmuje się prawdziwymi potrzebami i interesami kraju. Dla Paryżanina niema nie śmieszniejszego nad patriotyzm. Wyższe warstwy stolicy zawsze oddane były Anglii. Przyjmują one lepiej kaprała z Londynu niż generała francuzkiego. Dziennik przeto napadający na Anglię nie ma przed sobą żadnych widoków, aby mógł znaleźć ich poparcie.“

Lepsze wytłómaczenie niepowodzenia tej gazety podał Bonaparte na wyspie S. Heleny. „Barère, — mówił on do O'Meary, — miał opinię zdolnego człowieka; ale ja tego nie powiem. Używałem go do pisania; lecz nie okazywał talentu. Pełno kwiatów retorycznych, a żadnych dowodów gruntownych; same *coglionerie* (bzdurstwa), poobwijane w górno-lotne frazesy.“

Wistocie, Barère chociaż miał sprytu niemało i robił żwawo to, co robić umiał, nigdy jednak nie był dobrym pisarzem. Za czasów swojego panowania przyzwyczaił się przemawiać do słuchaczy wrażliwych i to o rzeczach łatwo pobudzających. Usterki stylu przechodziły niepostrzeżone, gdyż były-to czasy takliterackiego jak i politycznego rozpasania, kiedy patryocie wolno było lekceważyć zarówno zwykłe prawa widła pisania jak i powszechne zasady prawa i moralności społecznej. Ale teraz nastąpiło oddziaływanie i w literaturze i w polityce. Znalazł się nanowo tron i dwór; wróciły urzędy, duch rycerski, hierarchia; ożył przy nich i smak klasyczny. Oddawano znowu cześć prozie Pascala

i Massillona, wierszom Racina i Lafontaine. Krasomówstwo, które zachwycalo ongi galerie Konwencji, wydawało się teraz nietylko tak przestarzałem jak język *Villehardouina* i *Joinville*,⁽¹⁾ ale łączyło się w umysłach publiczności z okropnymi wspomnieniami. Wszystkie przymioty Anakreona gilotyny, jego wyrazy nieznane słownikom Akademii, jego koncepta i żarciki, jego prowincjonalizmy gaskońskie i gaskońska przesada — tak się teraz wstrętnymi wydawały, jak w Anglii po restauracji szwargot purytanów.

Bonaparte, który nigdy nie lubił ludzi z czasów terroryzmu, teraz już przestał się ich obawiać. Był już teraz wszechwładnym i u szczytu sławy; oni — słabemi i powszechnie nienawidzonymi istotami. Był monarchą i zamyślał już bodaj o związaniu się przez małżeństwo z jakim domem monarszym. Nie chciał więc w nowym swem położeniu utrzymywać stosunków z najwstrętniejszym rodzajem Jakobińców. Gdyby pomoc literacka Barèra niezbędną była dla rządu, możeby wstręt osobisty ustąpił względem politycznym; lecz obecnie nie było żadnego powodu do robienia ceremonii z nędznym człowiekiem, który do tego jeszcze okazał się nędznym pisarzem. Bonaparte przeto nie krępował się w uczuciach: nie usunął Barèra delikatnie, nie wyprawił go dokądś na zaszczytny odpoczynek, ale wręcz odtrącił go i wypędził jak psa natrętnego. Barère zazwyczaj posyłał codziennie sześć egzemplarzy swojego dziennika na pięknym papierze do Tiule-ryów. Zamiast podziękowań i pochwał oczekiwanych, przyniesiono mu pewnego razu suchy rozkaz wielkiego człowieka, aby nadał przysyłał po jednym tylko egzemplarzu. Pomimo to pracował dalej i cieszył się nadzieją, że wreszcie Napoleon się ułagodzi i że kiedyś nareszcie jakitaki udział w dostojnościach rządowych wynagrodzi tyle okazanej pilności i uległości. Został jednakże gorzko zawiedzionym. Według ustawy cesarstwa, zgromadzenia wyborcze departamentów nie miały prawa obierania senatorów i deputowanych; wolno im było tylko przedstawiać kandydatów; z pomiędzy nich cesarz mianował członków senatu, a senat członków Ciała Prawodawczego. Mieszkańcy departamentu Hautes-Pyrénées, rzecz dziwna, żywili dotąd pewną przychylnością dla Barèra. W r. 1805 gotowi już byli przedstawić go na kandydata do senatu. Napoleon, dowiedziawszy się o tem, wyraził najżywsze niezadowolenie i nakazał przewodniczącemu na wyborach oświadczyć wyborcom bez ogródek, że wybór taki byłby hańbą dla departamentu. Zaniechano więc wszelkiej myśli mia-

(1) *Villehardouin*, kronikarz wojen krzyżowych, a mianowicie zdobycia Stambułu przez Franków (1150—1213, daty przybliżone). *Joinville* (1223—1317) autor *Pamiętników* z epoki Ludwika Świętego. Obaj uczestniczyli w wypadkach, które opisują. Obaj mają wielkie znaczenie w historii literatury francuzkiej.

mianowania Barèra kandydatem do senatu. Ale ludność miasteczka Argèles odważyła się pomimo to wyznaczyć go na kandydata do Ciała Prawodawczego. Zgromadzenie to zgoda było pozbawionem powagi i godności; nie miało prawa dyskusji; jedynem jego przeznaczeniem było mileżące przyjmowanie lub odrzucanie wniosków rządowych. Nie łatwo pojąć jak człowiek, co zasiadał w wolnych i wielowładnych zgromadzeniach, mógł się poniżyć do uczestniczenia w takiej komedii. Barère jednakże pragnął mieć udział chociażby i w tej parodii prawodawstwa; ale i tego mu odmówiono. W całym senacie nie dostał ani jednego głosu.

Wolno mniemać, że podobne obejście się obudziłoby w najędzniejszym z ludzi niezadowolenie. Barère jednak płaszczył się i przypochlebiał dalej. Sprawozdania jego cotydzien przychodziły do Tuileryów aż po rok 1807. Nareszcie, właśnie, gdy pisał dwieście trzecie z porządku, podano mu liścik; pochodził on od Duroca i był bardziej dobitny niż grzeczny: proszono go, aby zaprzestał posyłania raportów do pałacu, bo cesarz zbyt wiele miał zajęć, aby mógł je czytywać.

Przysłowie indyjskie powiada, że *pogarda przebijana nawet skorupę żółwia*; nie dziw przeto, że i zaskorupiałe serce Barèra uczuło się do żywego dotknięciem taką pogardą ze strony dworu. Toć przecież upokorzył się był, toć w prochu się tarzał, — i wszystko nadaremnie. Był niegdyś jedynym z pierwszych w rządzie wielkiego i zwyciężkiego państwa, uniżył się potem do służenia komuś innemu, i to w najpodlejszych obowiązkach, a teraz powiadano mu, że nawet i na tem stanowisku nie wart jest okruszyn, które mu pogardliwie rzucano. Czuł się zepchniętym niżej poziomu tych nawet najemników, których rząd używał do najnikczemniejszych posług. Stał bez roboty na rynku, nie dlatego, żeby uważał jakakolwiek robotę za zbyt hańbiącą, ale dlatego, że nikt nie chciał go nająć.

Powinien się być jednak mieć za szczęśliwego, bo gdyby wiedziałno wówczas to wszystko, co później sam wyznał w *Pamiętnikach*, otrzymałby wcale inne oznaki niezadowolenia cesarskiego. Dowiadujemy się od niego, że podczas gdy codzien zapełniał kolumny całe pochlebstwami dla Bonapartego, podczas gdy codydzien wysyłał potwarcze wiadomości do Tuileryów, właśnie wtedy w ścisłych zostawał stosunkach z działaczami, których cesarz Aleksander, naówczas wcale nie przychylnie usposobiony ku Francji, trzymał do czuwania nad wszystkim, co się działo w Paryżu. Barère czytywał potajemne depesze tych działaczy i udzielał im wskazówek codo usposobienia publiczności i charakteru Napoleona, wmawiając w nich z całej siły, iż rząd bardzo był nietrwałym i że nowy władca wcale nie jest tak wielkim politykiem i wojownikiem, jak to świat mniemał. Tenże Barère, pochlebca i donosiciel dworu cesarskiego, wkrótce takie same stosunki zawiązał i z posłem hiszpańskim. Przyznaje się, że miał z tym dostojnikiem

związki, które z największym tylko mozolem ukrywać mógł przed własnym swym rządem; że się z posłem widywał dwa razy na dzień i że rozmowa z nim toczyła się głównie naokoło niegodziwości Napoleona, jego zamiarów przeciw Hiszpanii i najskuteczniejszych sposobów do ich zniweczenia. Zaprawdę, nikczemność Barèra była niezgłębioną. W najgłębszych otfłaniach hańby znajdował jeszcze głębsze. Złe jest być zausznikiem; złe jest być szpiegiem. Ale nawet pomiędzy zausznikami i szpiegami są stopnie poniżenia. Najędzniejszym zausznikiem jest taki, co pokryjomu szkaluje swego pana; najpodlejszym szpiegiem zaś ten, co służy cudzoziemcom przeciw własnemu krajowi.

Od roku 1807 do 1814 Barère żył zapomniany, wymysławiając z goryczą, na jaką starczyło jego tehrzliwą aż do podłości naturę, na rząd cesarski i miewając czasami niemiłe zajęcia z policją. Po powrocie Burbonów, jak tego można się było spodziewać, został royalistą i napisał pamflet malujący okropność stanu, z jakiego restauracya wyzwoliła Francję a uwielbiający mądrość i dobroć, które wydały z siebie *Akt konstytucyjny*. On, co głosował za śmiercią Ludwika i wniósł dekret nakazujący proces Maryi Antoniny — on, którego nienawiść ku monarchii uniosła aż do wojowania z grobami dawnych królów: on upewnia nas z wielkim zadowoleniem, że „w piśmie tem zasady monarchiczne i przywiązanie do domu Burbonów szlachetnie są wyrażone.“ Odstępstwem tem nie nie zarobił, ani nawet na większą bezecność: charakter jego był już zbyt czarnym, iżby się mógł stać jeszcze czarniejszym.

Podczas Stu Dni wynurzył się znowu na bardzo krótki czas na jaw życia publicznego. Okrąg rodzinny wybrał go na członka Izby Reprezentantów. Lecz jakkolwiek zgromadzenie to składało się w znacznej części z ludzi patrzących na sprawki Jakobinów z pobłażaniem, Barère był tam przedmiotem powszechnej odrazy. Kiedy prezydent po raz pierwszy oznajmił izbie, że pan Barère prosi o głos, szmer oburzenia przebiegł po ławkach. Po bitwie pod Waterloo Barère zaproponował, aby izba ocaliła Francję od zwyciężkich wrogów ogłaszając odezwę o wawozie termopilskim i o lacedemońskim zwyczaju strojenia się w kwiaty w chwilach ostatecznego niebezpieczeństwa. Czyby ukazanie się ramoty tego rodzaju powstrzymało angielskie i pruskie zastępy: różne wolno nad tem czynić domysły; ale izba odmówiła przyjęcia ostatniej karmanioli Barèra.

Cesarz abdykował: Burboni wrócili. Po kilkotygodniowem paradytowaniu Konwencyi narodowej, Izba Reprezentantów rozeszła się ze słuszną pozyskaną reputacyą najnieudolniejszego ze zgromadzeń politycznych, jakie kiedykolwiek zasiadały we Francji. Składający ją pedanci-marzyciele i gaduły ani na chwilę nie zrozumieli swojego położenia; nie byli w stanie pojąć, że należało albo przejednać, albo zwy-

ciążyć Europę; że przejednać ją można było jedynie przywracając na tron Ludwika, pokonać zaś jedynie—powierzając władzę dyktatorską Napoleonowi. Nie chcieli znać Ludwika, ale zarazem ani słuchać nie chcieli o środkach, któreby mogły zapobiedz jego powrotowi. Obudzili nieprzyjaźń wszystkich państw europejskich wynosząc Napoleona, któremu mimo to stawiali zapory, dręcząc go sprzeczkami okazałą drobnostką, dopóki wreszcie nie opuścili go za pierwszym niepowodzeniem. Potem, przeciwko ośmiunkroćtysięcom bagnatów wysyłali swe deklamacje i rozprawy; bawili się fabrykowaniem konstytucji dla kraju, podczas gdy sam byt jego zależał od łaskawości zwycięzców; aż nakoniec te paplaniny o prawach człowieka i wszechwładztwie ludu przerwali im żołnierze Wellingtona i Blüchera.

Wybrano nową Izbę Deputowanych, tak zawzięcie nieprzyjawną rewolucji, że bez żartu można się było obawiać nowego terroryzmu. Przyznać wszelakoż należy, iż król, ministrowie i stronnicy jego wszelkich usiłowań dokładali dla powstrzymania zagorzałych royalistów; oraz, że prześladowania, acz w naszych oczach niedające się usprawiedliwić, były nieliczne i łagodne w porównaniu z tem, czego się domagali tacy panowie de Labourdonnaye albo Hyde de Neuville⁽¹⁾. Słyszeliśmy nieraz i gotowi jesteśmy wierzyć temu, iż nawet względem królobójców rząd nie chciał okazywać surowości. Ale na tym punkcie właśnie uczucia izby deputowanych taką gorzały zawziętością, iż musiano im poczynić pewne ustępstwa. Postanowiono tedy, iż ktokolwiek głosował w Styczniu 1793 r. za śmiercią Ludwika XVI, lub też w jakikolwiek sposób popierał rządy Bonapartego podczas Stu Dni, ma być skazanym na dożywotnie wygnanie z Francji. Barère należał do tej kategorii. Wotował za ścięciem Ludwika i zasiadał w Izbie Reprezentantów podczas Stu Dni.

Musiał zatem usunąć się do Belgii, i tam, zapomniany od całego świata, przebywał do r. 1830. Po rewolucji lipcowej odzyskał wol-

(1) Hr. Labourdonnaye Franciszek ur. 1767 r. zrazu nieprzyjaciół rewolucji, później uznał konsulat i dopiero po restauracji wystąpił jako żarliwy royalista. Należał on do najgwałtowniejszych mówców w Izbie, która wślawiła się swoim wstecznictwem. Nazywano go „Białym Jakobinem”. Po r. 1830 usunął się z życia publicznego. Zmarł 1839 r.

Hyde de Neuville Jan Wilhelm, ur. 1776 r. Trzymał się zawsze po stronie royalizmu. Ludwik XVIII miał do niego wielkie zaufanie, do posłańctwa go używał i stałe poselstwa mu powierzał. Za gorliwe służby swoje został hrabią francuskim, a za podobanie się dworowi lisbońskiemu portugalskim hrabią Bemposta. Po r. 1830 podobnie jak i L. wyszedł ze służby publicznej.

Obaj byli ministrami: L. w r. 1829 ministrem spr. wewnętrznych, H. rokiem wcześniej—ministrem wojny. O oba znaleźć można bliższe szczegóły w pomnikowym dziele Ludwika Viel-Castel'a: „L'histoire de la restauration”, nad którym autor ciągle jeszcze pracuje, doprowadziwszy je już do kilkunastu tomów.

ność powrotu do Francji i osiadł w okolicy rodzinnej. Wkrótce jednak uwikłał się w nieskończone procesy z najbliższym rodzeństwem, „trzema nieszczęsnymi siostrami i niewdzięcznym bratem,” jak się sam o nich wyraża. Nie mamy możności osądzenia: kto miał słuszość; nie możemy też Barèrowi uwierzyć na słowo. Zdaje się, że sąd niektóre jego i niektóre przeciwników pretensje uznał za uzasadnione; wnosie więc można, że obie strony niezupełną miały słuszość. Skutek prawowania się był taki, że starzec doprowadzony został do zupełnego ubóstwa i musiał sprzedać dom, który miał po rodzicach.

Ile sądzić możemy z niewielu faktów, które do wspomnienia tu pozostają, Barère nie przestawał być Barèrem aż do końca. Na wygnaniu został znów jakobinem, a po powrocie do Francji przyłączył się do skrajnej lewicy: piorunował na Ludwika Filipa i jego ministrów. Panowie Kazimierz Périer, de Broglie, Guizot, a szczególnie Thiers, mieli zaszczyt znoszenia obelg jego; samego króla podawał w ohydę jako obłudnego tyrana. Nie przeszkadzało mu to jednak z prywatnej szkatuły monarchy, którego nienawidził i czernił, pobierać tysiąc franków rocznego wsparcia. Pensyjka ta wespół z sumkami udzielanymi mu kiedyniekiedy z ministerstwa spraw wewnętrznych, jako podupadłemu literatowi, oraz z ministerstwa sprawiedliwości, jako byłemu wyższemu urzędnikowi sądowemu, uwalniała go od konieczności żebrania na chleb powszedni. Przeżywszy wszystkich kolegów z przesławnego Komitetu Ocalenia Publicznego i prawie wszystkich z Konwencji, umarł Barère w styczniu 1841 r. mając ośmdziesiąt sześć lat życia.

Przedstawiliśmy tedy oczom czytelników to, cośmy uważali za prawdziwy obraz życia tego człowieka. Czy potrzebujemy coś jeszcze dodawać, aby im dopomódz do osądzenia charakteru Barèra? Gdybyśmy pisali o którym z towarzyszy jego w Komitecie Ocalenia Publicznego, o człowieku takim jak Carnot, Robespierre, St.-Just, o takim nawet jak Couthon, Collot albo Billaud, możebyśmy czuli potrzebę wszechstronnego zbadania dowodów, które przytaczano na obronę lub uniewinnienie systemu terrorystycznego. Zdaje się, iż zdołalibyśmy wykazać, że Francja ocalała od obcego najazdu nie przez terroryzm, ale pomimo niego; oraz, że niebezpieczeństwa, któremi osłaniają, jakby płaszczykiem, bezprawną politykę Góry, w znacznym stopniu wytworzyły się właśnie skutkiem tej polityki. Potrafilibyśmy także wykazać, że złe sprawione rządami Jakobinów nie ustało z ich upadkiem, że przekazało Francji i Europie wieloliczne klęski; że opinia publiczna, przywyklszy przez ciąg dwu pokoleń do coraz-to wyraźniejszego sprzyjania wolności cywilnej i religijnej, pod panowaniem terroryzmu uległa zmianie, której ślady dotychczas wyraźnie się przebijają. Zmiana zaś ta była konieczną, gdy ujrzano, iż tacy, co nazywali siebie zapaśnikami praw ludu, w ciągu dwunastu miesięcy dopuścili się więcej zbrodni niż królowie francuzcy z rodu Merowingów, Karlowingów i Kapetyngów

razem wzięci popełnili ich przez ciąg dwunastu wieków. Poczęto uważać wolność za wielkie złudzenie. Poddawano się chętnie rządowi królów dziejących, szczęśliwych wojowników, szlachty, duchowieństwa, byle nie filozofów i filantropów. Ztąd powstał despotyzm cesarstwa, ze swą niewolniczą prassą i niemą mównicą, z więzieniami surowszemi od Bastylii, z trybunałami uleglejszemi od dawnych parlamentów. Ztąd wyniknął powrót Burbonów i Jezuitów, izba z roku 1815 ze swojemi listami proskrypcyi, wskrzeszenie ducha feudalnego, roszczenia duchowieństwa, prześladowanie protestantów, pojawienie się nowego pokolenia Montfortów i Dominików ⁽¹⁾ pod jasnym słońcem dziewiętnastego wieku. Ztąd wynikło przypuszczenie Francyi do Świętego Przymierza i wojna prowadzona przed weteranów trójkolorowej chorągwi przeciw swobodom Hiszpanii. Ztąd wynikła wreszcie obawa, z jaką dzisiaj jeszcze ci, co najbardziej są zainteresowani w utrzymaniu porządku i własności, spozierają na najumiarkowańsze zachęcenia zmierzające do rozszerzenia ciasnego koła przedstawicielstwa we Francyi. Pół wieku nie wystarczyło na starcie plamy, jaką jeden rok bezprawii i szaleństw skaził najwznioślejszą sprawę.

(1) Zestawienie Montforta z Dominikiem wymaga pewnego wyjaśnienia. Obaj wprawdzie jednocześnie i pod jednym sztandarem przeciwko Albigensom działali, lecz nie działali jednakowo. Dominik już na kilka lat przed Montfortem i legatami papieżki przebiegał południową Francję, zyskując prozelitów dla katolicyzmu, nie mieczem lecz słowem, i takie właśnie nawracanie było jego założeniem. Jako gorliwy o wiarę chciał on środkami, jakie wiara dawała, na rozumianą przez siebie jedyną drogę zbawienia niewiernych wprowadzić. Posłannictwo jego było dobrowolnem; żadnego związku z zamierami Inocentego III nie miało: obaj nie znali się nawet, nie wiedzieli o sobie, kiedy D. propagandę katolicyzmu rozpoczynał za Pyrenejami. Co innego Montfort: ten wespół z takim potworem jak Arnold, sprawca rzezi w Beziers, nie nawracał ani chciał nawracać, ale mordować chciał i mordował. Dominikowi szło o wiarę i zbawienie—Montfortowi o przełamanie oporu siłą, bez względu na rację oporu i cel przełamania, głównem zaś jego dążeniem było odniesienie osobistych korzyści. Ten ostatni względ czyni Montforta niegodziwcem. I poza obrębem chciwości jeszcze namiętność gnająca Montforta była czysto świecka: wystąpiła jako okrucieństwo niezależne od danych wierzeń religijnych; namiętność Dominika przeciwnie, nigdy swego charakteru religijnego nie utraciła, działając też nieskończenie wyższymi środkami. Winą Dominika niezaprzeczoną jest zsolidaryzowanie się z najhambniejszą wyprawą krzyżową, jaką świat widział, i korzystanie z rzezi dla celów nawracania. Zarzut wynalezienia i wprowadzenia Inkwizycyi Świętej (nazwa prawdziwie bluźniercza) lekkomyślnie tylko do pamięci, jaką święty Dominik po sobie zostawił, przypieciono. Kiedy bowiem nawracacz Albigensów zakładał swój zakon jeszcze ani mowy nie było o inkwizycyi jako stałym zajęciu Dominikanów. Inocenty III powierzał wówczas inkwizycję biskupom, a w dwanaście lat dopiero po śmierci Dominika ś. zakon, który się miał kaznodziejskim nazywać, przyjął rolę wielkiego kata chrześcijaństwa. Nawet Fr. Laurent, jawny wróg Kościoła i mylnie ś. Dominikowi okrucieństwo w charakterze przypisujący, nie śmie oskarżyć go o wynalezienie inkwizycyi. (*Études sur l'hist. de l'hum. T. VI, str. 459*). Do rozjaśnienia roli odegranej przez D. w wojnie Rzymu z Albigensami przyczynić się może wielce dzieło Lacordaire'a: „*La vie de St. Dominique*“.

Niemą nie śmieszniejszego nad sposób, w jaki pisarze z rodzaju p. Hipolita Carnot biorą w obronę lub uniewinniają rządy jakobińskie, wyrzekając zarazem na nastalą po nich reakcję. Ze reakcyą sprawiła i sprawa jeszcze wiele złego, to zupełna prawda. Ale co ją sprowadziło? Sprężyna odskakuje z równą siłą, z jaką ją naciśnięto. Wahadło puszczzone w jedną stronę bieży tyleż w drugą. Po wesołym podchmileniu się z wieczora, nazajutrz rano następuje ekliwiczność i znużenie. Tak samo i w polityce panuje nieprzeparte prawo, że każde nadużycie, wywołuje oddziaływanie; nie zasługuje przeto na nazwę polityka ten kto wymierzając wielki cios nie oblicza siły odbicia. Ale takie rozumowania zgola niedostępni były dla sprawców terroryzmu. Gwałty i jeszcze gwałty, krew i jeszcze krew,—to była cała ich sztuka rządzenia. W ciągu kilku miesięcy zdołali ci biedacy wywołać taką reakcję, że końca jej nikt z nich i nikt z nas nie jest w stanie przewidzieć; wywoławszy ją, dziwili się jej, płakali nad nią, przeklinali ją, szukali przyczyn jej we wszystkim,—nie chcieli tylko poszukać przyczyny we własnym swem zepsuciu i zupełnej nieudolności do kierowania sprawami kraju.

Są to wszelakoż roztrząsania, do których nateraz chyba nie potrzebujemy się uciekać, bo czy powyższa obrona Jakobinów dobrą jest, czy złą, nie to nie pomoże Barèrowi. Własne życie jego, własne pióro, słowa własne dają nam dowód, że udziału, jaki przyjmował w krwawem dziele, niepodobna przypisać ani szczeremu fanatyzmowi, ani nawet źle skierowanemu i niepomiarowanemu patryotyzmowi; lecz tylko albo tehcórowstwu, albo rozkoszy napawania się nieszczęściami bliźnich. Chcianożby utrzymywać, że Barère z miłości dla kraju pomordował Żyryndystów? W tych samych *Pamiętnikach* powiada on nam przecię, że zawsze uważał śmierć Żyryndystów za największą klęskę, jaka spotkać mogła Francję. Chcianożby twierdzić, że przez patryotyzm domagał się głowy Austriaczki? Przecież w tych samych *Pamiętnikach* dowodzi on nam, że czas użyty na prześladowanie jej był czasem zmarnowanym i lepiej spożytkowanoby go naradzając się nad sposobami obronienia kraju. Chcianożby wierzyć, że ze szczerej i głębokiej odrązy ku monarchii dopuścił się stracenia żywego a znieważenia zmarłych królów?—on, co zachęcał Napoleona do przyjęcia tytułu „króla królów“; on, co upewnia nas, że po restauracyi w szlachetnych wyrażeniach odmawiał przywiązanie swe ku monarchii i domowi Burbonów? Gdyby był mniej podły, możnaby cokolwiek powiedzieć na uniewinnienie jego okrucieństwa. Gdyby był mniej okrutnym, dałoby się coś wyrzec na złagodzenie jego podłości. Ale dla tego królobójcy i nadwornego szpiega, dla tego, co się wstawiał za Lebonem a zdradził Demerville; dla tego, co na przemiany wygłaszał gaskonady, to jakobińskie, to służalcze—jakąż znajdzie wymówkę nieograniczone nawet miłosierdzie?

Nie możemy zakończyć niepowiedziawszy słów kilku o dwu stronach charakteru Barèra; w oczach biografa jego, zasługują one na

wysokie uwielbienie. Barère, powiada p. Carnot, był nieco zmiennym: ale w dwu rzeczach odznaczył się stałością, mianowicie: w przywiązaniu do chrześcijaństwa i w nienawiści ku Anglii. Jeżeli tak było, wyznać musielibyśmy, że Anglia daleko więcej powinna być mu obowiązana niż chrześcijaństwo.

Być może, iż uczucia nasze są nam zamącają; zdaje się nam jednak, iż nie pochlebiamy sobietwierząc, że wstręt Barèra ku Anglii, był uczuciem o tyle głębokiem i stałym, o ile tylko dusza jego do uczuć takich zdolna była. Doniosłość tego komplementu zmniejsza się wprawdzie nieco okolicznością, iż bardzo mało wiedział on o nas. Nieznajomość naszych instytucyj, obyczajów i dziejów tem mniej wolno mu przebaczyć, ile że sam nas zawiadamia, iż podczas układów o pokój w Amiens często obcował ze znakomitymi Anglikami, jak na przykład z głośnym „lordem Greaten“ i z niemniej sławnym filozofem, p. „Manckenzie-Coefhis“⁽¹⁾. Pomimo jednak zażyłości z temi dobrze znanymi ozdobami naszego kraju, tak mało o nas wiedział, że wyobrażał sobie jakoby rząd nasz ciągle tylko przemysliwał nad tem jakby go dręczyć. Że go wygwizdali w Saintes prawdopodobnie tacy, którym krewnych pomordował — winien był temu gabinet londyński, bo przekupił motłoch. Żenik nie chciał czytać jego lichych książek — winien był temu gabinet St.-James, bo dał kubana krytykom. Cokolwiek mówi o Foxie, o Pitt'cie, o księciu Wellingtonie, o Canningu, mówi z błędami, które już przewyższają zwykłe pomyłki Francuzów piszących o Anglii. Powiada, na przykład, że Fox i Pitt byli ministrami podczas dwu różnych panowań; że Pitt na to założył fundusz umorzenia długów, aby Anglia miała z czego płacić zasilki państwu w walce z rzecząpospolitą; że dom księcia Wellingtona w Hyde-Parku wybudowany został przez naród, który dwakroć uchwalał na ten cel po 200.000 funtów sterlingów, oprócz opłaty fresków, którą również pokryto ze skarbu publicznego; że Canning pierwszym był Anglikiem, którego śmierć Europa słusznie opłakiwała, — bo zgon lorda Ward⁽²⁾ (zapewne jakiegoś kuzyna Lorda Greaten i pana Coefhis) był ogromnem dobrodziejstwem dla ludzkości.

Jakkolwiek ciemnym był w tych rzeczach Barère, dość jednak wiedział o nas, aby nas niecierpieć; sądźmy nawet, że gdyby znał nas lepiej, jeszczeby nas więcej nienawidził. Naród, który w tak bezprzykładny sposób zdołał pogodzić dobrodziejstwa wolności i porządku, słusznie-

(1) Wilhelm Guizot, tłumacz francuzki w tem miejscu objaśnia, iż nazwiska powyższe zostały sfabrykowanemi przez Barèra. Istotnie wynika to z samego tekstu Macaulaya. Niemożna powiedzieć, aby Barère tylko przeistaczał; nie, on wręcz zmyślał. Na kongresie w Amiens ze strony Anglii zasiadał lord Cornwallis.

(2) Nazwisko, podobnie jak dwa powyższe, zmyślone.

by mógł być przedmiotem wstrętu dla kogoś takiego, co się przeniewierzył zarówno sprawie swobody jak i porządku. Mieliśmy i my niepomiarowanych zagorzałców liberalizmu; mieliśmy i my zaciętych stronników tronu; ale nigdy nie byliśmy narażeni na oglądanie takich Barèrów z r. 1794, lub z r. 1804. W porównaniu z nim najzapaleńsi demagogowie nasi wydają się łagodnymi, a najpodlejsi dworacy — dzielnymi. Gdybyśmy mieszały Thistlewooda z Bubb'em Dodingtonem⁽¹⁾ dalekobyśmy jeszcze mieli do figury nakształt Barèra. Odrza dzieląca go od nas tak jest ogromną, iż język nasz, jakkolwiek bogaty, nie dostarcza nam odpowiedniego wyrazu na nazwanie zbrodni, które Barère popełnił tak w młodszej jak i w dojrzalszym wieku. Trudnoby nam było opowiedzieć dzieje jego bez ciągłego uciekania się do francuzkiego słownika Okrucieństwa i francuzkiego słownika Podłości. Niełatwo dać wyobrażenie o postępках jego w Konwency bez używania takich dobitnych słów jak: *guillotnade*, *noyade*, *fusillade*, *mitraille*. Niełatwo też utworzyć sobie pojęcie o zachowaniu się Barèra za konsulatu i cesarstwa bez zapożyczenia takich wyrazów, jak: *mouchard* i *mouton*.

Stokroć wolimy przeto te jego obelgi na nas od innych rzeczy, które popisał, i spoglądamy na nie nie tylko z upodobaniem, ale nawet z pewnym rodzajem wdzięczności. Wielkie wprawdzie zdziwiać on mógł dla podniesienia czei naszej ojczyzny; lecz, ile mógł, działał gorliwie i stale. Taki odstępcą, zdrajcą, słuzałcem, tchórzem, kłamcą, oszczercą, mordercą, bazgraczem, szpiegiem: oddać mógł jedyną przysługę Anglii, — nienawidząc jej: niech wszyscy, co jej nienawidzą, będą tacy jak on!

Nie możemy powiedzieć, abyśmy z równem zadowoleniem przyjmowali ową niezwykłą i stałą gorliwość dla religii, która, wedle słów pana Hipolita Carnot, znamionowała Barèra; mniemając bowiem, iż

(1) *Thistlewood*, awanturnik angielski, urodzony w r. 1772. Straciwszy wielką fortunę w zbytkach wszelkiego rodzaju, rzucił się w knowania demagogiczne. Raz uwięziony za stosunki z ludem roboczym w Spa-field w Londynie, zdołał się od kary uwolnić. Stał później na czele formalnego sprzysiężenia, którego celem było wymordowanie wielu członków państwowego zarządu państwa i wzniecenie powstania w Londynie (r. 1820). Podczas narady odbywanej na Cato-street policja zesłała spiskowców, a pomiędzy nimi i głównego przestępcę uwięziła. Cały spisek nosi nazwę ulicy, na której odkrytym został. *Thistlewooda* stracono dnia 1 maja 1820 r.

Bubb Dodington, George, urodzony 1691 r. wszedł już w r. 1715 do parlamentu. Zostawał w administracji centralnej państwa; posłował do Hiszpanii. Odznaczył się wielką zmiennością w zasadach politycznych, i jako człowiek publiczny był bez charakteru. Macaulay powołuje go tutaj jako uosobienie nikczemnego dworactwa. Za płaszczenie się swoje wynagrodzony został Dodington parostwem z tytułem *Melcombe-Regis* (miejscowość w hrabstwie Dorset, z kąd pochodził B.). Zmarł w r. 1762. Zostawił pamiętniki wydane w r. 1784. W życiu prywatnem odznaczał się B. nadspodziewanie dobrą przysiotą.

cokolwiek przynosi ujmę religii, jest już złem istotnem, żywiliśmy, przyznajemy się do tego, nadzieję, że Barère był ateuszem. A teraz dowiadujemy się, iż ani na chwilę nawet nie należał do rzędu wątpiących; że przez całą rewolucję wyznawał swą wiarę i zostawił kilka dzieł w rękopiśmie o religii. Jedno z nich jest pobożnym traktatem „O chrześcijaństwie i jego wpływie“, drugie zawiera rozmyślenia o psalmach, które niewątpliwie nader zbudują i pocieszą Kościół.

Rys ten dopełnia obrazu. Wszystko bowiem cokolwiek jest fałszywego, nieuczciwego, niesprawiedliwego, nieczystego, nienawistnego, bezecnego; wszystko, co traci występkiem i podłością — wszystko to już, jak wiemy, gromadziło się w duszy Barèra. Brakowało jednej tylko rzeczy, i tej nam dostarczył pan Carnot. Jeżeli do takiego rejestru zalet dodamy wysoką świątobliwość, będzie wrażenie druzgoczące. Upadamy pod ciężarem zachwytu nad tak wyborną, tak wszechstronną doskonałością i czujemy z głęboką pokorą jak wielką była zarozumiałość nasza, gdyśmy się porwali na napisanie legendy o tym błogosławionym olbrzymie wiary — świętym Bertrandzie od Karmaniol.

Mielibyśmy coś jeszcze do powiedzenia o nim; ale dajemy temu pokój. Nie szukaliśmy go; nie będziemy więc dłużej nad nim się zatrzymywać. Gdyby ci, co zwań siebie jego przyjaciółmi, nie nasunęli nam przed oczy tej postaci, nie raczylibyśmy rzucić jej pamięci więcej nad kilka słów przelotnych wzgardy i oburzenia, jakimiśmy poczęstowali kompanów jego: jak Hebert, jak Fouquier-Tinville, jak Carrier, jak Lebon. Nie mamy żadnej przyjemności patrzenia na takie poniżenie natury ludzkiej. Odwracamy się ze wstrętem od plugawych i zażartych, choć tylko zmyślonych *Jehu*ów⁽¹⁾ ale nawet najzłośliwszy Jehu, na jakiego wyobraźnia zdobyć się może, jest jeszcze podniosłą istotą w porównaniu z dzie-

(1) W czwartej części *Podróży Guliwera* satyryczny geniusz Swifta przenosi się do krainy zostającej pod rządami *Houyhnhnm*ów. Cnota prawda i sprawiedliwość, niemogąc znaleźć miejsca między ludźmi, do tych *Houyhnhnm*ów uciekły. Nie mają one wyrazu na oddanie kłamstwa, nie wiedzą coto przemocy, podstęp i rozpusta; nie orzą przed śmiercią, żyją w zgodzie i porządku. Pod władzą ich zostają zwierzęta chodzące na czworakach, które zrodziły się z pary przybyłej niegdyś, przed wiekami zza oceanu; żyją stadami, wiodą ustawiczną ze sobą walkę, przelewają krew za byle kamyczek błyszczący. Rządzą się chciwością i fałszem; rozpusta i występki wszelkie kwitną pomiędzy niemi, starannie jednak chronione są przed światłem jawności. *Houyhnhnm*owie żałują, że zamiast tych zwierząt nie wyhodowali osłów. Zwierzęta te noszą nazwę *Yahoo* (*Jehu*). Łatwo w nich rozpoznać ród ludzki. Owym dobrze żyjącym narodem *Houyhnhnm*ów są konie. Charakterystykę *Jehu*ów daje Swift w VII i VIII ustępie IV części *Podróży Guliwera*. O tych samych *Jehu*ach wspomina Macaulay w następnym szkicu: *Mirabeau and the french revolution*, mówiąc o Filipie Orleańskim z czasów Regencyi.

jową postacią Barèra. Wszakże z tego, co dla innych nie może być rozkoszą, pan Carnot uczynił sobie obowiązek. Zaprawdę, rzecz to nie małej wagi, że człowiek obdarzony wysokiem i zaszczytnem zaufaniem ogółu; człowiek o którym, dla jego stosunków i położenia, nie bez powodu przypuszczaćby można, iż wyraża uczucia znacznej części współrodaków swoich — że człowiek taki występuje i domaga się uznania dla żywota oszpeconego tylu występkami, niedającymi się nawet okupić choćby jedną tylko cnotą. Tak sobie jednakże postąpił pan Carnot. Uwziawszy się na to, aby namaścić świętością tę padlinę jakobińską, zmusił nas do tego, żeśmy ją powiesili na szubienicy. Tuszymy sobie, że z wyżyn sromoty, na jakich umieściliśmy ją, niełatwo mu ją będzie ściągnąć.

Mirabeau

I REWOLUCYA FRANCUZKA (*).

Książka-to prawdziwie zajmująca i prawdziwie pouczająca; ale gdyby nawet taką nie była, to pociągaby jeszcze ku sobie, jako pamiątka po światłym i zacnym mężu. Dumont należał do rzędu ludzi, których sławę ludzkość troskliwie rozgłaszać powinna, bo oni sami, dla ludzkości się poświęcając, mało dbali o własny rozgłos. W swej ziemskiej wędrówce nie nastęczał się on nigdy, nie popychał innych łokciami, nie wdierał się gwałtem—słowem, nie używał żadnego zgoła z tych małych środków, za pomocą których-to mali ludzie wysuwają się naprzód. Mając wszelkie prawo do zaszczytnego miejsca, siedział na szarym końcu i wielce zasłużył, aby nań zawołano: „Przyjacielu, posiądź się wyżej“ (¹). Chociaż nikt więcej nad niego nie był wart nabycia własnej osobistej sławy, on garnał się ku innym, wysilając się na zwiększenie ich rozgłosu, zadawałniając się sam tą cząstką chwały, która spadała nań z przepełnionych brzegów sławy innych. A był takim nie dlatego, żeby miał służyć i bałwochwalcą naturę, nie dlatego, żeby należał

(*) *Mirabeau and the french revolution.* Napisane z powodu ukazania się książki francuzkiej: „Souvenirs sur Mirabeau et sur les deux premières assemblées législatives, par Etienne Dumont, de Genève; ouvrage posthume, publié par M. J. L. Duval, membre du conseil représentatif du canton de Genève. Paris, 1832.“ Szkic ten ogłosił Macaulay w lipcu 1832 roku, już po śmierci Bentham'a i reformie parlamentu. Oryginału niema w zbiorze Tauchnitz'a; wyjęliśmy go z wydania jednatomowego niektórych przeglądów, szkiców i poematów Macaulaya, wydanego w Londynie, bez daty, nakładem firmy: Ward, Lock and Tyler — Warwick-house. Tom grubo o 637 stronicach ścisłego druku.

(¹) *Evangelium św. Łukasza; XIV, 10.*

do pokolenia Boswellów, owych literackich Gabaonitów, urodzonych na drwali i nosiwodów dla umysłów wyższej potęgi⁽¹⁾ lecz: jedynie dlatego, że będąc dostatecznie obdarzonymi zdolnościami i wrodzonymi i nabytymi aby zostać wielkim—pragnął tylko być użytecznym. W kwiecie wieku, w latach, gdy ludzie ambitni najbardziej bywają ambitnymi, nie śpieszył weale oznajmiać światu, że dostarczał Gabryelowi Mirabeau wiadomości, argumentów i samej nawet wymowy; w ostatnich zaś latach życia nie sprzeciwiał się temu, aby rozgłos jego utonął w sławie Benthamów.

Ten tylko może całkowicie ocenić zasługi Dumonta względem społeczeństwa, kto się obeznał z dziełami Benthamów zarówno w nieokrzesanym jak i w wykończonym stanie. Różnica i z powierzchowności i ze strony wewnętrznej tak jest wielką, jaka zachodzi pomiędzy bryłą nieoczyśczonego złota, a rulonem suwerenów wychodzących z mennicy. Bentham wspominać zawsze będziemy z szacunkiem przynależnym znakomitemu samorodnemu myślicielowi, oraz szczeremu i gorliwemu przyjacielowi ludzkości. Jeżeli do niezwykłych zalet jego przymieszało się nieco ułomności, jeżeli do licznych a cennych prawd, które wygłosił, wkradło się trochę pomyłek — to z pewnością nie czas jeszcze na wytykanie tych usterek w sposób niestosowny lub szyderski. Wielki człowiek opuścić nas⁽²⁾ w pełni życia, dobrych uczynków i zasłużonych zaszczytów. W niektórych, i to najwyższych zakresach pracy umysłu ludzkiego, nie pozostawił nikogo sobie równego, ani podobnego. Zwyczajną koleją losu, od współczesnych otrzymywał bądź mniej, bądź więcej niż mu się istotnie należało. Miewał ślepych pochlebców i ślepych przyganiaczy; pochlebcy w stylu jego widzieli samą doskonałość, przyganiacze w myślach jego widzieli samą niedorzeczność. Teraz dopiero będzie miał sędziów. Potomność wygłosi swój spokojny i bezstronny wyrok, a wierzymy mocno, iż wyrok ten na równi z Galileuszem i Lo-

(1) O Gabaonitach zob. *Księgi Jozuego*, IX. Jozue uległszy podstępowi Gabaonitów przeznaczył ich na drwali i nosiwodów, w zamian za darowane im życie. Dotych posług odnoszą się osobliwie wiersze 21 i 27 pomienionego rozdziału.—Jakób Boswell (1740 do 1795) rodem ze Szkocji. Autor *Życiorysu Jonhsona*, słownikarza języka angielskiego, którego był przyjacielem i towarzyszem w podróży na Hebrydy. Opis tej podróży wraz z życiorysem wydał w r. 1831 Crooker. Macaulay napisał zaraz po ukazaniu się książki (wrzesień 1831) gwałtowną recenzję, z której Boswell wychodzi jako kłamca przez brak własnej wartości podnoszący nadmiernie wartość swego bożyszczka, a poniżający wszystkich, którzy mu bożyszczkami nie byli. Ztąd ów ród Boswellów przyrównany do Gabaonitów. Kłamstwa wytknięte w recenzji otrzymały zbiorową nazwę *Mendacium Boswellianum*. Porównaj wyżej na str. 5 wyszczególnienie różnych odmian kłamstwa, również w łacińskiej terminologii. Macaulay nienawidził Boswella i często o nim odzywał się z pogardą.

(2) Macaulay pisał niniejszy szkic jednocześnie ze śmiercią Benthamów, który zmarł w dniu 5 czerwca 1832 r.

ekiem postawię męża, który, zastawszy prawoznawstwo chaosem, zostawił je nauką⁽¹⁾.

Nie było nigdy spółki literackiej tak szczęśliwej, jak spółka Benthamów i Dumontów⁽²⁾. Surowy materiał, dostarczony przez Benthamów, wysoką miał wartość, lecz był prawie bezużytecznym. Autor, bez wątpienia, był zarazem wielkim logikiem i wielkim dyalektykiem. Ale wadliwy porządek osłabiał doniosłość jego logiki, a wadliwy styl niszczył moc jego dyaletyki. Umysł jego potężny był, ogarniający, subtelny, obfity w dowody i wyjaśnienia, ale wyrażał się nieznana jakąś mową; aby więc zgromadzenie całe mogło być zbudowaniem, potrzeba było koniecznie

(1) O Benthamie i utylitaryzmie, o ile wiemy, napisał Macaulay trzy szkice w „*Edinburgh Review*“ (w tem bowiem piśmie prace swoje zamieszczał): *O rządzie podług p. Milla*, *Odpowiedź na obronę Milla i Utylitarnej teoryi rządu*, — wszystkie trzy w latach 1828 i 29, zatem w bardzo młodym jeszcze wieku, jak na kwestyę tak ważną. W drugim zrzędu artykule polemizował z samym Benthamem: on-to bowiem w obronę Jakóba Milla wystąpił. Wszystkie trzy szkice dają dokładne, powiedzieliśmy nawet, doskonałe wyobrażenie o utylitaryzmie dziś pod nazwą pozytywizmu występującym. Wszystkie trzy zarysowują nam przytem całokształt pojęć filozoficznych i zasadniczo-politycznych Macaulaya, który przez całe życie był przeciwnikiem doktryny materialistycznych i sensualistycznych, w tak niebezpiecznem sąsiedztwie z pozytywizmem stojących. Wybornie streszcza zasługi Benthamów M. gdy mówi o nim, że zastawszy prawoznawstwo (angielskie osobliwie) chaosem, zastawił je nauką.

(2) Dumont Piotr Stefan, ur. w Genewie 1759 r. W r. 1783 był kazaodzieją kalwińskim w Petersburgu, następnie ochmistrzem dzieci lorda Shelburne w Londynie. W r. 1789 widzieliśmy go w Paryżu; zagnało go tam usiłowanie oparcia się wcieleniu Genewy do Francji. Zamiar taki musiał go zbliżyć do Mirabeau, który podówczas, po życiu burzliwym i złem, oddawszy się działalności publicznej od razu na świeczniku narodowi stanął. Zespolenie się z takim człowiekiem ważne było dla D.; wprowadziło go w wir życia publicznego we Francji, uczestnictwo samo w tem życiu mu zapewniając. Dumont opracowywał dla Mir. nie tylko materiały i plany do mów, ale i mowy same; był przytem współpracownikiem pisma: „*Courrier de Provence*“. Zawsze szczerzy republikanin, a w początkach rewolucji francuskiej zapalony jej zwolennik, później doznał rozczarowania, o którym pisze Macaulay. Ciekawe mają być jego stosunki z rewolucjonistami paryżskimi: opisuje je właśnie w tych *Pamiętnikach*, które wywołały niniejszą recenzję Macaulaya. Jeszcze przed usadowieniem się dyrektoryatu D. pojechał do Anglii i tam przez 20 lat przebywał. Poznał się z Benthamem, a do szkoły jego przystawszy, postanowił pisma jego przyswajać językowi francuskiemu. Zawiliść formy, przy wielkiej wynikliwości i wszechstronności myśli, znamionuje pisma Benthamów i czyni je nieprzystępnymi dla samych nawet Anglików. Otóż Dumont nieoszacowaną wyświadczył przysługę Benthamowi i ludziom pracującym w nauce, przez nadanie myślom jego formy łatwej, dostępnej, zrozumiałej ludzkiej. Prace Dumontów nie są tłumaczeniami tylko, ale przetworami Benthamów, który jako polityk i prawoznawca w całości w przetworach tych występuje i w zupełności poznany z nich być może (najważniejsze: „*Traité de législation civile et pénale* i *Théorie des peines et des recompenses*). Wrociwszy do kraju, D. jako członek Wielkiej Rady Genewskiej pojęcia Benthamów w instytucje wcielać usiłował. Na kilkanaście lat jeszcze przed kodeksem Luizyańskim wiele zasad B. do kodeksu karnego genewskiego wprowadził. Wyjednał też reorganizację więzień według pomysłów znakomitego Anglika. Dumont zmarł w r. 1829 w Medyolanie.

izby któryś braciszek, obdarzony zdolnościami tłumacza, zechciał objaśnić niezrozumiałą gwargę. Wyrocznie Bentham wysoka miała wartość; ale spisywane były na listkach na wiatr puszcanych. Sztuka wyboru, rozkładu i wymiarności zasobów tak dalece była u niego w zaniedbanii, iż osobom tworzącym sąd swój o dziełach jego w tym nieprzetrawionym stanie, zdawało się, że autor jest najgorszym systematykiem pomiędzy filozofami. A jednakże pojęcia jego składały całość, która, czy była prawdziwą czy nie, przewyższała wszelakoż inne systemy ścisłością, pełnością i wynikliwością. Pomimo to powierzchownym czytelnikom prac tych w ich pierwotnej postaci, i wogóle wszystkim, co się zabierali do czytania ich bez wielkiej cierpliwości i przenikliwości, autor wydawał się człowiekiem umysłu, bystrego wprawdzie i oryginalnego, ale nieporządnego, — człowiekiem dostrzegającym prawdę w błyskach tylko, rzucającym nieraz śmiałe wskazówki, lecz nieumiejącym zestawić swych zasad w harmonijny ustrój.

Dumont doskonale się nadawał do wypełnienia niedostatków Benthama. W zaletach, któremi francuzcy pisarze przewyższają autorów wszystkich narodowości, jakoto: w elegancji, jasności, ścisłości i zwięzłości, przewyższał on znowu wszystkich francuzkich pisarzy. Gdyby Dumonta nie było na świecie, Bentham nie przestałby być wielkim człowiekiem, ale pozostałby wielkim tylko dla siebie. Płodność jego umysłu podobnaby była do płodności owych rozległych stepów amerykańskich, na których kwitnie i upada bujna acz niepożyteczna roślinność, „z której żenia nie może garści swej napęlić, ani narecza swego ten, który wiąże snopy“ (1). Stałoby się z jego odkryciami to samo, co się stało z „*Seciną wynalazków*.“ Pomysły jego o prawie nie większe miałyby zastosowanie praktyczne od pomysłów lorda Worcester w przedmiocie maszyny parowej (2). W kilka pokoleń później, kiedyby prawoznawstwo doczekało się swojego Watta, możeby jakiś starożytnik ogłosił światu ciekawy fakt, że za panowania Jerzego III żył mąż, nazwiskiem Bentham, który utorował drogę wielu późniejszym odkryciom,

(1) Psalm CXXIX, 7 (Biblia protestancka, przedruk wiedeński Angielskiego Tow. Biblijnego 1867 r.)

(2) Tłumacz francuzki Macaulaya, W. Guizot w tem miejscu objaśnia: „*A century of inventions*,“ taki jest tytuł książki marg. Worcester, w której jasno przedstawione są: wielka moc rozprężliwości pary, możność użycia jej jako siły poruszającej, a nawet niektóre sposoby zastosowania jej do tego celu. Książka ta nosi datę 1663 r. jest więc o 44 lata wcześniejszą od prac fizyka francuzkiego Papina, inżyniera Savarego i Newcomena, ślusarza z Dartmouth. Wszyscy ci ludzie w jednym czasie prowadzili swe doświadczenia i poczynili odkrycia, które posłużyły Wattowi za punkt wyjścia do zbudowania prawdziwej już maszyny parowej.“

Przypomnieć tu wypada błędne a przez długi czas w naszym wieku żywione przekonanie jakoby pomysł użycia pary jako siły wyszedł od inżyniera francuzkiego z pierwszej połowy XVII w. Salomona Caus. Sam nawet Franciszek Arago nie wahał się początkowania wielkiego wynalazku Causowi przypisywać.

i jak na swój wiek, posiadał bardzo filozoficzny pogląd na zasady nauki prawa.

Wielu próbowało zająć stanowisko pośredników pomiędzy potężnym tym umysłem a publicznością; ale, zdaniem naszym, udało się to jednemu tylko Dumontowi. Rzecz godna uwagi, że za granicą, gdzie pisma Benthama znane są jedynie w przekładzie francuzkim, zasługi jego odbierają prawie powszechne uznanie. Ci nawet, którzy stanowczo sprzeciwiają się jego przekonaniom politycznym, sami nawet przywódcy Świętego Przymierza, oświadczali publicznie swój dla niego szacunek. Przeciwnie, w Anglii wielu takich, co z pewnością nie mieli żadnych uprzedzeń do Benthama z pobudek politycznych, oddawna przywykli wyrażać się o nim pogardliwie. Jakoż o filozofii Benthama można powiedzieć to samo, co powiedziano o filozofii Bacona. Zostawała ona w małym poważaniu u Anglików, dopóki nie nadeszły pochlebniejsze sądy zza morza i, ku wstydowi naszemu, nie przekonały nas, żeśmy poniewierali i wyśmiewali jednego z największych ludzi naszych czasów.

Dumont łatwo znalazłby był zajęcie, któreby daleko lepiej zadowolniło jego miłość własną aniżeli dokazać tego mogło porządkowanie cudzych utworów; lecz nie mógł wynaleźć pracy bardziej nad tę pożytecznej i prawdziwie zaszczytnej. Dzieło, które mamy przed oczyma, chociaż pisane naprędce, dostatecznie jednak dowodzi, jeżeliby potrzeba było dowodów, że Dumont nie dlatego wydawał cudze pisma, iżby mu brakło zdolności na niepośledniego pisarza.

Ludzie z zasadami demokratycznymi przywykłyzy uważać Dumonta za zwolennika swego stronnictwa, ze zdziwieniem i żalem dowiedzieli się, że z niewielkim szacunkiem odzywa się on o rewolucyi francuzkiej i jej sprawcach. Niektórzy zaś gorliwsi torysowie, naturalnie, okazali wielkie zadowolenie, przekonując się, iż zasady ich po części stwierdzone zostały zeznaniami życzliwego świadka. Zdaje się nam jednak, że data dzieła wszystko wyjaśnia. Gdyby dzieło to napisaniem zostało na dziesięć lat wcześniejszo w dwadzieścia lat później, to by się w innej zupełnie przedstawiało postaci. Nie pochodzi ono z czasów pierwszego porywu rewolucyjnego, ani też z owej późniejszej epoki, gdy dobre skutki rewolucyi stały się już oczywistymi dla uprzedzonych nawet myślicieli: ale z tych nieszczęsnych lat, kiedy już zapal był ostygł, a istotne korzyści nie całkiem się jeszcze ujawniały. Pisał je autor w r. 1799, w którym najzagorzalszy zwolennik wolności uczuwać mógł pewne obawy o przyszłość dzieła dokonanego przez zgromadzenie narodowe. Złe, towarzyszące wszelkim przewrotom, dotkliwie czuć się wtedy dawało, a dobrodziejstw jeszcze oczekiwano. Zapłacono drogo, bardzo drogo, — a rzeczy kupionej nie otrzymano jeszcze. W Europie roilo się od wygnańców francuzkich; floty i wojska drugiej koalicji odnosiły zwycięstwa. We Francyi minęło panowanie terroryzmu; ale nie

rozpoczęło się jeszcze panowanie prawa. Od lat trzech czy czterech posiadano wprawdzie konstytucję na piśmie, określającą prawa i udzielającą rękojmie. Ale prawa te niejednokrotnie gwałcono, a rękojmie okazywały się nader niedostatecznymi. Prawa, ułożone dla zabezpieczenia wyodrębnionej władzy urzędów wykonawczych i zgromadzeń prawodawczych, jakoto: prawa wolności wyborów, wolności rozpraw i druku, a także osobistej swobody każdego obywatela, były martwą literą. Zwyczajną zaś formę rządu rzeczypospolitej stanowiły zamachy. Raz dyrektorowie oddawali pod straż wojenną izbę prawodawczą; drugi raz izba prawodawcza składała z urzędu dyrektorów; to znowu władza wykonawcza przeszkadzała wyborom — wysyłała, bez sądu, całe ładunki literatów i mówców do Gujany, aby tam marli z żółtej gorączki. Słowem, Francya, znajdowała się w takim stanie, w jaki zwykle wprawia naród rewolucya dokonana przemocą. Zapominano nałogu posłuszeństwa. Urok dawności rozwiązał się. Warunki społeczne, na których powaga urzędników daleko pewniej, niżeli na dowodzeniach o własności i porządku spoczywa, przemieły nazawsze. Moc rządu polegała jedynie na sile fizycznej, na jaką zdołał się zdobyć; moralnej zgoła nie posiadał. Sam on przecież wynikał był z niedawnego wstrząśnienia; sam przecież opierał się na tej zasadzie, że bunt można usprawiedliwić; samo wreszcie istnienie jego dowodziło że bunt czasem bywa skutecznym. Lud od wielu lat już przywykł był stawiać opór istniejącym władzom za najłżejszym podmuchem; przywykł był patrzeć na to jak władze istniejące ustępują przed oporem. Cały świat polityczny „był niekształtorny i próżny“⁽¹⁾; był nieustającym zamętem sprzecznych atomów, które co chwila układały się w nowe połączenia. Jedyny człowiek, któryby potrafił rozkołysane żywioły społeczeństwa ująć w ostateczną postać, gonił gdzieś po pustyniach syryjskich złudną marę chwały i panowania. Nie nadszedł jeszcze czas, gdy

„Chaos usłyszał głos jego, a odmet dał się oświecać.“⁽²⁾

gdy z gruzów starego społeczeństwa wznieść się miała nowa dynastia, nowa szlachta, nowy kościół i nowe prawa.

Słowa umierającej pani Roland: „Wolności! ileż-to zbrodni po-

(1) Drugi wiersz Genezy, rozdziału I: „A ziemia była niekształtorna i próżna.“

(2) „Confusion heard his voice, and wild uproar
Stood rul'd....“

(Milton: Paradise Lost, Księga III, wiersz 710 i 711).

pełnia się w twojem imieniu!“ powtarzały naówczas usta niejednego prawego i szlachetnego człowieka.

Guizot w jednym ze swych znakomych pamfletów szczęśliwie i trafnie nazywa Lainé'go „zaczynym i wolnomyslnym mężem, zniechęconym przez rewolucję.“ Takie określenie, w dobie pisania *Pamiętników* można by zastosować do każdego prawie zacnego i wolnomyslnego człowieka w Europie, a zapewne i do samego Dumonta. Po fanatycznym ubóstwianiu przemądrego i przeznaczonego ludu, powszechnie praktykowanym na kilka lat przedtem, nastąpiło przykre i ciężkie przeżycie, że wybryki i wady ludowe zniweczą wszelkie usiłowania tych, którzy im dogadzać zechcą. Hałaśliwa i powszechna wesołość, z jaką witano zebranie się stanów generalnych i upadek Bastylii, przebrzmiała. W jej miejsce zapanował smutek i posępne niedowierzanie pięknym pozorom. Filozofowie i filantropi panowali przecież; i cóż ich panowanie przyniosło? Filozofia wprowadziła zabobony równie niedorzeczne, jak te, którym ulegał najłatwowierniejszy fanatyk najciemniejszych wieków. Filantropia przywiodła za sobą zbrodnie równie okropne, jak rzeź w noc świętego Bartłomieja. I to miało być wyswobodzeniem umysłu ludzkiego? Takież-to miały być owoce walnego zwycięstwa rozumu nad przesadami? Na toż Francya odrzuciła wiarę Pascala i Kartezjusza, jak bajkę opowiadaną przez niańki, aby nierządnicę uczynić swem bożyszcem, a szaleńca kapłanem? Na toż broniła swej wolności przeciwko Ludwikowi, aby upaść na twarz przed Robespierrem? Jakiś czas myślano nawet, że cała owa sławiona mądrość XVIII wieku jest niedorzecznością, i że wielkie nadzieje ulepszeń politycznych i społecznych, tak ukochanych przez Woltera i Condorceta, były czezem tylko złudzeniem.

Pod wpływem tych uczuć Dumont zachodzi tak daleko, iż powiada, że pisma Burkego o rewolucyi francuskiej, choć oszpecone przesadą i pełne zasad wręcz przeciwnych wolności publicznej, w ogóle stwierdzone zostały wypadkami i może ocaliły Europę od wielkich nieszczęść. Że taki człowiek, jak przyjaciel i współpracownik Bentham, mógł wyrazić podobne przekonanie, — okoliczność ta zasługuje wielce na uwagę polityków twardszego serca. Jednakże *Pamiętniki* te nie odjęły nam wiary, iż rewolucya francuska była wielkiem dobrodziejstwem dla ludzkości; przekonały nas tylko, że należy mieć bardzo wiele wyrozumiałości dla tych, co w czasie samej rewolucyi patrzyli na nią ze szczerym wstrętem i oburzeniem. Dzisiaj jesteśmy już w stanie pojąć w czem się mylili; możemy zrozumieć, że złe strony rewolucyi były tylko przemijającymi, a dobre natrwałe pozostały. Wcale jednak nie ręczymy, czybyśmy i my, gdyby nas przeniesiono w owe czasy, nie byli również zrażonymi i odezarowanymi, jak oni, i czybyśmy podobnie, jak oni, nie byli skłonnymi do upatrywania w wielkim tryumfie narodu francuskiego — jedynie tylko szaleństwa i zbrodni.

Ciekawe można uczynić spostrzeżenie: jak pewnych ludzi ogół wynosi a innych potępia, za to tylko, że myślą tak jak wszyscy inni, że idą biernie za popędem wypadków i że są przedstawicielami mniemań i namiętności całego swojego pokolenia. Zwolennicy rządów ludowych odzywają się zwykle nader surowo o Pitt'cie, a bardzo łaskawie i z szacunkiem o Canningu. A wszakże cała różnica, zdaniem naszym, na tem polega, że Pitt umarł r. 1806, a Canning w 1827. W latach, które były wspólnymi dla publicznego zawodu obu tych ludzi, Canning z pewnością nie był liberalniejszym mężem stanu od swojego przewodnika⁽¹⁾. Prawdą jest, że Pitt rozpoczynał zawód publiczny pod koniec wojny amerykańskiej, gdy naród cierpiał na skutki zepsucia, a zakończył go wpośród klęsk, sprawionych przez rewolucję francuską, gdy naród znajdował się jeszcze pod silnem wrażeniem okropności bezrządu. Niema wątpliwości, że się i sam Pitt zmienił. Za młodu podawał wnioski o reformę; w dojrzalszych latach przemawiał za środkami ścisłymi o ceni wolności. Zmiana taka, choć godna pożałowania, była jednakże, zdaje się nam, zupełnie naturalną, i prawdopodobnie, zupełnie szczerą. Zmienił się Pitt wraz z całym ogółem współobywateli. Przeciwnie zaś, Canning rozpoczynał życie publiczne w czasie, gdy Europa zostawała pod obawą jakobinizmu, a kończył je wtedy, gdy jęczała pod uciskiem Świętego Przymierza. I on także odmienił się z narodem: gdy zbrodnie Jakobinów uczyniły z mistrza coś nakształt torysa, wypadki zasłały po kongresie wiedeńskim przekształciły ucznia na coś podobnego do wiga.

Tak dalece ludzie są igraszką okoliczności. Jesteśmy pewni, że jeśliby Dumont umierał w r. 1799, opuszczałby świat, że użyjemy świeżo ukutego wyrażenia, jako stanowczy „zachowawca“; a jeżeliby Pitt dożył r. 1832, takie jest nasze silne przekonanie, stałby się stanowczym reformatorem. Sąd przeto Dumonta, wyrażony w tem jego dziele o rewolucyi francuskiej, przyjmować należy z wielkimi zastrzeżeniami. Wygląda on coś jak krytyka dramatu, którego pierwszy akt tylko odegrano, albo jak zdanie o budowlu, od której nie odjęto jeszcze rusztowania. Nie wątpimy, że gdyby szanowny autor przejrzał był te *Pamiętniki* we trzydzieści lat po ich napisaniu, uczułby potrzebę opuszczenia wielu ustępów, dodania wielu ograniczeń i niejednego wyjaśnienia.

Wszelako nie poczułby się zapewne do obowiązku odwołania słusznej, choć surowej nagany, jaką udzielił ciemnocie, zarozumiałości i pedantyzmowi zgromadzenia narodowego; musiałby wyznać tylko, że pomimo tych wad, a może ich skutkiem, zgromadzenie to wyświadczyło ogromne dobrodziejstwa ludzkości. Rzecz jasna, że u Francuzów owego czasu wiedza polityczna znajdowała się w stanie niemowlęctwa;

⁽¹⁾ W oryginale „his patron“. Canning rozpoczynał zawód swój przy Pitt'cie. W r. 1796 był podsekretarzem stanu.

bo, zaiste, dziwnemby było, iżby dojrzeć mogła za czasów cenzury, patentów na uwięzienie i samowolnych sądów królewskich⁽¹⁾. Wyborcy nie umieli wybierać; przedstawiciele nie umieli sejmować. Dumont uczył zgromadzenie wyborcze w Montreuil jak ma spełniać swe obowiązki i przekonał się, że było zdolnem do nauki. Później, wspólnie z Mirabeau, próbował obeznać zgromadzenie narodowe z owym przedziwnym systemem taktyki parlamentarnej, oddawna zaprowadzonym w angielskiej Izbie Gmin, który izbę tę, pomimo wadliwości jej składu, uczynił najlepszym kołem obrad na świecie. Ale owi doskonali prawodawcy, choć równie ciemni jak pospółstwo w Montreuil, okazywali się daleko mniej uległymi i krzyczeli, że weale niepotrzebują chodzić do Anglików po naukę. Rozprawy ich składały się z nieskończonego szeregu lichych pamfletów, poczynających się zwykle od wzmianki o pierwotnej umowie społecznej, o człowieku w stanie łowieckim i o innych, tym podobnych, niedorzecznościach. Czasami urozmaicano i ozywiano te długie odczyty małeńkimi rozruchami; wrzeszczano, gwizdano, pokazywano sobie pięści. Naogół, nie utrzymywano żadnego w Izbie porządku. Motłoch napełniający galerie Izby lżył bezkarnie jej członków; ci zaś rozwlekli i uroczyscie obradowali nad drobnostkami, a najważniejsze postanowienia przeprowadzali z przerażającym pośpiechem. Marnowali całe miesiące na sprzeczkach o wyrazy tej fałszywej i dziecinnej Deklaracyi Praw Człowieka, na której wrzekomo zakładali nową swoją ustawę, a która w nieprzejejdanej zostawała sprzeczności z każdym tej ustawy artykułem. Skasowali w ciągu jednej nocy przywileje, w znacznej części związane z prawem własności, wymagające zatem w zasadzie bardzo ostrożnego traktowania.

Nazywali się „Zgromadzeniem Ustawodawczem“, lecz nigdy nazwa nie była mniej stosowną. Nie byli oni ustawodawcami, lecz czemś wręcz przeciwnem, nie ustanawiali bowiem niczego, coby było stałem, lub na stałość zasługiwało. Nie mieli, i zapewne mieć nie mogli, ani wiadomości, ani doświadczenia, niezbędnego do ugruntowania rządu, tej najmisterniejszej z machin. Gadanina metafizyczna, od której rozpoczynała się ich konstytucya, jest oddawna pośmiewiskiem wszystkich stronniectw. Nawet ta ich konstytucya, którą sami nazywali wzorem doskonałości przepowiadając jej nieśmiertelność, zniknęła po kilku miesiącach, i nie zostawiła żadnych po sobie śladów. Ludzie ci wielkimi byli tylko w dziele niszczenia.

Główną chwałę zgromadzenia narodowego stanowiło to, że członkowie jego, jak o nich ironicznie wyraził się Burke, byli najzdol-

⁽¹⁾ *Lettres de cachet* i *Lits de justice*. Macaulay zostawia pierwsze, tłómaczy tylko drugie, przez „beds of justice.“

niejszymi „budownikami ruiny” (2) jakich świat kiedykolwiek widział. Żadnej zgody nie posiadali zdolności do utworzenia czegoś, co by wymagało bystrego rzutu oka i wprawy w rękę. Ale zadanie, które naówczas przed nich występowało, było zadaniem niszczenia. Mieli do czynienia z tak okropnymi i głęboko zakorzenionymi bezprawiami, że najwyższa mądrość polityczna nie mogła uczynić dla ludzkości nic lepszego nad to, czego dokonało ich właśnie szalone i nierozumne zachwalstwo. Bezwątpienia, niszczenie — to gruba robota; a najwyższą chwałą statysty — budowanie. Ale jest czas na wszystko: na rozwalanie i na wznoszenie. Podobnie, zdolności przewodcy rewolucyjnego i zdolności prawodawcy mają swoją użyteczność i właściwą swoją porę. Powszechne zaś i naturalne, rzecz można, prawo wymaga, aby doba zamieszek i zaburzeń poprzedzała epokę dobrych rządów, miarkowanej wolności i liberalnego porządku.

Czyżby inaczej być mogło? Przecież nie w powiśniętym ciemności przywykamy do odróżniania barw; nie w uciśku wprawiamy się do używania wolności. Zwyczajny sofizm, którym bronią złego rządu, tak brzmi, gdy go na czysto sformułujemy: ludzie muszą i nadal znosić niewolę, gdyż niewola przeszła zrodziła w nich wszystkie przywary niewolników: ponieważ są ciemni muszą pozostać pod władzą, która ich uczyniła i utrzymuje ciemnymi; ponieważ zdzielili skutkiem złego rządu, muszą więc być wiekuiście źle rządzonymi. Jeżeliby rząd, pod którym ci ludzie żyją, był tak łagodnym i liberalnym, żeby pod jego skrzydłem mogli się stać ludzkimi i oświeconymi, wówczas możnaby było spróbować zmiany. Lecz ponieważ rząd ten wykoleił moralność i nie pozwolił rozwinąć się umysłom, ponieważ w dzikie i ciemne zwierzęta obrócił ludzi, którzyby przy innych warunkach utworzyli szczęśliwą i znaną społeczność, — powinien więc trwać wiekuiście. Powiadają, że rewolucja angielska prawdziwie chwała godną była rewolucją. Usunęła nadużycia, nie dopuściła się żadnych gwałtów, żadnych bezprawnych konfiskat; powaga praw podczas niej na chwilę tylko była wstrzymana; rozprawy w parlamencie toczyły się z zupełną swobodą; słowem, spokojnem i umiarkowanym zachowaniem się przy obronie wolności naród okazał, iż godnym był jej używania. Przeciwnie, rewolucja francuska, mówią, najokropniejszym jest w dziejach wypadkiem, czystym szaleństwem i bezceństwem, niedorzecznością w teorii, szkaradą w praktyce. Coza nierozum i niesprawiedliwość w prawach rewolucyjnych! Coza dziwaczna przesada w obrzędach! Jaki fanatyzm! Jaka swawola! Coza okrucieństwo! Anachar-

sys Cloutz i Marat! Święta Najwyższej Istoty i śluby na Ligerze! Drzewa wolności i głowy tańczące na pikach! Wszystko to razem tworzy jakąś piekielną farsę, powstałą z najpociesniejszych i z najokropniejszych rzeczy. Otóż-to jest dawać wolność tym, którzy nie mają ani enót ani rozsądku.

Nietylko ludzie nieuczciwi, interesowani w obronie nadużyć, używali podobnego rodzaju dowodów przeciwko wszelkim dążeniom do politycznego postępu. Wielu, nawet najwznioślejszych i najczystszych, przejmowało się takim wstrętem i oburzeniem ku zbrodniom i gwałtom rewolucji francuskiej, że w chwili jej tryumfu wyrzekali się przekonań liberalnych, którym pierw, pomimo prześladowania, dochowywali wierności. Jeżeli zaś zapytamy: dlaczego zaczęli wątpić iżby wolność w istocie była dobroczynną? dowiemy się, że dlatego tylko, iż wypadki wykazały w sposób niezbity, jako wolność jest rodzieliem enoty i porządku. Przestali brzydzić się despotyzmem jedynie dlatego, że okazało się dowodnie, iż wpływ tyranii na serca i umysły ludzkie jest bardziej demoralizującym i oglupiającym, niżby to mogli mniemać najzapaleńsi nawet zapasnicy swobód ludowych. Nie ulega wątpliwości, iż przeciwko dawnej monarchii francuskiej można znaleźć silniejsze argumenta w *noyadach* i *fusilladach*, niżeli w *Bastylii* i w *Parku Jelenim* (1). Uważamy za prawidło bez wyjątku, że gwałtowność rewolucji odpowiada stopniowi wadliwości rządu, który tę rewolucję sprowadził. Dlaczego rewolucja francuska tak była krwawą i niszczącą? Dlaczego nasza z r. 1641 była stosunkowo łagodną? Dlaczego w r. 1688 jeszcze była łagodniejszą? Dlaczego wreszcie rewolucja amerykańska, uważana jako zaburzenie domowe, była najłagodniejszą ze wszystkich? Zapytania te rozwiązują się w sposób oczywisty i niechybny. Anglicy za Jakóba I-go i Karola I-go mniej byli uciśnieni, niż Francuzi za Ludwika XV i XVI. Cóż Anglicy mniej byli uciśnieni po restauracji, niżeli przed wielką rewolucją. Ameryka za Jerzego III mniej była uciśniona niż Anglia za Stuartów. Oddziaływanie ściśle odpowiadało działaniu, odwet — krzywdzie.

Gdy Burkemu, pod koniec życia, wyrzucano zapał, z jakim bronił sprawy amerykańskiej, tłumaczył się on z zarzutu niekonsekwencji przez porównanie roztropności i umiarkowania powstających osadników z r. 1776 — z fanatyzmem i niegodziwością Jakobinów z r. 1792. Lecz temsamem składał przeciwko sobie dowód *a fortiori*. Okoliczność bowiem, którą się usprawiedliwiał, dowodziła jasno, że dawny rząd francuski daleko silniej potrzebował zmian gruntownych niż dawny rząd amerykański. Różnica pomiędzy Waszyngtonem a Robes-

(1) Burke pisał o rewolucji francuskiej w dwóch dziełkach: „Reflections on the French Revolution” i „Thoughts on a regicide peace” pierwszym z r. 1790, drugim z r. 1796.

(2) *Parc-aux-cerfs*, harem urządzony dla Ludwika XV przez panią Pompadour w Petit-Trianon.

pierrem, pomiędzy Franklinem a Barèrem, pomiędzy zniszczeniem kilku pak z herbatą a skonfiskowaniem tysięcy mil kwadratowych, pomiędzy uwalnianiem w smołę i pierze pobożcy skarbowego a mordami wrześnieowemi, — różnica ta daje miarę różnicy pomiędzy rządem amerykańskim pod prawami Anglii a rządem francuskim pod prawami Burbonów.

Ludwik XVI poczynił dobrowolnie wielkie ustępstwa ludowi; a lud skazał go na rusztowanie. Karol X pogwałcił zasadnicze prawa kraju, zaprowadził despotyzm i mordował poddanych za to, że nie chcieli spokojnie ulegać temu despotyzmowi. Lecz nie udał mu się występny ten zamach: został na lasce tych, których pokrzywdził. Bruk paryżki leżał jeszcze na barykadach; szpitale jeszcze pełne były rannych; zabici leżeli nieopogrzebani; tysiące rodzin nosiło żałobę; sto tysięcy obywateli stało pod bronią. Zbrodnia była świeża; życie zbrodniarza znajdowało się w rękach pokrzywdzonych; — a jednak nie tknięto ani włosa z jego głowy. Za pierwszej rewolucyi wysyłano po kilkadziesiąt ofiar naraz za najdrobniejsze rzeczy, przy najbardziej podejrzanych świadkach, wyrokiem najstronniejszych sądów. Po drugiej zaś rewolucyi, ministrowie, którzy podpisywali ordonanse królewskie, a których wina równie była oczywistą jak wielką, ukarani zostali więzieniem. W pierwszej rewolucyi naruszano prawo własności; w drugiej święcie je szanowano. Obiedwie wprawdzie zostawiły po sobie wielkie wzburzenie umysłów w kraju; zamieszki wybuchały jedna po drugiej. Ale po pierwszej rewolucyi, buntownicy prawie zawsze silniejszymi byli od prawa; po drugiej zaś, prawo zawsze silniwszem się okazywało od buntowników. Zapewne, że w dzisiejszym stanie Francyi wiele jest rzeczy niezadawalniających tych, którzyby chcieli kraj ten widzieć wolnym, szczęśliwym, spokojnym i potężnym. Lecz w porównaniu z tem, czem Francya była przed czterdziestu laty, jakże wielka zmiana na lepsze! Jak mały skutek, na przykład, za czasów pierwszej rewolucyi, wywarłby wyrok sądu na zbrojne a zwyciężkie stronnictwo! Gdyby, przypuścmy, po Dziesiątym Sierpnia, albo po upadku Żyrodystów, albo po Dziewiątym Termidora, albo po Rzezi Wandemierowej, albo po Aresztach Fruktydorowych, jakkolwiek trybunał wystąpił przeciwko zwycięzcom na korzyść zwyciężonych; z jakim pogardą, z jakim szyderstwem ujrzałby się przyjętym! Sędziowie przypłaciliby to gardłem, albowy zesłani zostali na śmierć do jakiej niezdrowej osady. Wdanie się zaś ich w celu uratowania ofiar niechybnieby los tychże pogorszyło. Lecz w ostatnich czasach widzieliśmy niezbite dowody, iż we Francyi prawo jest teraz silniwszem od miecza. Widzieliśmy rząd poddający się władzy sądowej właśnie w chwili tryumfu i odwetu. Ogłoszono wyrok sprawiedliwy i bezstronny, wyrok, godny dawnej sławy tego sądownictwa, z którym wiążą się najpiękniejsze wspomnienia z dziejów Francyi, sądownictwa, które w dobie prześladowań wydało l'Hôpitala, które

w epoce dworactwa uświetniał d'Aguesseau, które wreszcie za panowania nিকেzmości i szaleństwa podało ludzkości wzór wszelkiej cnoty w życiu i zgonie Malesherbes'a.⁽¹⁾ Poszanowanie, z jakim ten wyrok przyjęto, samo już wystarcza na wykazanie jakdalece dzisiejsi Francuzi różnią się od swoich ojców. Lecz czemu wytłómaczyć tę różnicę? Krew, ziemia, klimat nie zmieniły się przecie. Gdyby owi ograniczeni pocziwcy angielscy, którzy tłómaczą wypadki r. 1793 i 1794 tem, że Francuzi są z przyrodzenia lekkomyślni i okrutni, mieli słuszną, to dla czegożby gilotyna teraz próżnowała? Zapewne nie dla braku Karlistów,⁽²⁾ arystokratów, ludzi bez cywizmu, albo posadzanych o rzeczy podejrane. Czy nie słuszniej będzie objaśnić to takim sposobem, że Francuz z r. 1832 był daleko lepiej rządzonym od Francuza z r. 1789, że dusza jego nie oburzała się na widok uprzywilejowanej jakiejś kasty; że przywykł on w pewnym stopniu do roztrząsania kwestyj politycznych i do spełniania obowiązków publicznych; że siedmnaście czy ośmnaście lat przeżył pod ustawą, jakkolwiek wadliwą, to jednakże przewyższającą wszystkie przedtem istniejące we Francyi urządhzenia?

Jak druga rewolucya francuska daleko łagodniejszą była od pierwszej, tak też wielki przewrót, dokonany obecnie w Anglii⁽³⁾

(1) Sądownictwo francuskie było zawsze i jest dziś najlepszem ze wszystkich. Jeżeli z pod praktyki sądowej we Francyi usuniemy to średniowieczne, które rozpierało się pod całym życiem aż do Wielkiej Rewolucyi, zobaczymy, że nigdzie wymiar sprawiedliwości nie był tak prawidłowym, rozsądnym, *sprawiedliwym* jak we Francyi. Parłamenta obok wielu grzechów mają też i zasług wiele. Nietylko ustalały one jurysprudence (zwłaszcza paryżki), ale i na prawodawstwo przez dostarczanie mu materyałów gruntownych stanowczo wpływały. Znajdowali się w parlamentach ludzie wysokiej nauki i niesplamionej prawości. Nieraz całe kompleta stawały czoło poleceniom ideę prawa i sprawiedliwości łamiącym: *vilain* lub *roturier* niezawsze przegrywał sprawę ze szlachcicem; a do ukrócenia swawoli możnych przyczyniła się nietylko żelazna dłoń Richélieu, który zresztą więcej zebrał sławy niż zasługi położył, ale i cicha, niedostrzegana i nieroztrąbiana praca parlamentów. Do trzech tu wymienionych wielkich świeczników sądownictwa, dołączyć jeszcze wypada Montaigne'a i Monteskiusza, oburadców Parlam. w Bordeaux. L'Hôpital (1506—1573) i d'Aguesseau, (1668—1751) są twórcami praw, które dodatnio na porządek społeczny oddziaływały. L'Hôpital był więcej organizatorem, d'Aguesseau więcej prawodawcą. Obaj stali na niewzruszonej podstawie przekonani; obaj stawali wbrew samowoli; obaj porzucili władzę, gdy jej zgodnie z przekonaniem sprawować nie mogli. Malesherbes ur. 1721 w tej trójce występuje więcej jako prawy charakter niż jako wielki prawnik. Odznać się obroną Ludwika XVI, za którą poszedł pod gilotynę (22 kwietnia 1794 r.). Pojęcia miał postępowe. — (Porównaj text Mac. na str. 72).

(2) Autor tym wyrazem określa stronników Karola X.

(3) Reforma Parlamentu uchwalona w r. 1832 nie przyszła parlamentowi i koronie, które ją podjęły, bez wielkich trudności: mało już brakło do zupełnego rozbicia się projektu. Od marca 1831 r. do czerwca 1832 r. opinia całego narodu była mocno wzburzona; dwarazy wnoszono bill idwa razy opór torysów (głównie

łagodniej się odbył od drugiej rewolucyi francuskiej, a nawet od wszystkich rewolucyj w dziejach. Niektórzy mówcy, odzywając się o reformie Izby Gmin, nazywali ją rewolucją; inni zaprzeczali właściwości tego wyrażenia. Spór ten, wydający się napozór sprzeczką o wyrazy, nasuwa bardzo ciekawy i zajmujący przedmiot do rozmyślań. Bo gdy się zastanowimy nad doniosłością reformy, słusznie nazwiemy ją rewolucją; lecz gdy rozpatrzmy środki, jakich na przeprowadzenie jej użyto, nie ujrzymy nic więcej nad prostą uchwałę parlamentu, prawidłowo wniesioną, odczytaną, roztrząsnietą i zatwierdzoną. W całych dziejach Anglii niema świetniejszego nad ten objaw, że zmiana, któraby się nie dała wykonać kiedykolwiek i gdziekolwiek bez użycia przemocy, tutaj odbyła się jedynie siłą przekonania i z zachowaniem wszelkich form prawa. Można powiedzieć, iż trzy posiedzenia parlamentu spełniły tyle, co trzy wojny domowe. Napadnięto

w Izbie Lordów) nie dopuścił uchwały. Za trzecim dopiero razem, po rozwiązaniu poprzedniego i zwołaniu nowego parlamentu, po obniżeniu skali wymagań, i pod naciskiem opinii publicznej—zgodzono się na reformę. Już po batalii przyjęto zwycięstwo spokojnie i z poszanowaniem przekonania indywidualnych, ale w żarze walki lud angielski nie był tak spokojnym, jakim się później okazał. Przeciwnicy reformy ścigali na siebie nienawiść ludową: napadano na ich osoby i domy. W Bristolu przez kilka dni panowały zaburzenia. W Londynie rzucano obelgi na przechodzących. W Derby i Nottingham podpalano nawet zamki arystokracji. Ostatecznie jednak bill będący dziełem Russell'a i Greya uchwalono i w d. 7 czerwca 1832 ogłoszono jako statuta 2 i 3 Wilhelma IV (tak się oznaczają prawa w Anglii). Reforma parlamentu od połowy XVIII w. zajmując już umysły Anglików rozpoczął ją był już nawet Cromwell, lecz dzieło jego restauracya Stuartowska zniweczyła. O reformie myśli dziś ustawicznie nieliczne jeszcze stronnictwo radykalne, pragnące powrotu do czasów Henryka VI, kiedy-to jeszcze wszyscy głosować mieli prawo. W r. 1866 niepoprzedzając na billa z r. 1832, Russell i Gladstone wnieśli nowy projekt, bardziej jeszcze rozszerzający prawa wyborców. Odrzucono go, a w rok później sami torysi za rządów Derby'ego nie mogli się od uchwalenia nowego billu uchronić. Wielka zatem rewolucya z 1832 r. po 35 latach była już niewystarczająca. Bo i czegoż dokazano w r. 1832? Oto odjęto prawa „spróchniałym mieszkańcom“ jak już w XVII w. nazywano upadłe grody średniowieczne, a nadano je 7 wielkim miastom i 4 dzielnicom Londynu, podnosząc liczbę wyborców do 900.000 przy utrzymaniu niezmięionej liczby członków Parlamentu (658). Zarówno dla miast jak i dla wsi ustanowiono census, czyniąc niejaki wyjątek tylko dla wyborców wiejskich. Wprowadzono do prawa wyborczego pojęcie *householder* t. j. trzymającego dom, jako najniższy stopień subyektu do posiadania tego prawa upoważnionego. W r. 1867 obniżono stopień wymaganych warunków od tych *householderów*. Widziemy więc, że osiągnane wyniki nie nadługo wystarczają, wymagania są ciągle, a praca polepszania istniejącego stanu peryodycznie powtarzać się będzie. Patrząc spokojnem okiem na bill reformy—możnaby podać w wątpliwość wielkie znaczenie, jakie mu przypisuje Macaulay, który pod wrażeniem gorącym jeszcze zdanie o nim wypowiadał. We dwadzieścia lat po napisaniu szkicu przez Macaulaya w *Westminster Review* nazwano reformę z r. 1832 dziełem posłakom, któremu żadna zasada głębsza, istotnie racjonalna nie przewodniczyła. Macaulay przyjmował w Izbie niższej bardzo czynny udział w rozprawach nad reformą i Parlamentu. Przemawiał mianowicie w dniach: 2 marca, 5 lipca, 20 września, 10 października, 16 grudnia 1831 r. oraz w dniu 28 lutego 1832 roku.

zawzięcie na zastarzały i zakorzeniony system nadużyć: z drugiej strony uporeczywie go broniono. Runął wreszcie, ale nie obnażono przytem ani jednego miecza; nie zabrano na skarb ani jednego majątku; nie wygnano ani jednej rodziny. Bank nie wstrzymał pożyczek, kurs papierów nie spadł. Każdy obywatel pilnował swojej roboty od rana do wieczora. Przez cały ciąg najwyższego zajęcia sporu, przez cały ciąg pierwszej połowy tego pamiętnego maja, nie było ani jednej chwili, w którejby choć jeden gwałtowny czyn mógł zostać spełnionym na tej lub owej osobistości z pomiędzy najmniej popularniejszych w Anglii, nienapełniając kraju całego zgrozą i oburzeniem.

A teraz, po odniesionem zwycięstwie, czy go zwycięzcy nadużywają? Przecież ogromna część władzy przeniosła się z rąk oligarchii do narodu. Może członkom zwyciężonej oligarchii zagraża jakie niebezpieczeństwo? Może lud ma ochotę grać rolę tyrańca? Czyliż ci, co w innym stanie społeczeństwa musieliby doświadczyć surowej zemsty tryumfującego stronnictwa, jęcząc w więzieniach lub uciekając za granicę—nie używają teraz spokojnie swych posiadłości i zaszczytów; czyż nie biorą udziału w sprawach publicznych z równą jak zawsze swobodą? Przed dwoma laty oni-to panowali; teraz zostali zwyciężonymi. A jednak naród ze zgrozą patrzyłby na każdego, coby się ośmielił podlegać do odwetu. Uczucia te tak dalece są powszechnymi, tak dalece naturalnymi u nas, że niejeden może czytelnik nie zrozumie co w nich znajdujemy tak podziwienia godnego.

Czemuż mamy przypisać nieźrównane umiarkowanie i łagodność, jakie lud angielski okazał przy tym wielkim wypadku? Odpowiedź prosta. Umiarkowanie to, ta łagodność są owocem stu pięćdziesięciu lat wolności. Przez wiele pokoleń bowiem posiadaliśmy zgromadzenia prawodawcze, które, pomimo wadliwości swego składu, zawierały zawsze pewną ilość członków wybranych przez naród, albo dążących do przypodobania się narodowi; zgromadzenia, w których panowała zupełna swoboda rozpraw; w których najszczuplejsza mniejszość mogła przedstawiać swoje żądania; w których, jeżeli nie usuwano, to przynajmniej wykazywano nadużycia. Przez wiele pokoleń posiadaliśmy sądy przysięgłych, prawo *Habeas Corpus*, wolność druku, prawo zgromadzania się na rozprawy publiczne i podawania petycji do parlamentu. Znaczna część ludności oswoiła się z wykonywaniem posług publicznych i wprawiała znakomicie do działań politycznych. We wszystkich prawie innych krajach niema, rzecz można, pośredniej drogi między ślepą uległością a jawnym buntem. W Anglii zaś od wieków istniała opozycya konstytucyjna. Otóż instytucje nasze tak były dobrymi, że rozwinęły w nas zdolności do jeszcze lepszych. Niema w królestwie naszym większego miasta, któreby nie mogło dostarczyć

*Mors sola fatetur
Quantula sint hominum corpuscula. (¹)*

Jeden i ten sam los spotkał i rząd jego i osobę. Posiadał on wprawdzie sztukę pokazywania i rządu i osoby wspaniałemi i wielkiemi, pomimo to, iż oczywiście ani rząd ani osoba nie przechodziła mierności: ale śmierć i czas rozwiały podwójną złudę. Ciało wielkiego króla zmierzono sprawiedliwiej, nie tak jak je mierzyli dworacy, którzy nie śmieli patrzeć na nie powyżej wstążek u trzewików; a charakter zbadali ludzie wolni od obaw i nadziei Moliera i Boileau. W grobie ten najwspanialszy z królów ma tylko pięć stóp i ośm cali. W dziejach ów bohater i polityk maleje w próżnego i słabego tyrana, niewolnika księży i kobiet, — małego na wojnie, małego w rządach, małego we wszystkim, oprócz tylko w sztuce udawania wielkości.

Przekazał on następcy swojemu, dziecięciu: lud zgłodniały i nędzny, wojsko pobite i upokorzone, kraj obrócony w pustynię przez zły rząd i prześladowania, dwór szarpany przez fakeye, kościół — przez odszczępięństwo; ogromne długi, skarb pusty, niezmierzone pałace, niezliczoną służbę, nieprzebrane klejnoty i sprzęty. Zdawało się, że wszystkie soki, wszystka krew państwa zbiegła się w jedno miejsce, aby karmić nabrzękłą i nieczystą narośl. Lud był wyspany. Zato dwór kwitnął chorobliwie. Nie zdajesię jednak, aby węzły łączące naród z monarchią osłabiły się pod panowaniem Ludwika. Zaniedbywał on lub na marne puszczał najdroższe narodu interesa: ale silnie podział na jego wyobraźnię. Jakoż same te przyczyny, któreby go powinny, były najniepopularniejszym uczynić, jak zbytek i przepych otaczający jego osobę — gdy za ogrodzeniem parków głód i niedola tylko widniały, — samo to, zdaje się, potęgowało jeszcze pełne szacunku przywiązanie w sercach poddanych. Ze rządy istnieją jedynie dla dobra ludów, — wydaje się to dziś najprostsza i najoczywistsza zasada; a jednak dzieje przekonują, że należy ona do rzędu prawd najgłębiej się ukrywających. Nie dziwmy się przeto, iż tak rzadko spotykamy ją w umysłach rządzących, gdy i same narody tak powoli i kosztem tylu cierpień dochodzą do jej poznania.

Był jednak wówczas już Francuz, który odkrył prawdy, uważane dzisiaj za najprostsze i niezbędne: że ogół ludzi nie jest stworzonym na użytek jednostki; że prawdziwie dobrym rządem nie ten jest, co napełnia dwór przepychem, ale ten, co rozlewa pomyślność w narodzie; że monarcha, który odnosi zwycięstwa, jedno po drugim, i zdobywa prowincye

(²) „Śmierć tylko jedna mówi prawdę, jak maleńkie są wątłe ciała nasze“ (*Juv. Satyra X, wiersz 172 i 3*).

jedną po drugiej winien zasługiwać nie na uwielbienie, ale na obrzydzenie i wzgardę ludzkości. Takie zasady gnieździły się w umyśle Fenelona. Jego *Telemak*, jako poemat epiczny, nie przewyższa podobno „*Leonidasa*“ Glovera, albo „*Epigoniady*“ Wilkiego. (¹) Jako traktat moralno-polityczny, obfituje w błędy w szczegółach, a prawdy, które głosi, wydają się oklepanemi dzisiejszemu czytelnikowi. Ale porównywając ducha zeń więcej z kierunkiem całego ówczesnego piśmiennictwa francuzkiego, dostrzeżemy, że choć się nam ten *Telemak* dzisiaj oklepanym wydaje, w rzeczy samej należy on do najoryginalniejszych utworów w dziejach. Zasadnicze prawdy moralności politycznej Fenelona, miarka, którą mierzył ludzi i instytucye, — zgruntu nowemi były dla jego rodaków. Wpajał on je wprawdzie, i to z najpomysłniejszym skutkiem, w swojego ucznia, królewicza; lecz jakdalece prawdy te obemi były ogółowi, przekonywamy się z Saint-Simona. Zajmujący ten pisarz opowiada nam, jako rzecz prawie niedowierzenia, że książę Burgundzki powiedział pewnego razu, iż według jego przekonania, nie lud jest dla dobra króla, ale król dla dobra ludu. Saint-Simona zachwyca szlachetność tego zdania, lecz zarazem zdumiewa jego nowość, a przeraża zuchwalstwo. Jakoż wyraźnie nam mówi, że nie bardzo jest bezpiecznie powtarzać takie maxymy na dworze Ludwika. Saint-Simon ze wszystkich dworaków wersalskich, rzec można, najmniej był dworakiem i bardziej usposobionym do opozycji niż ktokolwiek bądź inny ze współczesnych. Charakter miał dumny, cierpki, uszczypliwy. W religii należał do Jansenistów; w polityce mniej serdecznym był royalistą od swoich towarzyszy. Przekonania i temperament zabezpieczały go od złudzeń, jakimi osobistość Ludwika napełniała innych. Nigdy nie kochał on i nie szanował króla. A jednak mąż ten, jeden z najwolnomysłniejszych we Francyi, osłupiał ze zdumienia, słysząc wygłoszoną ową zasadę o rządzie, o której dziś w Anglii i we Francyi nikt nie wątpi, którą zarówno najzawziętszy tory jak i najzapaleńszy radykalista uważa za dowiedzioną; na którą Karlista godzi się wraz z republikańskim deputowanym ze „skrajnej lewicy.“ Nikt słusznie nie oceni Fenelona, kto trwale o tem pamiętać nie będzie, że napisał on *Telemaka* wśród takiego ludu, i w takim czasie, gdy śmielsi i niezależni myśliciele zdumiewali się słysząc, że dwadzieścia milionów istot ludzkich nie dla zadowolenia jednej tylko istnieje. Dzieło to uważa się zwykle za książkę szkolną, bardzo stosowną dla dzieci, bo ma

(¹) Epopeja R. Glovera, poety opisowego i dramaturga angielskiego (1712 — 1785). Uważano go na początku bieżącego stulecia za autora „Listów Juniusa.“ Oprócz *Leonidasa* napisał jeszcze: *Ateniady* i dwie tragedye: *Boadicea* i *Medea*. — *Wilkie William*, poeta szkocki, żył od r. 1721 — 1772

łatwy styl i moralność bez zarzutu, ale nie warte uwagi polityków i filozofów. My zaś dostrzegamy w nim, — jeżeli się grubo nie mylimy, — pierwszy brząsk długiego i świetnego dnia jasności duchowej, niepewną zapowiedź wielkiego wyswobodzenia, zaród konstytucji i kodeksu.

Ileż to wielkich nadziei związanych było z życiem księcia Bur-gundzkiego! Jakodmiennie wyglądałyby dzieje Francji, gdyby on do-żył był lat dziada swego lub syna, gdyby zdołał okazać ile dla ludzkości zdziałać może najwyższa cnota na najwyższym stanowisku! Nie wie-my czy jest w dziejach coś równie ciekawego, jak przekazane nam opisy niezwyklej tej osobistości. Srogi i niepomysłowany charakter w latach młodszych, przekształcony do gruntu rozzumem wychowaniem; gorąca pobożność; rzadka dobroć; surowość w sądzeniu samego siebie; wyrozumiałość w sądach o innych; siła, z jaką sam jeden na całym dworze stawiał czoło rozkazom królewskim, gdy chodziło o jakiś skrupuł religijny; zacność, z jaką sam jeden z całego dworu bronił roz-wiązłego księcia Orleańskiego od oszczerców; wielkie zamiary względem dobra ludu; pracowitość; zamiłowanie w literaturze; przywiązanie do najbliższych; a nawet sama niepowabność postaci, nieśmiałość i nie-zręczność w obchodzeniu się, zakrywająca przed oczami szyderskich dworaków Ludwika XIV tyle rzadkich przymiotów, — wszystkie te rysy czynią postać ową najbardziej zajmującą w kronikach rodu Burbonów. Zamierzał książę, zasiadłszy na tronie, rozpedzić ten dwór okazały, któ-rego utrzymywanie wyniszczało naród; chciał dochowywać pokoju, wy-tępić nadużycia ze wszystkich gałęzi skarbowości, znieść lud z łagodzie-uciążliwe przywileje, ulepszyć wymiar sprawiedliwości i wskreszyć Sta-ny Generalne. Jeżeliby on rządził Francją przez jakie czterdzieści lub pięćdziesiąt lat, to wielki ów prąd umysłów, którego żaden rząd po-wstrzymaćby nie zdołał, a zły rząd tylko gwałtowniejszym mógł uczy-nić, — dałby się pokierować, zdaje nam się, spokojnymi drogami ku po-myślnemu rozwiązaniu.

Choroba izgryzoty pozbawiły świat tej mądrości i cnoty, której też świat nie był godnym. Przez dwa pokolenia rządzili Francją ludzie, któ-rzy, przy wszystkich wadach Ludwika XIV, zgoła nie posiadali kun-sztu tego wspianego króla, za pomocą którego przywary swoje poda-wać on umiał za cnoty. Lud ujrzał teraz tyranję w całej jej nago-ści. Ohydna ta *Duessa* ⁽¹⁾ stała się bez swych ozdób błyszczących.

⁽¹⁾ W tem miejscu Wilhelm Guizot objaśnia, że *Duessa* jest postacią allegoryczną z poematu Spensera: *Królowa Nimf*. *Duessa* przedstawiać ma dwulicowość fałsz, ducha złego, *Una* przeciwnie, prostotę, prawotę, ducha dobrego. *Królowa nimf* jest panegirycznym poematem na cześć Elżbiety, która ma być właśnie tą królową; przedtem już otrzymała była od pochlebców współczesnych miano „dziewicy czystej”. Amerykę angielską początkowo nazywano „Virginiją” od dziewictwa królowej.

Była ona i dawniej potworną; ale dziwny jakiś urok czynił ją piękną i okazałą w oczach dobrowolnych niewolników. Czar zniknął teraz; szpetność wyszła na jaw, i kochankowie, niedawno jeszcze tak szczęśliwi i dumni, odwrócili się teraz od niej z odrazą i wstrętem.

Nastąpiła najprzód regencya. Surowość, z jaką ku końcowi ży-cia Ludwik wymagał od otaczających spełniania wszystkich obrządków kościelnych, wywarła takie same skutki, jakie rygoryzm purytanów wywołał w Anglii. Pani de Maintenon mogła się tem pochlubić, że za czasów jej wielkości pobożność stała się modą. Jako moda jednak, prędko przeminęła. Ale gorliwość zestarzałego tyrana więcej podko-pała moralność klas wyższych, niżeli swawola jego lat młodzieńczych. Nietylko bowiem nie poprawił on wad u ludzi tej warstwy, lecz zmu-szając do obłudy, osłabił w nich wiarę w cnotę. Przekonali się, iż ła-two jest nosić maskę pobożności, i bardzo naturalnie wnieśli ztąd, iż wszelka pobożność jest tylko maską. Teraz czasy się zmieniły. Niemożna już było dostać pensyi, pułków i opactw za regularne spowiadanie się i ciężkie pokuty; posłuszni dworacy, co-to pościli jak trapiści i przewra-cali oczy przy budujących ustępach kazań w obecności króla, wzdy-chać teraz poczęli do przydomka *roué*, tak serdecznie, jak dawniej wzdy-chać do tytułu *dévot*, i jeli uczęszczać w wielkim tygodniu na biesiady do Palais-royal, równie gorliwie, jak dawniej śpieszyli na kazania Massillona.

Regent z wielu względów sobowtorem był naszego Karola II. Jak on, miał naturę łagodną, bez żadnej zgoła czułości. Jak on, wcale niepospolite posiadał zdolności, które skutkiem opłakanego niedołęztwa żadnego krajowi nie przyniosły pożytku. Podobnie jak Ka-rol, miał regent wszystkich ludzi za zepsutych i interesownych, a jednak nie nienawidził ich za to. O naturze ludzkiej tak samo myślał jak Guli-wer, tylko że nie patrzył na nią z takim jak tamten wstrętem. Przeko-nany był, że i on sam i bliźni jego byli Jehu'ami ⁽¹⁾ ale tych ostatnich uważał za bardzo miły gatunek zwierząt. Nie było książąt bardziej to-warzyskich nad Karola II i Filipa Orleańskiego; ale też nie było mniej zdolnych do przyjaźni. Temperamenta sprytnych tych cyników tak były łatwe a umysły tak ociężałe, że nałóg zastępował im przywiązanie i czy-nił ich narzędziami ludzi, których zresztą mieli za nie; w miłości obaj byli czysto zmysłowymi, bez delikatności i kliwości. W polityce obaj zaró-no zgoła się nie troszczyli ani o uczciwość ani o honor narodowy. Ka-rol zawiesił wypłaty skarbowe; Filip protegował Lawa. Na radach Karola przechyliło szalę złoto Barillona, a na radach Filipa złoto Walpoła. Karol z pobudek osobistych wojował z Holandją, natural-ną aliantką Anglii. Filip, również z pobudek osobistych, prowadził

⁽¹⁾ Ci Jehu'owie nasuwają się Macaulayowi na myśl także w życiorysie Barëra obacz wyżej str. 76.

wojnę z młodszą linią Burbonów, podobnie naturalną sojusznicą, wytworem nawet, Francyi. Można przeprowadzić paralelę pomiędzy nimi nawet w drobnych rzeczach. Obadwaj lubili filozofię doświadczalną i spędzali w laboratoriach wiele czasu, którego daleko korzystniej użyć mogli w sali obrad. Obaj przywiązani byli więcej do swych kuzynek niż do innych kobiet i obudwu podejrzewano, iż przywiązanie to nie zupełnie było niewinnem. Odwagą osobistą i innemi zaletami, które zniązostają w związku, regent, bezwątpienia, przewyższał Karola: ten ostatni bowiem zaledwie uniknąć potrafił zarzutu tchórzowstwa. Filip zaś znakomicie był odważnym, i jak wszyscy odważni, zwykle szczerym i otwartym—gdy, przeciwnie. Karol do innych wad łączył w sobie jeszcze i nieszczerłość.

Rządy regenta niemniej podobno zgubnemi, a bez porównania bardziej gorszącemi były od panowania zmarłego króla. Ludwik przyczynił się do niedoli narodu budowaniem okazałych gmachów i prowadzeniem wojen w olbrzymich rozmiarach. Regent powiększył tę niedolę szachrajstwami, którychby się powstydzil najlichszy wekslarz. Francya, znosząc najcięższe klęski, umiała szanować zwycięzcę, ale gardziła oszustem.

Po zejściu ze sceny księcia Orleańskiego i nikczemnego Dubois, władzę objął książę de Bourbon zhańbiony w oczach publiczności sromotnemi zarobkami, jakimi się pożywił w matactwach systemu Lawa, oraz uległością, z jaką nosił kaprysy rozwiażłej i despotycznej kobiety (1). Zdawało się, iż przeznaczenie chciało, aby każda gałąź rodu królewskiego kolejno wystawiała się na wzgardę i oburzenie narodu. Pomiędzy upadkiem księcia a śmiercią Fleurego upłynęło niewiele lat rządów oszczędnych i umiarkowanych. Ale po nich monarchia zaczęła znowu staczać się w przepaść (2). Rozpusta na dworze, nieopatrzność w wydatkach, odszczepieństwo w kościele, stronnictwa w parlamentach, niesprawiedliwa wojna, zakończona poniżającym pokojem.—wszystko, co bywa wskazówką i przyczyną upadku mocarstw, wypełnia dzieje tego nieszczęsnego okresu. Za granicą bito i upokarzano Francuzów wszędzie, na morzu i na lądzie, nad Elbą i nad Renem, w Azji i w Ameryce. W domu przechodzili oni z pod

władzy jednego wezyra pod władzę drugiego, z pod jednej sułtanki pod drugą—aż doszli nareszcie do kresu, poniżej którego nie sięga już przepaść sromoty; do kresu, przy którym jarzmo Mikołaja Maupeou kazało im żałować Choiseula, a Du Barry obudzała tęsknotę za panią de Pompadour.

Jakkolwiek niepopularną stała się teraz monarchia, jeszcze niepopularniejszą była arystokracja, i to nie bez powodu: ciemność bowiem jednostki daleko jest znośniejszem od ucisku całej kasty. Stare przywileje były wstrętne i nienawistne nowemu bogactwu i nowej wiedzy. Wszystko zapowiadało zbliżanie się niezwykłego przewrotu, którego skutki uczuć miano u każdego ogniska we Francyi,—nowej *Jacquerie*, w której zwycięzcą miał zostać *Jacques Bonhomme* (1). Na czele szli pieniądze i literaci,—obrażona duma bogactwa i obrażona duma inteligencji. Niezmierzony tłum, ciemny i okrutny, skutkiem ucisku, wrzał poza niemi w tylną straż.

Wątpimy bardzo czyby wielkie wstrząśnienia dały się uniknąć, gdyby Ludwik XVI poszedł był inną drogą. To pewna, że jeżeli istniała taka droga, to nie inną była od tej, jaką zalecał Turgot. Duchowieństwo i arystokracja,—w owem zaślepieniu na niebezpieczeństwo, w owej, długim posiadaniem władzy zwykle wyrabiającej się, niezdolności do uwierzenia, iż może istnieć coś innego od tego, co było dawniej,—szydzili sobie z rad, które ich mogły ocalić. Nie chcieli reform, dostali więc rewolucję. Nie chcieli płacić drobnego podatku w miejsce zniecierliwionej pańszczyzny, więc dożyli tego, że w ich oczach burzono im zamki, a ziemię sprzedawano cudzoziemcom. Nie chcieli znosić Turgota, musieli znosić Robespiera.

A dotego, rządzący Francją, jakby rażeni zasłużoną ślepotą, rzucili się nieogłędnie w wojnę amerykańską, popełniając przez to dwa naraz wielkie błędy: najprzód, ośmielali tem ducha rewolucyjnego; powtóre, powiększali jeszcze ciężary publiczne, których nacisk bywa zwykle bezpośrednią przyczyną rewolucyi. Ostateczny obrót wojny podniósł do najwyższego stopnia zapal demokratów-doktrynerów; trudności zaś finansowe, z wojny wynikłe, posunęły również do najwyższego stopnia niezadowolnienie owej większości ludu, która mało się troszczy o teorie, lecz wiele o podatki.

Zwołanie Stanów Generalnych stało się hasłem do wybuchu

(1) Tą kobietą była margrabinia de Prie (*Biogr. univ.* Tom LXXVIII suppl.)

(2) Karol de Bourbon rządził Francją przez trzy lata od 1723 do 1726. Książę Orleański dzierżył władzę jako regent przez lat 8 od śmierci Ludwika XIV do pełnoletności (t. j. do trzynastego roku życia Ludwika XV, jako minister zaś przez kilka tylko miesięcy w r. 1723 (po Dubois, który również parę tylko miesięcy ministrował). Fleury zostawał u steru rządu przez lat 17. Macaulay używa tu wyrażenia „a few years“.

(1) Nazwa *Jacques Bonhomme* jest charakterystyczna, podobnie jak nasz „Pocziwy Maciek“ niemiecki „Hans Michel“ angielski „John Bull.“ Tak szlachta francuzka nazywała lud wiejski, który długo nacierpiawszy się ucisku powstał w roku 1358—za najsmutniejszych dni Francyi, podobnie jak w r. 1871 na wiosnę komuna—idąc za przykładem Paryża, i rzezią, burzeniem i podpalaniem napęlił wiele prowincyj. Gwałty te otrzymały zbiorowe miano *Jacquerie*. Wobec nich „Pocziwy Kuba“ jest sarkazmem szlacheckim.

wszystkich namiętności, które się przez cały wiek zbierały. W zgromadzeniu tem było niewątpliwie niemało bardzo zdolnych ludzi; ale nie posiadali oni żadnej praktycznej znajomości sztuki rządzenia. Gdy wszystkie wielkie rewolucye angielskie miały za przewodców praktycznych mężów stanu; rewolucyę francuską prowadzili sami teoretycy. A nadto nasza konstytucya nigdy nie pozostawała tak dalece poza wymaganiem wieku, iżby się stać mogła przedmiotem wstępu dla narodu. Angielskie rewolucye dokonywały się w celu obrony, naprawy i przywrócenia czegoś; nigdy w zamiarze samego tylko burzenia. Rodacy nasi nawet w chwilach największych zaburzeń, przemawiali zawsze z poszanowaniem o formie tego rządu, pod którym żyli, i napadali na to jedynie, co uważali za jego zepsucie. Wprowadzając reformy, odwoływali się zawsze do dawnych praw; rzadko szukali wzorów na obczyźnie; rzadko też snuli w swych głowach utopie. Nie mieli powodu troszczyć się o dowodzenie, że wolność przyrodzonem jest prawem człowieka; poprzestawali na uważaniu jej za niewzruszoną ojcowiznę każdego Anglika. Ich bowiem umowa społeczna nie jest żadną fikcyą. Istnieje ona na starożytnym pergaminie, przypieczetowana woskiem przyłożonym w Runnymede⁽¹⁾ poświadczona podpisami lordowskich imion Marishalów i Fitzherbertów. Żadne ogólniki o pierwotnej równości ludzi, żadne piękne historyjki z Plutarcha lub Korneliusza Neposa nie interesowały Anglików nigdy tak żywo, jak ojczyście wyrazy: *Magna Charta, Habeas Corpus, Śąd Przysięgłych, Bill Praw*. Właściwość ta naszego charakteru narodowego ma niezawodnie swoje złe strony. Zbyt często bowiem Anglik rozumie o polityce jako prawnik raczej, niż jako filozof. W jego zamiłowaniu wolności zbyt często przebija się coś wyłącznego, ciasnego, — coś żydowskiego, że tak powiemy. Gotów on jest poczytywać prawa ludowe za wyłączną spuściznę wybranego plemienia, do którego należy. Skłonny bywa do odepchnięcia raczej niż do przygarnięcia obcego przybysza, życzącego sobie podzielić jego przywileje. Duch zgromadzenia prawodawczego całkiem był odmiennym. Członkowie jego nie mieli ciasnych naszych poglądów, ale zato zgoła nie posiadali naszej biegłości w prowadzeniu spraw. Nie umieli urządzać się z obradami, a wyobrażali sobie, iż zdolni są obdarzyć prawami całą ludzkość. Przeszłość wstrętną dla nich była. W umysłach ich pocieszające myśli wiązały się jedynie tylko z przyszłością. Nadzieje tem były dla nich, czem są dla nas wspomnienia. W instytucjach własnej ojczyzny niczego nie widzieli, coby mogli kochać lub wielbić. Jak daleko okiem w przeszłość sięgnęli, dostrzegali jedynie przemoc z jednej strony, a ucisk z drugiej: Franków i Gallów, panów i wieśniaków, szlachtę i chłopów. Nienawidzili i monarchii

(1) W Runnymede, Runnymead, Runningmead, pomiędzy Windsorem i Staines, na zachód od Londynu. Tu d. 19 czerwca 1215 duchowieństwo i baroni wymogli na Janie-bez-ziemi fundamentalny akt swobód narodowych zwany *Magna Charta Libertatum*.

i kościoła i szlachty. Nie ich nie obchodziły ani stany generalne, ani parlamenta. Długi czas było w modzie przypisywanie dziełom filozofów wszystkich tych szaleństw, jakich się ludzie owi dopuścili. Nam się zdaje, że zły rząd, jedynie zły rząd, dał podniecie tym pismom. Nie jest też prawdą, żeby Francuzi mieli porzucać doświadczenie dla teoryi: wdawali się oni w teoryę dlatego, że nie byli oswojeni z dobrym rządem; dlatego deklamowali o umowie społecznej, iż nie mieli ustawy konstytucyjnej. Jakoż, skoro tylko dostali jakotako znośne instytucye, na nich się zaraz opierać zaczęli. W r. 1830 powszechnem ich hasłem było: „*vive la charte*„! W r. 1789 żadnego innego hasła do zespolenia się, prócz teoryi, nie posiadali. Różnice społeczne znali jedynie ze złej strony, nie więc dziwnego, że się dawali ludzi sofizmatem o równości ludzi. Doświadczyli tyle złego od samowładności królów, że niedziw, iż nadstawiali chętnie ucha tym, którzy w przesadnej formie głosili zasady wszechwładztwa ludu.

Anglicy, dumni ze swych wspomnień narodowych i dziejowych imion, nigdy nie szukali wzorów w prawach Greków lub Rzymian; Francuzi zaś nieposiadając w historyi swej niczego, na coby z przyjemnością spoglądać mogli, uciekali się do dziejów wielkich starożytnych rzeczypospolitych; a dowiadawali się o nich nie z ówczesnych źródeł, lecz z romansów pisanych przez pedanckich moralistów, po upadku wolności publicznej. Zaniebdywali Tucydidesa dla Plutarcha. Sami ślepi, brali ślepych za przewodników. Nie mieli żadnego doświadczenia w wolności, zdanie zaś o niej zapożyczali od ludzi, którzy nie więcej od nich samych posiadali w niej obycia, a których wyobraźnia, zapalona tajemniczością i niewiadomością, powiększała nieznanne rozkosze; od ludzi, co bali o patriotyzmie, nieposiadając nigdy ojczyzny i wysławiali tyranobójstwo, czolągając się u stóp tyranów. Maxyma, jakiej się prawodawcy francuzcy nauczyli w tej szkole, opiewała, że wolność jest celem, nie środkiem; że szacowną jest nietylko jako rękojnia porządku, własności i moralności, lecz że sama przez się już jest niesłychanem szczęściem, dla którego bez wahania się porządek, własność i moralność poświęcać należy. Nauki, jakie można wyciągnąć z dziejów starożytnych, są w istocie bardzo pożytecznemi i ważnemi; ale nie przystawały one ludziom, którzy pisząc swoje hymny ogminowładztwie ateńskiem, widocznie całkiem zapominali, że w gminowładztwie tem na jednego obywatela przypadało dziesięciu niewolników; ludziom, którzy ciągle przyozdabiali swe napaści na arystokratów panegirykami dla Brutusa i Katona, — dumniejszych zaiste, zaciętszych i niedostępniejszych arystokratów od wszystkich tych, co wyemigrowali z hrabią d'Artois!

Nigdy nie spotkalśmy równie żywego i zajmującego obrazu zgromadzenia narodowego, jak ten, który nam Dumont maluje. Szczególnie Mirabeau jego jest nieporównanym. Wszystkie dawniejsze wizjerunki

tęgo męża, w porównaniu z tym, są bazgraniną. Jedne z nich malowano na pamięć, inne znowu były grubemi karykaturami: ten zaś pokazuje prawdziwego człowieka, Francuza, Francuza z ośmnastego wieku, o wielkich zdolnościach i gwałtownych żądach, spaczonym złem wychowaniem, otoczonego pokusami wszelkiego rodzaju, zrozpaczonego czas jakiś niesławą, to znów upojonego rozgłosem. Wszystkie te sprzeczności i napozór niezgodne przymioty w malowidle tem tak są skojarzone, że tworzą harmonijną i naturalną całość. Dotychczas w naszych oczach i zapewne w oczach wszystkich historyków, Mirabeau był nie człowiekiem, ale zbiorem sprzeczności. Odtąd stanie się on rzeczywistą istotą ludzką, ciekawą i niezwykłą, ale całkowicie zrozumiałą.

Lubił on, jak powiada Dumont, dawać dziwacznie złożone przydomki. I tak Lafayette nazywał się u niego Grandison-Cromwellem, król pruski—Alaryk-Cotinem, d'Espremenil—Crispin-Katylina. Zdaje się nam, że samego Mirabeau, według jego pomysłu, możnaby przezwąć Wilkes-Chathamem⁽¹⁾. Posiadał on zmysłowość, płochosć i nieczułość na wstyd Wilkesa. Jak on, ściągnął na siebie zarzuty nawet hulaków za niezwykły cynizm swej niemoralności i rozwiązłość pism. Jak Wilkes, nie troszczył się nie tylko o prawa moralności, ale nawet i o prawa honoru. Usiłował jednak, podobny w tem do Wilkesa, łączyć w sobie rolę demagoga z charakterem prawdziwego szlachcica. Równie jak tamten, wesołym humorem i rzadkim dowcipem zyskiwał sobie ludzi gardzących jego charakterem; również okropnie był szpetnym, i, jak on, żartował sobie ze swej brzydoty: pomimo niej był wyszukany w stroju i niemałe miał powodzenie w sprawach serdecznych.

⁽¹⁾ „Grandison“ bohater moralny z powieści Richardsona (1689 — 1761) autora *Pamelii*. Powieść ma nazwę od bohatera (Taine nazywa go ulepionym z wosku) „Sir Charles Grandison“. *Cotin*, pedant literacki we Francji w środku XVII w. Molier wyśmiał go w *Kobietach uczonych* w postaciach „Vadiusa“ i „Trissotina“. — *Wilkes Jan* agitator, pamfletista, członek parlamentu (1727—1797). Odnaczył się walką wytrwałą z rządem. W r. 1763 uległszy namocy *general-warrant* egzekucji o podatki wytoczył policji proces i wygrał go. Ścigany za napastnicze pismo *North Briton* i bezecny poemat *Studjum nad kobietą* schronił się do Francji (1764—1768). Po powrocie obrany ponownie do parlamentu. W r. 1769 za nowe pamflety na dwuletnie blisko więzienie i karę pieniężną skazany. Po wyjściu z więzienia został aldermanem w Londynie, w r. 1771 szeryfem, a w 1774 lordem-mayorem. Mieszkaństwo londyńskie tendencyjnie przeciwko rządowi wyborów tych dokonywało. Wytrwałosć Wilkesa przełamała opór Izby Gmin, która mu dawniej trzykrotnie wstępu odmawiała; dopóki wreszcie 1775 stanowczo nie wszedł do tego zgromadzenia, a w 3 lata później nie zyskał zupełnego zadośćuczynienia: unieważniono bowiem wybór jego przeciwnika, popieranego przez rząd. Została po Wilkesie, prócz *Mów* i *Listów*, jeszcze *Historja Anglii od rewolucji 1688 r.*

Obok tego podobieństwa w grubszych i zarazem niższych rysach charakteru z Wilkesem, Mirabeau pewnie miał powinowactwo wyższych przymiotów z Chathamem. Krasomówstwo jego, ile o niem sądzić możemy, odznaczało się wielkiem podobieństwem do wymowy wielkiego ministra angielskiego. Nieudawały mu się długie wypracowane przemówienia. Nie był uposażony w zdolność dawania szybkich i zwięzłych odpowiedzi. Rzuty niespodziane wydające się owocami natchnienia; krótkie zdania, olśniewające, palące i obalające wszystko przed sobą, jak piorun; zdania, coto wyrzeczone w chwili stanowczej, rozstrzygają najwyższe pytania; frazesy, które natychmiast przechodzą w przyszłowie, a które każdy dziś jeszcze umie na pamięć: na tem polegała głównie moc wymowy Mirabeau i Chathama. Bywali daleko więksi mówcy i politycy od nich obu; wątpimy jednak czy istniał ktokolwiek w czasach nowożytnych, coby wywierał równie przeważny wpływ na burzliwe i niezgodne zgromadzenia. Siła ich obudwu zarówno moralna była, jak umysłowa. Niedorzecznością byłoby przeprowadzać paralelę pomiędzy nimi pod względem godności charakteru, oraz enot publicznych i domowych; lecz obaj posiadali równą wyniosłość i gwałtowność usposobienia. W mowie ich i obejściu się tkwiła jakaś pogardliwa pewność siebie, despotyczność i wybujałość namiętności, przed którą ugięły się wszystkie pospolite umysły. Nawet Murray i Karol Townshend, chociaż nieustępujący głową Chathamowi, dawali się mu zawsze zastraszyć. Podobnie Barnave, acz celujący w rozprawach w całym zgromadzeniu narodowem, cofał się przed energią Mirabeau. Ludzie nie są nigdy całkiem dobrymi, albo całkiem złymi, chyba tylko w nędznych romansach. Niemożna też zaprzeczyć, że cnota lorda Chathama miała w sobie coś teatralnego. Z drugiej strony Mirabeau nie posiadał wprawdzie nic zasługującego na nazwę enoty, ale miał jej surrogat, bardzo zresztą niedoskonały, posiadany przez wszystkie prawie wyższe natury — mianowicie poczucie piękna i dobra wznoszące się czasami do szczyrego zapału, a które łącząc się z żądzą pochwał, nadawało niekiedy charakterowi połysk naśladowy blask rzetelnej zacności, — jak owa „zbladła jasność mgły“, która otaczając oblicze upadłego archanioła, przypominała wspaniałą świetność duchów, co nie przენiewierzyły się jeszcze swej pierwotnej naturze.

W *Pamiętnikach* tych znajdują się znakomite wizerunki i innych jeszcze głośnych postaci; szczególnie zaś charakterystyki Sieyèsa i Talleyranda są arcydziełami pełnemi wyrazu i życia. Lecz nie w tej książce nie zajęło nas żywiej nad obraz własny Dumonta, skromnie, i, rzec można, nieświadomie odmalowany. Niezłomna prawosć, ciepło serdeczne, dobroć, skromność, niezależność umysłu, gorąca miłość ludzi, nieudana obojętnosć na pieniądz i sławę, — wszystkie te jego zalety tworzą charakter, który, niemając nic nienaturalnego, więcej, o ile sądzimy, zbliża się do doskonałości od wymyślonych

Grandisonów i Allworthych⁽¹⁾. Dzieło Dumonta zresztą, niezupełnie jest takim, jakiegośmy się spodziewali: jest więcej ożywionem, bardziej malowniczym i zajmującym, niżejśmy przeczuwali; ale za to, z drugiej strony, mniej ma głębokości sądu i filozoficzności. Jeżeli jednak nie pod wszystkimi względami jest takim, jakiego moglibyśmy oczekiwać po umyśle Dumonta, to z pewnością nie innego mogliśmy się spodziewać po jego sercu^(*).

Fryderyk Wielki.^(*)

Dzieło to, które dostąpiło wysokiego zaszczytu ukazania się na świat pod opieką autora poematów „Lochiel” i „Hohenlinden,”⁽¹⁾ nie zupełnie niegodnem jest tak znakomitego orędownika. Nazwał on je wprawdzie prostą kompilacją; ale kompilacja-to nadzwyczajnie ciekawa i z zadowoleniem widzielibyśmy jej ciąg dalszy. Obecne opowiadanie dochodzi tylko do początku wojny siedmioletniej, nie obejmuje przeto najbardziej zajmującego okresu panowania Fryderyka.

Nie będzie więc może niemiłym dla naszych czytelników, że skorzystamy ze sposobności, przynosząc im ten drobny szkic życia największego z królów, jacy w czasach nowożytnych zasiadali na tronach prawem dziedzictwa. Przejmuje nas obawa: czy zdołamy pomieścić tak

(*) W „Edinburgh Review” na wiosnę 1842 r., napisane z powodu wyjścia 2 pierwszych tomów życiorysu Fryderyka W. przez Tomasza Campbella p. t., „*Frederick the great his court and times.*” Myśl skreślenia tego znakomitego obrazu powziął M. jeszcze w grudniu 1841 r. W Styczniu pisał, że stworzy życiorys w rodzaju Plutarcha. W połowie kwietnia praca była już gotową i odesłaną do redakcyi pomienionego przeglądu. Zajmujące jest tłumaczenie się Macaulaya z zarzutów, jakie mu redaktor „E. R.”, Napier postawił. Wielki pisarz zarysowuje tam różnicę odpowiedniego języka i tonu w dziełach poważnych historycznych a w szkicach takich, jakie sam w „Edin. R.” umieszczał. (*The life and letters of lord Macaulay by his nephew George Otto Trevelyan.* List z Londynu, 18 kwietnia 1842 r. w t. III str. 126 i nast.) Dwa pierwsze tomy dzieła Campbella naszą datę 1842 r. całe dzieło składa się z 4 tomów i wyszło w zupełności w r. 1843 r.

(1) „Lochiel” ma właściwie tytuł „Lochiel's Warning.” „Hohenlinden” jest cenną elegią napisaną po nauce oglądaniu bitwy stoczonej tam za Konsulatu. Campbell Tomasz należy do lepszych poetów angielskich okresu pośredniego między XVIII i XIX w. „Frederick the great” był ostatniem jego dziełem po przerwaniu się do prozy napisaniem.

(1) „Allworthy” postać z moralnego romansu Fieldinga (1707—1754) *Tom Jones*. „Grandison” ten sam, o którym wyżej.

(*) O Mirabeau, już po *Wspomnieniach Dumonta* zjawily się pomiędzy innemi: *Pamiętniki Mirabeau*, wydane przez Lucas Montigny w r. 1835 i *Korespondencya Mirabeau z hrabią de La Marck* ogłoszona w r. 1851. Najlepszy, choć nieco zanadto podnoszący życiorys wraz z oceną działalności politycznej, krasomówczej i literackiej napisał A. Vermorel (*Mirabeau sa vie, ses opinions et ses discours*, Paris 1865. 5 tomów. Bibliothèque nationale).

długie i pełne wypadków dzieje w szczupłych ramach, jakieśmy sobie zgóry zakreslić musieli. Jeżeli rzeczy nie doprowadzimy do końca, to z czasem być może, powrócimy do niej, gdy się ukaże dalszy ciąg pomienionego dzieła.

Państwo pruskie, najmłodsze z wielkich mocarstw europejskich, codo ludności i dochodów piąte z rzędu pomiędzy niemi, ze względu zaś na sztuki, nauki i cywilizację mające prawo do trzeciego, jeśli nie do drugiego, pośród nich miejsca, — ze skromnych powstało początków. W pierwszych latach XV wieku cesarz Zygmunt nadał margrabstwu brandeburskie szlacheckiej rodzinie Hohenzollernów. W XVI stuleciu ród ich przyjął wyznanie luterskie, a później na początku siedemnastego otrzymał w lenność od króla polskiego księstwo pruskie⁽¹⁾. Ale i po takim pomnożeniu swych posiadłości Hohenzollerni zaledwie się mogli równać z elektorem saskim lub bawarskim. Ziemia w Brandeburgii po większej części była nieurodzajna. Nawet okolice Berlina, stolicy tego kraiku, i Poczdamu, ulubionej rezydencji margrabiów, wyglądały na pustynię. Miejscami tylko, i to z trudnością, zmusić można było, staranną uprawą, głębokie piaski do tego, aby wydawały nędzne kłosy żyta i owsa. Gdzieindziej odwieczne puszcze,

(1) Umową Krakowską z d. 8 kwietnia 1525 r. Albrecht brandeburski, ówczasowy wielki mistrz krzyżacki zobowiązał się jako książę pruski hołdować Polsce i świeżo uświatowione państwo krzyżackie pod nazwą „Księstwa pruskiego“ w swoim i potomków swoich imieniu uznać za wieczyste lenno Polski. Umowa ta zapewniła panowanie lenne w Pruszech nie tylko potomstwu samego Albrechta, ale i potomstwu trzech jego braci Jana, Kazimierza, i Jerzego. Po wygaśnięciu tych wszystkich linii księstwo miało wrócić do Polski. Ale linie wygasły, a księstwo nie wróciło. Joachim II, elektor brandeburski, wyjednał na Zygmuncie Augustcie przelew praw na linię ansbachską rządzącą w Berlinie, do której sam należał, i po śmierci Albrechta (r. 1568) jako domniemany już dziedzic hołd Polsce złożył. Jednocześnie następca rzeczywisty Alberta, Al. Fryderyk, przysięgał jako lennik istotny na sejmie unii w Lublinie 1569 r. Kiedy go zupełne niedoleżstwo umysłowe pozbawiło możliwości rządzenia krajem, następca Joachima, Jan Jerzy otrzymał od Stefana Batorego (w Bydgoszczy, podczas wyprawy na Gdańsk w 1576/7 r.) mimo oporu żony Albrechta Fr. i samych stanów księstwa, prawo do władania w księstwie pruskim. Prawo to przechodziło kolejno na dwóch jego następców, aż wreszcie w r. 1618, elektor brandeburski Jan Zygmunt w imię owego nadania Zygmunta Augusta został rzeczywistym już księciem pruskim hołdującym Polsce. On-to do Brandeburgii Prusy książęce przyłączył. On, oraz rządzący po nim Jerzy Wilhelm i Fryderyk Wilhelm, będąc elektorami rzeszy niemieckiej byli zarazem hołdownikami Polski. Stosunek ten wpływał niemało na przymierza i wojny, na całą dynamikę polityczną Rzeczypospolitej przez lat 40. Fryderyk Wilhelm później „Wielkim Elektorem“ przewzany, jako lennik składał hołd w Warszawie w roku 1641 dnia 7 października. Ale był to już hołd ostatni. Ten sam elektor skorzystał z nieszczęsnej wojny o sukcesję tronu szwedzkiego, i opuściwszy poprzednio swego suzerena dla Szweda, odstąpił potem Szweda dla suzerena, aby za tę łaskę, która była tylko obowiązkiem, zyskać zwolnienie zupełne z zależności lenniczej. Jakoż wymógł je traktatem Wewalskim d. 19 września 1657 r. Zobowiązał się tylko do zostawiania w wiekuistym przymierzu z Rzplita i dostarczania jej w każdej potrzebie 1500 żołnierzy. Nawzajem Polska miała go bronić od nieprzyjaciół.

z których zdobywcy państwa rzymskiego wyszli ku Dunajowi, stały nietknięte dotąd ręką ludzką. Gdzie zaś grunta były żyzniejsze, tam też rozciągały się błota, których niezdrowe wyziewy odstręczały rolnika, zwabionego urodzajnością ziemi. Polityce Fryderyka Wilhelma, zwanego Wielkim Elektorem, potomkowie jego zwykli przepisywać swe wyniesienie. Pozyskał on skutkiem pokoju westfalskiego kilka cennych posiadłości, a pomiędzy niemi bogate miasto Magdeburg wraz z okolicą; umierając zaś przekazał synowi swojemu Fryderykowi największe z państw nienoszących tytułu królestwa.

Fryderyk wdychał do godności królewskiej. Lubił okazałość i hojność; zaniedbywał istotne korzyści i prawdziwie wielkie obowiązki, niemogąc nigdy nasycić błahych swych zachcianek. Jakoż nie nie dodał rzeczywście pożytecznego swojemu krajowi i przekazał dzieciom nadwężoną raczej niż przysporzoną spuściznę; udało mu się jednak dopiąć głównego celu życia: tytułu królewskiego. Roku 1700 przyobłął się w tę nową godność. Przy tej sposobności musiał jednakże znieść wszystkie umartwienia, przypadające zwykle na dół ambitnych dorobkiewiczów. Wobec ukoronowanych głów Europy miał minę taką, jak jaki nabab albo komissarz wojskowy z kupionym tytułem, obok parów, których przodkowie stawiali przed sądem Plantagenetów za zdradę kraju. Zawieść kółka, które Fryderyk opuszczał, a grzeczna wzgarda ze strony tego, do którego się wieskał, dawały mu się czuć w bardzo dotkliwy sposób. Elektor saski nasamprzód odmówił uznania nowego pomazańca. Ludwik XIV patrzył zgóry na swego brata królewskiego, podobnie jak hrabia w sztuce Moliera spoglądał na pana Jourdaina, tykoko przebranego za szlachcica. (1) Austria wymagała wielkich ofiar w zamian za swoje uznanie, i dała je nareszcie z niechęcią. (2)

Po Fryderyku nastąpił syn jego, Fryderyk Wilhelm. Przyznać mu należy niejaki zdolności do rządzenia, obok charakteru zeszpeconego obrzydliwymi wadami; wybryki jego godne były szpitala wariatów. Pilnym był i regularnym w zajmowaniu się sprawami rządowymi; pierwszy też postanowił wyrobić dla Prus stanowisko pomiędzy mocarstwami Europy przez wprowadzenie ściśle uorganizowanej wojskowości, chociaż na stopę przechodzącą rozległość i ludność kraju. Wielką oszczędnością doszedł do tego, że mógł w czasie pokoju utrzymywać sześćdziesiąt tysięcy żołnierza. Wojsko swoje wyćwiczył tak doskonale, że obok niego pułki gwardyi wersalskiej i londyńskiej wyglądały jak kupy niezgrabiaszów. Panna, takiej sły zbrojnej wszyscy sąsiedzi musieli szanować, jako niebezpiecznego wroga albo cennego sprzymierzeńca.

(1) W *Bourgeois Gentilhomme*.

(2) Polska uznała królewski tytuł elektorów brandeburskich dopiero w r. 1764.

Lecz umysł Fryderyka Wilhelma tak źle był skierowany, że każda skłonność przeradzała się u niego w namiętność, a każda namiętność zakrawała na zboczenie serca lub rozumu. Oszczędność jego wyrodziła się w brudne skąpstwo. Zamiłowanie okazałości i dyscypliny wojennej przeszło u niego w manję, tak jak u burmistrza holenderskiego passya do tulipanów, albo u członka klubu roxburskiego do druków Caxtona. (1) Kiedy posłowie dworu berlińskiego tak brudno i ubogo występowali w stolicach zagranicznych, że aż z nich drwiono; kiedy jedzenia zastawiane książętom i księżniczkom królewskiego domu pruskiego zaskape były do zaspokojenia głodu, a tak nędzne, że nawet głodni niemi się brzydzili; to na kupno rośliwych rekrutów nie żałował król bajecznych pieniędzy. Urodził się na to, aby sformować brygadę z olbrzymów, i nakazał też wysłańcom swoim włożyć się po wszystkich krajach i wyszukiwać ludzi wysokiego wzrostu. Poszukiwania nie kończyły się na Europie. Żadna głowa stercząca z tłumu na rynkach Kairu, Alepo lub Suratu, nie zdołała wymknąć się wysłańcom Fryderyka Wilhelma. Pewien Irlandczyk, mający przeszło siedm stóp wysokości, zdybany w Londynie przez posła pruskiego, otrzymał na zaciąg około 1300 f. szt., daleko więcej niż wynosiła pensya ambasadora. Dziwactwo to było tem niedorzeczniejszym, że młody chłop, pięć stóp wysoki, jakiegoby można dostać za kilka talarów, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wyszedłby na daleko lepszego żołnierza. Ale dla Fryderyka Wilhelma taki wielkolud irlandzki był tem, czem dla innego rodzaju zbieraczy bywa pieniążek Ottona, albo biblia „Vinegar.“ (2)

Rzecz godna uwagi, że chociaż głównym celem rządów Fryderyka Wilhelma było utworzenie wielkich sił zbrojnych; chociaż panowanie jego stanowi ważną epokę w dziejach dyscypliny żołnierskiej;

(1) Caxton William, najdawniejszy drukarz w Anglii. On-to założywszy drukarnię w Westminster-Abbey wydał w r. 1477 pierwszą drukowaną książkę angielską „Dictes and sayings“. C. żył od r. 1438 do 1491.

(2) Guizot tłumaczy: „une rare bible“, w przekładzie niemieckim „Vinegar-Bibel“. „Vinegar“ znaczy: ocet; można by więc jeszcze użyć wyrażenia: „Biblia octowa“. Źródło tego „Vin. Bibl.“ jest następujące: Kiedy na początku XVI w. tłumaczono pismo Św. na język angielski, w znanym następie N. Testamentu o Winnicy, zecer zamiast: *vineyard* (winnica) złożył *vinegar* (ocet). Po wydrukowaniu omyłkę tę zaraz sprostowano, ale została pewna ilość egzemplarzy z *ocetem* zamiast *winnicy*. — i te są dziś rzadkością, poszukiwaną przez bibliomanów. — Istnieje jeszcze inne, mniej od powyższego uzasadnione wytłumaczenie nazwy „Vinegar-Bible“. Mianowicie, kiedy Jakób I zasiadłszy na tronie objawiał dążności i poglądy sprzeczne z dawnymi prezbteryjańskimi zasadami swemi, a wrzekomo nawet, przechylał się ku papizmowi, żarliwcy szkoccy wydali Pismo Ś. z komentarzami wyjaśniającemi i, oczywiście, ograniczającemi dogmatykę królewską. Jakób, który miał silne pretensje do teologii, filozofii i polityki, a samowolnością nie pogardzał, wziął to wydanie Biblii za czyn wymierzony przeciwko sobie i zaczął ścigać książkę i jej posiadaczy. W ten sposób Biblia stała się jakoby przyczyną niezgód ale i prześladowań i w przenośni nazwano ją *Biblią octową* t. j. sprawiającą przykrość. (Z objaśnień udzielonych przez pana Jana Karłowicza).

a wreszcie, chociaż przeważną jego namiętnością było zamiłowanie okazałości wojskowej — należał on jednak do rzędu najspokojniejszych monarchów. Szkoda tylko, że wstręt do wojny nie wynikał w nim z uczucia ludzkości, ale był pój prostu jednym z tysiącznych jego dziwactw. Jego przywiązanie do wojska wydawało się podobnem do namiętności skąpca ku pieniądzm. Lubił zgromadzać je, liczyć, patrzeć na ich przyrastanie; ale nie zdołał wymóżyć na sobie poruszenia tego najdroższego skarbu. Wyobrażał sobie, jak to kiedyś patagońskie jego bataliony gnać będą przed sobą, niby baranów, piechotę nieprzyjacielską; ale to jego *kiedyś* ciągle się oddalało i bardzo być może, że chociażby życie jego przedłużyło się o lat trzydzieści, wspaniała armia nigdyby nie znalazła cięższej służby nad manewra na polach pod Berlinem. Lecz wielkie zasoby wojenne, które on nagromadził, przeznaczone były na posługi daleko śmielszego i bardziej wynalazczego umysłu.

Fryderyk, przewany Wielkim, syn Fryderyka Wilhelma, urodził się w styczniu 1712 r. Śmiało rzec można, że otrzymał od natury silny i bystry umysł, oraz rzadką stałość charakteru i siłę woli. Co się tyczy innych stron duszy jego, to trudno powiedzieć czy pochodziły one z przyrodzenia, czy z dziwaczного wychowania, jakie odebrał. Dzieje dzieciństwa jego zajmujące są, choć smutne. „Oliver Twist“ w parafialnym domu roboczym, „Smike“ w Dotheboys-Hall (1) byli jeszcze pieszczeni w porównaniu z tym nieszczęśliwym następcą tronu. Serce Fryderyka Wilhelma było złe i twarde, a nałóg samowolnej władzy uczynił go straszliwie dzikim. Złość swoją wywierał bez ustanku Fryderyk naprawo i nalewo klnąc i grzmocąc. Kiedy król jegomości używał przechadzki, to wszelki duch żywy zmykał przed nim jak przed tygrysem, któryby się wyrwał z klatki. Gdy król spotkał na ulicy kobietę, to częstował ją kopnięciem, mówiąc jej, żeby szła do domu pilnować swoich bębnow. Gdy spostrzegł księdza przypatrującego się żołnierzom, napominał wielebnego ojca, aby nie opuszczał książki i modlitwy, i popierał tę pobożną radę tęgiami razami kija, własnoręcznie wymierzaniem. Ale szczególnie w domu był niedorzecznym i drapieżnym. Pałac jego był piekłem, a on sam najohydniejszym z dyabłów, mieszańcem z Molocha i Zmory. Syn jego Fryderyk i córka Wilhelmina, późniejsza margrabina bayreucka, osobliwemi byli przedmiotami jego odrazy. Umysł miał nierozwinięty; literaturę pogardzał; nienawidził niedowiarków, papistów i metafizyków, niebardzo zresztą rozumiejąc czem się pomiędzy sobą różnili. Zadaniem życia, według niego, było: musztrować i być musztrowanym. Za rozrywki odpowiednie stanowi panujących uważał siedzenie w kłębach dymu tytoniowego, popijanie piwa szwedzkiego przy fajeczce, granie w tryktraka robr po trzy trojaki, polowanie na dziki i zabijanie kuropatw całemi tysiącami. Książę następcą tronu ani do poważnych zajęć, ani do rozrywek

(1) Powieści Dickensa: „Oliver Twist“ i „N. Nickleby“.

ojcowskich nie okazywał szczególnego pociągu. Wymykał się od parad wojskowych, nie cierpiał dymu tytoniowego, nie miał gustu ani do tryktraka, ani do myśliwstwa; słuch miał wyborny i ładnie grał na flecie; od dzieciństwa miał wygnać francuzkich za nauczycieli, i ci obudzili w nim silną skłonność ku piśmiennictwu i towarzystwu francuzkiemu. Fryderyk Wilhelm uważał upodobania te za oznaki zniewieściałości, godne pogardy, a wyrzutami i przesładowaniem czynił je jeszcze wybitniejszymi. Sprawa jeszcze się pogorszyła, gdy następcę tronu doszedł wieku, w którym dokonywa się zwykle wielki przełom w umyśle i ciele człowieka. Ciążyły na nim pewne wykroczenia młodości, na które żaden dobry i rozsądny ojciec surowo się nie zapamiętuje. Znacznie później oskarżano go, słusznie czy niesłusznie, o występki, od których historia oczy odwraca, a nawet satyra wstydzisz się ich wymienić, występki, które, że użyjemy energicznego wyrażenia lorda-kancelerza Coventry, „brzydzą się nawet zepsuta natura ludzka, co sama przez się pociąga człowieka do wszelkich innych grzechów.“ Ale młodzieńcze jego wybryki nie były napiętnowane żadną szczególniejszą ohydą. Wywoływały, pomimo to, wybuchy wściekłości w królu; nienawidził król bowiem wszystkich wad, prócz tych, do których sam czuł skłonność, i miał przekonanie, że zdoła przebłagać niebiosy za swe brutalstwo okazując obrzydzenie ku mniejszym złoceńcom. A na domiar złego następcę tronu nie należał do rzędu tych, co się zadawalniają wierzaniem na czyjeś słowo. Zadawał niedyskretne pytania i występował z dowodami, które traciły już czemś niepodobnem do czyścigo luterstwa. Podejrzewał go więc ojciec, że ma pociąg do jakiejś herezy; lecz czy do kalwinizmu czy do ateizmu, tego król je-gomość sam nie wiedział. Złośliwość Fryderyka Wilhelma w stanie zwyczajnym była niepospolita; ale teraz wyobrażał sobie, iż z obowiązku chrześcijanina winien ją podwoić, gdyż sumienie, o ile je posiadał, podniecało w nim większą jeszcze nienawiść. Połamał tedy flet, książki francuzkie wyrzucił z pałacu, a księcia skopał nogami, naokładał kijem i wyczubił. Przy obiedzie ciskał mu talerzami w głowę, czasami sadzał go na chleb i wodę, albo zmuszał do przyjmowania takich pokarmów, których żołądek jego za nie nie chciał zatrzymać. Pewnego razu obalił go na podłogę, włókł po ziemi aż do okna, i gdyby mu nie przeszkodziło, udusiłby sznurem od firanki. Królowa, za to tylko, że nie życzyła sobie, aby syn jej został zamordowanym, doznała najgrubszych obelg; księżniczkę zaś Wilhelminę, zato, że wzięła stronę brata, spotkało obejście prawie tak brzydkie, jak to, którego doświadczały „uczenice pani Brownrigg“. Przywiedziony do rozpacz, nieszczęsny młodzieniec próbował ratować się ucieczką. Wówczas furja starego tyrana przeszła w szaleństwo. Książę był oficerem; zatem ucieczka jego stanowiła zbiegowstwo, a zbieg w moralnym kodeksie Fryderyka Wilhelma uważał się za największego kryminalistę. „Zbiegowstwo, powiada król-

teolog w jednym ze swych nawpółwaryackich listów, zbiegowstwo z piekła pochodzi, jest ono dziełem dzieci szatana. Żadne dziecię boże nie skała się takowem.“ Jednego ze współników księcia, pomimo wstawienia się sądu wojennego, bez miłosierdzia śmiercią ukarano. Zdawało się, że i samego księcia taki sam los spotka. Z niemałą trudnością udało się stanom holenderskim, królowi szwedzkiemu i polskiemu oraz cesarzowi niemieckiemu, wdaniem się swoim uratować dom brandeburski od zakały przeciwnego naturze morderstwa. Po długich miesiącach strasznego oczekiwania dowiedział się Fryderyk, że będzie miał życie darowane. Długo zostawał jeszcze w więzieniu; doświadczał tam jednak losu niezbyt srogięgo. Dozorecy okazywali mu czułość, jakiej nigdy nie doznawał od ojca; stół miał niewykwinny, ale złożony ze zdrowych pokarmów, wystarczających na zaspokojenie głodu; mógł czytać *Henryadę*, niebędąc bitym, i grać na flecie, którego mu nie łamano na głowie.

Wychodząc z aresztu był już mężczyzną; ukończył prawie dwudziesty pierwszy rok życia; niepodobna było trzymać go dalej pod przymusem, jaki przecierpiał w dzieciństwie. Niedola przyspieszyła w nim dojrzałość umysłu, lecz zarazem zatwardziła muserce i charakter zaprawiła goryczą. Nauczył się i panowania nad sobą i nieszczerości: począł udawać, że się przechyla do niektórych poglądów ojca i z uległością przyjął za ręk jego żonę, która mu była żoną tylko z imienia. Służył chlubilnie, chociaż bez sposobności świetnego odznaczenia się, pod dowództwem księcia Eugeniusza, przez ciąg kampanii, nieupamiętnionej zresztą żadnymi szczególnymi wypadkami. Dostał już teraz pozwolenie do prowadzenia domu oddzielnego, mógł przeto dogadzać, choć ostrożnie, swoim upodobaniom. Częścią dla przypodobania się królowi, a częścią może z ochoty poświęcał trochę czasu sprawom wojskowym i politycznym, i takim sposobem nabywał w nich biegłości, jakiej się po nim jego najzaufańsi powiernicy nie spodziewali.

Ulubionem miejscem pobytu jego był Rheinsberg, niedaleko granicy oddzielającej Prusy od księstwa meklemburskiego. Jestto miejscowość żyzna i uśmiechnięta, istna oaza wpośród piaszczystej marchijskiej pustyni. Mieszkanie, otoczone dębami i bukami lasami stało nad brzegiem obszernego jeziora. Fryderyk zabawiał się tam zakładaniem ogrodów o prostych alejach i popłatanych ścieżkach, wznoszeniem obelisków, świątyń i cieplarni, oraz gromadzeniem rzadkich owoców i kwiatów. Zaczisze to ożywiał sobie nielicznym towarzystwem, w którym widocznie przenosił Francuzów z urodzenia lub pochodzenia nad innych. Z tymi poufnikami spożywał wesoło obiady i wieczery, popijał swobodnie i rozrywał się to słuchaniem koncertów, to odbywaniem posiedzeń bractwa, które przezwał „Zakonem Bayarda“; ale literatura główną jego zajęcie stanowiła.

Wychowanie otrzymał nawskroś francuzkie. Długoletnia prze-

waga, jaką Ludwik XIV wywierał, oraz wysokie zasługi dramaturgów tragicznych i komicznych, satyryków i kaznodziejów, którzy uświetnili panowanie tego wspaniałego króla, uczyniły były język francuzki panującym w Europie. Nawet w krajach posiadających piśmiennictwo narodowe, mogących się pochlubić imionami większemi od Racina, Moliëra, Massillona, — w ojczyźnie Cervantesa, Szekspira i Milтона przyjęto w znacznym stopniu modłę literacką z Paryża. Ale Niemcy nie wydały były dotychczas ani jednego arcydzieła poezji lub wymowy; tam przeto smak francuzki królował bez granic i współzawodnictwa. Każdego porządnego młodzieńca uczono pisać i mówić po francuzku, uważając za rzecz stosunkowo podrzędną czy umiał pięknie, a chociażby poprawnie i łatwo, pisać i mówić własnym językiem. Sam Fryderyk Wilhelm, ze wszystkimi swojemi grubemi zabobonami saksońskimi, uważał to za konieczne, aby dzieci jego umiały po francuzku, mając za wcale niepotrzebne ćwiczenie ich w niemieczyźnie. Łaciny stanowczo zabronił. „Syn mój, pisał król jegomość, nie powinien uczyć się po łacinie; cowiećej, nie ścierpie, iżby ktokolwiek wspominał mi o tem.“⁽¹⁾ Tóryś z nauczycieli ośmielił się czytać z księciem *Złotą bulle* w oryginale. Fryderyk Wilhelm wszedł właśnie do pokoju i rozpoczął rozmowę w zwykłym sobie, królewskim stylu:

— Co tam robisz, łotrze?

— Najjaśniejszy panie, odpowiedział nauczyciel, objaśniam Jego Królewskiej Wysokości *Złotą Bulle*.“

— Dam ja ci złotą bulle, łajdaku!“ wrzasnął monarcha pruski. Laska królewska wzniosła się w powietrze, a przestraszony ochmistrz zemknął. Tak się nazawsze zakończyły klasyczne studia Fryderyka. To też lubił on wprawdzie cytować zdania łacińskie, ale zdobywał się tylko na tego rodzaju wykwinne cyceronskie frazesy, jak np: „*Stante pede morire*“. „*De gustibus non est disputandum*“. „*Tot verbas tot spondera*“. Codo języka włoskiego, nie potrafiłby z łatwością przeczytać jednej strony z Metastasia; po hiszpańsku i po angielsku, o ile wiemy, nie umiał ani słowa.

Ponieważ najwyższe utwory umysłu ludzkiego, które dlań były dostępnymi, zawdzięczał pisarzom francuzkim, nie więc dziwnego, że otaczał tych autorów nieograniczonym uwielbieniem. Będąc zaś z natury ambitnego i żywego temperamentu, wcześniej zilił się na naśladowanie tego, co uwielbiał. Zdaje się, że ze wszystkich życzeń najdroższem sercu jego było znalezienie się w rzędzie mistrzów retoryki i poezji francuzkiej. Pisał prozą i wierszem tak niezmordowanie, jakgdyby był chudym literatem na łasce Cavego lub Osborna⁽¹⁾; ale Przyroda obdarzyw-

szy go w wysokim stopniu zdolnościami na wodza i rządę kraju, poskapiła mu owych rzadkich a wyższych darów, bez których przy największym mozoł, niepodobna stwarzać nieśmiertelnych mów i pieśni. Gdyby nawet otrzymał był od przyrody więcej wyobraźni, dowcipu i płodności myśli, niż się to po nim okazało, to i tak napotkałby zawadę, któraby prawdopodobnie nie pozwoliła mu zająć wyższego stanowiska w gronie piszących: nie umiał dostatecznie władać żadnym językiem; żadnem narzędziem myśli nie mógł posługiwać się z zupełną łatwością, pewnością i swobodą. Po niemiecku umiał tyle, ile potrzebował na to, aby łąać służących, albo komenderować grenadyerami; ale w gramatyce i w wymawianiu bardzo był niemocny. Z trudnością mu przychodziło pochwycenie sensu w najprostszym wierszyku niemieckim. Pewnego razu czytano mu przekład *Ifigenii* Racina. Trzymał w ręku oryginał francuzki, ale musiał wyznać, że i tak nie był w stanie zrozumieć tłumaczenia. Jakkolwiek tedy zaniedbał mowę rodzinną, przenosząc wszystkie sympatyje na francuzką, francuzczyzna jego wszelakoż była francuzczyzną cudzoziemca; nie mógł się też nigdy obejść bez posługi kilku literatów z Paryża, którzy wytykali mu grube błędy przeciwko językowi i rymy fałszywe, jakich aż do końca życia często się dopuszczał. Gdyby więc posiadał nawet natchnienie poetyczne, którego, zdaniem naszem, całkowicie był pozbawiony, to i tak jeszcze niemożność władania jakimkolwiek językiem nie dozwoliłaby mu zostać wielkim poetą. Żaden bowiem wzniosły utwór wyobraźni, ile pamiętamy, nie został nigdy przez nikogo wydanym inaczej jeno w mowie, której się autor wyuczył, niewiedząc jak i gdzie, a której używał już z zupełną biegłością, wprzód nim się zastanawiać zaczął nad jej budową. Wysokich zdolności Rzymianie pisywali wprawdzie greckie wiersze; lecz któreż z nich przeżyły zapomnienie? Niejeden mąż niepospolity w nowszych czasach składał poemata łacińskie; ale, o ile wiemy, żaden z tych poematów, ani nawet Milтона, nie może być nazwany pierwszorzędnym, a chociażby nawet lepszym pomiędzy drugorzędnymi. Nie przeto dziwnego, iż we francuzkich wierszach Fryderyka nie znajdujemy nic, coby przechodziło zakres sił zwykłych przy pewnym uzdolnieniu i pilności — nic, coby się wznosiło nad poziom rymów Newdigata i Seaton. Najlepsze utwory jego, zdaje się nam, stoją na równi z najlichszymi takiego Dodsleya⁽¹⁾. Lepiej się udawało w historii. Nie znajdujemy wprawdzie w żadnym ustępie

⁽¹⁾ Cave i Osborn, ówaj cheiwi księgarze-nakładcy z przeszłego wieku, którzy bardzo mało płacili autorom, nawet takim, jak autor słownika angielskiego Samuel Johnson. (Z objaśnień udzielonych przez p. Jana Karłowicza).

⁽¹⁾ Newdigate Roger, protektor sztuk, nauk i uczącej się młodzieży, predestawiciel Uniwersytetu Oxfordzkiego w Parlamencie zmarł r. 1806. — Seaton, feldmarszałek angielski pedkomendny i towarzysz Wellingtona (1779—1863) — Dodsley Robert (ur. r. 1703) poeta, literat i księgarz z XVIII w. Napisał poemat, który mu pochwały Pope'a zjednał. Pierwszy wraz z Burkem powziął myśl wydawania *Annual Register*, wielkiej kroniki dziejów współczesnych prowadzonej w Anglii od drugiej połowy XVIII w. Dorobiwszy się majątku na księgarstwie, zmarł *procul negotiis* w r. 1764.

wielkoksiegowych⁽¹⁾ jego *Pamiętników* ani głębszych myśli ani żywszego obrazowania. Lecz opowiadanie odznacza się jasnością, zwieźłością, zdrowym rozsądkiem i pewnym tonem prawdy i prostoty, które szczególnie miłemi są w człowieku, co dokonawszy wielkich rzeczy, zabiera się do ich opisania. Wogóle jednak żadne z pism jego nie jest dla nas tak miłem jak listy, szczególnie te, które są pisane poważnie i nie naszpikowane wierszami.

Nic w tem niema dziwnego, że człowiek młody, zamilowany w literaturze, a obznajomiony jedynie z piśmiennictwem francuzkiem, przejmując się głębokiem uwielbieniem dla gieniuszu Woltera. „Kto nigdy nie widział słońca, mówi Kalderon w jednej ze swych prześlicznych komedyj, tego niemożna ganić, jeśli sądzi, że nie jaśniejszego nad księżyc: a kto nigdy nie oglądał ani księżyca ani słońca, tego niewypada potępiać, gdy mówi o niezrównanym blasku gwiazdy porannej.“ Gdyby Fryderyk był w stanie czytać Homera i Miliona, a przynajmniej Wirgiliusza i Tassa, to zapal jego do *Henryady* dowodziłyby tylko, iż zgola pozbawionym był władzy sądzenia o doskonałości w sztuce. Gdyby był obeznany z Sofoklesem albo Szekspirem, moglibyśmy się po nim spodziewać słuszniejszej oceny *Zairy*. Gdyby umiał badać Tucydydesa i Tacyta w oryginale greckim i łacińskim, dowiedziałby się, że istnieje szczytność wymowy historycznej, której autor *Żywota Karola XII* doścignąć nie zdołał. Lecz dla Fryderyka najpiękniejsze poemata bohaterskie, najwspanialsze tragedye, najświetniejsze i najbardziej malownicze dzieła historyczne, jakie kiedykolwiek czytał, wyszły właśnie zpod pióra Woltera. Tak wzniosła i wielostronna doskonałość obudzała w młodym księciu prawie ubóstwienie. Zasady Woltera w rzeczach religijnych i filozoficznych nie były jeszcze na jaw wyszły; wypowiedział je dopiero później, będąc wygnańcem z ojczyzny i w otwartej walce z kościołem. Ale kiedy Fryderyk mieszkał w Rheinsbergu, Wolter był jeszcze dworakiem; a jakkolwiek nie zawsze umiał powściągać swój swawolny dowcip, nie jeszcze podówczas nie wydał takiego, coby go pozbawić mogło wstępu do Wersalu, mało zaś takich rzeczy, którychby teolog z łagodnej i szlachetnej szkoły Gro-

eyusza i Tillotsona⁽¹⁾ nie mógł czytać z zadowoleniem. W *Henryadzie*, *Zairze*, *Alzirze* pobożność chrześcijańska wyraża się w bardzo miły sposób; a w kilka lat po czasie, o którym piszemy, papież raczył przyjąć ofiarowanego sobie *Mahometa*. Bystrzejsze oko mogło wyraźnie dopatrzeć rzeczywistych uczuć poety, pod osłoną niewinności; jakoż nie uszły one przenikliwości Fryderyka wyznającego podobne zasady, a przyzwyczajonego oddawna do podobnegoż ich ukrywania.

Książę napisał do bożyszcza swojego stylem prawdziwego człowieka: Wolter odpowiedział z wyszukany wdziękiem i zręcznością. Zawiązała się korespondencya, którą z pożytkiem badać mogą osoby życzące wykształcić się w haniebnej sztuce pochlebstwa. Nikt na świecie nie umiał tak mówić komplementów jak Wolter. Najśłodsze łakocie, jego wyrobu, posiadali zawsze delikatny a zaostrażający smaczek, rozkosznie drażniący nawet takie podniebienie, którego wrażliwość przytepiła już grubsza strawa zrak podrzędnych artystów. On jeden tylko tak umiał podawać cukierki, że można było dużo ich połknąć bez szkody dla zdrowia. Przyjaciele obdarzali się wzajemnie przypisywanemi sobie wierszami, pulpitemi do pisania i cackami z bursztynu. Fryderyk powierzał swe utwory Wolterowi, a Wolter wychwalał je, jakgdyby Fryderyk był Racinem i Bessuetem w jednej osobie. Jedno z pism jego książęcej mości zawierało odparcie zasad Machiawela. Wolter podjął się wydania tego pisma. Nazwane ono zostało *Anti-Machiawelem*, a obejmowało budujące kazania przeciw zdradzie, wiarołomstwu, samowładnemu rządowi, niesłusznym wojnom—słowem, przeciw wszystkim prawie rzeczom, które dzisiaj łączymy ze wspomnieniem ich autora.

Stary król kiedyniekiedy złowrogo warknął na te rozrywki rheinsberskie. Ale zdrowie go opuszczało; śmierć nadchodziła; siły podupadły. Pozostała mu jedyna przyjemność: oglądanie ogromnych żołnierzy. Zawsze go jeszcze można było ulagodzić podarowaniem grenadyera sześć stóp i cztery lub pięć cali wysokiego; roztropny też syn nie zaniedbywał w pewnych odstępach czasu obdarzać ojca takim prezentem.

Na początku r. 1740 umarł Fryderyk Wilhelm ze stałością i powagą godną lepszego i rozumniejszego człowieka; i syn jego skończywszy właśnie dwudziesty ósmy rok życia, został królem pruskim⁽²⁾. Mało pojmovano naówczas jego charakter. Wprawdzie ktokolwiek rozmawiał lub korespondował z nim, nie wątpił o jego zdolnościach. Ale

⁽¹⁾ *Pamiętniki* Fryd. W. nie stanowią jednej całości, ale składają się z kilku dzieł osobnych, pod rozmaitemi tytułami wydanych. Wszystkich pism w wydaniu Akademii Berlińskiej z r. 1857 jest 31 tomów. Wszystkie są w języku francuzkim. Ten założyciel potęgi pruskiej zamienionej dziś w niemiecką, tylko z grenadyerami swymi po niemiecku mówił. W roku przeszłym zaczęto się krzątać około wydania korespondencyi Fryderyka W. czysto politycznej, której ma być do 30 tomów. Wydawnictwo to niezaprzeczoną wagę dla historii XVIII w. mieć będzie. Dwór pruski sam myśl wydania popiera i podobno już wyznaczono redakcyę do przebrania pozostałości. Oczywiście, nie jeden dokument nie ujrzy światła dziennego.

⁽¹⁾ Dobry teolog i jeden z najbardziej popularnych kaznodziejów, szanowany dla swego charakteru, prałat kościoła anglikańskiego (1630—1694). Stawał w opozycji z Karolem II i księciem Yorku (Jakobem II). Po rewolucji 1688 r. wyniesiony został na arcybiskupstwo w Canterbury.

⁽²⁾ Fryderyk II wstąpił na tron d. 31 maja 1740 r.

lekkie, epikurejskie życie, jakie prowadził; zamiłowanie w dobrej kuchni i dobrem winie, w muzyce, w rozmowach i literaturze ulotnej: uspasabiały wielu do uważania go za zmysłowego i umysłowego rozkosznika. Zwyczajne jego rozprawy o umiarkowaniu, pokoju, wolności i szczęściu, jakie serce zacne znajduje w uszczęśliwianiu innych, zaimponowały niektórym, co przecież mogliby go znać lepiej. Ci, którzy najlaskawiej go sądzili, oczekiwali po nim Telemaka podług modelu Fanelona. Inni przepowiadali nadejście wieku Medyceuszów, wieku pomysłnego dla sztuk i nauk, a także i dla rozkoszy. Nikt ani na chwilę nie podejrzewał, iż w osobie Fryderyka zasiadł na tronie tyran z niezwykłymi zdolnościami wojskowymi i politycznymi i jeszcze bardziej niezwykłą wytrwałością. — tyran bez strachu, bez wiary i bez miłosierdzia.

Zły humor Falstaffa z powodu ukoronowania dawnego jego kamrata nie był większym od rozczarowania, jakie czekało niektórych mieszkańców Rheinsberga. Oddawna wyglądali oni wyniesienia swojego pryncypała, myśląc, że rozpocznie się wtedy dla nich era pomysłowości i zaszczytów. Dotarli na koniec do ziemi obiecanej, którą sobie wyobrażali płynącą mlekiem i miodem; ale przekonali się, że była pustynią. „Dostyc tych głupstw“, tak brzmiała krótka i ostra admonicya udzielona jednemu z nich przez Fryderyka. Wkrótce stało się oczywistem, że w najważniejszych rzeczach nowy pan miał zupełne podobieństwo familijne ze swym poprzednikiem. Wielka wprawdzie zachodziła różnica pomiędzy ojcem a synem pod względem rozległości i siły umysłu, przekonania, rozrywek, zajęć i wychodzenia z ludźmi. Ale grunt charakteru obaj mieli jednakowy. Obaj lubili porządek, zajęcie, wojskowość, oszczędność; obaj odznaczał się dumą, drażliwością temperamentu, posuwającą się do szaleństwa, oraz zamiłowaniem w udreczaniu i upokarzaniu innych. Lecz te skłonności we Fryderyku Wilhelmie wynikały z ogólnej chorobliwości jego umysłu i wcale inaczej wyglądały przy bystrym i rozwiniętym rozumie jego następcy. Tak na przykład, Fryderyk czuł nad doskonałością wojska z taką pieczołowitością, jak żaden może z panujących; ale pieczołowitość ta nigdy nie przeradzała się w dziwactwo, podobne do ojcowskiego, w dziwactwo, pod wpływem którego Fryderyk Wilhelm płacił bajeczne summy za wielkoludów. Fryderyk II tak był oszczędnym jak rzadko kto z książąt lub z osób prywatnych; ale wcale nie miał tego przekonania, jak ojciec, aby warto było jadać kwaśną kapustę, dla zaoszczędzenia kilku talarów na rok. Był też, jak się zdaje, równie złośliwym jak ojciec; ale jego dowcip pozwalał mu często wyrażać złośliwość sposobem przyzwoitszym od tych, do jakich się ojciec uciekał: szyderstwem raczej niż razami dotykał i upokarzał. Nowy król wszelakoż wcale nie zaniedbywał dziedzicznego przywileju kopania nogami i bicia; ale w korzystaniu z tego przywileju wielce się różnił od ojca. Fryderykowi Wilhelmowi wydawało się to wystarczającym, gdy ktokolwiek bądzi, mężczyzna, kobieta czy dziecko, Prusak czy cudzoziemiec, znalazł

się w bliskości jego nogi albo kija: zaraz zbliżał się i grzmocił. Dla Fryderyka II potrzeba było wyzwania niemniej jak bliskości; wiadomo także, iż używał on tego rodzaju ojcowskich napomnień jedynie względem własnych poddanych, jakkolwiek pewnego razu monsieur Thiebault nie bez słuszności obawiał się przez kilka sekund: ażali nie dostąpi zaszczytu zostania wyjątkiem od tego prawidła ⁽¹⁾.

Zresztą charakter Fryderyka był jeszcze bardzo niedokładnie znanym, tak przez poddanych, jak i przez sąsiadów, dopóki nie nadeszły wypadki, które go od razu na jaw wyprowadziły. W kilka miesięcy po jego wstąpieniu na tron umarł cesarz niemiecki Karol VI, ostatni potomek po mieczu, rodu austriackiego. Nie zostawił on syna i już na długi czas przed śmiercią stracił wszelką nadzieję męskiego potomstwa. W ciągu ostatnich lat życia miał sobie za główny cel zabezpieczenie dla potomków swoich po kądzieli licznych koron domu habsburskiego. Na ten koniec ogłosił nowe prawo dziedziczenia, znane powszechnie w Europie pod nazwą „Sankeyi Pragmatycznej“. Mocą tego prawa córka jego, arcyksiężniczka Marya Teresa, żona Franciszka Lotaryńskiego, otrzymać miała w spadku posiadłości przodków.

Nigdy żaden panujący nie zasiadł na tronie na zasadzie wyraźniejszego przywileju. Wszyscy politycy gabinetu austriackiego przez lat dwadzieścia ku jednemu celowi mieli skierowane umysły: mianowicie ku zabezpieczeniu następstwa tronu. Od wszystkich, którzy mogli się czuć obrażonymi w swoich prawach, postarali się otrzymać zrzeczenia, i to w formie jaknajuroczystszej. Nowe prawo uznane zostało przez stany wszystkich królestw i księstw, składających mocarstwo austriackie. Anglia, Francya, Hiszpania, Rosya, Polska, Prusy, Szwecya, Dania, Rzesza Niemiecka — zobowiązały się do utrzymania Sankeyi Pragmatycznej. Dokument ten umieszczono pod opieką wiary powszechnej całego ucywilizowanego świata.

Gdyby nawet nie istniała wyraźna ugoda codo tej sprawy, to była ona takiej natury, że żaden człowiek uczciwy nie powinienby był mieć ochoty do jej zamącenia. Rozporządzenie Karola VI miało na celu pokój. Mogło zadowolnić cały ogrom ludów, których pomysłności głównie dotyczyło. Rozporządzenie to zresztą nie wprowadzało żadnej zmiany w rozdziale potęgi pomiędzy mocarstwami świata chrześcijańskiego. Usunąć je możnaby było jedynie zapomocą wojny powszechnej; a po usunięciu, skutek byłby taki, że równowaga europejska zachwiałaby się, że zostałyby srodze obrażonymi uczucia wierności i patriotyzmu w milionach ludzi i że nareszcie kraje, od wieków zjednoczone, rozpadłyby się, porozrywane przemocą.

(1) Był przez lat 20 professorem w szkole wojskowej w Berlinie. Należał do rzędu zaszczytanych przyjaźnią Fryderyka W. W r. 1805 wydał o nim *Pamiętniki*. Żył od r. 1733 do 1807.

Mocarze europejscy przeto obowiązani byli szanować i bronić praw arcyksiężniczki ze wszystkich tych pobudek, które za najświętsze uważaćby powinni dzierżyciele władzy nad narodami. Położenie i zalety osobiste księżny Lotaryńskiej mogły, zdawałoby się, w każdym szlachetnym człowieku obudzić współczucie, podziw i zapal rycerski. Lat miała dwadzieścia cztery, postać okazała, piękne rysy, miłe i ożywione oblicze, głos dzwięczny, ujmujące i pełne godności obejście się; życie jej domowe odznaczało się czystością; była małżonką człowieka, którego kochała, i właśnie wydać miała na świat dziecię, gdy śmierć zabrała jej ojca. Zgon ten i nowe troski o cesarstwo zbyt silnemi były ciosami przy wątłym stanie jej zdrowia: umysł miała przegnębiony, oblicze zmienione. Zdawało się jednak, że niepotrzebnieby się troszczyła o los swój; że sprawiedliwość, ludzkość i moc traktatów utrzymają swe prawa; że rozporządzenie, tak uroczyscie zawarowane, spokojnie w wykonanie wejdzie. Anglia, Rosssya, Polska i Holandya urzędownie oświadczyły zamiar dotrzymania swych zobowiązań; ministrowie francuzcy ustnie toż samo zaręczali. Ale znikąd nie otrzymała młoda królowa węgierska tak gorących zapewnień przyjaźni i poparcia, jak właśnie od króla pruskiego.

A wszakże ów król pruski, ów Anti-Machiawel już był nieodwołalnie postanowił dopuścić się wielkiej zbrodni, pogwałcić zaprzysiężoną wiarę, ograbić sprzymierzeńca, którego bronić był obowiązany, i pograżyć całą Europę w długą krwawą i niszczącą wojnę, — wszystko to zaś nie w innym celu, jeno dlatego, aby rozszerzyć swe posiadłości a oglądać imię swoje w dziennikach. Postanowił śpiesznie i pociechu zgromadzić wielkie wojsko, najechać Szlązka, zanim Marya Teresa dowiedziałyby się o jego zamiarach, i przyłączyć tę bogatą prowincję do swojego królestwa.

Nie będziemy się wdawali w obszerne zbijanie obrony Fryderyka, którą kompilator zajmujących nas *Pamiętników* przepisał z doktora Preussa. Obrona da się streścić w tem, że dom brandeburski miał jakoby dawne pretensye do Szlązka, których w poprzednim wieku rzec się musiał, ulegając przemocy dworu wiedeńskiego. To pewna, iż ktokolwiek pierwotnie miał słuszość, Prusy naówczas ustąpiły. Książęta domu brandeburskiego, jeden po drugim, przystawali w milczeniu na istniejący stan rzeczy, a nawet świeżo dwór berliński przystąpił był do związku z wiedeńskim i poręczył nietykalność krain austriackich. Czyż nie prawda, że jeżeliby przedawnione roszczenia występowały przeciw świeżym traktatom i długiemu władowi, to świat nie miałby ani jednego dnia spokojnego? Prawa wszystkich narodów mądrze ustanowiły pewien termin, po którym władowanie, jakkolwiekby było nieprawnem z początku, nie może być już zaprzeczonem. Każdy to pojmuje, iż wyzucie kogoś z mienia na zasadzie jakowejś niesprawiedliwości, popełnionej za czasów Tudorów, pociągnęłoby za sobą najgor-

sze następstwa, jakie wynikają tylko z samowolnej konfiskaty, i wszelką własność uczyniłoby niepewnem. Dobro ogólne wymaga, aby oznaczono jakiś koniec sporom, — taka jest zasada prawna; stosuje się ona zarówno ido całych państw, bo w ich stosunkach spór oznacza spustoszenie całej prowincyj, wstrzymanie handlu i przemysłu, takie oblężenia jak Badajozu i San-Sebastianu, takie pobojojwiska jak pod Hławą (Eylau) i Borodynem. Przyznajemy, iż oderwanie przez Szwecję Norwegii od Danii było postępkiem niedającym się usprawiedliwić; ale czyby król duński miał słuszość, gdyby z tego powodu, bez nowej jakiejś pobudki, wylądował w Norwegii i rozpoczął działania wojenne? Król holenderski, bezwątpienia, mniema, iż mu niesprawiedliwie odebrano prowincye belgijskie; przypuścimy, że tak jest: ale czyżby z tego tytułu miał prawo wyruszyć z wojskiem na Bruksellę? Wina Fryderyka jeszcze większą się wydaje, ile, że niesłuszość, na którą się skarżył, popełniona została więcej niż przed stu laty; nie trzeba też zapominać, że osobiście niezmiernie był obowiązany domowi austriackiemu, bo bardzo być może, iż mu ocaliło życie wstawienie się właśnie nieboszczyka cesarza, którego córkę zamierzał teraz złupić.

Trzeba oddać wszelakoż sprawiedliwość Fryderykowi, że nie udawał enót, których nie miał. W manifestach, dla formy nie pomijał wzmianki o swych przedawnionych roszczeniach do Szlązka; ale w rozmowach i pamiętnikach zupełnie inaczej przemawiał. Oto własne jego słowa: „żądza sławy, zysku i rozgłosu wzięła górę; przedsięwzięłem więc wojnę.“

Takie powziąwszy postanowienie, działał zręcznie i energicznie. Niepodobienstwem było zataić przygotowania, bo we wszystkich stronach Prus pulki, działa i zapasy wojenne były w ruchu. Poseł austriacki w Berlinie zawiadamiał swój dwór o tych wypadkach, wyrażając pewne podejrzenia względem zamiarów Fryderyka; ale ministrowie Maryi Teresy nie chcieli dać wiary tak czarnej potwarzy, rzucanej na młodego króla, znanego właśnie z głoszenia zasad uczciwości i filantropii. „Nie chcemy, odpisywali, nie chcemy i nie możemy wierzyć temu.“

Tymczasem zgromadziły się siły pruskie. Bez wypowiedzenia wojny, bez domagania się zadosyćuczynienia, wśród najszezerszych zapewnień przychylności, wśród komplementów, Fryderyk rozpoczął kroki zaczepne. Tysiące żołnierzy pruskich rozkwaterowało się w Szlązku, wrzód nim się Marya Teresa dowiedziała, że król ich rości pretensye do jednej z jej posiadłości. Nareszcie posłał Fryderyk zawiadomienie, wyglądające raczej na obelgę. Powiadał w niem, iż jeżeliby mu cesarzowa ustąpiła Szlązka, to dopomagałby jej przeciw każdemu państwu, któreby usiłowało pozbawić ją innych posiadłości: jakgdyby

przedtem już nie miał obowiązku udzielać jej swęj pomocy; lub jak-gdyby nowa obietnica więcej być miała wartą od poprzednich!

Działo się to wśród głębokiej zimy: powietrze było ostre, a drogi pełne błota. Ale Prusacy szli naprzód. Opór był niemożliwy. Wojska austriackie były naówczas i nieliczne i niebitne. Częstka ich, stojąca na Szlązku, nie była przygotowana do walki. Głogów został otoczony, Wrocław otworzył swe bramy, Oławę opróżniono. Rozrzucone po kraju załogi trzymały się jeszcze, ale miejscowości otwarte musiały się popoddawać. Nieprzyjaciel nie śmiał zastąpić drogi Prusakom w polu, tak iż ku końcowi stycznia 1741 Fryderyk wrócił już do Berlina i przyjmował powinszowania od swych poddanych.

Gdyby sprawa Szlązka była sporem tylko pomiędzy Fryderykiem a Maryą Teresą, niepodobniestwem już byłoby uwolnić króla pruskiego od zarzutu grubego wiarołomstwa. Lecz rozważając skutki, jakie polityka jego wywarła i wyrzucić musiała na cały ogół narodów ucywilizowanych się, zmuszeni jesteśmy wydaćdaleko surowszy wyrok potępienia. Przed rozpoczęciem wojny zdawało się to prawdopodobnem, a nawet pewnem, że pokoju świata nie nie naruszy. Ograbienie wielkiego dziedzictwa austriackiego nie małą wprawdzie było pokusą i w niejednym gabinecie snuły się już po głowach ambitne zamysły. Ale umowy, ubezpieczające Sankeyę Pragmatyczną, były wyraźne i świeże. Wprawić całą Europę w zamieszanie, dla celu niezawodnie niesłusznego, było rzeczą nie małą doniosłości. Anglia trwała w wierności dla swych zobowiązań. Głos kardynała Fleury zawsze przemawiał za pokojem; miał Fleury sumienie i na starość, i po długiem, a względnie do okoliczności niezwykle czystem życiu, nie chciał stawać przed sądem Boga swojego ze świeżą plamą wielkiej zbrodni. Sam nawet próżny i niemoralny Belle-Isle, którego całe życie było szalonym snem na jawie o zdobyczach i łupieżach, czuł, iż Francya, związana będąc uroczystymi zapewnieniami, nie mogła bez hańby napadać wprost na ziemię austriackie. Karol, elektor bawarski, rościł sobie prawo do znacznej części spadku, zawarowanego przez Sankeyę Pragmatyczną dla królowej węgierskiej; ale był zbyt słabym do działania bez pomocników. Słusznie więc można było przewidywać, iż po krótkim wahaniu się wszyscy mocarze chrześcijańscy przychyliby się do woli zmarłego cesarza. Lecz samolubna drapieżność króla pruskiego dała hasło sąsiadom; przykład jego zagłuszył w nich poczucie wstydu, a powodzenie zachęciło do lekceważenia trudności, jakie przedstawiał rozbiór Austrii. Cały świat porwał za oręż. Na Fryderyka przeto głowę spada wszystka krew, przelewana przez długie lata i we wszystkich zakątkach kuli ziemskiej, krew kolumny pod Fontenoy, ⁽¹⁾ krew górali pomordo-

⁽¹⁾ Macaulay ma tu na myśli kolumnę gwardyi angielskiej, która w bitwie pod Fontenoy (11 maja 1745 r.) daremnie powstrzymać chciała zapęd Maurycyego Saskiego. Anglikami dowodził Cumberland.

wanych pod Culloden. Złe skutki jego niegodziwości dały się uczuć w krajach, gdzie nie znano nawet imienia Prus: po to, aby Fryderyk mógł spokojnie obedrzeć sąsiada, którego bronić przyrzekł, bili się czarni ludzie na wybrzeżu Koromandelskiem, a Czerwono-skorzy skalpowali się wzajemnie nad wielkimi jeziorami Ameryki Północnej.

Szlązk tedy dostał się Prusakom bez bitwy; ale wojska austriackie śpieszyły na odsiecz warowniom, które się jeszcze trzymały. Na wiosnę Fryderyk wrócił do armii; nie bardzo znał się on na wojowaniu i w polu nigdy nie komenderował większym korpusem. Niedziw przeto, że pierwsze jego działania wojenne mało okazywały owej zręczności, która później uwielbieniem przejmowała Europę. O tej kampanii można powiedzieć to, co znawcy mówią o obrazach z młodych lat Rafaela: że należała do najwcześniejszej złej manieri Fryderyka. Na szczęście jego, generałowie nieprzyjacielscy mało posiadali zdolności. Wyćwiczaniu wojska jego, szczególnie piechoty, nie dorównywało naówczas żadne inne, a dotego kilku zdatnych i doświadczonych wojowników zostawało przy boku króla dla rad i wskazówek. Najwydatniejszym z nich był feldmarszałek Schwerin, dzielny awanturnik, rodem z Pomorza, który służywał u połowy rządów Europy, dowodził wojskami Holandyi i księcia Meklemburskiego, bił się pod Marlboroughiem pod Blenheim ⁽¹⁾ i był z Karolem XII w Benderze.

Pierwszą bitwą Fryderyka była bitwa pod Mollwitz ⁽²⁾: nigdy zawód wielkiego wodza nie rozpoczynał się pod bardziej niepomyślną wróżbą. Wojska Fryderyka zwyciężyły. Ale król nie tylko nie zastrzyżł na nazwę zdolnego dowódcy, lecz, niestety, kazał nawet o sobie wątpić, ażali posiada pospolitą odwagę prostego żołnierza. Jazda, którą dowodził osobiście, musiała uciekać. Nieprzyzwyczajony do zgiełku i rzezi bojowej, stracił przytomność i zbyt skwapliwie usłuchał tych, którzy nań nalegali, aby się ratował ucieczką. Angielski siwek uniósł go o kilka mil od pola bitwy, a tymczasem Schwerin, chociaż dwukrotnie ranny, mężnie stawiał czoło nieprzyjacielowi. Biegiłość starego feldmarszałka i wytrwałość szeregów pruskich wzięły górę: wojsko austriackie musiało z pola ustąpić, ze stratą ośmiu tysięcy ludzi.

Więść o tem późno w nocy doszła do młyna, w którym król szukał przytułku, i sprawiła mu gorzkie udrczenie. Powiodło mu się wprawdzie, ale powodzenie zawdzięczał rozkazom innych i mężstwu tych, którzy pierś nadstawiali wtedy, kiedy on uciekał. Tak mało

⁽¹⁾ Właściwie *Blindheim*, albo *Blendheim*. Zwycięstwo Marlborougha w wojnie o sukcesyę hiszpańską d. 13 sierpnia, 1704 r.

⁽²⁾ Na Szlązku, o milę na zachód od Brzega (Brieg), d. 10 kwietnia 1741 r.

obietującym było pierwsze wystąpienie największego wojownika swego czasu!

Bitwa pod Mollwitz stała się hasłem powszechnego wybuchu w całej Europie. Bawarya wzięła się do broni. Francya, niewystępując jeszcze w roli głównego przeciwnika, wmieszała się jednak do wojny jako aliantka Bawaryi. Dwaj wielcy statysci, którym ludzkość zawdzięczała długie lata pokoju, ustąpili w owym czasie z widowni, uległszy przed śmiercią nagannej słabości, poświęcili bowiem miłość pokoju i poczucie sprawiedliwości dla płonnej nadziei utrzymania się przy władzy. Fleury, przynięciony wiekiem i dolegliwościami, dał się unieść zapalowi Belle-Isle. Walpole usunął się od służby, dawanej niewdzięcznemu krajowi, do swoich lasów i obrazów w Houghton; władza przeszła do rąk śmiałego i dziwaczego Cartereta. Jacy byli ministrowie, takie były i narody. Trzydzieści lat pokoju europejskiego, z małemi przerwami, przygotowały umysły ogółu do wielkich wstrząśnień wojennych. Wyrosło nowe pokolenie, które nie pamiętało ani oblężenia Turynu, ani rzezi pod Malplaquet, które wojnę znało tylko z tryumfalnych pamiątek; które wreszcie patrząc z dumą na dywany w Blenheim⁽¹⁾ albo na posąg na placu Des Victoires, nie bardzo zastanawiało się nad tem ilu-to ofiarami, ilu klęskami prywatnego mienia, ilu gorzkiemi łzami okupują się zwycięstwa!

Przez czas jakiś los okazywał się nieprzyjaznym dla królowej węgierskiej. Fryderyk wkroczył na Morawy. Francuzi i Bawarczycy zajęli Czechy i połączyli się tam z Sasami. Zdobyto Pragę. Elektora bawarskiego głosy towarzyszków jego wyniosły na tron cesarski, na tron, który odwiecznym obyczajem przyzwyczajono się uważać za godność dziedziczną w rodzie austriackim.

Wszakże duch wyniosłej córki Cezarów nie złamał się jeszcze; jeszcze Węgry należały do niej na mocy niezaprzeczonego prawa. Choć wice przodkowie jej przywykli uważać to królestwo za najburzliwsze ze wszystkich, ona postanowiła powierzyć się wierności jego ludu, nieokrzesanego wprawdzie, niespokojnego i nieznoszącego ucisku, ale mężnego, szlachetnego i dobrotliwego. Wśród trwogi i niedoli przyszedł na świat syn M. Teresy, późniejszy cesarz Józef II. Zaledwie z łoża powstawszy, pośpieszyła do Presburga. Tam, w obecniezlicznych tłumów, została uwieńczona koroną i przyobleczona w szatę Św. Stefana. Nikt z widzów nie mógł łez powstrzymać na widok pięknej młodej matki, osłabionej jeszcze położeniem, gdy, obyczajem przodków, wjechała konno na wyniosłość nazwaną „Górą Wyzwania“ a obnażywszy starożytny miecz państwa, wywinęła nim na północ i południe, na wschód i zachód, i z rumieńcem na bladym obliczu wyzywała niejako cztery strony świata do walki ze swemi i dziecka swego prawami. Na

⁽¹⁾ Zamek w Oxford-shire poświęcony Marlboroughowi za zwycięstwo pod Blendheim (Blenheim).

pierwszem posiedzeniu sejmu ukazała się w stroju żałobnym, z powodu śmierci ojca, i w wyrazach pełnych uczucia i godności błagała ludswój, by wspierał słuszną jej sprawę. Magnaci i posłowie powstali wszyscy, dobyli do połowy szable i gorącemi słowy przysięgli bronić królowej nieszczędząc życia i mienia. Nigdy dotychczas nie zabrakło jej pewności w wystąpieniach publicznych; ale po tym okrzyku osunęła się na siedzenie tronowe i zaczęła głośno płakać. Widok był jeszcze bardziej rozrzucającym, gdy w kilka dni potem przybyła znówu na sejm swojego królestwa i trzymując na ręku małego arcyksięcia pokazywała go zgromadzeniu. Wtedy zapal Węgrów zespolił się w jednogłośny okrzyk wojenny, który wkrótce zabrzmiał po całej Europie: „Umrzimy za króla naszego, Maryę Teresę!“

Tymczasem Fryderyk zamyślał o zmianie polityki. Nie życzył on sobie wynosić Francji do najwyższej potęgi na lądzie stałym, kosztem domu habsburskiego. Pierwszym celem jego było złupienie królowej węgierskiej; drugim zaś, jeżeliby to być mogło, przeszkodzenie temu aby ją ktokolwiek inny miał złupić oprócz niego samego. Zaciągnął on był dawniej zobowiązania względem państw sprzymierzonych przeciwko Austrii; ale związki te, w oczach jego niewiele go obowiązywały od rekojmi, jakiej przedtem był udzielił na korzyść Sankcji Pragmatycznej. Teraz zamierzał zagarnąć sobie część zdobyczy, zdradzając wspólników. Marya Teresa niewielką miała ochotę przychylić się do podobnej ugody. Ale rząd angielski z takim naciskiem wystawiał jej konieczność kupienia czemś Fryderyka, że się zgodziła na układy; te jednak nie byłyby doprowadziły do zgody, gdyby powtórne zwycięstwo nie uwięczyło oręża Pruskiego. Książę Karol Lotaryński, brat męża Maryi Teresy, wódz odważny i starowny, ale nieszcześliwy, stoczył bitwę z Prusakami pod Chotusicami i został pobitym. ⁽¹⁾ Król i tu jeszcze okazał się uczniem tylko w zawodzie wojennym. Przyznawał w późniejszym czasie, iż powodzenie w tym razie przypisać należało wcale nie jego dowództwu, ale jedynie mężstwu i wytrwałości wojska; wszelakoż odwagą osobistą i dzielnością całkowicie z siebie zmazał plamę, którą od Mollwitz na honorze dźwigał.

Owocem tej bitwy był pokój, zawarty za pośrednictwem Anglii. Marya Teresa ustąpiła Ślązka; Fryderyk opuścił sprzymierzeńców; Saksonia poszła za jego przykładem; a królowa zyskiwała możność zwrócenia wszystkich sił przeciwko Francji i Bawaryi. ⁽²⁾ Jakoż tryum-

⁽¹⁾ W Czechach, w obwodzie Czasławskim, d. 17 maja 1742 r.

⁽²⁾ Zawieszenie broni i preliminarja pokoju podpisano we Wrocławiu w d. 11 czerwca 1742 r., pokój formalny w Berlinie d. 28 t. m. i r. Fryderyk *de jure* nabył przez ten traktat tylko Ślązkę Dolną i hrabstwo Kłodzkie (Glatz), ale *de facto* posiadłości jego śląskie były już wtedy prawie takie same, jakimi je chciał mieć później-

fowała już potem wszędzie: Francuzi zmuszeni do opuszczenia Czech z trudnością odwrotu dokonywali; cała droga, którą się cofali, znaczone była tysiącami ofiar zimna, trudów i głodu; wielu z żyjących, którzy się zdolali przedrzeć do ojezyny, unieśli z sobą zarody śmierci. Bawaryę zalały zgraje dzikich wojowników pochodzących z owej krwią ociekającej a za ustawiczne bojowisko służącej krainy, która leży na granicy chrześcijaństwa i islamizmu. Straszne nazwy Pandurów, Kroatów i huzarów wówczas po raz pierwszy usłyszała zachodnia Europa. Nieszczęsny Karol Bawarski, pobity przez Austryę, zdradzony przez sprzymierzeńców, ze wstydu i wyrzutów sumienia zmarł skonem przedwczesnym. Wojska angielskie ukazały się w głębi Niemiec i pobiły Francuzów pod Lettingen. Wodzowie austriaccy przebąkali już nawet o uwieńczeniu dzieła Marlborougha i Eugeniusza,—i zmuszeniu Francji do zrzeczenia się Alzacy i trzech biskupstw.

Strwożony dwór wersalski zwrócił się o pomoc do Fryderyka. Popęłnił on był już dwie wielkie zdrady; możeby się więc dał namówić i do trzeciej. Największy naówczas wpływ na słabego Ludwika wywierała księżna Chateauroux. Postanowiła ona wysłać kogoś do Berlina; Wolter wybrany został na takiego pośrednika. Zabrał się on gorliwie do rzeczy: i gdy już sława jego literacka napełniała całą Europę, chciało mu się dogodzić jeszcze dziecinnej żądzy odznaczenia się w polityce. Ufał, i nie bez racji, w swą zręczność i ujmującą wymowę; pochlebiał też sobie, że posiada nieograniczony wpływ na króla pruskiego. W istocie jednak znał on dotąd charakter Fryderyka z jednej tylko strony. Wiedział dobrze o wszystkich próżnostkach i pretensjach jego jako wierszoklety; ale nie wiedział, o tem, że do tych słabostek przyłączały się w nim przeróżne zdolności i przywary, zapewniające powodzenie w życiu praktycznym; nie wiedział, że niefortunny rymotwórca, który go dręczył miernymi aleksandrynami, był nadzwyczaj czujnym, podejrzliwym i niemiłosiernym politykiem.

Wolter został przyjęty z wszelkimi oznakami szacunku i przyjaźni, pomieszczony w pałacu i codzień zapraszany do stołu królew-

szy traktat w Hubertsburgu (1763). Austria pozostała tylko w posiadaniu Opawy, Cieszyńska i Karnowa (Jägerndorf), które i dziś Szląsk austriacki stanowią. Codo pretensyj Fryderyka, opierały się one na układzie przeżycia pieniędzy Piastami Li-gnickimi i Brandeburgami ansbachskimi w r. 1537 zawartym, jakoteż na tytule prawnym jednego z bocznych Br. do własności politycznej Karnowa, który za Ferdynanda II (c. Niemiec) wpadł był w moc wojska austriackiego i zwróconym już nie został. Dodać wypada, że stany w Czechach, do których Szląsk od czasów Kazimierza W. należał, nigdy owego układu nie potwierdziły, a w 9 lat po zawarciu owej oryginalnej umowy Ferdynand I jako cesarz Niemiec i arcy-książę austriacki za nieważną ją uznał. W każdym razie, Fryderyk II miał prawo tylko do części, a zabrał całość.

skiego. Układy odbywały się w sposób bardzo niezwykły. Nie można sobie wyobrazić nie dziwaczniejszego nad te konferencye pierwszej znakomości literackiej z najpierwszym człowiekiem praktycznym swojego wieku,—dwu ludzi, którzy skutkiem szczególnej słabości wzajemnie się na role swe zamieniali. Wielki poeta nie chciał o niczem innem mówić, jeno o rękomiach i traktatach; a wielki król o niczem innem, jeno o przenośniach i końcówkach. Pewnego razu Wolter złożył do rąk króla jegomości memoriał o stanie Europy, a otrzymał go napowrót z wierszami nabazgranymi na marginesie. Obaj w duchu śmieli się jeden z drugiego. Wolter nie oszczędzał poematów króla, a król takie skreślił zdanie o dyplomacyi Woltera: „Nie miał żadnych listów wierzytelnych, a całe poselstwo było igraszką, poprostu farsą.“

Ale czego nie mógł dokazać wpływ Woltera, tego dokazały szybkie postępy oręża austriackiego. Jeżeli już w mocy było Maryi Teresy i Jerzego II dyktować Francji warunki pokoju, to jakież widoki były mieć Prusy do utrzymania się przy Szląsku? Sumienie Fryderyka powiadało mu, iż wiarołomnie i nieludzko postąpił sobie względem królowej węgierskiej. Że królowa głęboko to uczuła, tego dała dostateczne dowody; a o poszanowaniu przez nią traktatów mógł brać miarę z samego siebie. Zaręczenia wszelkie, mawiał, są to cacka filigranowe, ładne do patrzenia, ale zbyt kruche, aby wytrzymać mogły najłżejszy nacisk. Uważał tedy za rzecz najbezpieczniejszą dla siebie związać się jak najściślej z Francją i znowu napaść na cesarszową królową. Jakoż w jesieni 1744 r., bez poprzedniego oznajmienia, bez żadnego przyzwoitego pozorów, wznowił kroki zaczepne; przeszedł elektorat saski, nietroszcząc się o pozwolenie panującego, wkroczył do Czech, zajął Pragę i zagroził nawet Wiedniowi.

Teraz po raz pierwszy doświadczył Fryderyk niestałości fortuny. Korpus austriacki pod wodzą Karola Lotaryńskiego zagrażał połączeniom jego ze Szląskiem; cała Saksonia, na jego tyłach stanęła pod bronią. Nic mu nie pozostawało innego jeno ratowanie się odwrotem. Król przyznawał później, że niepowodzenie to było naturalnym skutkiem własnych jego pomyłek: żaden wódz, powiadał, nigdy większych błędów nie popełnił. Dodać wypada, że późniejsze powodzenia zawsze przypisywał przeciwnościom tej wyprawy. Właśnie to wśród trudności i utrapień zabłysnęły mu w głowie pierwsze zasady sztuki wojennej.

Nastał pamiętny rok 1745. Wojna srożyła się na morzu i lądzie: we Włoszech, w Niemczech i we Flandryi. Nawet Anglia, po długich latach głębokiego wewnętrznego pokoju, oglądać teraz miała w swem łonie wojska wrogo naprzeciwko siebie w szyku bojowym sta-

wające. Rok ten pamiętnym jest w życiu Fryderyka, bo w tym roku, można powiedzieć, zakończył się jego nowicjat w sztuce wojennej. Bywali wielcy wodzowie, u których talenta wojskowe, wcześniej rozwinięte i samodzielne, wyglądały niby natchnienie, jak na przykład Kondusz, lord Clive⁽¹⁾ i Napoleon. Ale Fryderyk nie należał do rzędu tych świetnych zjawisk. Jego biegłość w rzeczach wojskowych była prosto wprawą, do jakiej człowiek niepospolitych zdolności dochodzi w każdej nauce, przykładając się do niej pilnie i gorliwie. Dopiero pod Hohenfriedberg okazał Fryderyk po raz pierwszy ile skorzystał z własnych błędów i ich następstw. Zwycięstwo dnia tego głównie przypisać należy jego umiejętnym rozporządzeniom; przekonało ono Europę, że ten król, co przed kilku laty stał jak osłupiały na drodze molwickiej, teraz doścignął w sztuce wojennej takiego mistrzostwa, jakiemu nie dorównywał nikt ze współczesnych, chyba jeden tylko Maurycy Saski. Po zwycięstwie pod Hohenfriedberg nastąpiło zaraz drugie pod Sorr⁽²⁾.

Tymczasem oręż francuzki tryumfował w Niderlandach. Fryderyk nie miał już więcej powodu obawiać się, iżby Marya Teresa nie znalazła się w możności dyktowania praw Europie, począł więc przemysliwać nad złamaniem zobowiązań swych po czwarty raz z rzędu. Dwór wersalski zaniepokojony był i zgryziony. Wysłano do Berlina własnoręczny list Ludwika, pełen poważnych upomnień; ale nadaremnie. W jesieni 1745 Fryderyk zawarł pokój z Anglią, a pod koniec roku i z Austrią. Roszczenia Karola Bawarskiego nie mogły stanowić żadnej przeszkody do układów; nieszczęśliwy ten książę już nie żył; a Franciszek Lotaryński, mąż Maryi Teresy, za ogólną zgodą Rzeszy Niemieckiej, został wyniesionym na tron cesarski.

Znowu tedy Prusy otrzymały pokój; ale wojna europejska trwała aż do roku 1748 i zakończyła się dopiero pokojem akwizgrańskim. Ze wszystkich uczestników tego pokoju jeden tylko Fryderyk dobrze na nim wyszedł. Nietylko do ziem odziedziczonych dodał piękny kraj szlązki, lecz nadto przewrotną zręcznością swoją umiał tak jedną przez drugą równoważyć szale Austrii i Francji, że powszechnie zaczęto go uważać za dzierżącego w swych rękach równowagę Europy — wysoki szczyt dla ostatniego w szeregu królów, dla wnuka prostego margrabi. Opinia publiczna uważała króla pruskiego za polityka pozbawionego po-

(1) O Clive'ie, wodzu angielskim w Indjach napisał Mac. jeden z najlepszych swych zarysów.

(2) Fryderyk pobiwszy d. 4 czerwca 1745 r. Austriaków pod Hohenfriedberg na Szlązku, dokąd się cofnąć był musiał, sam już po tem zwycięstwie spod Lignicy na południe ku Czechom posuwać się zaczął i rzeczywiście do Czech wtargnął. W dniu 30 września przyszło w okolicy Trutnowa (Trautenau — walczone tam 1866 r.) pod Sorr (Soor) do bitwy, która była tak pomyślną dla Fryderyka, że skłoniła Austrię do pokoju w Dreźnie; pokój ten zakończył drugą wojnę Szlązką (d. 25 grudnia 1745 r.)

czucia moralności i przyzwoitości, nienasyceenie cheiwego i bezwstydnie fałszywego; nie była zresztą tak dalece w błędzie. Mówiono przytem, że był człowiekiem zdolnym, przebiegłym dyplomata i administratorem, że miał przed sobą przyszłość wielkiego wodza. Zalety, któremi przewyższał wszystkich, nie znane były tymczasem ani innym, ani jemu samemu; wystąpić miały dopiero na ciemnym tle niepowodzeń. Do tychczas zawód jego, z małemi wyjątkami, odznaczał się pomyślnością; w przeciwnościach dopiero, i to w takich, co się wydawały bez nadziei i ratunku, coby przygnęły nawet mężów wsławionych siłą duszy: w takich-to przeciwnościach miała się uwydatnić prawdziwa wielkość Fryderyka.

Od początku panowania poświęcał się on sprawom rządowym z zapalem niepraktykowanym pomiędzy królami. Ludwik XIV wprowadził swoim własnym pierwszym ministrem i miał dozór ogólny nad wszystkimi gałęziami rządu; ale Fryderykowi i tego było zamało: chciał on być jedynym swoim ministrem. Pod nim nie było miejsca nie tylko dla takich ludzi, jak Richelieu lub Mazarini, ale i dla takich, jak Colbert, Louvois lub Torey. Zamiłowanie w pracy dla niej samej, niezmordowana i nienasycona żądza przewodzenia, wtrącania się i wywierania swej władzy, głęboka pogarda i nieufność ku innym — odbierały mu chęć zasięgania cudzej rady, powierzania ważnych tajemnic i przelewania władzy na innych. Najwyżsi urzędnicy za rządów jego byli prosto pisarzykami i mniej mieli wiary u niego, niż dobry kancelista u swojego zwierzchnika. Sam on sobie był i ministrem skarbu, i głównodowodzącym, i najwyższym dozorcą robót publicznych, i ministrem handlu, sprawiedliwości, spraw wewnętrznych i zagranicznych, i wielkim koniuszym, i marszałkiem dworu, i szambelanem. Sprawy, o jakich w innym kraju pierwszy lepszy naczelnik wydziału nie chciałby ani słyszeć, w tem szczególnem państwie rozstrzygał król we własnej osobie. Gdy podróżujący cudzoziemiec życzył sobie dostać dobre miejsce dla przypatrzenia się przegładowi, to potrzebował napisać do Fryderyka, a nazajutrz otrzymywał z rąk królewskiego posłańca odpowiedź z własnoręcznym podpisem króla. Była to szczególniejsza, chorobliwa ruchliwość i pracowitość. Niewątpliwie, sprawy publiczne szłyby lepiej, gdyby każdy wydział powierzony był człowiekowi zdolnemu i uczciwemu, a król ograniczał się tylko na ogólnym nadzorze. Tym sposobem korzyści wynikające z jedności myśli w znacznym stopniu skojarzyłyby się z pożytkiem płynącym z podziału pracy. Ale taki systemat nie przypadałby do dziwnego usposobienia Fryderyka. Nie mógł on znieść żadnej woli, żadnego zdania w państwie swoim, oprócz swojego własnego. Nie żądał niczyjej pomocy, oprócz przepisywaczy, o tyle przynajmniej rozzgarniętych, aby mogli przepisać coś lub przetłómaczyć, wyczytać jego gryzmoły i przyoblec jego krótkie „tak“ i „nie“ w formę urzędową: maszyna do kopiowania

albo prasa litograficzna, jak raz tyle posiadają wyższych zdolności umysłowych, ile on ich wymagał od swojego sekretarza gabinetowego.

Sam król pracował z takim nateżeniem, jakiegoby trudno się spodziewać od ciała i ducha ludzkiego. W Poczdamie, zwykłej swej rezydencji, wstawał latem o trzeciej godzinie, a w zimie o czwartej. Zaraz pojawiał się paż z dużym koszem przybitych ostatnim kurierem listów, depeš od posłów, raportów urzędników skarbu, planów budowli, projektów osuszania błot, skarg od osób uważających się za pokrzywdzone i próśb o tytuły, posady wojskowe i cywilne. Król bacznie okiem opatrywał pieczęci, gdyż ani chwili nie był wolnym od podejrzeń, że go mogą oszukać. Potem odczytywał listy, gatunkował je, układając w oddzielne paczki, i napisywał wolę swoją, wyrażając ją zwykle znaczkami, czasem kilku słowami, a nieraz ostrym epigramatem. O godzinie ósmej kończył zazwyczaj tę część zatrudnienia. Wówczas stawał się przed nim generał-adjutant i odbierał dzienne polecenia względem wszystkich spraw wojskowych królestwa. Dalej szedł król na przegląd gwardyi i dopełniał tego, nie tak, jak to czynią panujący, ale z drobiazgową pilnością i surowością starego sierżanta-instruktora. Tymczasem czterech sekretarzy gabinetowych zajmowało się odpisywaniem na listy, na których król z rana wyraził był wolę swoją. Nieszczęśliwi ci ludzie musieli pracować rok okrążyli jak murzyni niewolnicy w czasie zbioru trzciny cukrowej. Nie znali co to święto, coto jest zjeść obiad; nie śmieli poruszyć się, dopóki nie skończyli całej roboty. Król, ciągle obawiając się podstępów, brał ze stosu garść listów na chybiłtrafił, i przezierał je, aby się przekonać: czy polecenia jego dokładnie spełniano. Był to niezły środek ostrożności przeciw szachrajstwu ze strony pisarzy; gdyż, jeżeliby który złapanym został na uczynku, za szczęśliwego by się uważał, gdyby mógł to przypłacić tylko pięcioletniem więzieniem w fortecy. Po podpisaniu odpowiedzi przez króla odsyłano je wszystkie tegoż samego dnia wieczorem.

Godnemi są uwagi zasady ogólne, które przewodziły dziwnemu temurządowi. Polityka Fryderyka w gruncie rzeczy taka sama była jak ojcowska; ale nadając jej rozmiary, o jakich ojciec ani marzył, Fryderyk oczyścił ją zarazem z niedorzeczności, jakimi ją poprzednik obciążył. Głównym celem króla Fryderyka było mieć wielkie, bitne i wyćwiczone wojsko. Królestwo, którem władał, z obszaru i ludności zajmowało za ledwie stanowisko drugiego rzędu między państwami europejskimi; ale Fryderyk wzdychał do stanowiska nie niższego od władców Anglii, Francyi i Austrii. Potrzeba więc było dla dopięcia tego celu, aby całe Prussy stały pod bronią. Ludwik XV, posiadając pięć razy tyle poddanych i przeszło pięć razy większe dochody od Fryderyka, nie rozkazywał tak potężnej armii. Stosunek ówczesny liczby żołnierzy do ludności w Prusiech jest prawie niedowierzenia. Z mężczyzn w sile wieku prawdopodobnie siódma część służyła w wojsku; i ten

ogrom żołnierzy ćwiczeniem, przeglądami i hojnym aplikowaniem plag i kija, doszedł do wykonywania wszelkich obrotów z szybkością i pewnością, któreby przejęły podziwem Villarsa i Eugeniusza. Wprawdzie wzniosłych uczuć, niezbędnych do doskonałości wojska, brakowało naówczas pruskiemu szeregom; nie ożywiał ich ani religijno-polityczny zapał, który przejmował kopijników Cromwella, ani duch patriotyczny, żądza sławy i przywiązanie do wielkiego wodza, które zagrzewały starych gwardzystów Napoleona. Ale ze względu na mechaniczną stronę wojskowości, bataliony pruskie o tyle przewyższały ówczesne wojska angielskie i francuskie, o ile znowu te ostatnie przewyższały wieśniaczą ruchawkę.

Jakkolwiek żołd wojska pruskiego był szczupłym, jakkolwiek każdy talar nadzwyczajnego wydatku przechodził pod oczami Fryderyka, uzbrogonemu taką czujnością i podejrzliwością, z jaką p. Józef Hume⁽¹⁾ nigdy nie bada budżetu armii, to jednak, względnie do zasobów kraju, wydatki na wojsko były niezmiernie. Aby więc nie zrujnowały skarbu, konieczne trzeba było do najwyższego stopnia uszczuplać inne rozehody. Jakoż Fryderyk nie posiadał floty, chociaż posiadłości jego dosięgały morza. Licho płacił sędziom i urzędnikom skarbu. Posłowie jego zagraniczni chodzili piechotą, albo jeździli starymi, nędznymi powozami tak długo, dopóki się w nich osie nie rozsypały. Najwyższym nawet agentom dyplomatycznym w Londynie i Paryżu płacił Fryderyk mniej niż po tysiąc funtów sterlingów na rok. Dom królewski utrzymywany był z oszczędnością niezwykłą w gospodarstwach ludzi zamożnych, a bezprzykładną w pałacach monarchów. Król lubił dobrze jeść i pić i przez znaczną część życia z przyjemnością widział stół swój obsadzony gośćmi; a jednak cały wydatek na kuchnię nie przenosił dwu tysięcy f. st. rocznie. Król roztrząsał każdy nadzwyczajny ekspens z troskliwością, którąby raczej przystała traktiernikowi niż wielkiemu królowi. Kiedy żądano więcej niż cztery talary za sto ostryg, wybuchał gniewem, jakgdyby mu doniesiono, że któryś z jego generałów sprzedaje warownię Cesarzowej. Bez wyraźnego rozkazu jego nie wolno było odkorkować ani jednej butelki wina szampańskiego. Polowanie w królewskich parkach i lasach, niemałe źródło wydatków we wszystkich prawie królestwach, dla niego stanowiło, przeciwnie, źródło dochodu: wydzierzawiał je wszędzie

(1) Znakomity finansista i przedstawiciel ludu w Anglii. Przez całe życie swoje należał do stronnictwa liberalnego, które go do najbardziej krańcowych członków swoich zaliczało. Uważano go za największą powagę w rzeczach skarbowych. Był nieprzejednanym wrogiem torysów i do śmierci z nimi walczył. Pochodził ze Szkocyi. Żył od r. 1778 do 1855. Zarządzał przez kilka lat kompanią wschodnio-indyjską.

i chociaż dzierzawcy prawierujnowali się kontraktami, król nie ustępował ani grosza. Garderoba jego składała się z jednego ubrania galowego, które mu wystarczało na całe życie, z dwu lub trzech starych ubiorów, kwalifikujących się na Monmouth-Street, z kilku złotych kamizelek, powalanych tabaką, i z wielkich butów, zrudziałych od starości. Tylko jedna słabość wywabiła go czasem z granic oszczędności, a nawet i roztropności. — słabość do budowania. We wszystkich innych rzeczach wstrzemięźliwość jego od wydatków do takiego dochodziła stopnia, że nazwalibyśmy ją nieco dobitniejszym imieniem, gdybyśmy się nie zastanowili, że fundusze jego płynęły od ciężko opodatkowanego ludu, i że bez ostatecznego uciemnienia go, Fryderyk nie byłby w możności utrzymywać jednocześnie potężne wojsko i dwór okazały.

Jako administrator, Fryderyk zasługuje na wielkie pochwały. Utrzymywał on ścisły porządek w kraju; własność ubezpieczył nalezycie; dozwalał wielkiej wolności mowy i druku. Zaufany w nieprzerpanej sile, wpływającej z potęgi siły zbrojnej, spoglądał na niezadowolonych i paszkwilarzy z rozsądną pogardą i dawał mało zachęty szpiegom i donosicielom. Gdy mu powiadano o niechęci, którego z poddanych, zapytywał tylko: „Ile tysięcy może on wyprowadzić w pole?“ Pewnego razu, widząc tłum przypatrujący się czemuś na murze, podjechał tam i przekonał się, że przedmiot ciekawości stanowił brudny paszkwil na niego; przyklejony był tak wysoko, że trudno było go czytać. Fryderyk rozkazał swoim przybocznym zdjąć afisz i umieścić go niżej. „Lud mój i ja, rzekł przytem, zrobiliśmy układ, z któregośmy radzi oba: on może mówić, co mu się podoba, ja mogę robić, co chcę.“ Niktby się nie ośmielił wydawać w Londynie satyr na Jerzego II, podobnych w zjadliwości do tych, które pisano na Fryderyka i bezkarnie sprzedawano po księgarniach berlińskich. Pewien księgarz posłał do pałacu egzemplarz najuszczypliwszego może na świecie paszkwila, *Pamiętników Woltera*, wydanych przez Beaumarchais'go, i zapytywał o rozkaz jego królewskiej mości. „Nie ogłaszaj tego w sposób obraźliwy, odrzekł król, ale sprzedawaj, ile zechcesz; spodziewam się, że zarobisz nieźle.“ Wyznać trzeba, że taka zimna krew nieczęsto się spotyka nawet pomiędzy statystami przyzwyczajonymi do wybryków wolnej prasy.

Przyznać należy także Fryderykowi, iż gorliwe czynił zabiegi o zapewnienie dla swojego ludu dobrodziejstwa taniej i prędkiej sprawiedliwości. Należał do pierwszych pomiędzy monarchami, którzy zniesli okrutną i niedorzeczną praktykę tortur. Żaden wyrok śmierci, wydany przez sądy zwyczajne, nie wykonywał się bez jego potwierdzenia; udzielał zaś takowego rzadko, chyba w razie morderstwa. Ale względem wojska postępował zupełnie inaczej: wykroczenia wojskowe karał tak niemiłosierną chłostą, iż żołnierz pruski uważał rozstrzelanie za rzecz znośniejszą. W ogóle, w całym rządzie Fryderyka prze-

bijała się zasada, że im surowiej się postępuje z wojskiem, tem bezpieczniej można łagodnie obchodzić się z resztą społeczeństwa.

Prześladowanie religijne nieznanne było pod jego rządami, chyba, że pewne niedorzeczne i niesprawiedliwe ograniczenie, dotyczące żydów, uważalibyśmy za wyjątek. Polityka jego względem katolików szlacheckich w zaszczytnem okazuje się przeciwieństwie z długoletniem zachowaniem się Anglii, w bardzo podobnych okolicznościach, względem katolików irlandzkich. Religijność i bezreligijność we wszelkiej formie znajdowały przytułek w jego państwie. Błuznierca, którego parlamenta francuzkie osadziły na śmierć męczeńską, otrzymywał na pociechę umieszczenie w służbie pruskiej. Jezuita, nie mogący się nigdzie pokazać, w Anglii zagrożony prawami karnymi, wypędzany z Francji, Hiszpanii, Portugalii i Neapolu, opuszczony nawet przez Watykan, znajdował bezpieczeństwo i sposób do życia w granicach pruskich.

Prawie wszystkie wady rządu Fryderyka zbiegają się w jednej, — w pasji do wtrącania się. Niezmordowana działalność jego umysłu, charakter despotyczny, nałogi wojskowe: wszystko to usposobiło go do tej wielkiej przywary. Chciało mu się tak wyćwiczyć lud, jak grenadyerów. Mnóstwo dziwacznych przepisów odwracało kapitał i przemysł od naturalnego kierunku. Zaprowadzono monopol na kawę, na tytoń, na cukier oczyszczony. Grosz publiczny, którego zkażinął król tak oszczędzał, marnował się obficie na oranie bagien, na sadzenie drzew morwowych na piaskach, na sprowadzanie owiec z Hiszpanii, dla poprawienia saskiej wełny, na wyznaczanie nagród za cienką przędzę, na budowanie fabryk porcelany, dywanów, wyrobów żelaznych i koronek. Ani doświadczenie innych monarchów, ani jego własne nie mogło go przekonać, iż potrzeba czegoś więcej nad dekret i zasilek skarbowy do stworzenia takiego Lugdunu, Brukselli lub Birmingham'u.

Jednakże polityka handlowa Fryderyka daje się do pewnego stopnia usprawiedliwić. Miała ona za sobą znakomite przykłady i przesady ludowe: jeżeli król w niej błdził, to błdził razem ze swoim stuleciem. Ale wtrącanie się jego w inne sprawy rządowe niczem się uniewinnić nie może. Mieszał się on do wymiaru sprawiedliwości, równie jak do handlu, upierając się przy swoich niedowarzonych wyobrażeniach o słuszności, wbrew jednogłośnemu tłómaczeniu prawa przez najpoważniejszych urzędników. Nigdy mu na myśl nie przyszło, że ludzie, co całe życie spędzili na roztrząsaniu kwestyj prawnych, daleko odpowiedniejszymi byli do utworzenia sobie dokładnych przekonań o tych rzeczach, niżeli ich władca, którego uwaga rozpraszała się na tysiące przedmiotów, a który nigdy nie przeczytał żadnej książki prawnej od deski do deski. Opór trybunałów doprowadzał go do wściekłości: lżył kanclerza, kopał nogami sędziów. Wprawdzie nie

miał najmniejszej chęci działać niesprawiedliwie: mocno wierzył, że czynił dobrze i że bronił sprawy ubogich przeciw bogatym. Ale wtrącanie się to, choć w dobrej wierze, zdaje się, że więcej szkody przyniosło od wszystkich wybuchów jego złych namietności przez całe długie panowanie. Można z biedy żyć pod rządami rozpustnika albo tyra-
rana; ale ulegać władzy wścibskiego, to już przechodzi siły ludzkie.

Ta sama żądza kierowania i regulowania objawiała się we wszystkich gałęziach polityki Fryderyka. Każdy chłopak, stosownie do lat swoich, musiał uczęszczać do różnych szkół królestwa pruskiego. Jeżeli młody Prusak udawał się choć na kilka tygodni w celu naukowym do Lejdy albo Getyni, to taki występki pociągał za sobą utratę praw cywilnych, a czasem i konfiskatę. Nikomu nie wolno było podróżować bez pozwolenia króla, a po uzyskaniu pozwolenia, dekret królewski oznaczał: ile pieniędzy mógł wziąć do kieszeni turysta. I tak, kupiec miał prawo zabrać ze sobą dwieście pięćdziesiąt talarów w złocie, a szlachcic czterysta; bo trzeba mimochodem zauważyć, że król starannie utrzymywał starodawną różnicę szlachty od gminu; w rozumowaniach był to filozof francuzki, ale w czynie — książę niemiecki. Mówił i pisał o przywilejach rodowych stylem Sieyësa; ale w praktyce żadna kapituła cesarstwa nie rozpatrywała troskliwsem od niego okiem rodowodów i herbów.

Takim był Fryderyk jako głowa rządu. Ale był jeszcze Fryderyk inny, Fryderyk z Rheinsberga, skrzypek i flecista, wierszokleta i metafizyk. Wśród trosk rządowych zachował on skłonność do muzyki, do czytania, pisania i do towarzysztwa literatów. Tym rozrywkom poświęcał cały czas, jaki mógł odkraść od spraw wojskowych i administracyjnych; może nawet więcej światła pada na jego charakter z tego, co się działo w godzinach wczasu, niż z tego, jakim się okazywał w bitwach i prawodawstwie.

Słusznie pysznił się tem Szyller, że w ojczyźnie jego żaden August, żaden Medyceusz nie pielęgnował niemowlęstwa poezji. Bogaty i wyrazisty język Lutra, wygnany przez łaciński z pedanckich szkół, a przez francuzki — z pałaców królewskich, szukał przytułku u ludu. Fryderyk nie miał najmniejszego pojęcia o potędze tej mowy; wyrażał się zazwyczaj o niej i o tych, co jej używali, z pogardą nieświadomości. Księgozbiór jego składał się z książek francuzkich, a u stołu nie inaczej jak w tym języku rozmawiano. Towarzyszami godzin jego wypoczynku byli sami prawie cudzoziemcy. Brytania dostarczyła kółku królewskiemu dwóch odznaczających się ludzi, wysokiego urodzenia, wygnanych niezgodami domowymi z ojczyzny, której, w szczęśliwszych okolicznościach, zdolnościami swojemi i cnotami dodaliby potęgi i świetności. Jerzy Keith, lord marszałek Szkocji, podniósł oręż za dom Stuartów w r. 1715, a młodszy brat jego, siedmnaastoletni naówczas Jakób, bił się dzielnie przy boku jego. Gdy

wszystko było stracone, udali się razem na ląd stały, tułali się z kraju do kraju, służyli pod różnemi chorągwiami i postępami swojemi zarobili sobie na szacunek i przychyłność wielu takich osób, które zresztą wcale nie sprzyjały sprawie Jakobitów. Długa ich wędrówka zakończyła się w Poczdamie, a Fryderyk pomiędzy towarzyszami swymi nie miał nikogo, koby pozyskał i otrzymał od niego poważania tyle, co oni: byli to ludzie nietylko wykształceni, ale wysokiego rodu i uzdolnienia wojskowego, zdadni do posług dyplomatycznych i wojennych, niemniej jak do zabawiania króla przy wieczerzy. Oni jedni ze wszystkich domowników Fryderyka, zdaje się, że nigdy nie mieli powodu do uskarżania się na jego obejście się z nimi, a niektórzy, co doskonale znali dwór, utrzymują, że lord marszałek był jedyną istotą lubioną przez króla pruskiego.

Włochy w towarzystwie poczdamskim przedstawiał dowcipny i miły Algarotti ⁽¹⁾ oraz Bastiani, najprzebieglejszy, najostrożniejszy i najbardziej słuźaleczy z książę. Ale największą część grona otaczającego Fryderyka dostarczyła Francya. Maupertuis zyskał pewien rozgłos podróżą odbytą do Laponii w celu określenia kształtu ziemi przez dokładne wymiary; pełnił on obowiązki prezesa akademii berlińskiej, mizernej kopii sławnej akademii paryskiej. Baculard d'Arnaud, młody poeta, uważany za bardzo obiecującego, dał się nakłonić do opuszczenia ojczyzny i przebywania na dworze pruskim. Margrabia d'Argens należał do ulubionych towarzyszy króla, zapewne skutkiem wielkiej sprzeczności charakterów; posiadał on wielkie zdolności i manieri prawdziwego szlachcica francuzkiego, ale te zalety tonęły w gnuśności, teńórzowstwie i zajęciu się sobą. Należał Argens do rządu owych nizezemnych ludzi, coto nie będąc religijnymi, wierzą w zabobony. Nienawidząc chrześcijaństwa, z zawziętością uniepodobniającą mu badanie rozumowe, niezdolny widzieć w harmonii i piękności wszechświata śladów boskiej mocy i mądrości, niewolnikiem był snów i wróżb: nie chciał siadać do stołu we trzynastu, błądł, gdy się solniczka wywracała w jego stronę, prosił współbiesiadników, aby nie składali na krzyż noża i widelca na talerzu i za nie w świetle nie puściłby się w podróż w piątek. Zdrowie stanowiło przedmiot ciągłych jego obaw; jak tylko głowa go zabolala, albo puls prędzej uderzył, przejmował go zabobonny strach i wówczas uciekał się do babskich śro-

⁽¹⁾ Jestto ten sam Algarotti, który skupywał Augustowi III obrazy do Galeryi Drezdeńskiej, cieszył się jego zaufaniem i uczestniczył w życiu i zabiegach dworskich w stolicy Saxonii. Wzmianki o nim w literaturze pamiętnikowej i po rozmaitych dziełach porzrzucane. Osobnej pracy o tej ciekawej i zdolnej osobistości dotychczas nie posiadamy. Algarotti żył od 1712 do 1764 r. Fryderyk wysoko go cenił.

deczków, które były pośmiewiskiem całego Berlina. Wszystko to bardzo było na rękę królowi: potrzebował on kogoś, co by go mógł zabawić i kimby mógł poniewierać. Gdy więc miał ochotę spędzić z pół godziny na gładkiej i łatwej rozmowie, znajdował w d'Argensie wyśmienitego towarzysza; a kiedy potrzebował wyrzucić na kogo zły humor lub pogardę, to tenże d'Argens wybornie mu za cel służył.

Z tymi-to, i innymi tego rodzaju towarzyszami, Fryderyk lubił przepędzać czas, jaki mu się udawało oszczędzić od czynności rządowych. Chciał, aby rozmowa przy wieczerzy łatwa była i wesoła. Wzywał gości, aby się pozbyli wszelkiego przymusu, aby zapomnieli, że stał na czele stu sześćdziesięciu tysięcy żołnierzy i że był nieograniczonym panem życia i wolności tych wszystkich, co z nim razem u stołu siedzieli. Wieczorki te przeto miały pozór swobody; współbiesiadnicy popisywali się dowcipem i nauką; rozprawy o dziejach i piśmiennictwie bywały niekiedy wysoce zajmującymi. Ale główny przedmiot rozmów stanowiła niedorzeczność religij wszystkich narodów, a zuchwałość, z jaką przy tej sposobności traktowano zasady i osobistości czczone na całym świecie chrześcijańskim, zdumiewała tych nawet, którzy byli oswojeni z towarzystwem francuzkich i angielskich niedowiarków. Wszelakoż ani prawdziwej wolności, ani szczerych uczuć nie było w tem świetnym gronie. Samowładni królowie rzadko miewają przyjaciół; a wady Fryderyka były tego rodzaju, że nawet przy doskonałej równości czyniłyby przyjaźń nader podejrzaną. Posiadał on wprawdzie liczne zalety, które ujmowały ludzi przy pierwszym spotkaniu: rozmowa jego była ożywiona, a obejście pełne przymilenia, kiedy komu chciał się przypodobać; nikt nie umiał tak wybornie wlewać w serca zbliżających się ku niemu niewyraźnej nadziei jakichś wielkich korzyści z jego przychylności. Ale pod tą piękną powierzchownością krył się tyran, podejrzliwy, dumny i złośliwy. Miał on upodobanie, które daje się przebaczyć w dziecku, lecz które, gdy u człowieka lat dojrzałych i wyższego umysłu praktykuje się często i ze świadomością, jest niezawodną prawie oznaką złego serca, mianowicie: miał upodobanie w dotkliwych żartach. Jeżeli ktoś z dworaków lubił stroje, to kazał oblewać oliwą najdroższe jego suknie; na takiego, co kochał pieniądze, wymyślał jakiś figiel, aby go zmusić do wydatku nad możność; hypochondrykowi wma-wiano, że miał wodną puchlinę; jeżeli ktoś serdecznie pragnął dokądś pojechać, to mu podsuwano list odstraszący od wyjazdu. Powie ktoś, że to były dziecinstwa. Zapewne, — ale takie dziecinstwa są niemyślnymi wskazówkami charakteru, dla którego widok cierpienia i upokorzenia jest przyjemnem wzruszeniem.

Fryderyk miał bystre oko na słabości innych i lubił dzielić się swojemi odkryciami. Posiadał także talent do przycinków i niepospolitą sztukę odgadywania miejsc drażliwych, które żart najboleśniej

ranił. Próżność i złośliwość jego doświadczały przyjemności w pomieszaniu i udręczeniu tych, co znosili jego uszczypliwe drwiny. Wprawdzie do powodzenia w takich razach przyczyniał się w połowie sam dowcip, a w połowie to, że król go wygłaszał. Czytamy, że Kommodus z mieczem w rękę schodził na arenę walczyć z nieszczęśliwym gladyatorem, uzbrojonym jedynie w ołowiany pałasz, i po przelaniu krwi bezbronnej ofiary kazał wybijać medale na pamiątkę tego niesławego zwycięstwa. Tryumfy Fryderyka w szermierce ucinkowej były prawie tej samej natury. Najdrażliwszą była kwestya: jak się względem niego zachować? Okazując się nieśmiałym, sprzeciwiano się jego zaleceniu i pozbawiano go rozrywki. Z drugiej strony, jak tylko który z dworaków, złudzony łaskawością króla, pozwalał sobie serdeczności i poufałości, to z pewnością zaraz gorzko pożałował tego, przypłacając swą zarozumiałość jakimś bolesnem upokorzeniem. Urazać się za obelgi było rzeczą niebezpieczną, a nie urażać się, zna-czyło to zasługiwać na nie i wywoływać nowe. W oczach Fryderyka, ci, co się dąsali, byli zuchwalcami i niewdzięcznikami, a ci, co poddawali się, byli kundlami stworzonymi do dostawiania kości i chłosty z niezmiennie przymilającą się pokorą. Trudno doprawdy pojąć: co mogło skłonić tych ludzi, oprócz chyba szalonego głodu, do odgrywania nędznej roli satellitów wielkiego króla. Nie był to zawód zyskowy. Król jegomość tak samo był surowym i oszczędnym w przyjaźni, jak i w innych wydatkach domu, i nieskorym do szafowania talarami ani na uczucia ani na obiady. Sumki, które udzielał poetom i filozofom, przedstawiały minimum tego, za co taki poeta i filozof dałby się namówić do zaprzędania się w niewolę; a niewolnik mógł się za szczęśliwego uważać, gdy po długich latach utrapienia nie wydzierano mu samowolnie i po grubiańsku tego, co mu tak niechętnie dawano.

Poczdąm był prawdziwie, jak go nazwał jeden z najznakomitszych jego mieszkańców, pałacem Alcyny⁽¹⁾. Na pierwsze spojrzenie wydawał się miejscem rozkosznym, gdzie wszelkie umysłowe i zmysłowe uciechy oczekiwały szczęśliwego przybysza. Nowo-przybyłego przyjmowano z rzadką gościnnością, odurzano pochlebstwami, zachęcano do oczekiwanego pomyślności i wyniesienia. Nadaremnie liczny szereg ulubieńców, którzy przestąpili te progi z zachwytem i nadzieją, a później po krótkich chwilach złudnego szczęścia, odpokutowywać musieli swój obłęd całemi laty niedoli i poniżenia — nadaremnie podnosił głos, ostrzegając niebaczących, dążących ku podwojom zacząrowanego pałacu. Niektórzy tyle posiadali roztropności i rozumu, że się zawczasu na rzeczy poznawszy, zaraz, nie oglądając się, zmykali; inni

(1) Nazwa użyta przez samego Woltera: „Alcine Frédéric.“ *Alcyna*, zły duch niewieści, „wszteczna królowa“, jak ją mianuje Jagodyński w opowieści komedyi „Wybawienie Ruggierrę z wyspy Alcyny etc.“ Kraków 1628. (Przedruk w Bibl. Tur.)

marnieli tam, aż póki się nie doczekali smutnej i niezaszczytnej starości. Nie wahamy się powiedzieć, że najuboższy owego czasu literat londyński, spijający na poddaszu, jadający w garkuchni, noszący krawat papierowy, używający drewnianego szpikulca zamiast szpilki, szczęśliwszym był od wszystkich uczonych domowników Fryderyka.

Ze wszystkich, co wstąpili do tego zakłętogo ogrodu, w upojeniu radości, a wyszli w przystępie śmiertelnego gniewu i wstydu, najgodniejszym uwagi jest Wolter. Różne okoliczności zmusiły go szukać przytułku zdala od ojczyzny. Sława obudziła mu nieprzyjaciół, a drażliwość jego dawała im wielką nad nim przewagę. Byli to zresztą napastnicy godni pogardy. Ze wszystkiego, co przeciwko niemu popisali, nie nie przeżyło zapomnienia, oprócz tego, co on sam od niepamięci zachował. Lecz umysł jego takiej był natury, jak niektóre ciała, które się jatrzą za najmniejszym zagłębieniem kolca lub ukąszeniem komara. Chociaż więc rozgłos jego urósł raczej niż się zmniejszył skutkiem takich pisarzy jak Fréron i Desfontaines, i chociaż zemsta, jaką na nich wywarł, tak była okrutna, że chłosta, piętnowanie i pręgierz byłyby przy niej drobnostką, jednakże pewną jest rzeczą, że oni zadawali mu daleko więcej cierpienia, niż on im. Jakkolwiek bowiem Wolter przez całe życie używał sławy klasyka, wynoszony był przez współczesnych nad wszystkich poetów, filozofów i dziejopisów; jakkolwiek utwory jego z równą rozkoszą i uwielbieniem czytano w Moskwie i Westminsterze, we Florencyi i Sztokholmie, jak i w samym Paryżu: dręczyła go jednakowoż owa niespokojna zazdrość, która, zdawałoby się, że znamionuje tylko umysły płonne żądzą rozgłosu, a zarazem świadome swojej nieudolności. Względem literatów, którzy pod żadnym względem nie mogliby z nim współzawodniczyć, a przytem okazywali mu życzliwość, Wolter nietylko bywał sprawiedliwym i grzecznym, lecz niekiedy serdecznym przyjacielem i hojnym dobroczyńcą. Ale stawał się jawnym lub ukrytym wrogiem każdego pisarza, którego rozgłos zdawał mu się własnej jego sławie dorównywać. Pokryjomu więc poniżał Monteskiusza i Buffona, a Rousseau'a przesłađował otwarcie z obelżywą zaciekłością. Nie posiadał nadto sztuki ukrywania uczuć pod maską dobrego humoru lub lekceważenia. Przy swych potężnych zdolnościach, przy tyloletniem doświadczeniu, nie więcej posiadał panowania nad sobą od rozpieszczonego dziecka albo zde nerwowanej kobiety. Doznawszy przykrości wylewał z serca całą retorykę gniewu i smutku dla wyrażenia swojej obrazy. Te jego potoki gorzkich słów, tupania i kłatwy, wykrzykiwania się i płacz ze złości, prawdziwą ucztą bywały dla owych istot nieczemnych, które się rozkoszują w mękach wyższych umysłów i w poniżaniu nieśmiertelnych imion. Istoty te wynalazły wkrótce sposób dotknięcia go do żywego. Wiadomo, że w jednej przynajmniej gałęzi piśmiennictwa Wolter nie miał równego sobie pomiędzy żyjącymi; przyznawali mu to sami za-

zdrońcy. Odkąd Racine spoczął w grobie—wśród wielkich ludzi, których prochy uczyniły poświęconą zagrodę Port-Royal jeszcze świętszą,—nie ukazał się żaden poeta tragiczny, któryby się śmiał ubiegać o palmę pierwszeństwa z autorem *Zairy*, *Alziry* i *Meropy*. Teraz poczęto głosić, że ukazał się współzawodnik. Stary Crébillon, cieszący się niegdyś niejakim powodzeniem scenicznem, a później długo zapomniany, opuścił swoje poddasze na jednym z najlichszych zaułków w pobliżu ulicy St. Antoine, powitany radośnemi okrzykami zazdrośnych literatów i kapryśnego gminu. Wystawiono na scenie i przyjęto hucznemi oklaskami to coś, co nazwał *Katyliną*, a napisał był w swoim ukryciu. O tej nędznej sztuce dość powiedzieć, że intryga jej osnuta jest na miłostkach przeprowadzonych podług wszelkich prawideł romansów pani de Scudéry, a odbywających się pomiędzy Katyliną, którego powiernikiem jest pretor Lentulus, i Tullią, córką Cyceirona. Teatr drżał od okrzyków. Król przeznaczył pensję szczęśliwemu poecie, a kawiarnie głosiły, że Wolter był wprawdzie człowiekiem zdolnym, ale że prawdziwe natchnienie tragiczne, że ów ogień niebieski, który płonął w Corneille'u i Racinie, jeden tylko Crébillon posiadał.

Cios ten ugodził w serce Woltera. Gdyby rozsądek i moc charakteru odpowiadały płodności jego umysłu i świetności dowcipu, toby pojął, że przechodziło to siły wszystkich chwalców i oszczerców całej Europy, iżby zdołali postawić *Katylinę* wyżej od *Zairy*; lecz brakowało mu tej wspaniałomyślnej cierpliwości, z jaką Milton i Bentley przekazali swe krzywdy niemylnemu sądowi potomności. Owszem, wdał się on w żwawą a niezaszczytną utarczkę z Crébillonem i wydał szereg dramatów tej samej osnowy, jakiej używał jego współzawodnik. Sztuki te zimnego doznały przyjęcia. Zagniewany na dwór i na stolicę, Wolter począł z przyjemnością myśleć o dobrowolnem wygnaniu. Przywiązanie do pani Châtelet długo wstrzymywało go od wykonania tego zamiaru; śmierć jej przywracała mu wolność; postanowił więc szukać przytułku w Berlinie.

Do Berlina zapraszano go całym szeregiem listów, pełnych zapewnień gorącej przyjaźni i uwielbienia. Zdawało się, że na ten raz skąpstwo Fryderyka zmieknęło. Ofiarował on Wolterowi, w zamian za przyjemność i zaszczyt, wypływające z obcowania z najpierwszym dowcipem wieku, order, zaszczytne urzędy, sutą pensję, stół wysmienity i wspaniałe mieszkanie pod dachem królewskim. Na kosztą podróży przeznaczył tysiąc luidorów. Nigdy żaden ambasador, udający się z Berlina na pierwszorzędnny dwór, nie dostał lepszego utrzymania. Wolter jednak nie był zadowolony. Później, gdy posiadał już znaczną fortunę, stał się bardzo szczodrobliwym; lecz nim zasoby dorównały chęciom, chciwość zysku nie kępowała się u niego ani sprawiedliwością, ani wstydem. Tyle był bezczelnym, że prosił o dodanie jeszcze tysiąca luidorów, aby mógł przywieźć z sobą siostrzenicę swoją, panią Denis,

najszpetniejszą z kokietek. Tak niedelikatne łakomstwo poety wywarło spodziewany skutek na surowym i oszczędnym królu. Odmówił mu sucho, dodając, że nie prosił o zaszczyt towarzystwa tej damy. Na taką odpowiedź Wolter wybuchł dziecinną swoją złością: „Czy widziano kiedy takie skąpstwo! Ma w sklepach swoich tysiące kadzi z talarami, a targuje się ze mną o nędzne tysiąc ludiorów.“ Zdawało się tedy, że stosunki będą zerwane; ale Fryderyk bardzo zrećźnie udął obojętność i zdawał się chcieć przenieść afekta swoje na Bacularda d'Arnaud; napisał nawet trochę lichych wierszy, opiewających, że Wolter był zachodzącym słońcem, a Arnaud—wschodzącym. Pocziwi przyjaciele pośpieszyli udzielić tych rymów Wolterowi. Leżał on wtedy w łóżku. Po przeczytaniu, wyskoczył w jednej koszuli, począł ze złości biegać po pokoju i posłał natychmiast po pasport i konie pocztowe. Nie trudno było przewidzieć: na czym się skończy tak rozpoczęty stosunek.

Roku 1750 tedy Wolter opuścił wielką stolicę, którą ujrzyć miał nie prędzej jak po upływie lat trzydziestu, gdy wróciwszy zgrzybiałym starcem, kończył życie wśród wspaniałego acz ponurego tryumfu.⁽¹⁾ Przyjęcie, jakiego doznał w Prusiech, mogło wbić w dumę nawet umysł mniej od jego umysłu próżny i wrażliwy. Pisał był do przyjaciół w Paryżu, że grzeczność i uprzejmość, z jakimi go witano, nie dają się wyrazić, że król jest najmiłszym z ludzi, a Poczdam rajem dla filozofów. Otrzymał tytuł szambelana i wraz ze złotym kluczem order i patent zapewniający dożywotnią pensję ośmuset f. rocznie. Siostrzenicy, jeżeliby go przeżyła, obiecano sto sześćdziesiąt f. rocznej pensji. Oddano do jego rozporządzenia kucharzy i stangretów królewskich. Umieszczono go w tych samych pokojach, które zajmował Maurycy Saski, gdy, u szczytu potęgi i sławy, odwiedzał Prusy. Nawet jakiś czas Fryderyk zniżał się do pochlebstwa: przyciskał do ust wychudłą rękę małego wykrzywionego szkieletu, którego uważał za rozdawcę nieśmiertelnej sławy; chciałbym, powiadał, do tytułów, osiągniętych dziedzictwem i mieczem, dodać nowy, pochodzący z osta-

(1) Wolter wyjechał z Paryża do Potsdamu, w czerwcu 1750 r. Nie wrócił już więcej do grodu, w który pismami swemi zasiał ziarna rewolucji, aż dopiero wtedy kiedy żadnej już nie mógł mieć nadziei doczekania żniwa: widział tylko urodzaj. Przyjęcie jego w Paryżu w lutym 1778 r. było rzeczywistym tryumfem, a tryumf ten „wspaniały“ stał się rychło „ponurym“, zakończył się bowiem śmiercią tryumfatora (d. 30 Maja 1778 r.). Wzmianka Mac. na poprzedniej stronie o pani Du Châtelet wiąże się z pobytem Woltera i jego kochanki na dworze króla Stanisława w Lunewilu przez cały r. 1749. W końcu tego roku margrabina zmarła, Wolter wrócił do Paryża, a Fryderyk nasyłać zaczął listy swoje z natarczywością, której mu filozof w głębi duszy wcale za złe nie miał. Szambelanem nie został W. odrazu i wprzód Fryderyk odnieść się musiał do Ludwika XV, który pozwolił, ale niechęć w sercu zachował. Ztąd późniejsza skarga W. „że go Fr. poróżnił z królem Francji“. (Zob. Condorcet: Vie de V. i Voltaire: Mon Séjour à Berlin.

tniego, najchlubniejszego nabytku. Nazywać się więc miał odtąd: „Fryderyk, król pruski; margrabia brandeburski, wielki książę szlązki, posiadacz Woltera.“ Wszelako już wśród rozkoszy miodowego miesiąca drażliwa próżność Woltera trwożyć się poczyniała. W kilka dni po przyjeździe nie mógł wytrzymać, aby nie zakomunikować siostrzenicy, że ten kochany król miał zwyczaj pociechu drapać jedną ręką, głaszcząc i pieszcząc drugą. Wkrótce ukazały się napomknienia tem bardziej zatrważające, że tajemnicze. „Wieczery są rozkoszne. Król jest duszą towarzystwa. Ale—mam opery i komedye, przeglądy wojsk i koncerty, prace moje i książki. Ale—ale—Berlin jest piękny, księżniczki śliczne, damy honorowe przystojne. Ale—“

Dziwaczna ta przyjaźń nagle ostygła zaczęła. Niepodobnaby wynaleźć dwu ludzi jakby naumyślnie stworzonych do wzajemnego udręczania się. Każdy z nich posiadał tę właśnie wadę, która najbardziej niecierpliwiła drugiego, a obu im, choć w odmienny sposób, niezmiernie na cierpliwości zbywało. Fryderyk był oszczędny, prawie skąpy. Dostawszy cacko, począł rozmyślać, że za drogo je kupił. Przeciwnie, Wolter był łakomy aż do bezczelności i oszustwa, a mniemał, że ulubieniec monarchy, chowającego w piwnicach baryłki złota i srebra, powinienby się dorobić majątku, którego by mu generalni poborcy mogli pozazdrościć. Otóż obaj wkrótce odkryli wzajemnie swoje uczucia; obaj stali się złośliwymi i rozpoczęli wojnę, w której Fryderyk zniżył się do roli Harpagona, a Wolter do roli Scapina. Przykro wyznać, iż wielki wódz i polityk wydawał rozkazy, aby uszczuplono ordynaryę cukru i czekolady, wyznaczoną dla jego gości. Jeszcze przykrej, jeżeli to być może, opowiadać jak Wolter wynagradzał to sobie, chowając do kieszeni świece woskowe z przedpokoju królewskiego. Ale sprzeczki o pieniądze nie należały do najważniejszych u tych szczególnych przyjaciół. Przyczinki króla dokuczyły wkrótce drażliwemu pocie. D'Arnaud i d'Argens, Guichard i La Métrie⁽¹⁾ za kawałek chleba znosili chętnie niegrzeczności pańskie; ale Wolter nie tego był gatunku. Wiedział on, że był mocarzem, tak dobrze jak Fryderyk, że europejska jego sława i niezrównana potęga okrywania śmiesznością wszystkiego, czego nienawidził, czyniła go postrachem władców wojsk i panów świata. Bo też, doprawdy, ze wszystkich oręży ducha, któremi człowiek kiedykolwiek władał, szyderstwo Woltera było najstraszliwszym. Świętoszkowie i ciemniacy, których nigdy nie wzruszyły przekleństwa i jęki milionów ludzi, bledli na wspomnienie jego imienia. Zasady niedostępne zaczepkom rozumu, takie, które się

(1) La Mettrie, ten sam, który napisał *Historię naturalną duszy i Człowieka-Machine*. Wolter nie oszczędza go w swych pamiątkach i poezjach ulotnych. La Mettrie umarł z obżarstwa.

oparły najzawziętym napadom siły, najszanowniejsze prawdy, najwznioślejsze uczucia, najszlachetniejsze i najwdzięczniejsze postaci, najczystsze reputacje, najdosłowniejsze instytucje, — brzydły, skoro tylko pokalał je ten śmiech niszczący. Każdemu, kto mu w drodze stawał, jakkolwiekby czystą miał sprawę i charakter, jakkolwiek wysokie zdolności i stanowisko, każdemu, co śmiał się sprzeciwić wielkiemu szwercy, można było przypomnieć przestrożę daną niegdyś archaniołowi:

*„I forewarn thee, shun
His deadly arrow: neither vainly hope
To be invulnerable in those bright arms
Though temper'd heav'nly; for that mortal dint,
Save he who reigns above, none can resist.“* (1)

Nie możemy rozwodzić się w wyliczaniu jak często rzadki ten talent występował przeciw współzawodnikom godnym szacunku; jak często zwracał się druzgocąc i torturując wrogów wartych jedynie milczącej pogardy; jak często wreszcie służył szkodliwym celom, burząc ostatnią pociechę nędzy doczesnej i ostatnią zapórę przemocy ziemskiej. Nie możemy również rozszerzać się nad tem; ile razy Wolter używał tego talentu w obronie sprawiedliwości, ludzkości i tolerancji, zasad zdrowej filozofii i wolnego rządu. Nie tu miejsce na wyczerpującą charakterystykę Woltera.

Niezaadługo przybyło więcej powodów do waśni. Wolter, po części z miłości ku pieniądzu, a po części z upodobania we wrażeń, zawsze lubił grę giełdową i teraz uplał się w sprawy, conajmniej, wątpliwej czystości. Król był uszczęśliwiony, że mu się nadarzała sposobność upokorzenia gościa; zamieniono gorzkie wyrzuty i skargi. Prócz tego Wolter wkrótce wdał się w kłótnie z innymi literatami, otaczającymi króla, a to gniewało Fryderyka, który przeciw siebie głównie o to powinienby obwiniać, gdyż, powodowany owem zamiłowaniem dręczenia innych, które w nim główną namietność stanowiło, nieustannie obsypywał niezwykle pochwałami miernych ludzi i lichę książki, jedynie dlatego, aby się cieszyć przykrością i gniewem, których w podobnych razach Wolter nie starał się taić. Jakoż niebawem począł król mieć powody do żalowania trudów poniesionych

(1) „Ostrzegam cię, unikaj
Jego strasnej strzały; nie miej próżnej nadziei,
Żeś niedostępny pod tą jasną zbroją,
Choć w niebiosach ją zahartowano; bo tym śmiertelnym pociskom,
Oprócz Tego, co króluje w górze, nikt się oprzeć nie zdoła“

Z *Miltona*: Raju utraconego, Ks. II, wiersz 810—814; przekład p. Jana Karłowicza. Słowa strażniczek wrót piekielnych do Szatana podejmującego już walkę z Bogiem.

na rozdmuchanie zazdrości pomiędzy swoimi domownikami. Cały pałac zawrzał intrygami i knowaniami literackimi. Napróżno wznosił się potężny głos, co trzymał władzę nad stu sześćdziesięciu tysiącami żołnierzy, ku uśmierzeniu zwady podrażnionych dowcipów: łatwiej było wywołać niż ukoić burzę; a i sam Fryderyk. — w roli swej, literata, — (1) wcale nie był wolnym od przykrości. Posłał był sporo wierszy Wolterowi, a teraz prosił o zwrot z dodaniem uwag i poprawek. „Patrzcie, wołał Wolter, jakie mnóstwo brudnej bielizny przysłał mi król do wyprania!“ Plotkarze nie omieszkali powtórzyć tego konceptu najjaśniejszemu panu, który się zatrzęsł od gniewu jakgdyby jaki pisarz z ulicy Grub-Street, kiedy znalazł nazwisko swoje w *Duncyadzie*. (2)

Dłużej tak być nie mogło. Okoliczność, któraby w czasie pierwszych zapalów przyjaźni śmiech tylko obudziła, teraz sprawiła gwałtowny wybuch. Maupertuis cieszył się takimi względami u Fryderyka, jak żaden z literatów. Był prezesem akademii berlińskiej i w towarzystwie uczonych, zgromadzonych na dworze pruskim, po Wolterze, choć w ogromnej odległości, pierwsze miejsce zajmował. Fryderyk, igrając dla własnej rozrywki uczuciami tych dwu zazdrośnych a próżnych Francuzów, zdołał obudzić w nich głęboką wzajemną niechęć. Wolter postanowił naznaczyć przeciwnika swojego piętnem, piętnem niezatartem; napisał więc niesłychanie pocieszny dyatrybę *Doktor Akakia*. Pokazał tę ramotkę Fryderykowi, który zbyt wiele miał smaku złośliwości, aby nie poznać się na zaletach tej satyry. Istotnie, dzisiaj nawet, ktokolwiek ma choć trochę poczucia komizmu, nie zdoła przeczytać bez serdecznego śmiechu tych żartów o mieście łacińskim, o Patagończykach i o dziurze aż do środka ziemi. Jednakże chociaż Fryderyk mocno się ubawił tym zgrabnym paszkwilem, nie życzył sobie, aby się on rozszedł po świecie. Chodziło tu bowiem o jego miłość własną. Maupertuis z jego wyboru przyzydował w akademii. Jeżeliby więc cała Europa poczęła się śmiać z prezesa, to czyżby nie skompromitowała się do pewnego stopnia opiekuna? Prosił więc król Woltera o zniszczenie tego utworu; ten obiecał, ale nie dotrzymał. Dyatryba została wydrukowana i obudziła wybuchy śmiechu i oklasków u wszystkich, co umieli czytać po francuzku. Król wściekał się. Wolter, rozmijając się, jak zwykle, z prawdą, bronił swej niewinności i wymyślił jakąś bajeczkę o podstępie drukarza czy też przepisywacza.

(1) „in his capacity of wit“ Wit znaczy i „dowcip“ i „człowieka dowcipnego“, „człowieka wyższego umysłu.“ Tutaj przyłącza się jeszcze pojęcie pisarza.

(2) Utwór satyryczny Pope'a. Los literatów z ulicy Grub-Street w Londynie opisuje Macaulay w życiu *Samuela Johnsona*, którego ostatnim z tej generacji nazywa. Literaci z Grub-Street byli prostymi najemnikami. Nędza odrażająca i rozwiązłe obyczaje znamionowały ich.

Ale król nie dał się oszukać. Nakazał, aby pamflet został spalony przez kata i wymagał od Woltera przeprosin w najbardziej upokarzających wyrazach. Wolter odesłał królowi swój order, klucz szambelański i patent na pensję. Po tych wybuchach gniewu, osobliwa para, wstydząc się własnej popędlowości, odbyła pojednanie, ale tylko dla formy, gdyż rozbrat był w sercach stanowczy: Wolter na zawsze pożegnał Fryderyka. Rozstali się zimno, choć grzecznie, chowając w duszy urazę. Wolter miał u siebie sposzty wierszy króla i zapomniał go zwrócić. Było to, jak się zdaje, skutkiem roztargnienia, zdarzającego się zwykle osobom udającym się w podróż, gdyż niepodobna do wiary, aby Wolter zamierzał popełnić w tym razie kradzież literacką: przekonani jesteśmy, że za połowę królestwa Fryderyka nie zgodziłby się przyjąć na siebie autorstwa jego rymów. Ale król, który płody swej muzy daleko wyżej cenił niż były warte i gotów był jaknajgorzej tłómaczyć wszystkie postęпки Woltera, wściekał się na myśl, że ukochane jego utwory dostały się w ręce wroga, skłonnego do kradzieży jak sroka, a złośliwego jak małpa. Rozjątrzony tą myślą, zapominając o rozsądku i przyzwoitości, postanowił wyrządzić mu obelgę, równie wstrętną jak śmieszną.

Wolter dojechał do Frankfurtu. Siostrzenica jego, pani Denis, przyjechała tam na jego spotkanie. Tutaj miał się już za bezpiecznego od prześladowań byłego swojego pana; ale nadspodziewanie został uwieczony na rozkaz rezydenta pruskiego i musiał wydać szacowny ów sposzty. Lecz agenci pruscy otrzymali zapewne polecenie nie wypuszczania Woltera bez wyrządzenia mu grubej obelgi. Trzymano go więc dwanaście dni w jakimś brudnym domku, otoczonym strażą z bagnetami na karabinach; siostrzenicę żołnierze włóczyli po błocie przez miasto, a zuchwali dozorecy wydarli Wolterowi tysiąc sześćset talarów⁽¹⁾. Niedorzecznością jest utrzymywać, że zniewagi te popełnione zostały bez wiedzy Fryderyka: bo czy kogokolwiek ukarano za to? Czy ktokolwiek pociągnięty został do odpowiedzialności? Czy to się nie zgadzało z charakterem króla? Czy to się różniło od innych postępków jego w podobnych okolicznościach? Czyż nie wiadomo, że nieraz pokryjomu polecał on podwładnym swoim rabować i niszczyć domy, nalezające do osób, do których miał urazę, nakazując im przytem, aby tak się urządzali, iżby nazwisko króla nie zostało w sprawę wplątane? Tak samo przecie postąpił sobie z hrabią Brühlem podczas wojny siedmioletniej. Dlaczegożbyśmy wierzyć mieli, iż chciałby skrupulatniejszym być względem Woltera?

⁽¹⁾ Opis przygody frankfurckiej odeztał we własnym pamiętniku Woltera *Mon séjour à Berlin*. Przygoda wydarzyła się w czerwcu 1753 r.; w kwietniu opuścił był Wolter pałac w Poczdamie.

Kiedy nareszcie znakomity więzień odzyskał wolność, miał przed sobą niebardzo uśmiechającą się perspektywę. Stał się wygnańcem, i z prawdziwej i z przybranej swej ojczyzny. Rząd francuzki wziął mu za złe podróż do Prus i nie chciał mu pozwolić na powrót do Paryża; w bliskości zaś Prus pobyt niezupełnie wydawał się Wolterowi bezpiecznym.

Postanowił więc szukać przytułku nad pięknym brzegiem jeziora Genewskiego. Tam, po zerwaniu więzów, które go dotąd krępowały, nie lękając się już ani dworów, ani kościołów i niczego się od nich nie spodziewając, rozpoczął długoletnią wojnę ze wszystkimi powagami, dobremi i złemi, a to, co Burke wyrzekł o zgromadzeniu ustawodawczem, daje się bardzo słusznie zastosować i do tego wielkiego jego zwiastruna: nie umiał on budować, umiał tylko niszczyć; prawdziwym był Witruwyszem ruiny⁽¹⁾. Nie przekazał nam ani jednej teorii, któraby jego imię nosiła, ani jednego przyczynku do zasobu wiedzy naszej pozytywnej. Ale zato żaden mistrz ludzkości nie pozostawił za sobą tak ogromnych i straszliwych zwalisk prawd i fałszów, wzniosłych i nikczemnych, pożytecznych i zgubnych rzeczy. Od chwili osiedlenia się swego u stóp Alp — z dramaturga, satyryka, dziejopisa przeordził się w poważniejszą postać. Stał się teraz patryarchą, założycielem sekty, głową spisku, zwierzchnikiem rozległej rzeczywistej polityki umysłowej. Często doznawał przyjemności, tak odpowiedniej lepszym stronom jego charakteru, przyjemności bronięcia niewinnych, pozbawionych wszelkiej opieki, naprawiania strasznych krzywd, karania wysoko postawionego ciemieństwa. Doczekał się także zadowolenia, nie mniej miłego, nienasyconej swej próżności, słysząc jak przerażeni Kapucyni nazywali go Antychrystem. Lecz czy dobrze czy źle czyniąc, nie zapominał Poczdamu i Frankfurtu i z natchnieniem wsłuchiwał się w każdy szmer zapowiadający gromadzenie się chmur nad Europą i zbliżanie się chwili odwetu.

Życzenia te zdawały się urzeczywistniać. Marya Teresa ani na chwilę nie zapominała okropnej krzywdy, jaką jej wyrządziła ręka Fryderyka. Młoda i delikatna, tyłkoco osierocona, mając właśnie matką zostać, zmuszona była opuścić stolicę przodków; w jej oczach rabusie zgrabili piękną jej spuściznę, a pomiędzy rabusiami Fryderyk był najpierwszym. Bez powodu, bez wyzwania, wbrew najświętszym zobowiązaniom, napadł bezbronną aliantkę, której bronić był obowiązany. Cesarzowa miała wady, zarówno jak i zalety, wynikające z wielkiej wrażliwości i wyniosłego umysłu. Nie było niebezpieczeństwa, na któreby nie była gotowa się narazić; nie było klęsk, na któreby się nie zgodziła wystawić swoich poddanych, a nawet cały rodzaj ludzki,

⁽¹⁾ Obacz wyżej str. 88.

aby choć raz mózdz zakosztować słodyczy zupełnego odwetu; a dotego, ciasnemu i zabobonnemu umysłowi jej odwet wydawał się obowiązkiem. Szlążk oderwany został nie tylko od cesarstwa, ale i od kościoła rzymskiego. Zdobywca pozwolił wprawdzie nowym poddanym chwalić Boga po swojemu; ale jej niedosyć było tego. W oczach bigotery wydawało się to nieznosnym uciskiem, że kościół katolicki, używający w tej prowincji długoletniej przewagi, schodził teraz na stopień równości. Nie ta jedna zresztą okoliczność skłaniała Maryę Teresę do uważania wroga swojego za nieprzyjaciela Boga. Bezbożność pism i rozmów Fryderyka, oraz okropne pogłoski, obiegające o rozwiązłości jego obyczajów, bardzo naturalnie gorszyły kobietę, która z najgorętszą wiarą przyjmowała to wszystko, co w nią wmawiał spowiednik, a która, choć młoda i piękna, otoczona pokusami, choć gorących namietności, i obdarzona nieograniczoną władzą — potrafiła jednak dochować imię swoje nieskażonem pomimo obmów i potwarzy.

Odzyskać Szlążk i upokorzyć ostatecznie ród Hohenzollernów: było to najwyższym celem jej żywota. Mozoliła się nad nim długie lata, z tak niezmordowaną gorliwością, jaką poeta przypisuje owej wspaniałej bogini, coto zajeżdżała nieśmiertelne swe rumaki, podburzając narody przeciw Troi i gotowa była oddać na zniszczenie swoje lube Miceny i Sparte, aby mózdz tylko choć raz ujrzeć dymy pożaru Pryamowego pałacu. Z taką-to myślą dumna Junona austriacka starała się zawiązać na swojego wroga taką koalicję, jakiej Europa nigdy jeszcze nie widziała. Póty się nie mogła uspokoić, aż póki cały świat ucywilizowany, od Białego morza do Adryatyku, od zatoki Gaskońskiej aż do pastwisk dzikich koni nad Tanaistem, nie runął z bronią w rękę na małe państewko.

Najpierwej udało się jej różnemi zabiegami pozyskać przystąpienie Rosyi. Królowi Polskiemu przyrzekła znaczną część zdobyczy, a monarcha ten, rządzony przez swojego ulubieńca, hr. Brühla, chętnie obiecał pomagać wojskiem saskiem. Bardzo trudno szło z Francją. Iżby dom Burbonów z domem Habsburskim mógł kiedykolwiek serdecznie działać na wspólną w jakim bądź kierunku polityki europejskiej, o tem oddawna powiadano, że użyjemy dosadnego wyrażenia Fryderyka, iż jest takim niepodobieństwem, jak złączenie ognia z wodą. Całe poprzednie dzieje kontynentu, w ciągu półtrzecia wieku, były szeregiem ciągłej zazdrości i niesnasek pomiędzy Francją a Austrią. Szczególnie zaś od panowania Richelieu poczęto uważać za najzdrowszą politykę arcy-chrześcijańskiego króla krzyżowanie wszelkich zamiarów dworu wiedeńskiego i wspieranie każdego członka rzeszy niemieckiej, który podnosił głowę przeciwko władzy cesarskiej. Wspólnosć wyznania nie zdołała ułagodzić wzajemnej niechęci. Rządcy Francją, choć się przystrajali w purpurę rzymską, choć prześladowali kacerzy Roszelli i Owernyi, łaskawie pomimo to patrzyli na luterskich

i kalwińskich książąt, powstających przeciw głowie Cesarstwa. Jeżeli by przeto ministrowie francuzcy mieli szacunek dla tradycyjnych zasad, przekazanych im przez tyle pokoleń, toby szli ręką w rękę z Fryderykiem tak, jak największy z ich poprzedników — szedł z Gustawem Adolfem. Ze więc śmiertelna nienawiść zapanowała pomiędzy Prusami a Austrią, jużby to dostatecznym powodem być powinno do wywołania ścisłej przyjaźni Francyi z Prusami. Fryderyk nie mógł mieć nigdy ważniejszych sporów z Francją. Posiadłości jego tak były położone, że jego ambicya, jakkolwiek łakoma i bezwzględna, nigdyby nie mogła popchnąć go do zaczepienia tego państwa z własnego powodu. Nadto, był on więcej niż nawpół Francuzem: pisał, mówił i czytał tylko po francuzku; miłował towarzystwo Francuzów, a ich uwielbienie uważałby za najśłodsza nagrodę wszystkich swoich czynów. Zdawało się niepodobieństwem, iżby ktokolwiek z rządzących Francją, jakkolwiekby był lekkomyślnym lub nieudolnym, mógł pogardzić takim sprzymierzeńcem.

Pomimo to dwór wiedeński wcale nie rozpaczał. Dyplomaci austriaccy spróbowali nowej drogi politycznej, nie pozbawionej, wyznać należy, pozorów trafności. Zaczęli dowodzić, że dwa wielkie mocarstwa długo ulegały złudzeniu, uważając siebie za naturalnych nieprzyjaciół, kiedy właśnie przyrodzonymi były sprzymierzeńcami. Szereg krwawych wojen spustoszył Europę, przerzedził ludność, wyczerpał zasoby, obarczył rządy ogromnym ciężarem długów, i oto, po dwu wiekach morderczych zapasów lub niepewnego rozejmu, dwa rody znamięniete, których swary świat rozdzierały, zabrali się do obliczenia zysków — i jakąż istotną korzyść z obu stron dostrzegły? Nie więcej nad to, że sobie wzajemnie w pomyślności przeszkadzały. Nie król francuzki i nie cesarz zbierali owoce wojny trzydziestoletniej, lub wojny o sankcyę pragmatyczną; pozrywały je państwa drugiego i trzeciego rządu, które, zabezpieczone będąc przeciw zazdrości podrzędności swoją, zręcznie się powiększały, posługując niby urazom wielkich mocarzy chrześcijaństwa. Podczas gdy lew szarpał się z tygrysem, szakał uciekał w gestwinę ze zdobyczą. Prawdziwe zyski z wojny trzydziestoletniej odniosła, nie Francya i nie Austriya, tylko Szwecya, a z wojny o Sankcyę Pragmatyczną — parweniusz brandeburski. Francya się wysilała ogromnie, przyczyniła wawrzynów swej chwale wojennej, a ciężarów skarbowi; i w jakimże to celu? Po to tylko, aby Fryderyk mógł Szlążk zagarnąć. Tylko na to jeden korpus francuzki, zniszczony mieczem i głodem, zginął w Czechach, a drugi potokami najszlachetniejszej krwi opłacił jałowe laury pod Fontenoy. A tenże monarcha, dla którego Francya tyle ucierpiała, czy był wdzięcznym, czy był przynajmniej uczciwym sprzymierzeńcem? Czyż nie był równie fałszywym względem dworu wersalskiego? Czyż nie odegrywał on, na wielką skalę, takiej roli, jaką w życiu prywatnem gra nędzny pokątny

adwokat, który podszezuwa sąsiadów do kłótni, wikła ich w kosztowne i nieskończone procesy, oszukując jednego po drugim, a pewnym będąc, że którykolwiek się zruinuje, on sam pewno się zzbogaci? Zaprawdę więc, istotna mądrość nakazywała obu mocarstwom napastować, nie jedno drugie, ale podszezuwacza obudwu, który podlegając ich namiećności, udając, że obu posługuje i obu zdradzając, potrafił wznieść się nad stan, w którym się urodził. Głównym celem Austrii było odzyskanie Szlązka, a najważniejszym dążeniem Francji—rozszerzenie posiadłości ku Flandryi. Jeżeliby więc dwa państwa poszły odmiennymi drogami, to skutek wynikłby taki, że po długoletniej wojnie, po stracie tysięcy dzielnych żołnierzy i po zmarnowaniu milionów, złożyłyby broń nie dopiąwszy ani jednego ani drugiego celu; przeciwnie, jeżeliby działały w porozumieniu, toby uniknęły hazardu i trudności. Austrya chętnieby w Belgii takie ustępstwa poczyniła, jakichby Francya nie zyskała dziesięciu wygranych bitwami; a Szląsk łatwoby się wcielił nanowemu do państwa, które nim tak długo władało. Sojusz dwu tak potężnych rządów odrazu nastraszyłby króla pruskiego. Jeżeliby się opierał, to krótka kampania los-by jego rozstrzygnęła. Francya i Austrya tedy, oddawna przyzwyczajone do gry wojennej z przegraną, po raz pierwszy ujrzałyby się wygrywającami. Nie powinno być żadnych powodów do zazdrości pomiędzy niemi, bo potęga obu wzmogłaby się jednocześnie, a przez to równowaga nie byłaby zachwiana; wszystko by się zaś skupiło na tym szkodliwym i niemoralnym rabusiu, który na nieczyje względy nie zasługiwał.

Zasady te, pociągające nowością i dowcipnym pomysłem, stały się wkrótce modnymi przy kolacyjkach i po kawiarniach paryżkich; poczęli je głosić wykwintni markizowie i krotoczwilni księża, przypuszczani do buduaru pani Pompadour, podczas jej fryzowania i pudrowania. Dziwny ten związek Francji z Austryą nie pochodził jednakże z żadnej teorii politycznej. Istotną pobudką do zapomnienia dawnych uraz i dawnych zasad rządowych przez dwa te wielkie mocarstwa stałego ładu, był osobisty wstręt ku królowi pruskiemu. Uczucie to silniejszym było u Maryi Teresy; lecz nie ona jedna była niem przejęta. Fryderyk, pod wielu względami dobry pan u siebie, nader złym był sąsiadem. Nie były to najbrzydsze jego wady, że postępował zawsze bez serca i że najpierw myślał o własnym zysku; ostry jego i szyderczy język głębsze rany zadawał, niż jego ambicja. Jako dowcipkujący mniej się jeszcze powstrzymywał, niż jako monarcha. Przypisywano mu pełno uszczypliwych wierszy na wszystkich panujących i ministrów Europy. W listach i rozmowach czynił przymówki największym potentatom wieku, i to w wyrażeniach, któreby raczej przystały Collemu, w szermierce na dowcipy z Crébillonem młodszym za stołem u Pelletiera, niżeli mocarzowi mówiącemu o mocarzach. O kobietach zwykł był się wyrażać w taki sposób, że najpotulniejsza z nich

nie mogłaby tego zapomnieć, a właśnie, na jego nieszczęście, całym prawie kontynentem rządziły naówczas kobiety wcale nie odznaczające się potulnością. Sama nawet Marya Teresa nie uniknęła złośliwych jego żartów. Cesarzowa rossyjska Elżbieta wiedziała także, iż lekkość jej dostarczała mu ulubionego tematu do drwin i conceptów. Pani Pompadour, która była istotną głową rządu francuzkiego, jeszcze dotkliwiej czuła się obrażoną. Próbowwała najdelikatniuszem pochlebstwem ułagodzić Fryderyka; ale poselstwa jej zbywał on suchemi tylko i szyderczemi odpowiedziami. Marya Teresa chwyciła się innego sposobu. Najwynioślejsza z monarchiń, najsurowszych zasad matrona, w pragnieniu zemsty, zapominając i o godności swego rodu i o czystości swych zasad, poniżyła się do pochlebiania, niskiego urodzenia, a jeszcze niższego charakteru, nałożnicy, która, zdobywszy wpływ własną rozpustą, utrzymywała go demoralizowaniem innych. Cesarzowa tedy napisała własnoręczny liścik, pełen wyrazów szacunku i przyjaźni, do swej drogiej kuzynki, córki rzeźnika Poissona, żony dzierżawcy skarbowego D'Etiolles'a, stręczycielki młodych dziewcząt do haremstaręgo libertyna: dziwna to kuzynka dla spadkobierczyni tylu władców Cesarstwa Zachodniego! Ujęło to zupełnie metrese; łatwo więc namówiła Ludwika, który zresztą miał i własne urazy. Uczucia jego nie były żywe; ale pogarda, jak powiada przysłowie wschodnie, przebija nawet skorupę żółwia ⁽¹⁾ a właśnie ani roztropność, ani przywoitość nie powstrzymywały Fryderyka od wyrażania jak najgłębszej wzgardy ku gnuśności, niedołęztwu i nizekzemności Ludwika. Tak więc Francya dała się wciągnąć do związku, a jej przykład skłonił i Szwecję, zupełnie ulegającą naówczas wpływowi francuzkiemu.

Nieprzyjaciele Fryderyka, bez wątpienia, dość byli silni, aby go otwarcie zaczepić; ale chciało się im do innych korzyści dodać i tę, która wynika z niespodziewanego napadu. Lecz król pruski nie był z rzędu takich, co dają się podchwycić: miał agentów na wszystkich dworach i otrzymywał właśnie z Wiednia, Drezna i Paryża tak szczegółowe i tak jednobrzmiące zawiadomienia, iż nie mógł wątpić o grożącym mu niebezpieczeństwie. Dowiedział się tedy, że jednocześnie uderzyć nań miały: Francya, Austrya, Rosya, Saksonia, Szwecya, i reszta Niemiecka; że nieprzyjaciele mieli się podzielić większą częśćią posiadłości jego, że Francya, nie mogąc dla geograficznego położenia swojego brać bezpośrednio udziału w łupach, miała otrzymać wynagrodzenie w Niderlandach; że Austrya miała dostać Szląsk, a Rosya Wschodnie Prusy; że August Saski spodziewał się Magdeburga; że wreszcie Szwecya dostanie część Pomorza. Jeżeliby się te zamiary powiodły, to dom brandeburski zniżyłby się odrazu w rzędzie państw

(1) Przysłowie indyjskie. ob. wyżej str. 68.

europęjskich do stopnia niższego od księstwa wirtemburskiego, albo margrabstwa badenkiego.

Jakaż była nadzieja, że te zamiary spełzną na niczem? Od wieków nie widziano takiego związku państw kontynentalnych. Mniej groźna liga w ciągu tygodnia podbiła wszystkie prowincje Wenecyi, gdy Wenecya stała u szczytu potęgi, bogactw i chwały. Nie tak straszny alians pochylił dumną głowę Ludwika XIV aż do ziemi. Mniej potężne przymierze, za dni naszych, ujarzmiło daleko silniejsze mocarstwo i upokorzyło daleko pyszniesze czoło. Takiej przewyżki sił w wojnach nigdy dotychczas nie oglądano. Pod rządami Fryderyka było najwyżej pięć milionów ludzi; a ludność krajów, które się przeciw niemu sprzymierzyły, dochodziła do stu milionów. Nierówność zasobów, conajmniej, tej samej była miary. Nieraz wprawdzie drobne kraiki, zagrzane dzielnym duchem patryotyzmu lub wierności, stawiały czoło wielkim mocarstwom, nadwątłonym stronnictwami i niezgodą. Ale królestwo Fryderyka, jakkolwiek szczupłe, zawierało prawdopodobnie większą ilość niezadowolonych niż wszystkie państwa jego nieprzyjaciół. Szlząk stanowił czwartą część posiadłości pruskich; a po Szlząkach, zrodzonych pod rządami austriackimi, w najlepszym razie obojętności tylko mógł się król spodziewać; od tamiecznych zaś katolików miał oczekiwać — chyba tylko oporu.

Zdarzało się, że położenie geograficzne usposobiało niektóre kraje do skutecznej obrony od potężnej przemocy. Niejednokrotnie morze osłoniło Anglię od wściekłości całego kontynentu. Rząd wenecki, ogołocony z posiadłości lądowych, z arsenału wznoszącego się wpośród lagun, posyłał wyzwania sprzymierzeńcom z ligi w Cambray. Niejedno wielkie i dobrze urządzone wojsko, spoglądające na pastery szwajcarskich jako na łączną zdobycz, poległo w wąwozach alpejskich. Fryderyk nie posiadał żadnych tego rodzaju korzyści. Układ i położenie posiadłości jego, natura ich powierzchni: wszystko było przeciwko niemu. Długie, porozrzucane, porozdzierane kraje jego zdawały się naumyślnie ułożonemi dla wygody napastników: ani morza, ani łańcuchy gór ich nie zasłaniały; ani jeden ich zakątek nie leżał dalej niż tydzień marszu od granicy nieprzyjacielskiej. Sama stolica w razie wojny wystawionaby była na ciągłe niebezpieczeństwo. Jakoż nie było polityka i wojownika w Europie, któryby nie miał przekonania, że starcie to zakończy się w przeciągu bardzo krótkiego czasu obaleniem domu brandeburskiego.

Myśl samego Fryderyka niewiele była od powyższej różną. Spodziewał się on ni mniej ni więcej jeno własnego i rodziny swej upadku. Istniała jednak, choć niepewna, możność ratunku: posiadłości jego tę przynajmniej miały zaletę, że zajmowały środkowe stanowisko; nieprzyjaciele zaś stali daleko od siebie i niełatwo skupić mogli przeważne swe siły na jeden punkt. Prócz tego zamieszkiwali oni różne

strefy; bardzo więc być mogło, że pora roku, najlepiej odpowiadająca krokom wojennym jednej części związku, byłaby niepomysłną dla drugiej. Nadto, Prusy wolne były od niedostatków, znajdujących się w daleko obszerniejszych i wspanialszych państwach. Istotną ich siłę, jaką rozwinąć mogły w rozpaczliwych zapasach, nie samą tylko ilością mil kwadratowych albo ludności mierzyć należało. W tym szczupłym, ale zwięzłym i wyćwiczonym organizmie widać było same tylko żyły, mięśnie i kości. Żaden wierzyciel skarbu nie wyczekiwał na dywidendy. Żadna zamorska osada nie wołała o obronę. Dworu nie napełniali faworyty i zausznicy, pochłaniający żołąd pięćdziesięciu batalionów. Wojsko pruskie, chociaż liczebnie wiele niższe od zastępów mających się z niem zetrzeć, w stosunku jednak do obszaru krain pruskich, bardzo było liczne; doskonałe też panowało w niem wyćwiczenie i obsadzenie komend, a ożywiały je duch karności i żądza zwycięstw. Skarbu nie obciążały długi, a w czasie pokoju dochody przewyższały wydatek. Ze wszystkich panujących w Europie, sam tylko Fryderyk posiadał zapasy na chwilę niebezpieczeństwa. A przede wszystkim — on był jeden, a wrogów kilku. W obozach ich z pewnością musiały się znaleźć zawiści, niezgody i opieszałość, nieodstępne towarzyszy wszelkiej koalicji; a po jego stronie była energia, jedność i tajemnica silnej dyktatury. Do pewnego stopnia brak środków wojennych dawał się zastępować pomocą sztuki. Jakkolwiek szczupła była armia króla wobec sześćkroćstotysięcznej, którą liga zdołała wystawić, szybkość jednak ruchów mogła poniekąd wynagrodzić niższość liczebną. Tak tedy rzeczą było możliwą, iż geniusz, stanowczość i rozum, skojarzone ze szczęściem, przeciągnęłyby walkę do więcej niż jednej kampanii, a zyskanie choćby miesiąca czasu wiele tu znaczyło: wkrótce bowiem przywary, właściwe obszernym ligom, musiałyby na jaw powychodzić. Każdy ze związkowych nie omieszkaby dowodzić, że udział jego w trudach wojennych był zbyt wielkim, a w łupach — zbyt małym; pojawiłyby się liczne skargi i wyrzuty. Tymczasem możeby się Turcy poruszyli nad Dunajem, a statysci francuzcy możeby się spostrzegli, iż popełnili błąd, odstępując od zasadniczych prawideł swej polityki narodowej. Nadewszystko zaś, śmierć mogła uwolnić Prusy od najgroźniejszych wrogów; wojna bowiem była wynikiem osobistej niechęci, jaką kilka osób panujących czuło ku Fryderykowi: zejście którejkolwiek z nich mogłoby tedy spowodować zupełny przewrót w stosunkach europejskich.

Na ciemnym i burzliwym widnokręgu dostrzegał już Fryderyk jasne światelka. Pokój zawarty pomiędzy Anglią i Francją w roku 1748 ⁽¹⁾ uważać się mógł w Europie za rozejm tylko, a w innych

(1) W Akwizgranie. Oprócz Anglii i Francji do traktatu tego wpływały jeszcze Austria, Hiszpania, Holandia, Sardynia i Genua. Fryderykowi poręczono posiadanie Szlząka i Kladzka.

częściach świata nawet i rozejmem nie był. W Indjach dwie potężne dynastje muzułmańskie toczyły spór o władzę nad Karnatykiem; fort Saint-George przyjął stronę jednej, a Pondichéry drugiej i w licznych bitwach a obleżeniach wojska Lawrence'a i Clive'a stawały na przeciwno Duplex'a. Walka mniej płodna w następstwa, ale nie mniej zdolna wywołać rozjątrzenie, toczyła się pomiędzy francuzkami i angielskimi awanturnikami, którzy handlowali murzynami i zbierali złoty piasek na wybrzeżach Gwinei. Lecz współubieganie się i wzajemna niechęć tych dwu narodów najbardziej się uwydatniała w Ameryce Północnej. Francuzi usiłowali opasać osadników angielskich łańcuchem wojennych posterunków, ciągnących się od wielkich jezior aż do ujścia Mississipi. Anglicy wzięli się do broni. Dzieci krajowcy pomieszały się z obydwoimi obozami „Błędnych Twarzy“ (1). Staczano bitwy, szturmowano do twierdz; dobiegały do Europy okropne opowiadania o wbijaniu na pal i skalpowaniu, dochodziły pieśni pogrzebowe, rozdmuchując zawziętość narodową, którą odwieczne współzawodnictwo wytworzyło. Zajścia te, pomiędzy Francją i Anglią, właśnie doszły do przesilenia, kiedy burza gromadząca się nad Prusami zagroziła wybuchem. Skłonność i interes skierowałyby Fryderyka ku Burbonom, jeźliby miał możność wyboru. Ale zaślepienie dworu wersalskiego nie pozostawiało mu czasu do namysłu. Francja stała się narzędziem Austrii, Fryderyk przeto musiał szukać związku z Anglią. Nie mógł wprawdzie oczekiwać, iżby państwo, którego floty pokrywały morza i które musiało prowadzić wojnę jednocześnie nad Ohio i nad Gangesem, zdołało przeznaczyć wielkie wojsko na operacye w Niemczech. Lecz Anglia, chociaż uboga w porównaniu z dzisiejszą, była i naówczas bogatszą od wszystkich krajów stałego lądu. Wysokość jej dochodów i zasobów kredytu, jakkolwiek wydawać się może niewielką pokoleniu, które patrzyło już na pobranie stu trzydziestu milionów w ciągu jednego roku, w oczach ówczesnych polityków uchodziła za coś niesłychanego. Drobną więc cząstką tych bogactw, w ręku zdolnego i oszczędnego kierownika, wystarczyłaby na wystawienie i utrzymanie ogromnego wojska, szczególnie w kraju, gdzie ceny były niskie.

W takim-to położeniu znalazł się Fryderyk. Widział on cały ogrom niebezpieczeństwa. Widział także słabą możność ratunku i z roztropną zuchwałością, postanowił pierwszy cios zadać. W sierpniu 1756 roku rozpoczęła się wtedy straszna owa Siedmioletnia Wojna. Król zażądał od cesarzowej wyraźnego wyjaśnienia jej zamiarów i oświadczył jej bez ogródek, że uważać będzie odmowę jako wypowiedzenie wojny. „Nie chcę — pisał — odpowiedzieć w stylu wyroczni.“ Otrzymał ją: była dumna, a zarazem dwuznaczna.

(1) Woryginalie: „Pale Faces.“ Tak nazywają Indianie czerwonoskórzy Europejczyków (z chętności udzielonych przez p. Jana Karłowicza)

natychmiast więc sześćdziesiąt tysięcy Prusaków zalało bogaty elektorat Saski. August z wojskiem zajął obronną pozycję pod Pirną. Królowa polska była w Dreźnie. W ciągu kilku dni Pirna została otoczona, a Drezno wzięte. Pierwszą myślą Fryderyka było teraz wejść w posiadanie saskich dokumentów dyplomatycznych, wiedział bowiem dobrze, iż zawierały one dostateczne dowody na to, że choć pozornie wyglądał na napastnika, rzeczywiście jednak działał w obronie własnej. Królowa polska, równie jak Fryderyk, znając ważność tych dokumentów, kazała je zapakować i ukryć w swoim sypialnym pokoju; właśnie zamierzała je wyprawić do Warszawy, gdy stanął przed nią officer pruski. Spodziewając się, że jako żołnierz nie ośmieli się obrazić niewiasty, królowej, córki cesarskiej, teści delfina, stanęła przed skrzynią, potem usiadła na niej. Ale wszelki opór był daremny. Papiery zawieziono do Fryderyka, który znalazł w nich, jak się spodziewał, dostateczne wyświeślenie zamysłów koalicji. Najważniejsze dokumenta zaraz zostały ogłoszone i sprawiły wielkie wrażenie. Widać z nich było, że jakiegokolwiek pierwej grzechy ciążyły na królu pruskim, to obecnie był on stroną obrażoną i tylko uprzedzał cios wymierzony na jego zgubę.

Oboz saski pod Pirną został tymczasem ściśle opasany; ale obleżeni nie tracili nadziei odsieczy. Wielkie wojsko austriackie pod marszałkiem Brownem właśnie zamierzało przedrzeć się przez wawozy oddzielające Czechy od Saksonii. Fryderyk, zostawiwszy pod Pirną siły dostateczne do utrzymania Sasów, pośpieszył do Czech, spotkał Browna pod Lowosicami i pobił go. Bitwa ta rozstrzygnęła los Saksonii. August i ulubieniec jego Brühl — uciekli do Polski. Całe wojsko elektoratu broń złożyło. Od tego czasu aż do końca wojny Fryderyk obchodził się z Saksonią jak z własnym krajem, albo raczej traktował Sasów w sposób, który mógłby służyć za ilustracyę prawdziwego znaczenia straszliwej maksymy: „*subjectos tanquam suos, viles tanquam alienos.*“ Saksonia tak dobrze należała do niego, jak Brandeburgia; ale o pomyślność Saksonii wcale mu nie chodziło tyle, co o dobrobyt Brandeburgii. W całym więc kraju zdobytym wybierał rekruta i kontrybucję, z daleko większą surowością niż we własnych posiadłościach. Siedemnaście tysięcy żołnierza, który stał w obozie pod Pirną, bądź namową bądź pogrózkami, zaciągnięto pod chorągiew zwycięzcy. Tak tedy w przeciągu kilku tygodni od rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich jeden ze związkowych został rozzbrojony, a ozeż jego obrońcy przeciwko pozostałym (1).

(1) Fryderyk wtargnął do Saksonii w końcu sierpnia i w ciągu dwóch tygodni kraj cały zajął. Dnia 9 września wkroczyli Prusacy do Dreznia. Obrazowo wkroczenie to opisał Kraszewski w swojej powieści *Z siedmioletniej wojny*. Dnia 1 października pobił Fryderyk pod Lowosicami w Czechach Browna, a w kilkanaście dni

Zima przerwała działania wojenne. Dotychczas wszystko szło dobrze. Ale prawdziwa wojna dopiero się rozpocząć miała. Łatwo było przewidzieć, że rok 1757 będzie stanowił pamiętny zwrot w dziejach Europy.

Plan kampanii, ułożony przez króla, był prosty, śmiały i rozumny. Książę Cumberland z wojskiem angielskim i hanowerskim stał w Niemczech zachodnich i zdołałby w razie potrzeby zagrozić Francuzom drogę do Prus. Rosyjanie z powodu wielkich śniegów nie wyruszyliby prawdopodobnie przed wiosną; Saksonia upadła; Szwecya nie mogła nie prawdziwie ważnego uczynić: w ciągu więc kilku miesięcy Fryderyk miałby do czynienia z samą tylko Austryą. Wprawdzie i tak przewaga nie byłaby po jego stronie, ale zręczność i męstwo nieraz odnosiły tryumf w daleko nierówniejszej walce.

Na początku r. 1757 wojsko pruskie znajdujące się w Saksonii, zaczęło się poruszać. Czeremą wozami w górach jeło się rozlewać po Czechach. Praga najpierwszym była celem króla, a dalszy cel zapewne Wiedeń stanowił. Pod Pragę stała wielka armia marszałka Browna; Daun, najostrożniejszy i najszcześliwszy z dowódców austriackich, zbliżał się z drugą. Fryderyk postanowił powalić Browna, zanimby Daun nadszedł. Dnia 6 maja tedy waleczono pod temi samymi murami, które sto trzydzieści lat przedtem były świadkami zwycięstwa ligi katolickiej i ucieczki nieszczęsnego falcgrafa; bitwa krwawsza była od wszystkich, na jakie Europa patrzyła przez długi przeciąg czasu od Malplaquetu do Hawy. Król i książę Ferdynand Brunświcki odznaczyli się dnia tego męstwem i zabiegliwością. Ale największą chwałę osiągnął Schwerin. Gdy piechota pruska się zachwiała, dzielny ten stary marszałek, wyrwawszy chorągiew z rąk chorążego, powiewając nią w powietrzu, powiedział nanowo pułk swój do ataku; i tam, wśród zażartej walki, padł starzec ten siedmdziesięciodwuletni, ściskając w ręku sztandar z czarnym orłem na srebrnym polu. Zwycięstwo zostało przy królu, ale drogą było okupione: poległy całe szeregi najodważniejszych jego żołnierzy; król obliczał swoją

potem cała już armia saska w Pirnie znajdowała się w niewoli. Fryderyk, nie indywidualnie, ale wprost, całą gromadą, żołnierzy saskich do wojska swego wcielił. Było to pogwałcenie zwyczajów międzynarodowych, przeciwko któremu współcześni już protestowali. Oficerom praw ich nie tknięto, nie zmuszano ich do prusactwa; tylko, jak zwykle w kapitulacyach się dzieje, mieli oni wzbронione sobie waleczenie przeciwko Prusom. Z żołnierzy saskich nie miał Fryderyk pociechy: chmarami zbiegali Sasi z pod jego chorągwi. Ostatecznie, wielki Fryderyk tylko się na śmieszność wystawił.

stratę na osiemnaście tysięcy ludzi. Nieprzyjaciół postradał dwadzieścia cztery tysiące w zabitych, rannych i jeńcach (1).

Część wojska rozbitego zamknęła się w Pradze, druga podążyła, aby się złączyć z blisko stojącymi oddziałami Dauna. Fryderyk postanowił użyć takiego samego fortelu, jaki mu się udał pod Lowosicami. Zostawiwszy znaczne siły na obleganie Pragi, sam na czele trzydziestu tysięcy udał się na spotkanie Dauna. Ale ostrożny marszałek, lubo przeważające miał siły, nie chciał niczego ryzykować; zająwszy więc pod Kolinem (2) prawie niezdobyte pozycje, czekał zaczepki Prusaków. Był to 18 czerwca — dzień, który, gdyby dawne wierzenia greckie wpływ swój zachowały, poświęconym być powinien Nemezie, dzień, w którym dwaj najwięksi władcy nowożytni otrzymali, drogą strasznego doświadczenia, naukę, że ani biegiłość, ani męstwo nie zdolają powstrzymać niestałości losu (3). Bitwa wszczęła się przed południem, a część wojska pruskiego podtrzymywała walkę jeszcze po późnym zachodzie letniego słońca. Lecz nareszcie spostrzegł król, że szeregow jego, odpartych kilkakroć ze strasliwym krwi przelewem, niepodobna było dalej prowadzić do ataku. Z trudnością dał się namówić do opuszczenia pola bitwy. Oficerowie przyboecznego sztabu jego musieli nawet sprzeczać się o to, a jeden z nich ośmielił się powiedzieć: „Czy najjaśniejszy pan, zamieza sam iść na baterye?“ Trzydzieście tysięcy najlepszego żołnierza poległo. Nic innego nie pozostawało Fryderykowi jeno zabrać się do porządnego odwrotu, przerwać obleżenie Pragi i różnemi drogami wycofać wojska z Czech.

Cios ten wydawał się ostatecznym. Położenie króla w najlepszym razie było takie, że jedynie nieprzerwany szereg wygranych mógłby go, zdawałoby się, od upadku uchronić. A tu, na samym prawie początku walki spotkała go klęska, którąby za dotkliwą uważać było potrzeba nawet przy równej sile walczących. Dotychczas sława jego wiele zawdzięczała mniemaniu, jakie Europa o armii jego miała. Od jego wstąpienia na tron żołnierze pruscy w niejednej, raz po raz, bitwie brali górę nad Austryakami. Lecz teraz chwała opuściła ich oręż.

(1) Schlosser w „Historji XVIII i XIX wieku“ podaje straty z każdej strony na 20,000 ludzi. W przekładzie polskim mylnie wydrukowano: „Straty obu stron.“ Pod Malplaquet (d. 11 września 1709 r.) Marlborough i Eugeniusz okupili zwycięstwo daleko drożej niż Villars i Boufflers przypłacili klęskę. Summa strat obu stron w tej bitwie jest również wielka jak i pod Pragę, z wyłączeniem tylko jeńców, których zresztą w starciu pod Malplaquet prawie wcale nie było — Pod Eylau (Hawa), dnia 7 i 8 lutego 1807 r., Prusacy i Rosyjanie utracili 20,000 ludzi. Francuzi urzędownie podali swe straty na niecałe 7000. — Pod Pragę w r. 1757 dowódcą głównym był nominalnie Karol ks. Lotaryński, o którego zdolnościach wojskowych historycy (Wolter) nieprzychylny sąd wydają.

(2) O półśmiej mili od Pragi na wschód.

(3) Dnia 18 czerwca również przegrana została bitwa pod Waterloo.

Wszyscy ci, którzy się uważali za dotkniętych jego złośliwymi sarkazmami, śpieszyli powetować to sobie szydząc teraz z szydercy. Żołnierze przestali ufać w jego gwiazdę; po wszystkich zakątkach obozu ostro krytykowano rozkazy królewskie. We własnej rodzinie króla znaleźli się niechętni. Rodzony brat jego, Wilhelm, przyszedł a raczej domniemany, następca tronu, pradziad teraźniejszego króla, nie mógł się powstrzymać od oplakiwania niedoli własnej i całego domu Hohenzollernów, niegdyś potężnego i szczęśliwego, a teraz, skutkiem zuchwałej ambicji głowy jego, idącym w pośmiewisko u wszystkich narodów. Skargi te, oraz pewne pomyłki, jakie Wilhelm popełnił podczas odwrotu z Czech, wywołały wielkie niezadowolenie w nieubłaganym królu; a serce księcia nie wytrzymało dotkliwych brata wyrzutów: opuściwszy przeto szeregi, osiadł na wsi i niezadługo umarł ze wstydu i zgrzyoty.

Zdawałoby się, że utrapienia Fryderyka doszły do szczytu. Lecz w tej samej chwili spadł nań nowy cios, nie mniej straszny od Kolińskiego. Francuzi pod wodzą marszałka d'Estrées wtargnęli do Niemiec. Książę Cumberland stoczył z nimi bitwę pod Hastenbeck⁽¹⁾, lecz doznał porażki; dla ocalenia więc elektoratu Hanowerskiego od całkowitego podbicia, zawarł w Kloster-Zeven układ z generałami francuzkami, który otwierał im drogę do najechania posiadłości pruskich.

Aby nie już do klęsk Fryderyka nie brakowało, właśnie w tym czasie zmarła mu matka; zdaje się, iż uczył on tę stratę głębiej, niżby się można było spodziewać po jego zatwardziałości i bezlitości sercu. Niedola, zaprawdę, dotknęła go teraz do żywego. Szyderca, tyran, najsurowszy, najdumniejszy, najcyniczniejszy z ludzi, cierpiał straszliwie. Twarz jego tak schudła, a cała postać tak wynędzniała, że gdy, wracając z Czech, przejeżdżał przez Lipsk, lud go zaledwo poznawał. Stracił sen; lży często mimowoli nabiegały mu do oczu; przygnębionemu umysłowi jego począł się grób przedstawiać jako najlepszy przytułek w sromocie i niedoli. Postanowił jednakże nie oddawać się żywcom w ręce wrogów i nigdy nie zawierać pokoju, któryby go zmusił do opuszczenia stanowiska, dotąd przez jego państwo zajmowanego w Europie. Nie więcej przed sobą prócz zgonu nie widział; obmyślił tedy i rodzaj śmierci dla siebie. Nosił zwykle przy sobie w buteleczce niezawodną i gwałtowną truciznę, a przed zaufanymi nie taił się ze swem postanowieniem.

Niedokładny wszelakoż podalibyśmy opis stanu umysłu Fryderyka, gdybyśmy pominęli pocieszne szczegóły, w tak dziwnej zostające sprze-

⁽¹⁾ W Hannowerii, d. 26 lipca 1757 r. W przekładzie pomienionego dzieła Schlossera mylnie podano datę 27 kwietnia 1756 r.

eczności z powagą, dzielnością i surowością jego charakteru. Trudno, do prawdy, powiedzieć: czy tragiczność, czy komizm przemagał w szczególnym dramacie, który się obecnie odegrywał? Wśród najstraszniejszych klęsk, dotyczących wielkiego króla, chęć jego do pisania wierszydeł coraz się wzmacniała. Otoczony od nieprzyjaciół, z rozpaczą w sercu, a pigułkami jadowitego sublimatu w kieszeniach, sypał seciny rymów, pełnych nienawiści ku bogom i ludziom — niesmaczne męty z Hippokreny Woltera, słaby oddźwięk lutni Chaulieu. ⁽¹⁾ Rzecz prawdziwie zabawna — porównać to, co przez ostatnie miesiące r. 1757 robił, z tem, co w tym samym czasie pisał. Wątpić bowiem należy: czy jakkolwiek równa co do czasu cząstka żywota Hannibala, Cezara lub Napoleona zdoła wytrzymać porównanie z tym krótkim okresem, najświetniejszym w dziejach Prus i Fryderyka. A jednak równocześnie rzadkie swe chwile wytchnienia znakomity wódz obracał na produkowanie Od i Epistoł, nieco lepszych od Cibberowskich a cokolwiek gorszych od Hayleyowskich ⁽²⁾. Przebija się tam gdzieś tam męskie uczucie, warte prozy, a zresztą nie jak Protomeusz i Orfeusz, Elizeum i Acheron, żałośna Filomela, makówki Morfeusza, wraz z całą ową tandetą, którą oddawna już geniusz z pogardą odstąpił mierności, jak dumna piękność ciska szatę swojej posługaczce. Zdaje nam się, iż nie znamy równie uderzającego i cudackiego przykładu i moey i słabości natury ludzkiej, jaki daje charakter tego hardego, czujnego, odważnego i przebiegłego pedanta, nawpół Mitrydatesa, nawpół Trissotina, stawiającego czoło całemu światu, z unęją trucizny w jednej kieszeni, a z pliką lichych wierszy w drugiej. ⁽³⁾

Fryderyk niewiele przedtem poczynił był pierwsze kroki do pogodzenia się z Wolterem; zamienili pomiędzy sobą kilka grzecznych

⁽¹⁾ Poeta francuzki (1639 — 1720). Przyjaciół i towarzyszy uciech marszałka Vendôme. Pisał Anakreontyki i Listy wierszowane. Wolter nazywa go: „abbé Chaulieu“.

⁽²⁾ Cibber Colley, lichy a mimo to uwieczniony poeta angielski, dramaturg i aktor (1671—1757). Hayley William, poeta liryczny, tragiczny i biograf (1745—1820). Odznaczał się oryginalnym sposobem życia i bardzo dobrym sercem. Był przyjacielem poety Cowpera, wyjednał mu pensję i wydał jego życiorys. Zostawił własne Pamiętniki. Listy swoje poetyczne pisał do Gibbona i innych.

⁽³⁾ Wolter w *Mon Séjour à Berlin* przytacza wyjątki z wierszowanego listu Fryderyka do Margrabiego d'Argens, o którym było wyżej. W liście tym Fryderyk objawia już postanowienie śmierci; mówi o Zenonach, Katonach, Brutusach; chce skrócić sobie życie i każe Argensowi cwośna przyozdabiać sobie grób myrtem i różami. Zdanie króla poety o nieśmiertelności duszy jest takie same jak i „jego mistrza“ Epikura: dusza wraz z ciałem ginie. Niesława rozburza istnienie. Przed niesławą-to ucieka Fryderyk.

listów. Po bitwie pod Kolinem korespondencya ich stała się przyjacielską i poufną, przynajmniej na pozór. Nie znamy listów równie wiele światła rzucających na najciemniejsze i najzawikłalsze strony duszy ludzkiej, jak korespondencya tych dwu dziwnych istot, po wzajemnem przebaczeniu. Obaj czuli, że klótnia poniżyła szacunek każdego z nich w oczach publiczności. Obaj wzajemnie się podziwiali i wzajemnie siebie potrzebowali. Wielki król pragnął za pośrednictwem wielkiego pisarza dostać się do potomności. Wielki pisarz czuł się podniesionym hołdami wielkiego króla. Lecz rany, które jeden drugiemu zadał, zanadto były głębokie, iżby je można było zatrzeć albo przynajmniej zagoić. Nietylko blizny pozostawały, ale bolące miejsca często się jęły i krwawiły. Listy składały się głównie z komplementów, podziękowań, ofiary usług, zapewnień przywiązania. Lecz gdy cokolwiek budziło na pamięć Fryderykowi chytre i złośliwe figle, których mu napłatał Wolter, to wśród wyrażen pochlebnych wyrwają się słowa niechęci i pogardy. Było jeszcze gorzej, gdy cokolwiek budziło we wspomnieniach Woltera obelgi, które wraz ze swą krewną wycierpiał we Frankfurcie: wówczas potoczysty panegiryk macił się wyrzutami. „Wspomnij, najjaśniejszy panie, jakieś ze mną postępował. Z twojej przyczyny straciłem łaskę mojego króla. Z Twojej przyczyny jestem wygnanym z ojczyzny. Kochałem Ciebie; powierzyłem się Tobie; jedynym moim życzeniem było zakończyć życie w Twojej służbie. I jakąż otrzymałem nagrodę? Odarty ze wszystkiego, coś mi udzielił, pozbawiony orderu, klucza, pensyi, zmuszony zostałem uciekać z Twojego królestwa. Ścigano mnie, jakbym był Twoim zbiegłym grenadyrem; uwięziono mnie, zezłono, zrabowano. Siostrzenicę moją włóczyli żołnierze Twoi po błocie frankfurckiem, jak gdyby była nędzną markietanką z Twoich obozów. Masz wielkie zdolności; posiadasz niemałe zalety, ale obok nich nieznośną przywarę: lubisz upokarzać ludzi. Zniesławileś imię filozofa; dostarczyłeś wątku potwarzom świętoszków, którzy utrzymują, iż nie należy zgola ufać w sprawiedliwość i ludzkość takich, co odrzucają wiarę chrześcijańską.“ Na to król odpowiada z mniejszą żywością, ale z równą goryczą: „Wiesz pan dobrze, iż haniebnie postępowałeś w Prusach. Na szczęście Twoje miałeś do czynienia z człowiekiem, jak ja, wyrozumiałym na słabości geniuszu. Zasługiwałeś, i bardzo, na bliższą znajomość z sobą. Talenta Twoje nie mniej szerokie są znane od Twojej złej wiary i złośliwości. Sam grób nie jest pewnem schronieniem od Twoich pocisków. Maupertuis umarł, a jednak nie przestajesz czernić go i wyśmiewać, jak gdybyś niedosyć się nad nim za życia napastwił. Dajmy pokój temu, a przedewszystkiem nie wspominać mi o swojej siostrzenicy: nazwisko jej śmiertelnie mnie już doku-

czyło. Twoje wady mogą znosić przez wzgląd na Twe zasługi; ale ona nie napisała ani *Mahometa* ani *Meropy*.“⁽¹⁾

Tego rodzaju wybuchy, zdawałoby się, że powinnyby koniecznien przerwać przyjazne stosunki. Lecz nie tak było w istocie. Po każdym wybryku złego humoru osobliwsza ta para kochała się jeszcze bardziej i zamieniała komplementa i zapewnienia wzajemnego poważania, ze wszystkimi pozorami szczerości.

Przypuszczaby należało, że ludzie, co w taki sposób do siebie pisywali, nie odznaczali się wstrzemięźliwością, mówiąc jeden o drugim. Poseł angielski Mitchell, wiedząc, że król pruski zostawał z Wolterem w ciągłej korespondencyi i w listach wyrażał się z zupełną swobodą o najważniejszych przedmiotach, zdumiony był, słysząc jak Król Jego-mość przezywał swojego wysoce zaszczyconego korespondenta człowiekiem bez serca, największym łotrem na kuli ziemskiej. Ale i wyrażenia, których poeta używał, mówiąc o królu, niewiększym odnaczały się szacunkiem.

Gdyby Wolter chciał sam przed sobą określić istotę swych uczuć względem Fryderyka, to byłby prawdopodobnie w kłopotcie. Składały się one ze wszystkich skłonności, od nienawiści do przyjaźni i od pogardy aż do uwielbienia, a stosunek, w jakim te żywiły się mieszały jedno z drugimi, mienił się co chwila. Stary patriarcha podobny był do rozpieszczonego dziecka, które w przeciagu kwadransa to wrzeszczy, tupie, bije, to całuje, śmieje się i przymila. Urazy jego nie wygasły; ale nie był on bez współczucia dla swego starego przyjaciela. Jako Francuz życzył powodzenia orężowi swojej ojczyzny; ale jako filozof obawiał się upadku tronu, na którym zasiadał drugi filozof. Chciałby jednocześnie i ocalić i upokorzyć Fryderyka. Jedną tylko była droga do zaspokojenia tych sprzecznych uczuć. Gdyby Fryderyk został urato-

(1) W tem miejscu Wilhelm Guizot zamieszcza następującą uwagę: „Przedtłumaczyliśmy text podany przez Macaulaya, nie jest on jednak textem samego Woltera i samego Fryderyka. Odczytując starannie korespondencyę ich od 1757 do 1767 r. można się przekonać, że wyrzuty wzajemne, a częstokroć gorzkie, jakie sobie czynili ci dwaj wielcy ludzie, po zawiązaniu nanowo stosunków, złaczone były ze słowami uznania i pochlebstwa i wyrażone w sposób daleko mniej bezpośrednio godzący, mniej okrutny, niżby to przypuszczać kazalo streszczenie podane przez Macaulaya.“

Podkreśliłmy tu wyraz *streszczenie*, gdyż rzeczywiście textu Macaulaya właściwie textem nazwać nie można, i sam też Macaulay nie chciał go w tym charakterze podawać. Ale pomijając tę lub ową formę—rzecz sama wygląda tak jak ją M. przedstawił. Condorcet, wielbiciel Woltera, w *Vie de Voltaire* (Bibl. nat. str. 89) mówi, że w epoce, kiedy korespondencya między królem a filozofem nanowo się zawiązała, raz wydawało się, że Wolter do dawnej przyjaźni powraca, to znowu, że ma w pamięci sam tylko Frankfurt. W tej samej epoce pisany był *Mon séjour*, w którym wcale a wcale nie widać przywiązania do Fryderyka. Ob. jeszcze przypisek w końcu Szkicu.

wanym za pomocą Francyi, jeżeliby się stało wiadomem, że pomoc tę zawdzięczał pośrednictwu Woltera, byłby to prawdziwie wymieniony odwet, któryby jak rozpalony żar palił jego hardą głowę. Późny zaś i niespokojny poeta nie uważał za niepodobieństwo, iżby ze swego podalpejskiego ustronia mógł dyktować pokój Europie. D'Estrées opuścił Hanower, a dowództwo nad wojskiem francuzkiem powierzone zostało księciu Richelieu, który wyniesienie swe zawdzięczał odznaczeniu się w galanteryi. Był to najznakomitszy okaz gatunku uwodzieńcy z powołania, który dostarczył Crébillon'owi młodszemu i La Clos'owi wzorów do ich bohaterów. Za młodu zagrażał nawet spokojności domu królewskiego swoją zarozumiałą zalotnością. Utrzymywano, że zdobywszy swoje posunął aż w łono rodziny orleańskiej; a niektórzy domysłali się, że grał pewną rolę w tajemniczych zgryzotach zatruwających ostatnie chwile prześlizniętej matki Ludwika XV. Ale teraz miał już książę lat sześćdziesiąt. Z sercem zepsutem występkami, z głową oddawna nawykłą do myślenia o fraszkach, z nadwreżonym zdrowiem i takąż fortuną, a, co najgorsza, z bardzo czerwonym nosem—rozpoczął teraz posępną, bezmyślną i nieszanowną starość: jego to postawiono na czele korpusu w Hanowerskiem, chociaż nie posiadał żadnego uzdolnienia do dowództwa, oprócz chyba odwagi osobistej, która zresztą znamionowała każdego szlacheica francuzkiego; korzystał z tego stanowiska, aby zdzierstwem i przekupstwem pokryć szczyby, jakie rozrzutnem i rozpustnem życiem poczynił był w swoim mieniu.

Książę Richelieu aż do końca życia nie cierpiał filozofów jako sekty, nie dla tych zasad ich nauki, któreby potępiał każdy zany i mądry człowiek, lecz z powodu ich enót, ich wolnomysłności i nie-nawiści ku tym wadom społecznym, których sam był uosobieniem. Jednakże, podobnie jak wielu jednostajnie z nim myślących, wyłączał on Woltera z rzędu potępionych pisarzy: pisywał pochlebne listy do Ferney; zaszczycał patriarchę pożyczając od niego pieniądze, a nawet posuwał swą łaskawą przyjaźń aż do zapomnienia o opłacie procentów. Wolter myślał, iżbyłoby w jego mocy doprowadzić księcia i króla pruskiego do porozumienia się. Napisał zatem z powagą do obudwu i tyle dokazał, że się zawiązała korespondencya pomiędzy nimi ⁽¹⁾.

A wszakże ocalenie swoje miał Fryderyk zawdzięczyć zupełnie innym okolicznościom. Na początku listopada ⁽²⁾ sieć zdawała się zewsząd go szczelnie opasywać. Rosyjanie wyszli w pole i szerzyli spustoszenie we wschodnich jego posiadłościach ⁽³⁾. Austriacy zajęli

⁽¹⁾ Porównać własne opowiadanie Woltera w *Mon Séjour* etc. (Bibl. nationale, T. LXXI, str. 170).

⁽²⁾ 1757 r.

⁽³⁾ Generał Apraksin pobił na głowę Lehwalda, generała pruskiego, pod Grossjägerdorf.

Szląsk. Wielkie wojsko francuzkie kroczyło od zachodu, pod dowództwem marszałka Soubise, księcia wielkiego rodu armorykańskiego Rohanów; Berlin został wzięty i zrabowany przez Kroatów ⁽¹⁾. Takie to było położenie, z którego Fryderyk wywikłać się potrafił, z świetną chwałą, w ciągu nie więcej niż dni trzydziestu.

Wystąpił nasamprzód przeciwko Soubisowi; spotkał się z nim pod Rossbach. Na jednego Prusaka przypadało dwu Francuzów; ale tym ostatnim zbywało na karność, a wódz ich był nieukiem. Taktyka Fryderyka i dobrze skierowane męstwo jego żołnierzy—odniosły stanowcze zwycięstwo. Siedm tysięcy najezdźników dostało się do niewoli; działa chorągwie i bagaże ich wpadły w ręce zwycięzców. Ci, którzy zdołali umknąć, uciekali w takim zamieszaniu, jak motłoch rozpędzony przez jazdę. Tak tedy się urządziwszy na zachodzie, król obrócił oręż ku Szląskowi. Tam zdawało się, że wszystko było stracone. Wrocław upadł, ⁽²⁾ a Karol Lotaryński potężnymi siłami trzymał całą prowincję. Dnia 5 grudnia, jak raz w miesiąc po bitwie pod Rossbach, Fryderyk na czele czterdziestu tysięcy spotkał się pod Leuthen, pod samym Wrocławiem ⁽³⁾, z księciem Karolem, wiodącym nie mniej niż sześćdziesiąt tysięcy. Król, który na ogół zanadto może skłonny był do uważania prostego żołnierza za czystą maszynę, tego dnia pamiętnego uciekł się do środka, jakiego później Bonaparte z wybornym skutkiem używał ku podnieceniu zapału wojska. Rozkazawszy zwołać starszych oficerów, przemówił do nich z wielką siłą i zapałem; polecił im także aby, jak on do nich, do żołnierzy się odezwali. Gdy wojska się do boju uszykowały, Prusacy zostawali pod wpływem potężnego wzruszenia, które wszelakoż objawiało się w sposób właściwy temu powolnemu ludowi. Bataliony szły do ataku, śpiewając przy dźwiękach bębnow i piszczałek surowe hymny starych saksońskich Sternholdów ⁽⁴⁾. Nigdy nie były się tak dobrze, a geniusz ich wodza nigdy tak nie zajaśniał. „Bitwa ta, powiadał Napoleon, była arcydziełem. Jej jednej byłoby dosyć, aby Fryderykowi przeznaczyć miejsce w rządzie pierwszych wodzów.“ Zwycięstwo było

⁽¹⁾ Na jesieni 1757 r. pod wodzą Haddika. W trzy lata później dostał się Berlin w moc armii rosyjskiej.

⁽²⁾ W końcu listopada 1757. Zastępujący go książę Braunschweig-Bevern dostał się dnia 25 listopada do niewoli.

⁽³⁾ O dwie mile od miasta, na północno-zachód.

⁽⁴⁾ Nie mogliśmy nigdzie znaleźć wyjaśnienia tego wyrazu. Wilhelm Guizot tłómaczy: „hymnes sévères des vieux poëtes saxons.“

zupełne. Dwadzieścia siedm tysięcy Austryaków było zabitych, rannych, lub ujętych; pięćdziesiąt sztandarów, sto armat, cztery tysiące furgonów wpadło w ręce Prusaków. Wrocław otworzył swe bramy; Szlak został odzyskany; Karol Lotaryński usunął się do Brukseli ze wstydem i smutkiem; Fryderyk przeto pozwolił swym wojskom nieco odpocząć na zimowych kwaterach po wyprawie, dla której pod względem zmienności losów, trudno znaleźć porównania w starożytnych lub nowszych dziejach.

Sława króla cały świat napełniła. W ciągu ostatniego roku wytrzymał on z powodzeniem walkę z trzema mocarstwami, z których najsłabsze trzy razy więcej od niego zasobów posiadało. Stoczył cztery wielkie regularne bitwy z przeważającym w siłach nieprzyjacielem; trzy z nich wygrał, a porażka kolińska, ponieważ ją wynagrodził, podnosiła raczej niż poniżała jego rozgłos wojenny. Zwycięstwo pod Leuthen jest po dzień dzisiejszy najszczytniejszem w kronikach chwwały pruskiej. Wprawdzie Lipsk i Waterloo wydały ważniejsze dla ludzkości następstwa; ale wawrzynami lipskimi Prusacy muszą się dzielić z Austryakami i Rosyanami, a pod Waterloo cały ciężar bitwy dźwigała piechota angielska. Zwycięstwo pod Rossbach, ze stanowiska wojskowego, mniej było zaszczytnem od wygranej pod Leuthen, odniesione bowiem zostało nad niedołężnym dowódcą i rozprzężonem wojskiem; a jednak wywarło ono ogromne wrażenie. Wszystkie poprzednie tryumfy Fryderyka zdobyte były na Niemczech, nie mogły przeto obudzać poczucia dumy narodowej w ludzie niemieckim. Niepodobiestwem było, aby mieszkańiec Hessji albo Hanoweru miał uczuwać zachwyt patriotyczny na wieść, że Pomorzanie pomordowali Morawian, albo, że chorągwie Saskie zawieszono w kościołach berlińskich. W istocie bowiem chociaż bitność Niemców wysoko, i słusznie, ceniono na całym świecie, nie mogli oni pochlubić się żadną wielką wygraną, któraby wyłącznie dziełem ich narodu była: żadnem Azincourt, żadnem Bannockburne (!). Najwięcej zwycięstw odnosili nad swoimi rodakami, a najświetniejszych przewag nad cudzoziemcami dokonali pod dowództwem Eugeniusza, który i sam był cudzoziemcem. Na wiadomość o bitwie pod Rossbach zawrzała krew całej tej ogromnej ludności od Alp do Bałtyku i od granic Kurlandji do kresów Lo-

(!) Macaulay, idąc torem pisarzy angielskich, używa tu nazwy „Azincourt“, ale wątpić nie można, że ma na myśli *Azincourt*, gdzie w r. 1415 Henryk V zdruzgotał Francuzów. Klęska angielska pod Bannockburne jest o sto lat wcześniejszą od tego zwycięstwa (1314); Bannockburne rozpoczyna drugi okres niepodległości Szkocyi. W gorącej tej bitwie prowadził Szkotów do zwycięstwa Robert Bruce.

taryngii. Westfalia i dolna Saksonia zalane były masą cudzoziemców, mówiących niezrozumiałym językiem, a zachowujących się tak swawolnie i rozpustnie, że krajowcy musieli powziąć ku nim najwyższy wstręt i nienawiść. Otóż ten tłum przybyszów zmuszony był uciekać przed garstką wojowników niemieckich, dowodzonych przez księcia krwi niemieckiej po mieczu i po kądzieli, o jasnych włosach i blado-niebieskich oczach germańskich. Nigdy, od upadku państwa Karola Wielkiego, plemię teutońskie nie wywalczyło takiego zwycięstwa nad Francuzami. Wieść o tem wywołała powszechne wybuchy radości i dumy w całej owej rodzinie, która mówi rozlicznemi narzeczaniami starodawnej mowy Arminiusza. Sława Fryderyka zastępowała do pewnego stopnia brak wspólnego rządu i wspólnej stolicy; stawała się węzłem łączącym wszystkich szczyrów Niemców, powodem wzajemnych powinszowań dla mieszkańców Bawaryi i Westfalii, Frankfurtu i Norymbergi. Wtedy-to po raz pierwszy się okazało, że Niemcy rzeczywiście byli narodem; wtedy też objawiać się począł duch patriotyczny, który w roku 1813 dokonał sławnego oswobodzenia środkowej Europy, a który strzeże i długo strzedz będzie odwiecznej wolności Renu od obcych zachcianek.

Następstwa tego dnia sławnego nie tylko były politycznej natury. Najwięksi mistrzowie poezji i wymowy niemieckiej przyznać musieli, że chociaż wielki król ani cenił ani rozumiał ich mowy rodzinnej, chociaż patrzył na Francję jako na jedyne siedlisko smaku i filozofii, jednakże mimowoli znakomicie się przyłożył do wyzwolenia geniuszu rodaków z pod obcego jarzma, oraz że, zwyciężając Soubise'a, mimowiedzy budził ducha, który wkrótce miał zaprzeczyć literackiej wyższości Boileau i Wotlerowi. Tak-to dziwnie wypadki krzyżują zamiary ludzkie. Król, co czytał i pisał tylko po francuzku, co wzdychał za tytułem klasyka francuzkiego, stał się zgoła nieświadomie narzędziem oswobodzenia połowy kontynentu od panowania sztuki francuzkiej, której sam aż do śmierci był niewolnikiem. Lecz zapał Niemiec ku Fryderykowi bodaj nie dorównywał uniesieniu Anglii. Urodziny tego sprzymierzeńca naszego z taką tam świetnością obchodzono, jak dzień urodzin własnych naszych monarchów: w nocy ulice Londynu zajaśniały wspaniałą illuminacją; wizerunki bohatera z pod Rossbach, z harcapem i trójkątnastym kapeluszem, znajdowały się w każdym domu; a uważny dostrzegacz dziś jeszcze znajdzie w salach staroświeckich zajazdów i w tekach handlarzy rysunków dwadzieścia portretów Fryderyka na jeden Jerzego II. Malarze szyldów przemalowywali wszędzie admirała Vernona na króla pruskiego. Zapał ten równie był silnym i u ludzi pobożnych, a szczególnie pomiędzy Metodystami, którzy, wiedząc, że Francuzi i Austriacy byli papistami, przypuszczali, iż Fryderyk jest Jozuem albo Gedeonem wiary reformo-

wanej. Pewien słuchacz Whitefielda, w dzień dziękczynienia w Przybytku, za bitwę pod Leuthen, zamieścił, następujący, wielce zabawny, ustęp w swoim dzienniku, którego część doszła do nas: „Pan pobudził króla pruskiego i jego wojowników do modlitwy. Trzy dni pościeli, a potem z godzinę modlili się i śpiewali psalmy przed rozpoczęciem nieprzyjaciela. O, jakże błogo jest modlić się i walczyć!“ Niektórzy młodzi Angliści wyższego stanu wyrazili chęć udania się do Niemiec jako ochotnicy, dla uczenia się sztuki wojennej pod największym z wodzów; ale tego dowodu przywiązania i uwielbienia Anglików Fryderyk grzecznie, acz stanowczo, nie przyjął. Bo też obóz jego nie był miejscem dla amatorów wojskowości, a karność pruska surowa była aż do okrucieństwa. Od oficerów wymagano w polu takiej wstrzemięźliwości i zaparcia się siebie, jakim bodaj żaden najsurowszy nawet zakon klasztorny nie dorównywał. Nikomu nie wolno było inaczej jadać jeno z cynowych naczyń, chociażby pochodził z pańskiej rodziny i wyższą rangę posiadał. Za wysoką zbrodnię hrabiom i feldmarszałkom nawet poczytywano, gdy mieli w pakunkach choć jedną łyżkę srebrną. Hulaszczy młodzik angielski, z dwudziestu tysiącami funtów sterl. rocznego dochodu, przywykły do wolności i zbytku, niełatwo poddałby się takiemu spartańskiemu rygorowi. Król nie mógł ani myśleć o takim trzymaniu ich w ryzie, jak własnych poddanych: przy takim stosunku, w jakim był względem Anglii, nie wypadałoby, w razie jakiego wykroczenia, posadzić pod areszt albo kazać rozstrzelać takiego Howarda albo Cavendisha. A z drugiej strony, przykład kilku paniczów, z powozami i służbą w liberyi, jadających na srebrze, pijących szampan i tokaj, wystarczał na popsucie całej armii. Uważał więc za rzecz stosowną z góry temu zapobiedz; grzecznie przeto odmówił przyjęcia do swych szeregów tak niebezpiecznych kawalerów.

Pomoc Anglii przyszła mu w sposób daleko pożyteczniejszy i przyjemniejszy. Zasiłek roczny, wynoszący około siedmkróć stu tysięcy funtów, dał królowi możność zwiększenia wojska o przeszło pięćdziesiąt tysięcy żołnierza. Pitt, stojący naówczas u szczytu władzy i popularności, wziął na siebie obronę Niemiec zachodnich od Francji i prosił Fryderyka o użyczenie dowódcy. Wybrany został na takowego książę Ferdynand Brunświcki, który osiągnął był wysokiego odznaczenia w służbie pruskiej; stanął on na czele korpusu złożonego z Anglików, oraz żołnierzy najętych od drobnych książąt rzeszy, i wkrótce okazał się godnym zaufania dwu dworów związkowych, zaśłużwszy na imię drugiego wodza swojego wieku ⁽¹⁾.

⁽¹⁾ Możeby wypadało dodać „w Niemczech.“ W każdym razie Ferdynand książę Brunświcki (1721—1791) był jednym z najroztropniejszych i najdzielniejszych

Fryderyk przepędził zimę ⁽¹⁾ we Wrocławiu, czytając, pisząc i przygotowując się do nowej wyprawy. Spustoszenie, które wojna poczyniła w jego wojskach, zostało prędko naprawionem, tak, iż na wiosnę 1758 r. znowu był już gotowym do walki. Książę Ferdynand trzymał na wodzy Francuzów. Tymczasem król, stoczywszy kilka potyczek z Austriakami, które nie ważnego nie przyniosły, wyszedł na spotkanie Rossyan, którzy mordując, paląc i pustosząc wszystko po drodze, przedarli się aż w serce jego królestwa. Wydał im bitwę pod Zorndorf, blisko Frankfurtu nad Odrą. Walka była długa i krwawa. Nie dawano i nie żądano pardonu, gdyż Germanie i Seytowie czuli ku sobie wstręt głęboki, a widok zniszczenia zagrzewał króla i wojsko do zemsty. Rossyanie zostali odparci z wielką stratą; nie było zatem dalszej obawy od wschodu na kilka miesięcy ⁽²⁾.

Król wyznaczył dzień na nabożeństwo dziękczynne, a lud obchodził je uroczystie i radośnie. Cieszono się i w Anglii z niemniejszym zapałem i szczerością. W tej właśnie chwili chwala wojskowa Fryderyka, rzec można, dochodziła swego zenitu: w krótkim przeciągu dziewięciu miesięcy wygrał on trzy wielkie bitwy, zwyciężając wojska trzech państw potężnych i wojowniczych: Francji, Austrii i Rossyi.

Ale przeznaczono było widać, iżby hart dzielnej jego duszy wystawiany był na zmienne koleje losu, i to w nagłych przejściach. Tuż zaraz po szeregu tryumfów nastąpiło pasmo takich klęsk, któreby przyćmiły sławę i złamały serce każdego, zdaje się, innego wodza. Lecz Fryderyk wpośród niedoli nie przestawał być przedmiotem uwielbienia w oczach poddanych, sprzymierzeńców i wrogów. Zgnębiony przeciwnościami, zmęczony życiem, nie przerywał jednak walki, okazyując się wyższym w porażce, w ucieczce i w ostatecznym na pozór upadku, niżeli na placu najświetniejszych zwycięstw.

wodzów w XVIII w. Historycy niemieccy znają go pod nazwą Braunschweig Lüneburg. Człowiek to był bardzo światły i postępowy, wprost przeciwne niż jego krewny Braunschweig-Bevern, autor słynnego manifestu z d. 25 lipca 1792 r.; ten niższe dowództwa w wojnie siedmioletniej sprawował; była o nim wzmianka powyżej w przypisku na str. 161.

⁽¹⁾ Z r. 1757 na 8.

⁽²⁾ W Bitwie pod Zorndorf w dniach 25 i 26 sierpnia 1758 r. o 5 mil od Frankfurtu nad Odrą, na północ, strategicznie biorąc, żadna strona nie odniosła zwycięstwa; armia rossyjska doznała tylko strat dotkliwszych niż pruska, ale nie można powiedzieć, aby została odparta; przeciwnie, utrzymała się na stanowiskach. Dla zwycięstwa potrzebował Fryderyk jeszcze raz na nią natrzeć, lecz nie czuł się na siłach—i odciągnął od bojowiska. Toż samo po kilku dniach uczynili Rossyanie.

Pobiwszy Rossyan, śpieszył do Saksonii naprzeciw wojsk Cesarzowej, dowodzonych przez Dauna, najostrożniejszego, i Laudona, najbardziej wynalazczego i przedsiębiorczego, z jej generałów. Ci dwaj znakomici dowódcy ułożyli wspólny plan, który zdawał się szczęśliwie godzić roztropność jednego z dzielnością drugiego. W głuchą noc zaskoczyli oni króla w obozie pod Hochkirch⁽¹⁾. Przytomność umysłu jego uratowała wojska od zagłady, ale nie nie mogło ich ocalić od porażki i strat ciężkich. Marszałek Keith był w rzędzie poległych. Na pierwsze strzały działowe zerwał się szlachetny ten wygnaniec ze snu i natychmiast stanął na czele szeregów. Otrzymałszy niebezpieczną ranę, nie chciał pola opuścić i właśnie zgromadzał złamane swe szyki, gdy kula austriacka zakończyła pełne przygód i niepokojów życie jego⁽²⁾.

Kłeska była straszna. Ale ze wszystkich wodzów Fryderyk najlepiej umiał wynagradzać straty, a Daun najmniej umiał korzystać ze zwycięstw. W kilka dni wojsko pruskie stało się równie potężnym jak przed bitwą. Widoki wszelakoż nieświeżo się przedstawiały. Oddział austriacki pod generałem Harschem wtargnął do Szlązka i otoczył warowną Nisę. Daun, po wygranej pod Hochkirch, pisał do Harscha z wielką pewnością: „Popieraj działania przeciw Nisie. Bądź spokojny o króla. Ja się z nim rozprawię.“ Istotnie, położenie Prusaków pełne było trudności. Pomiedzy nimi a Szlązkiem stało zwyciężkie wojsko Dauna, tak, że niełatwo im było tam się dostać, a jeżeliby się to nawet udało, to wystawiliby Saksonię na łup Austriaków. Lecz dzielność i zaradność Fryderyka usunęły wszelkie przeszkody. Ubocznym, a niezmiernie szybkim, marszem ominął on Dauna, wpadł na Szlązk, uwolnił od oblężenia Nisę i wyparł Harscha do Czech. Daun korzystał z nieobecności króla, aby napaść na Drezno;

⁽¹⁾ O półtorej mili na południo-wschód od Budziszyna, dnia 14 października 1758 r. Fryderyk utracił 9000 wojowników, 100 dział i wielkie zapasy. Austriacy pod względem strategicznym nic na zwycięstwie tem nie zyskali: Prusacy nie ruszyli się z Saksonii.

⁽²⁾ Jakób Keith, (ur. 1696 r.) bojownik w sprawie Stuartów, jako wychodek wstąpił do służby rosyjskiej, gdzie dosłużył się wysokiego stopnia i dał poznać umiejętność swoją i męstwo w wojnach z Turcją i Szwecją. Po drugiej wojnie szląskiej, wyparty przez intrygi z Petersburga, przeszedł do służby Fryderyka i odznaczył się w bitwach pod Lowosicami, Pragą i Rossbach. W Kolińskiej rozprawie miał dowództwo korpusu. Pod Hochkirchen wiele przytomności i męstwa okazał, trzykrotnie na szeregi austriackie nacierając. Bratem jego był Jerzy „Lord-Marshall“, Keith, współtowarzysz tułactwa i równie jak on przygarnięty przez Fryderyka. Macaulay mówi wyżej o obu braciach na str. 134 i 135.

ale Prusacy rozpaczliwie go bronili. Nadaremnie mieszkańcy tej bogatej i wytwornej stolicy błagali litości, i u załogi i u oblegających. Piękne przedmieścia spalone zostały do szczytów. Można było przewidzieć, że, jeżeli się miasto podda, trzeba będzie zdobywać bagnetem ulicę po ulicy. Tymczasem nadeszły wieści, że Fryderyk, po oczyszczeniu Szlązka z nieprzyjaciół, wraca szybkim krokiem do Saksonii. Daun przeto ustąpił z pod Drezna i cofnął się w granice austriackie. Król po kupach gruzów odbył wjazd tryumfalny do nieszczęśliwej stolicy, która tak srodo przypłaciła słabą a wiarogłomną politykę swojego pana. Było to dnia 20 listopada. Chłody wstrzymały kroki wojenne, a król udał się znów na zimowe leże do Wrocławia.

Trzeci rok z siedmiu straszliwych przemijał, a Fryderyk nie ugiął czoła. Nawiedziły go teraz i domowe niepomyślności. Dnia 14 października, w dzień porażki pod Hochkirch, w którego rocznicę, w czterdzieści ośm lat później, daleko dotkliwsza klęska w proch obróciła monarchię pruską⁽¹⁾, umarła Wilhelmina margrabina Bayreuth. Z opowiadań, które o niej posiadamy, tak jej własnych jako też wiarogodniejszych ludzi owego czasu, wnioskować możemy, że była to istota szorstka, niedelikatna, skłonna do nienawiści, niepozabawiona jednakże dobrych i szlachetnych uczuć⁽²⁾. Umysł jej, z przyrodzenia bystry i dostrzegawczy, rozwinał się do wysokiego stopnia; była ona, i słusznie, ulubioną siostrą Fryderyka. Uczuł on jej stratę tyle, ile żelazna jego natura uczuć mogła stratę czegokolwiek, gdy nie chodziło o prowincję lub bitwę.

Przez ciąg zimy we Wrocławiu niezmordowanie pisał król wiersze. Najudatniejsze, może, jakie kiedykolwiek utworzył, rymy znajdującą się w gorzkiej satyrze na Ludwika i panią Pompadour, którą w tym czasie ułożył i posłał Wolterowi. Wiersze w istocie były tak dobre, że Wolter obawiał się, aby jego samego nie posądzono o napisanie, a przynajmniej o poprawienie ich; po części więc ze strachu, a w części, jak się zdaje, przez złośliwość, posłał je księciu Choiseulowi, pierwszemu naówczas ministrowi francuzkiemu. Choiseul bardzo mądrze

⁽¹⁾ Bitwa pod Jena.

⁽²⁾ Wolter napisał na jej zgon *ode* (r. 1759). Nazywa ją tam „cnotą, wdziękiem wielbionym, kobietą bez przesądów, bez przywar i błędów, myślącą jak wielki człowiek, jak wdzięczny filozof, — z przymiotów płci swej mającą tylko piękność.“ Powstaje na obłudników i oszczerców i w osobnej nocie wytyka rozmaite kłamstwa współcześnie rozpowszechniane. Niewiadomo czy kłamstwami owemi dotykano samej osobistości księżnej. Condorcet pisze, że Wolter ułożył swą sążnistą *ode* na żądanie króla pruskiego.

postanowił zwalczyć Fryderyka własną jego bronią; wezwał więc na pomoc Palissota, który posiadał trochę zręczności w wierszowaniu i nieco satyrycznego talentu. Palissot tedy odmalował w bardzo uszczypliwych wyrazach obraz moralnego i literackiego charakteru Fryderyka; książę przesłał te wiersze Wolterowi. Ta wojna papierowa, następująca tuż po rzezi pod Zorndorf i spaleniu Drezna, rzuca wiele światła na dziwną naturę króla pruskiego ⁽¹⁾.

Tymczasem wystąpił przeciw niemu nowy nieprzyjaciel. Benedykt XIV, najlepszy i najrozumniejszy z dwustu pięćdziesięciu następców świętego Piotra, już nie żył. Podczas krótkiej przerwy pomiędzy panowaniem jego a ucznia jego, Ganganellgo, na stolicy kościoła rzymskiego zasiadał Rezzonico, przybrawszy imię Klemensa XIII. Niedorzeczny ten kapłan postanowił spróbować coby mogła uczynić powaga jego władzy na rzecz prawowiernej Maryi Teresy przeciw królowi odszczepieńcowi. Przeto, podczas mszy solennej na Boże Narodzenie, ten zwierzchnik kościoła poświęcił uroczystie miecz z bogatym pasem i pochwą, karmazynowy kapelusz aksamitny, wyłożony gronostajami oraz gołąbkę z pereł, symbol mistyczny boskiego Pocieszyciela, i posłał to wszystko z wielką ceremonią marszałkowi Daunowi zwycięzcy z pod Kolina i Hochkirchen. Takich oznak łaski nieraz udzielali papież wielkim zapaśnikom wiary. Zaszczycony nimi był, przeszło na sześć wieków przed tem, Godfryd de Bouillon przez Urbana II, książę Alba za zniszczenie swobód niderlandzkich, oraz Jan Sobieski po odświeceniu Wiednia ⁽²⁾. Lecz podarunki, przyjmowane z głębokim uszanowaniem przez baronów Grobu Świętego w jedenastym stuleciu, wydawały się niewypowiedzianie śmiesznymi pokoleniu, które czytało

⁽¹⁾ O całym tem zajściu z odą przeciwko Ludwikowi XV i z innymi wierszami jednocześnie nadesłanymi wspomina Wolter w *Mon séjour à Berlin* (ed. przytoczona), str. 182—185.

⁽²⁾ Innocenty XI, który zasiadał na stolicy Apostolskiej wtedy, kiedy Jan III zbawiał Wiedeń, w 10 miesięcy po zwycięstwie króla przysłał w upominku jemu samemu miecz na póżręczną łokcia długi z rękojeścią i pochwami szczerozłotymi, dyamentami sadzony, oraz czapkę czy szyszak aksamitny czarny, „złotem obwieszony, drogiemi klejnotami sadzony“; Maryi Kazimierze zaś — Różę szczerozłotą (*Rosa aurea* papieża) „drogiemi kanakami ozdobioną, samę, szacunku 1500 czerwonych złotych“ (ówczesnych). Ceremonia wręczenia tych podarunków odbyła się w Żółtkwi dnia 25 lipca 1684 r. z wielką wystawnością, wobec znakomości ze stanu senatorskiego i rycerskiego, wobec posłów z Austrii i Wenecyi. Mszę świętą przed uroczystością odprawił nuncyusz Pallavicini w przytomności czterech biskupów, pomiędzy którymi był i kijowski. Jędrzej Załuski starszy, który w liście z Żółtkwi z dnia 28 lipca 1684 r. obchód cały pokrótce opisał, Po mszy było błogosławieństwo na nową, przygotowującą się wtedy, wyprawę przeciwko Turkom. Zakończyła

Monteskiusza i Woltera. Fryderyk napisał szydercze wiersze o dachach, dawcy ich, i przyjmującym. Ale publiczność nie potrzebowała suflera, i wybuchy śmiechu powszechnego od Petersburga do Lizbony przypomniały Watykanowi, że czasy krucyat minęły.

Rozpoczęła się teraz czwarta kampania, najokropniejsza w tej okropnej wojnie. Austriacy zajęli Saksonię i zagrozili Berlinowi. Rosyjanie pobili generałów króla nad Odrą, zagrozili Szląskowi, połączyli się z Laudonem i mocno się okopali pod Kunersdorf. Fryderyk pośpieszył ich zaczepić. Przyszło do wielkiej bitwy. Przez pierwszą połowę dnia wszystko ustępowało przed natarczywością Prusaków i biegłością ich wodza. Szyki Rosyjan zostały złamane, połowę armat im zabrano. Król wyprowadził gońca do Berlina, zawiadamiając w kilku słowach o stanowczem zwycięstwie. Ale tymczasem zacięci Rosyjanie, rozbici ale nie zgnieci, zajęli prawie niezdołoby stanowisko na wzgórkach, gdzie żydzi frankfurcy grzebią zwykle swoich zmarłych. Tam walka się wznowiła. Piechota pruska, wycieńczona ciężkim sześciogodzinnym bojem, na skwarze równającym się zwrotnikowemu, musiała powtórnie iść w zapasy, ale bez powodzenia. Król osobiście trzykroć prowadził do starcia; dwa konie zabito pod nim, a oficerowie sztabu padali na około niego; surdut miał przesyty kulaniami. Lecz wszystko było nadaremne. Piechota odparta została z okropnymi stratami. Przerazenie ogarniało szeregi. W tej chwili dzielna jazda Laudona, która nie była jeszcze w boju, wpadła na chwiejące się

uroczystość biesiada w namiocie W. Wezyra z pod Wiednia—późno w noc przeciągnięta. Watykan nie syty jeszcze napierał a napierał; dążąc za już, prosił o jeszcze—ba, formalnie się nawet domagał. Gdy się odczytuje listy osób na dworze Jana III przebywających, trudno jest odegnać od siebie przeświadczenie, że bogate obdarowanie króla wyszło nie tyle z serca przejętego wdzięcznością, ile z głowy snującej nowe plany walki z pohańcami, przy czem uwidatnia się także i tajemna uległość Watykanu dla polityki austriackiej, której wielce chodziło o to, aby Polska nie zaprzestawała walki z Turkami. Toż i owe słynne summy papieżkie dla wojska litewskiego, których przelanie do skarbu Rzeczypospolitej z takim szło trudem, miały być liczone na rachunek nie przeszłości, ale przyszłości! Ulegając wpływowi Wiednia i Rzymu, Jan III starał się nawet o przymierze z Persami i w tym samym 1684 r. posłał Szachowi list swój i portret. (Ciekawa rzecz co się z tym portretem stało?) Daleko wspanialszym czynem uczucia od owego obdarowania króla przez Papieża było przesłanie przez Jana III, w pierwszych dniach po zwycięstwie, Wielkiej Chorągwi Mahometa, zdobytej na Kara-Mustafie, do Rzymu. Jan III jako syn wierny i waleczny szczęśliwie za Matkę swoją, Kościół, pierwszą myśl po zwycięstwie na Rzym zwrócił. Z nim przedewszystkiem tryumfem i radością swoją chciał się podzielić. Lud wiedeński, lud prosty po różnych krajach Europy, szczerzący pewno miał wdzięczność dla Jana III niż panujący, a w ich liczbie i Innocenty XI. Ani współczesność ani przyszłość—ta jeszcze mniej—nie wypłaciła się Polsce za jej bohaterstwo.

szyki. Nastąpiła tedy powszechna ucieczka. Fryderyk sam o mało nie wpadł w ręce zwycięzców; ocalił go z wielką trudnością mężny jeden oficer, który stanawszy na czele garstki huzarów, zrobił dywersję na kilka minut. Złamany na ciele i na umyśle, król dostał się w nocy do wsi zrabowanej przez kozaków; tam, w spustoszonej i nawpół zburzonym domku folwarcznym, spoczął na wiaże słomy, wysławszy do Berlina drugą depeszę, nader odmienną od pierwszej; „Niech rodzina królewska opuszcza Berlin. Archiwa wysłać do Poczdamu. Miałoby niech wejdzie w układy z nieprzyjacielem.“

Porażka w istocie była straszliwa. Z pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy, co tego rana jeszcze gromadzili się pod znakami Czarnego Orła, nie pozostało razem ani trzech tysięcy ⁽¹⁾. Król pomyślał znowu o swoim sublimacie, pisał z pożegnaniem do przyjaciół i rozsyłał rozporządzenia na przypadek swojej śmierci. „Nie ma żadnego ratunku, powiada w jednym liście; wszystko stracone. Nie przeżyję upadku mojej ojczyzny. Żegnaj was na wieki.“

Ale zazdrość pomiędzy związkowymi nie dała im skorzystać ze zwycięstwa. Stracili kilka dni na kłótniach i sprzeczkach; a kilka dni dla Fryderyka znaczyło tyle, co kilka lat dla innych ludzi. Nazajutrz po bitwie zgromadził on ośmnaście tysięcy swoich żołnierzy; wkrótce liczbę tę doprowadził do trzydziestu tysięcy. Pościagał armaty z pobliskich warowni, i znowu armia stanęła. Berlin był tymczasem bezpieczny; ale klęski sypały się na króla bez ustanku. Jeden z jego generałów, wraz z wielkim oddziałem dostał się pod Maxen ⁽²⁾ do niewoli, drugi pod Misznem ⁽³⁾ został pobity; tak, że gdy wśród ciężkiej zimy zakończyła się wreszcie kampania z r. 1759, położenie Prus zdawało się rozpaczliwym. Jedyną pocieszającą rzeczą było to, że na zachodzie Ferdynandowi Brunświckiemu lepiej się powiodło niż jego panu: szereg zwycięstw, z których najświetniejsze było pod Minden, usunął wszelkie obawy od strony Francji.

Piąty rok miał się tedy rozpocząć. Zdawało się niepodobieństwem, iżby ziemia pruska, trzykrotnie spustoszona secinami tysięcy

⁽¹⁾ Klęska pod Kunersdorf o pół mili od Frankfurtu na wschód, dnia 12 sierpnia 1759 r.—była największą, jaką poniósł Fryderyk w długim i świetnym swoim zawołaniu wojennym. Według własnych jego słów, gdyby nieprzyjaciele umieli byli wyzyskać zwycięstwo, wojna byłaby skończoną.

⁽²⁾ Kapitulacja w Maxen w Saxonii, dnia 22 listopada 1759. Dwanaście tysięcy żołnierzy i 9-u generałów dostało się do niewoli austriackiej. Dowodził korpusem tym Fürk. Drezno wyrwane już było wtedy Prusakom, d. 4 września.

⁽³⁾ Generał Dierke pobity w d. 3 grudnia 1759 r.

najeźdźców, mogła nadal walkę podtrzymywać. Ale Fryderyk tak umiał wojnę prowadzić, jak nigdy żadne państwo europejskie, wyjąwszy Komitet Ocalenia Publicznego za czasów wielkiego wybuchu rewolucji francuskiej. Rządził tak swym królestwem, jakby rządził osaczonym miastem, nie troszcząc się do jakiego stopnia niszczyła się własność prywatna, ani jak dalece wstrzymywał się bieg życia normalnego,—było tylko móżdż stawieć czoło wrogowi. Dopokąd choćby jeden człowiek pozostawał w Prusach, człowiek ten musiał dźwigać karabin; dopóki jeden koń pozostawał, koń ten musiał ciągnąć działą. Moneta traciła wartość, urzędnicy cywilni nie pobierali płacy, w niektórych prowincjach administracja istnieć przestała; ale nie brakło jeszcze chleba i kartofli, nie brakło prochu i ołowiu: dopóki więc starczyło środków na utrzymanie i niszczenie życia, postanowił Fryderyk walczyć do upadłego.

Pierwsza część kampanii r. 1760 wypadła dlań niepomysłnie. Nieprzyjaciół zajął znowu Berlin, ponakładał znaczne kontrybucje na mieszkańców i zrabował pałac królewski ⁽¹⁾. Nareszcie, po dwu latach klęsk, zwycięstwo powróciło do oręża Fryderyka. Pod Lignicą odniósł wielką wygraną nad Laudonem ⁽²⁾; pod Torgawią, po strasznej całodzienniej rzezi, przemógł Dauna ⁽³⁾.

Upłynął rok piąty, a rezultat był jeszcze niepewny. W okolicach, gdzie się wojna srożyła, nędza i wyczerpanie sił doszły straszliwych rozmiarów; ale nie zabrakło jeszcze ludzi i zwierząt, broni i strawy: więc Fryderyk bił się dalej. Można powiedzieć, doprawdy, że poczynił już dziecizę; serce miał napojone nienawiścią. Nieubłagana zawziętość, z jaką wrogowie prześladowali go, chociaż pierwotkowo wywołana własną jego nieuczciwą ambicją, obudzała w nim pragnienie zemsty, którego nie starał się ukrywać. Pisz on w jednym liście: „Trudno jest człowiekowi znosić, co ja znoszę. Zaczynam czuć, że, jak powiadają Włosi, zemsta jest rozkoszą bogów. Filozofię moją podkopało cierpienie. Nie jestem świętym, jak ci, o których czytamy w le-

⁽¹⁾ Czterodniowe zajęcie Berlina przez Austriaków i Rosyan od 9 do 13 października 1760 r.

⁽²⁾ Dnia 15 sierpnia 1760 r.

⁽³⁾ Dnia 3 listopada 1760 r. Los bitwy rozstrzygnęła kawaleria Ziethen'a. Torgau, do dziś dnia warownia, leży o 10 mil na północ-zachód od Drezna. Historycy niemieccy bitwę tę uważają za najkrwawszą w całej wojnie siedmioletniej. Samego niewolnika wziął Fryderyk 8 tysięcy. Zwycięstwo to oddało w moc króla całą północno-zachodnią część Saxonii z wyjątkiem okręgu Torgawskiego i Drezna.

gendach; wyznaję więc, że umarłbym zadowolony, gdybym mógł choć cząstkę tych udręczeń zadać innym, jakie sam znoszę.“

Takiemi uczuciami ożywiany, walczył z rozmaitem powodzeniem, choć niezmienną chwałą, przez ciąg kampanii r. 1761. Na ogół, skutki tego roku niepomyślne były dla Prus. Wprawdzie nieprzyjacieli nie wygrał żadnej wielkiej bitwy, ale pomimo rozpaczliwych podskoków szczerwanego tygrysa, koło oblawników coraz się zwężało. Laudon ubiegł ważną warownię Świdnicą⁽¹⁾. Władanie tą twierdzą oddawało w ręce Austriaków połowę Szlązka, oraz panowanie nad ważniejszymi przejściami w górach. Rosyjanie odnieśli przewagę nad generałami króla na Pomorzu⁽²⁾. Kraj tak dalece był wyniszczony, że Fryderyk, jak sam wyznaje, spoglądał na świat z bładą rozpaczą, nie będąc w stanie wymyśleć: zkad dostać rekrutów, koni i żywności.

W tym właśnie czasie dwa wielkie wydarzenia spowodowały zupełną zmianę w stosunkach wszystkich prawie państw europejskich. Jednym z nich było ustąpienie Pitta z urzędu, drugim — śmierć cesarzowej rosyjskiej Elżbiety.

Usunięcie się Pitta wydawało się wróżbą ostatecznego upadku domu brandeburskiego. Dumna i porywcza natura tego ministra nie zdolna była dopuścić się niczego, coby wyglądało na obawę lub zdradę. Nieraz oświadczał on, że jeżeliby władzę piastował, Anglia nigdyby nie zawarła pokoju utrechckiego i, dla widoków samolubnych nie opuściłaby sprzymierzeńca, chociażby się znajdował w ostatniej niedoli. Wojna na stałym lądzie — jego wojną była. On, co dawniej napadał z nieprzepartą potęgą wymowy na hanowerską politykę Cartereta i na niemieckie posiłki Newcastle'a, tyle miał teraz śmiałości, iż oświadczył, że Hanower powinien być dla nas równie drogim jak Hampshire i że zdobędzie Amerykę w Niemczech. Gdy upadł, władza którą nie zawsze z przezornością, lecz stale z mocą i zręcznością wykonywał, przeszła w ręce ulubieńca, będącego przedstawicielem stronnictwa Torysów, stronnictwa, co przeszkadzało zamiarom Wilhelma, przesładowało Marlborougha i wydało Katalończyków na pomście Filipa Andegawęńskiego. Zawrzeć pokój z Francją, pozbyć się z pośpiechem, chociażby mniej przyzwoitym, wszelkich związków kontynentalnych, — te dwie rzeczy stanowiły główne dążenie nowego mini-

⁽¹⁾ Dnia 1 października 1761 r. Świdnica była podówczas drugą z rzędu, co do siły, warownią w państwie pruskim, ale posiadała bardzo słabą załogę.

⁽²⁾ Zdobycie Kołobrzegu przez Rumiancowa, d. 16 grudnia 1761 r. sławne z bohaterskiej obrony pod dowództwem Heydena.

stra. Taka polityka natchnęła Fryderyka głębokim, acz niesłusznym, wstrętem ku narodowi angielskiemu i wydała skutki, które się dotąd w świecie ucywilizowanym czuć dają. Doprowadziła ona do tego, że w kilka lat potem Anglia w gwałtownej potrzebie na całym lądzie stałym nie była w stanie znaleźć ani jednego sprzymierzeńca dla obrony przeciwko Burbonom. Doprowadziła również do tego, że Fryderyk, poróżniony z Anglią, zmuszony był w ostatnich latach życia ściśle się związać z Rosyją i wciągnięty został do współnictwa w pierwszym rozbiórze Polski.

Zaledwie usunięcie się Pitta pozbawiło Prusy jedynej ich przyjaciółki, gdy śmierć Elżbiety sprawiła zupełny przewrót w polityce północy. Wielki książę Piotr, jej siostrzan, który teraz zasiadł na tronie rosyjskim, nie tylko, że nie podzielał uprzedzeń ciotki względem Fryderyka, lecz był czcicielem i niewolniczym naśladowcą wielkiego króla. Czas rządów nowego cesarza krótki był i niepomyślny, lecz wystarczył na dokonanie przewrotu w całym chrześcijaństwie. Przywrócił on wolność jeńcom pruskim, oporządził przyzwoicie i odesłał ich panu; wycofał wojska z prowincyj, które Elżbieta postanowiła była wcielić do swych posiadłości i uwolnił od wszelkich zobowiązań tych poddanych pruskich, których zmuszono do wykonania przysięgi na poddaństwo Rosyji.

Nie przestając na zawarcie korzystnego dla Prus pokoju, upraszał o stopień w służbie pruskiej, ubierał się w mundur pruski, nosił order Orła Czarnego, gotował się do podróży do Prus, aby oglądać przedmiot swojego ubóstwienia, i wyprawił zaraz piętnaście tysięcy wyborowego żołnierza na wzmocnienie nadwątlonej armii Fryderyka. Tak poparty, król prędko naprawił zeszłoroczne straty, odzyskał Szlązk, pobił Dauna pod Burkersdorf⁽¹⁾, otoczył i odebrał Świdnicę⁽²⁾, a z końcem roku wystawił przeciwko szeregom Maryi Teresy siły równie potężne jak przed porażkami w r. 1759. Przed końcem kampanii, przyjaciel jego, cesarz Piotr został złożony z tronu⁽³⁾. Cesarzowa, która pod imieniem Katarzyny II objęła najwyższą władzę, na początku rządów swoich wcale nie okazywała przychylności dla Fryderyka i nie zezwoliła na dalsze pozostawanie wojska rosyjskiego pod jego rozkazami; zachowywała jednak pokój zawarty przez męża, tak iż Prusy mogły niczego się nie obawiać od wschodu.

⁽¹⁾ Dnia 20 lipca 1762 r.

⁽²⁾ Dnia 9 października 1762 r.

⁽³⁾ Cesarz Piotr III panował od 9 stycznia do 5 lipca 1762 r.

Anglia i Francya w tymże czasie zbliżyły się ku sobie: zawarły ugodę, obowiązując się zachowywać neutralność względem wojny niemieckiej. Tak tedy związki z obu stron się rozprzegły, a pierwotni nieprzyjaciele, Marya Teresa i Fryderyk, stali osamotnieni na przeciw siebie.

Austria, bezwątpienia, posiadała daleko obfitsze od Prus zasoby, mniej też wycieńczona była walką; zdawało się jednak niepodobieństwem, iżby sama jedna mogła tego dokazać, ku czemu daremnie dążyła wspierając się na Francyi z jednej a na Rosyi z drugiej strony. Prócz tego zagrażało domowi cesarskiemu niebezpieczeństwo z kądinąd: Porta Otomańska poczęła groźnie przemawiać i zgromadziła sto tysięcy Turków na granicy węgierskiej. Dumne i mściwe serce Cesarzowej musiało nareszcie uleść: w lutym 1763 r. pokój hubertsburski położył koniec walce, która siedm lat pustoszyła Niemcy. Król nie nie ustąpił. Cały kontynent z orężem w ręku okazał się niezdolnym do wydarcia Szlązka z jego żelaznej prawicy.

Wojna się skończyła; Fryderyk był ocalony; chwały jego nie mogła już osiągnąć zawisnąć. Jeżeli nie dokonał tak rozległych podbojów jak Aleksander, Cezar lub Napoleon, jeżeli na polu bitwy nie cieszył się, jak Marlborough i Wellington, niezmiennem powodzeniem, to jednak podał niezrównany w dziejach przykład: czego zdolność i mocne postanowienie dokazać mogą wobec niesłychanej przewagi sił i największych przeciwności losu. Odbył tedy tryumfalny wjazd do Berlina, po przeszło sześcioletniej nieobecności. Ulice świetnie były uilluminowane, a gdy przejeżdżał w odkrytym powozie z Ferdynandem Brunświckim, tłumy witały króla swego głośniei okrzykami radości i błogosławieństw. Wzruszony temi oznakami przywiązania, wołał niejednokrotnie: „Niech żyje mój lud ukochany! Niech żyją moje dzieci!“ Jednakże wpośród tego wesołego widoku, nie mógł nie dostrzedz licznych śladów ruiny i upadku. Miasto kilkakrotnie było zrabowane; ludność znacznie się zmniejszyła. Berlin wszelakoż mało ucierpiał w porównaniu z resztą królestwa. Upadek mienia obywateli i zubożenie wszystkich klas do takiego doszły stopnia, że najstalszą duszę ogarnęłoby przerażenie. Każda prawie okolica kraju kolejno była widownią wojny, i to wojny prowadzonej z niemiłosierną zjadłością. Tłumy Kroatów Szlązk nawiedzały; dziesiątki tysięcy Kozaków grasowały w Brandeburgii i na Pomorzu. Powiadano, że same kontrubucye, wyciśnięte przez najeźdźców, przechodziły sto milionów talarów; a wartość tego, co one pochłonęły, prawdopodobnie daleko niższą była od tego, co uległo spustoszeniu. Pola leżały odłogiem; zboża na zasiewy przeznaczonego użyto na zaspokojenie głodu. Niedostatek karmi i zarazy z głodu powstałe zniszczyły stada i trzody; słusznie oba-

wiać się można było, iż się pojawi straszny mór i pośród ludzi, jako następstwo tej okropnej wojny. Około piętnastu tysięcy domów było spalonych do szczytu. Ludność królestwa wciąż siedmiu lat zmniejszała się w straszliwy sposób, o dziesięć na sto. Szósta część mężczyzn zdolnych do broni zginęła na pobojuwiskach. W niektórych okolicach podczas żniw widać było same kobiety pracujące w polu. W innych przerażony podróżny przejeżdżał po kilka milczących wsi, w których ani jednego mieszkańca nie pozostało. Kurs pieniędzy się obniżył; działanie praw i urzędników wstrzymało się; cały porządek społeczny wyszedł z toru zwyczajnego. W ciągu bowiem tej konwulsyjnej walki, cokolwiek nie ulegało przemocy żołnierskiej, stało nie-
rządem. Samo nawet wojsko było w rozprężeniu. Poległo niemało dzielnych generałów i mnóstwo doskonałych oficerów; zastąpić ich nie było kim. Ku końcowi wojny trudność znalezienia rekrutów doszła do takiego stopnia, że ani myśleć nie można było o wyborze lepszych lub brakowaniu niezdatnych. Całe bataliony tworzone ze zbiegów lub jeńców. Wątpić należało: czy trzydzieści lat spokoju i pilności zdołają wynagrodzić spustoszenia siedmioletniej rzezi. Jedna rzecz tylko pocieszała: to, że państwo nie zaciągnęło długów; ciężary wojny były wprawdzie niezmiernie, prawie nieznośne, ale nie pozostawiały żadnych zaległości w opłatach, któreby w czasie pokoju obciążać mogły skarb krajowy.

Zatrzymujemy się tymczasem na tem miejscu. Kroczyliśmy za Fryderykiem aż do końca jego zawodu wojskowego. Być może, iż gdy te *Pamiętniki* zostaną uzupełnione, wrócimy do rozpatrywania jego charakteru, opowiemy coś o jego polityce wewnętrznej i zagranicznej, oraz o jego życiu domowem podczas długich lat pokoju, które nastąpiły po wojnie siedmioletniej (*).

(*) Pamiętniki zostały uzupełnione, ale Macaulay nigdy już do nich i do Fryderyka W. nie powrócił. Zajęty opracowywaniem swych *Dziejów Anglii* nie miał już czasu na prace drobniejsze. *Fryderyk Wielki* należy do najpóźniej napisanych Szkiców Macaulaya.

Co do korespondencyj Fryderyka z Wolterem, uzupełniając przypisek na str. 159 dodajemy tutaj:

W wielkiej edycji dzieł Woltera, wydanej w Paryżu w r. 1785, znaleźliśmy w Tomach LXIV — LXVI, poświęconych na korespondencyę, następujące listy, któreby za streszczone przez Macaulaya w owych zakwestyonowanych, co do ich toż-

samości przytoczeniach na str. 159 uważać można. Zostawiamy brzmienie francuskie dla utrzymania jaknajwiększej dokładności, którą w rzeczach polemicznych na pierwszym zawsze należy mieć względzie.

W *październiku 1757 r.* Wolter karci jak przyjaciel Fryderyka za przygotowywanie się na śmierć, ujawnione w testamencie erfurckim (przed bitwą pod Rossbach) i nazywa Fryderyka *Salomonem północy*.

Dnia 24 lutego 1760 r. List Fryderyka z Friedberga dotyka sprawy frankfurckiej. Wzmianka, iż Wolter pierwszy poruszył pamięć o tej sprawie. Wyparcie się wszelkiego uczestnictwa ze strony Fryderyka.

Pomiędzy tym a następnym był list, w którym Fr. wymawiał W. spotwarzenie Maupertuis. Tego listu nie znaleźliśmy w edycji z r. 1785.

Dnia 21 kwietnia 1760 r., po owych przyjaźniach i salomonstwach nagle pisze Wolter z Tournay: „Vous m'avez fait assez de mal, vous m'avez brouillé avec le roi de France, vous m'avez fait perdre mes emplois et mes pensions (co zaszlachetne pobudki dla najwyższej inteligencji wiekul), vous m'avez maltraité à Francfort, moi et une femme innocente, une femme considérée (którą Mac. nazywa najobrzydliwszą z kokietek), qui été trainée dans la boue et mise en prison; et ensuite, en m'honorant de vos lettres, vous corrompez la douceur de cette consolation par de reproches amers. Est-il possible, que ce soit vous qui me traitiez ainsi; quand je ne suis occupé depuis 3 ans qu'à tâcher. quoiqu'uniquement, de vous servir sans aucune vue que celle de suivre ma façon de penser.“

A dalej, w tymże samym liście:

„Le plus grand mal qu'aient fait vos oeuvres c'est qu'elles ont fait dire aux ennemis de la philosophie repandus dans toute l'Europe: „Les philosophes ne peuvent vivre en paix et ne peuvent vivre ensemble. Voici un roi qui ne croit pas en Jesus Christ; il appelle à sa cour un homme qui n'y croit point, et il le maltraite; il n'y a nulle humanité dans les prétendus philosophes et *dieu* les punit les uns par les autres.“

To powiedziawszy, tak się przypochlebia filozof:

„Je benirai le jour où je cesserai en mourant d'avoir à souffrir et surtout de souffrir par vous; mais ce sera en vous souhaitant un bonheur dont votre position n'est peut-être par susceptible et que la philosophie seule pourrait vous procurer dans les orages de votre vie, si la fortune vous permet de vous borner à cultiver longtemps ce fonds de sage-se que vous avez en vous—fonds admirable mais altéré par les passions inséparables d'une grande imagination, un peu par l'humeur et par des situations épineuses qui versent du fiel dans votre âme; enfin par le malheureux plaisir que vous vous êtes toujours fait de vouloir humilier les autres hommes de leur dire, de leur écrire des choses piquantes; plaisir indigne de vous d'autant plus que vous êtes élevé au dessus d'eux par votre rang et par vos talents uniques.“

Dnia 12 maja 1760 r., Fryderyk odpisuje z Miszna (Meissen): „Je vous ai tout pardonné et même je veux tout oublier. Mais si vous n'aviez pas eu affaire à un fou amoureux de votre beau génie, vous ne vous en seriez pas tiré aussi bien chez tout autre. Tenez vous le pour dit et que je n'entende plus parler de cette nièce qui m'ennuie...“

Dnia 20 czerwca 1760 r., pisze Fryderyk: „J'estime en vous le plus beau génie que les siècles aient porté; j'admire vos vers, j'aime votre prose, surtout ces petites pièces détachées de vos *Mélanges de littérature*. Jamais aucun auteur avant vous n'a eu le tact aussi fin, ni le goût aussi sûr, aussi délicat que vous l'avez.

Vous êtes la créature la plus séduisante que je connaisse, capable de vous faire aimer de tout le monde quand vous le voulez. Vous avez tant de grâces dans l'esprit que vous pouvez offenser et mériter en même temps l'indulgence de ceux qui vous connaissent. Enfin, vous seriez parfait si vous n'étiez pas homme.“

Dzień Bożego Narodzenia 1766 r., Fryderyk do Woltera: „Maupertuis sans doute a fait un mauvais ouvrage: c'est une plaisanterie gravement écrite. Il aurait put l'égayer pour que personne ne puisse se tromper. Vous prîtes la chose au tragique, vous attaquâtes sérieusement un badinage et avec votre redoutable massue d'Hercule vous écrasâtes un moucheron...“

Listopad 1769 r., Wolter wspomina o artykule i liście w *White-hall-Evening-Post* z r. 1769 fałszywie jemu, Wolterowi, przypisywanych. List nazywa Wolter wręcz sfałszowanym, w liście zaś tym znajdował się następujący ustęp o Fryderyku:

„Quelle pitié si l'étendue de vos connaissances, vos talents, et vos vertus ne vous servait qu'à pervertir ces dons du ciel pour faire la misère et la désolation du genre humain! Vous n'avez rien à désirer, sire, dans ce monde que l'auguste titre d'un héros chrétien.“

Dnia 20 sierpnia 1770 r., nakoniec, w siedmnaście lat po przygodzie, pisze Wolter do Fryderyka o Maupertuis'm, że nigdy mu nie przebaczy i zawsze, aż do śmierci, z boleścią wspominać go będzie. Mówi z tego powodu: „Pardonnez-la (cette douleur) à un homme qui n'avait jamais eu d'autre ambition que de vivre et de mourir auprès de vous et qui vous est attaché depuis plus de 30 ans.“

Tyle we właściwej sprawie. Przypomnieć tu jeszcze należy, iż w tej samej korespondencji znajduje się list Fryderyka do Woltera w Potsdamie dnia 23 sierpnia 1750 r. pisany, a zaprzysięgający wiekistą miłość (amour éternel) filozofowi. Przygodę frankfurcką opisuje Wolter Landgrafowi Hesskiemu w liście ze Schwezingen, z dnia 4 sierpnia 1753 r.

Nie więcej w przedmiocie poruzonego przez Macaulaya stosunku nie mogliśmy znaleźć w edycji z r. 1785. Do innych, późniejszych nie mieliśmy przystępu. Chcieliśmy wyciągnąć odpowiednie listy z dzieł Fryderyka, wydania D-ra Preussa i zwróciliśmy się do Biblioteki głównej; ale ku wielkiemu zdziwieniu naszemu, a zapewne i czytelnika, Biblioteka ta ze wszystkich dzieł Fryderyka Wielkiego posiada tylko jeden tomik poezji, wydany w r. 1760.

Macchiavelli. (*)

Ci, co się pilnie przypatrują zwyczajom naszego trybunału literackiego zauważyli może, iż przy pomocy pewnych fikcyj prawniczych, podobnych do tych, których używają w Westminster-Hall, zaglądamy nieraz do spraw leżących poza obrębem właściwej naszej kompetencji. Zdaje się więc, iż nie potrzebujemy mówić, że i w obecnym razie pan Périer jest dla nas takim Ryszardem Roe⁽¹⁾, o którym nie będzie żadnej wzmianki w dalszym toku procesu, a którego imię do tego nam tylko służy, aby Macchiavellego przed sąd powołać.

Wątpimy, aby czyjekolwiek imię, w dziejach piśmiennictwa równie było nienawistnem, jak tego właśnie męża, nad którego charakterem i pismami zamierzamy obecnie się zastanowić. Sposób, w jaki się go zwykle wspomina, zdaje się dawać do zrozumienia, że był szatanem-kusicielem, złym duchem, wynalazcą pychy i zemsty, twórcą krzywo-przysięstwa, i że przed ogłoszeniem jego nieszczęsnego *Księcia* nie było na świecie ani obłudników, ani ciemieżców i zdrajców, udanej enoty lub korzystnej zbrodni. Pewien pisarz poważnie twierdzi, że Maurycy Saski⁽²⁾ całej swojej podstępnej polityki nauczył się z tego przekłętą woluminu. Inny utrzymuje, że odkąd został przełożony na język turecki, sułtani częściej niż pierwsi zaczęli praktykować zwyczaj

(*) Napisane 1827 r. w marcu z powodu wyjścia zbioru pism Macchiavellego p. t. „Oeuvres complètes de Macchiavel, traduites par J. V. Périer.“ Paryż 1825 r.

(1) Przytem wyrazie daje W. Guizot następujące objaśnienie: „Richard Roe, zmyślony pozwany, którego w pewnych wypadkach postępowania sądowego wciągano do spraw dla przetwarzania akcyj (skarg) rzeczowych—które według rygoru dawnego prawa poddane były formalnościom częstokroć do spełnienia niemożliwym, i wytaczane być mogły tylko przed sąd *Common Pleas*—w skargi osobiste, dopuszczalne we wszystkich sądach wyższych.

(2) „Maurice of Saxony“, nie jestto „Maurice de Saxe“ lecz Maurycy, Elektor Saski (ur. 1521 zm. 1553) który zdradził sprawę Karola V, swego dobroczyńcy po bitwie po Mühlberg i zaskoczył go w Innsprucku w zimie z r. 1551 na 2. Niemcy nazywają go „wielkim.“ Był on czas pewien głową protestantyzmu w Niemczech.

duszenia swoich braci. Lord Lyttelton składa na biednego Florentczyka winę wielokrotnych zrad Gwizyuszów i rzezi w noc ś. Bartłomieja. Niektórzy autorowie dają do zrozumienia, że Spisek Prochowy pierwotnie jego zasadom przypisywać należy, zdają się więc mniemać, że jego wizerunkiem wypadłoby zastąpić obraz Gwidona Fauxa w owych procesjach, które corocznie dowcipna młodzież angielska obchodzi ocalenie trzech koron. Kościół rzymski wykłął dzieła jego; a i nasi rodacy nie pozostali w tyle co do wyrażenia swej myśli o nim: z nazwiska bowiem jego utworzyli przydomek dla łotrów, a z chrześcijańskiego imienia, synonim dyabła⁽¹⁾.

Prawie niepodobna, aby ktoś, niedość dobrze obeznany z dziejami i piśmiennictwem włoskiem, czytał bez oburzenia i zdumienia głośny ów traktat, który tyle potwarzy ściągnął na imię Macchiavellego. Takie popisywanie się niegodziwością, naga i bezwstydną, taka zimna, roztropna, umiejętna nikczemność, zdawały się pochodzić raczej od szatana, niż od najbardziej skażonego człowieka. Zasady, które najbezczelniejszy nikczemnik zaledwieby się odważył poszeptać zaufanemu współpracownikowi, lub wyznać przed własnem sumieniem, bez przystrojenia jakim łagodzącym sofizmatem, takie zasady głoszone tu są bez żadnej ogródki i przyjmowane jako główne maksymy nauki politycznej.

Nie dziwnego, że zwyczajni czytelnicy patrzą na autora takiej książki jako na najbardziej skażoną i najbezwstydniejszą istotę. Ale mędrzy skłonni byli do spoglądania z wielką nieufnością na aniołów i szatanów pospółstwa; a w razie obecnym pewne okoliczności naprowadziły powierzchownych nawet badaczy na myśl podania pod wątpliwość słuszności powszechnego potępienia. Wiadomo, że Macchiavelli przez całe życie był gorliwym republikaninem. W tym samym roku, kiedy ułożył swój podręcznik sztuki rządzenia, znosił więzienie i tortury za sprawę wolności publicznej. Odrzuca więc wydaje się rzeczą niepojętą, iżby męczennik wolności miał z rozmysłem występować jako apostoł ciemieństwa. Niektórzy przeto znacomici pisarze starali się odszukać w tem nieszczęsnem dziele pewnej ukrytej myśli, zgodniejszej z charakterem i postępkiem autora od tej, która się ukazuje na pierwszemu rzutu oka.

Jedno tylko przypuszczenie twierdzi, że Macchiavelli zamierzał względem młodego Wawrzyńca Medyceusza użyć takiego podstępu,

(1) Nick Machiavel had ne'er a trick,
Tho' he gave his name to our old Nick.

Hudibras, Cz. III. śpiew I.

(co znaczy, Nick (Mikołaj) Macchiavelli nigdy nie spłatał takiego figla, chociaż udzielił swego nazwiska naszemu staremu Nickowi [dyabłu]).

Zdaje nam się jednak, że starożytnicy różnią się w zdaniu co do tego punktu.

(Przypisek Autora).

jakiego podobno Sunderland próbował na naszym Jakobie II, namawiając swojego ucznia do gwałtownych i zdrazieckich środków, widząc w tem najpewniejszy sposób przyspieszenia chwili wyzwolenia i odwetu. Inne domniemanie, które lord Bacon zdaje się podzielać, utrzymuje, iż traktat ów był tylko utworem poważnie ironicznym, przeznaczonym do ostrzeżenia ludów o knowaniach ambitnych mężów. Łatwo jednak okazać, że żadna z tych hipotez nie przystaje do wielu ustępów *Księcia*; ale stanowczego zaprzeczenia ich dostarczają dopiero inne pisma Macchiavellego. We wszystkich dziełach, które sam ogłosił, lub które pilność wydawców podkrywała w ciągu trzech stuleci, a więc: w komedjach jego, przeznaczonych ku zabawie gawiedzi; w objaśnieniach do Liwiusza, poświęconych na użytek najzapaleńszych patriotów florenckich; w dziejach przypisanych jednemu z najsympatyczniejszych i najszanowniejszych papieży; w listach o sprawach publicznych, w notatach prywatnych—widać mniej lub więcej takie same spaczenie zasad moralnych, za które *Książę* tak surowo jest potępiany. Wątpimy nawet czy w całym wielotomowym zbiorze dzieł jego udałoby się znaleźć choć jedno wyrażenie dowodzące, iżby obłudę lub zdradę uważał za rzeczy haniebne.

Po tem wszystkiem wyda się może śmiesznością, gdy powiemy, iż niewiele znany utworów, któreby się odznaczały tak wzniosłymi uczuciami, tak czystą i usilną gorliwością ku dobru powszechnemu, oraz tak słusznym poglądem na prawa i obowiązki obywateli, jak pisma Macchiavellego. A jednakże tak jest. Z samego nawet księcia moglibyśmy przytoczyć wiele ustępów na poparcie tego twierdzenia. W oczach czytelnika naszego wieku i kraju sprzeczność ta z początku wydaje się niby jakimś obłudą. Osobistość Macchiavellego wygląda jakby jakaś zagadka, jakby jakiś cudacki zlepek najsprzeczniejszych przymiotów, samolubstwa i szlachetności, okrucieństwa i łagodności, przebiegłości i prostoty, nikczemnej podłości i romantycznego bohaterstwa. W pismach jego obok zdania, które, nie przypuszczalibyśmy, iżby nawet jaki wysłużony dyplomata mógł cyframi wypisać w instrukcyi dla najzaufanego swego szpiega, spotykamy tuż inne, które wydaje się wyjętem z wypracowania jakiegoś ognistego studenta o śmierci Leonidasa. Czyn zręcznego wiarołomstwa i dowód poświęcenia patriotycznego wywołują tam ten sam rodzaj i ten sam stopień pełnego szacunku uwielbienia. Drażliwość moralna pisarza zdaje się być zarazem chorobliwie czułą; łączą się w nim, a raczej splatają, dwie całkowicie różne natury: jedna jest ośnową, a druga wątkiem jego umysłu; krzyżowanie się ich, jak nici w mieniących się materyach, nadaje całej tkaninie świecący i wiecznie migocący połysk. Wytlómaczenie tego zjawiska nie byłoby trudnem, gdyby Macchiavelli był bardzo słabym, albo bardzo wymuszonym; ale oczywiście nie był takim: dzieła jego niewątpliwie dowodzą, iż odznaczał się bystrym ro-

zumem, czystym smakiem i nadzwyczaj subtelnem poczuciem śmieszności.

Rzecz to dziwna, ale jeszcze dziwniejsza, iż nie mamy żadnego powodu przypuszczać, aby ci, wśród których żył, znajdowali w pismach jego cokolwiek rażącego lub niestosownego. Owszem, posiadamy liczne dowody wysokiego poważania, jakim tak dzieła jego, jak jego samego, najpoważniejsze osoby współczesne otaczały. Klemens VII opiekował się wydawnictwem tych właśnie ksiąg jego, które w następnym pokoleniu sobór trydencki ogłosił za niegodne czytania dla chrześcijan. Niektórzy zwolennicy stronnictwa gminowładnego ganili sekretarza rzeczypospolitej florenckiej za ofiarowanie *Księcia* orędownikowi, noszącemu niepopularne imię Medyceusza. Ale owym niemoralnym doktrynom, które później wywołały tak surowe potępienie, wówczas nie czyniono żadnych, zdaje się, zarzutów. Okrzyk na nie powstał nasamprzód za Alpami i podobno ze zdziwieniem był przyjęty we Włoszech. Najdawniejszym napastnikiem, ile wiemy, był nasz rodak, kardynał Pole. Autorem zaś *Anty-Machiavela* był protestant francuzki.

Zatem tylko w stanie moralnych uczuć ówczesnych Włochów szukać musimy prawdziwego wytłómaczenia tego, co się nam najbardziej zagadkowym wydaje w życiu i pismach Machiavellego. Ze zaś poszukiwanie takie nasuwa niemało zajmujących uwag, tak politycznych jak metafizycznych, nie będziemy się tłumaczyli, iż nieco dłużej nad niem się zatrzymamy.

Podczas okropnych i ponurych stuleci, które nastąpiły po upadku państwa rzymskiego, Włochy przechowały ślady cywilizacji starożytnej w daleko wyższym stopniu niż inne kraje zachodniej Europy. Noc, która ją pokryła, była nocą podbiegunowego lata. Jutrzienka zaczęła świtać nanowo wprzód nim ostatnie blaski wczesniejszego zachodu znikły z widnokręgu. Za czasów francuzkich Merowingów i Saksońskiej Heptarchy ciemnota i zdziwienie, zdawało się, że doszły swojego kresu. Ale i wtedy nawet prowincje neapolitańskie, uznające zwierzchnictwo cesarstwa wschodniego, przechowywały nieco jeszcze oglady i nauki wschodu. Rzym, osłonięty świętością głów kościoła swojego, używał względnej przynajmniej spokoju i bezpieczeństwa. W tych nawet okolicach, gdzie krwawi Longobardowie ustalili swoje państwo, bez porównania było więcej bogactw, wiedzy, wygody materialnej i porządku społecznego, niżeli w Galii, Brytanii lub Germanii.

Najbardziej od sąsiednich krajów wyróżniały się Włochy ważnem znaczeniem, jakiego nabywała od bardzo dawna ludność miast. Niektóre z nich założone zostały w odległych i niedostępnych miejscowościach przez zbiegów unikających wściekłości barbarzyńców. Takimi były Wenecya i Genua, które zawdzięczały niepodległość

swemu ustronnemu położeniu, zanim zdołały bronić jej siłą. Inne znowu, pod rozlicznymi najeźdźczymi dynastiami, za Odoakra i Teodoryka, Narsesa i Alboina, zdaje się, iż przechowały instytucje miejskie, nadane im przez liberalną politykę wielkiej rzeczypospolitej. W prowincjach, do których zasłaniania lub ucisku rząd centralny był za słabym, instytucje te nabywały stopniowo stałości i mocy. Obywatele, pod ochroną własnych murów, rządząc się własnymi urzędnikami i własnem prawem gminnem, używali w znakomitym stopniu niezależności republikańskiej. Tym sposobem wszedł w życie duch ściśle gminowładny. Karłowingowie zbyt byli niedołężni, aby go przytłumić, a szlachetna polityka Otona ośmielała go nawet. Być może, iż ściśle przymierze kościoła z cesarstwem potrafiłoby go zgniebić; ale tymczasem ich rozterki rozgrzewały go i potęgowały, tak, że w dwunastym wieku doszedł on zupełnego rozwoju i po długiej a wątpliwej walce nie dał się już pokonać zręcznym i mężnym zabiegom domu szwabskiego.

Pomoc władzy duchownej wielce się przyłożyła do powodzenia Gwelfów. Powodzenie to jednakże nader wątpliwego-by było pożytku, gdyby jedynym jego skutkiem było zastąpienie politycznej niewoli duchową i wyniesienie papieża kosztem cesarzów. Ale na szczęście duch publiczny we Włoszech długo w łonie swem żywił zarodki wolności, szybko rozwijające się teraz pod pomyślnym wpływem wolnych instytucyj. Lud tamtejszy zanadto długo i zanadto zbliżka przypatrywał się całemu temu aparatowi kościelnemu, tym świętym i cudom, tym bezwładnym błogosławieństwom i nieszkodliwym kłótwom, iżby się dał być złudzić. Stał on za kulisami sceny, na którą inni patrzyli z dziecinną grozą i ciekawością; oglądał urządzenie kółek⁽¹⁾ i fabrykacyę piorunów; spozierał na prawdziwe twarze, słyszał naturalne głosy aktorów. Odległe narody patrzyły na papieża jako na namiestnika Wszechmocnego, na Jego wyrocznie, na dawcę wyroków w sprzeczkach teologów i królów, których żaden chrześcijanin ponawiać nie śmiał. Ale Włosi znali dobrze wszystkie wybryki jego młodości i wszystkie niezbyt uczciwe środeczki, któremi się do władzy dostawał. Wiedzieli jak często używał kluczy kościoła do zwalniania siebie z najuroczystszych zobowiązań, a skarbów jego do tuczenia metres i synów. Wprawdzie naukę i obrządku religii ustanowionej czeili z należnem uszanowaniem, ale chociaż się nazywali katolikami, przestali być papistami. Oręż duchowny, który przerażeniem napętniał pałace i obozy najdumniejszych mocarzy, wzgardę tylko obudzał w najbliższem otoczeniu Watykanu. Aleksander,⁽²⁾ nakazując naszemu Henrykowi II poddać się chłóście przy grobie zbuntowanego poddane-

(1) „They (Włosi) witnessed the arrangement of the pullies.“ W. Guizot tłumaczy: „Ils assistaient au jeu de poulies.“

(2) Alexander III. Jego także przeproszał w Wenecyi Fryd. I niem. r. 1177.

go, sam był na wygnaniu. Rzymianie bowiem, domysławiając się, że knuje zamachy na ich swobody, wygnali go z miasta; a chociaż przyrzekał uroczyście trzymać się na przyszłość w granicach duchownego tylko urzędu, nie zgadzali się na powrót jego.

We wszystkich innych krajach Europy liczny i potężny stan uprzywilejowany gnębił lud a o rząd nie dbał. Lecz we Włoszech, w najbardziej nawet kwitnących okolicach, szlachta feudalna zeszała na stopień względnie mało znaczący. W niektórych prowincjach tuliła się pod skrzydło przemożnych rzeczypospolitych, którym opierać się nie była w stanie i zlewała się powoli z ogółem obywatelstwa; w innych miejscowościach wywierała wpływ większy, ale bardzo odmienny od tego, jaki posiadała arystokracja w którymkolwiek królestwie zaalpejskiem. Panowie włoscy byli, nie książkami, ale tylko znaczącymi obywatelami. Zamiast obwarowywania górskich zamczków, woleli przyozdabiać swe pałace na rynkach miejskich. Stan społeczeństwa w Neapolitańskim i w niektórych okolicach Państwa Kościelnego więcej się zbliżał do warunków wielkich mocarstw europejskich; ale rządy lombardzkie i tokańskie, pomimo wszystkie przewroty, zachowały odrębne znamiona. Wiadomo, że lud skupiony w miastach daleko jest groźniejszym dla rządzących od rozrzuconego na wielkich obszarach; to też najdespotyczniejsi z cesarów uważali za rzecz niezbędną karmienie i zabawianie krnąbrnej swej stolicy kosztem prowincyi; obywatele Madrytu nieraz pokonywali swych władców we własnych ich pałacach i wydzielali im najbardziej upokarzające ustępstwa; sułtani też często musieli uśmierzać rozszalały motłoch Carogrodu, oddając mu na pastwę głowę niepopularnego wezyra: z podobnych przyczyn i w monarchiach Włoch północnych dostrzegać się dawał pewien odcień gminowładztwa.

Tak więc wolność, choć częściowo i chwilowo, znowu nawiedziła Włochy, a z nią handel i panowanie, ⁽¹⁾ nauka i smak, wszystkie wygody i przyjemności życia. Wyprawy krzyżowe, z których mieszkańcy innych krajów otrzymali tylko relikwie i rany, podnoszącym się republikom nad morzem Adryatykiem i Tyrreńskim dostarczyły wielkiego przyrostu bogactw, posiadłości i wiedzy. Moralne i geograficzne położenie usposobiło je do korzystania zarówno z barbarzyństwa Zachodu jak i z cywilizacyi Wschodu. Włoskie okręty pokrywały wszystkie morza, a składy handlowe pojawiały się na wszystkich wybrzeżach; stoły wekslarzy włoskich stały po wszystkich miastach. Zakwitły rękodzieła; zakładano banki. Działania obrotu handlowego ułatwiano już wielu pożytecznymi i pięknymi wynalazkami. Wątpimy czy którykolwiek kraj europejski, oprócz naszego, osiągnął w obecnej chwili tak wysokiego stopnia w cywilizacyi i zamożności, jak niektóre okolice Włoch przed czterystu laty. Historycy rzadko się zapuszczają

⁽¹⁾ „empire.“

w tego rodzaju szczegóły, które jedynie przecież mogą dać istotne wyobrażenie o stanie jakiegoś społeczeństwa. Ztąd-to zbyt często potomność daje się ludzi przesadnym a niedokładnym obrazom poetów i retorów, którzy mylnie biorą świetność dworów za pomyślność ludów. Na szczęście, Jan Villani podał nam szczegółowy i dokładny opis stanu Florencyi w pierwszej części XIV wieku. Dochody rzeczypospolitej dochodziły trzechkroćtysięcy florenów; summa ta, zważywszy na obniżenie wartości drogiej kruszców, wyrównywała przynajmniej sześciukroćtysięcom funtów sterlingów, a przewyższała to, co dwa wieki temu Anglia z Irlandyą rocznie dostarczała Elżbiecie. Same rękodzieła wełniane zajmowały trzydzieści tysięcy robotników w dwustu zakładach. Tkanin sprzedawano w przecięciu rocznie za milion dwakroć sto tysięcy florenów, co czyni półtrzecia miliona funtów dzisiejszej wartości. Bito monety corocznie na czterekroćtysięcy florenów. Ośmdziesiąt banków załatwiała czynności handlowe—nie samej tylko Florencyi, ale całej Europy. Operacje tych zakładów tak czasem bywały ogromne, że zadziwiłby mogły nawet współczesników Baringa i Rothschilda. Dwa domy bankierskie pożyczyły Edwardowi III angielskiemu przeszło trzykroćtysięcy marek, i to za czasów, gdy marka zawierała srebra więcej niż na pięćdziesiąt teraźniejszych szylingów i gdy wartość tego kruszcza z górą czterekroć większa była od obecnej. Miasto z przyległościami liczyło sto siedmdziesiąt tysięcy mieszkańców. W rozmaitych szkołach około dziesięciu tysięcy dzieci uczyło się czytać, tysiąc dwieście uczono arytmetyki, a sześćset pobierało wyższą naukę.

Postępy literatury nadobnej i sztuk pięknych odpowiadały wzrostowi pomyślności ogólnej. Pod samowładnymi następcami Augusta wszystkie pola twórczości umysłowej obróciły się w jałowe pustynie, poznaczone jeszcze miedziami granicznymi, które świadczyły o dawnej uprawie, ale nie wydające ani kwiatów, ani owoców. Nadszedł potop barbarzyństwa i splukał wszystkie kopce graniczne, uniósł wszystkie oznaki dawniejszej kultury, ale, niszcząc, grunt użyzniał. Gdy ustąpił, pustkowie wyglądało jak ogród boży; radość i śmiechy odzywały się dokoła; wszystko klaskało w ręce, wszystko kielkowało samorodną obfitością, wszystko błyszczało, pachniało, nasycalo. Nowy język, nacechowany słodką a jędrną prostotą, dochodził doskonałości. Żadna mowa nigdy nie dostarczyła poezyi barw pyszniejszych i żywszych; wkrótce też ukazał się wieszcz, co umiał niemi się posługiwać. Na początku XIV wieku wyszła na świat *Komedia Boska*, niewątpliwie najszczytniejsze dzieło wyobraźni po śpiewach Homera. Następne pokolenie nie wydało wprawdzie drugiego Dantego, ale niepospolicie się odznaczyło powszechnym ruchem umysłowym. Badanie pisarzy łacińskich nigdy zresztą całkowicie nie było zaniedbanem we Włoszech; ale Petrarca wprowadził doń głębszą, śmielszą i wytworniejszą

metodę i udzielił rodakom owego zapалу do literatury, dziejów i starożytności rzymskiego, który w sercu własnem dzielił pomiędzy zimną kochankę i zimniejszą od niej muzę. Boccaccio zwrócił powszechną uwagę na wznioślejsze i wdzięczniejsze wzory greckie.

Od tego czasu uwielbienie dla nauki i geniuszu przeszło u ludu włoskiego prawie w bałwochwalstwo. Królowie i rzeczypospolite, kardynałowie i dożowie na wyścigi obсыpywali Petrarke czcią i pochwałami. Poselstwa rywalizujących krajów ubiegały się o zaszczyt jego rad i wskazówek. Uwieńczenie jego tak żywo poruszyło dwór neapolitański i lud rzymski, jak najważniejsza jaka sprawa polityczna. Gromadzenie ksiąg i starożytności, zakładanie szkół, opiekowanie się uczonymi — stały się prawie powszechną modą pomiędzy możnymi. Duch poszukiwań naukowych kojarzył się z przedsiębiorczością kupiecką. Przetrasano wszystkie zakątki, gdziekolwiek sięgały potężne obroty książąt handlu florenckiego, od rynków nad Tygrysem aż do klasztorów nad Clyde, szukając medali i rękopisów. Szczodrościwej zachęty dodawano budownictwu, malarstwu i rzeźbie. W istocie, trudnoby było nawet wymienić choć jednego znakomitego Włocha, któryby w tej epoce nie udawał przynajmniej zamięłowania sztuk i literatury, jakiegokolwiekby był zakładnikiem usposobienia.

Wzrastały tedy równocześnie nauki i pomyślność; do szczytu zaś doszły za czasów Wawrzyńca Wspaniałego. Nie możemy się oprzeć chęci przytoczenia pysznego ustępu, w którym Tucydides tokański opisuje stan Włoch w owym okresie: „*Ridotta tutta in somma, ma pace e tranquillità, coltivata non meno ne' luoghi più montuosi e più sterili che nelle pianure e regioni più fertili, nè sottoposta ad altro imperio che de' suoi medesimi, non solo era abbondantissima d'abitatori e di ricchezze; ma illustrata sommamente dalla magnificenza, za di molti principi, dallo splendore di molte nobilissime e bellissime città, dalla sedia e maesta della religione, fioriva d'uomini prestantissimi nell'amministrazione delle cose pubbliche, e d'ingegni molto nobili in tutte le scienze, ed in qualunque arte preclara et industriosa.*“⁽¹⁾

Czytając wierny ten a świetny opis, zaledwo wierzyć się chce, że mowa w nim o czasach, które w kronikach Anglii i Francji przedstawiają straszne widowisko ubóstwa, barbarzyństwa

⁽¹⁾ „Całe Włochy, używające zupełnego spokoju i ciszy, uprawiane niemniej w okolicach górzystszych i nieurodzajniejszych, jak na równinach i w miejscach żyzniejszych, nie ulegając niczyjej prócz rodaków władzy, nie tylko, że niezmiernie obfitowały w mieszkańców i bogactwa a jaśniały nadto blaskiem wielu książąt, okazałością licznych nader szlachetnych i pięknych grodów, siedliskiem i wspaniałością religii, wydawały ludzi znakomitych w rządzeniu krajem oraz odznaczających się we wszystkich naukach, i wreszcie we wszelakich sztukach celujące były i biegłe.“
Guicciardini: Istoria d'Italia ks. I, roz. 1. (Przypisek p. Jana Karłowicza)

i ciemnoty. Miło jest odwrócić wzrok od nieuctwa panów i cierpień przynębionego chłopstwa, przenosząc go na zamożne i oświecone kraje włoskie, na obszerne i okazałe miasta, porty, arsenały, wille, muzea, księgozbiory, targi, pełne wszystkiego, co do wygody i zbytków należy, na rękodzielnie, rojące się robotnikami, Apeniny, okryte bogatą uprawą aż po same szczyty, na Pad spławiający zboża lombardzkie do śpihlerzów Wenecyi, a przynoszący napowrót jedwab bengalski i futra syberyjskie do pałaców Medyolanu. Ze szczególną rozkoszą każdy umysł rozwinięty musi spocząć na tej pięknej, szczęśliwej, sławnej Florencyi, na owych salach, które brzmiały wesołością Pulciego, na celi, gdzie migotała nocna lampa Poliziana, na posągach, które młodzieńcze oko Michała Anioła pożerało z zapalem pobratymczego z ich twórcą natchnienia, na owe ogrody, gdzie Wawrzyniec układał roziskrzoną piosnkę do majowego tańca dziewic Etrury. Lecz biada temu pięknemu grodu! Biada dowcipowi i naukom, geniuszowi i miłości!

„Le donne, e i cavalier, gli affanni, e gli agi,

Che ne'voglia amore e cortesia

Là dove i cuor son fatti sì malvagi.“⁽¹⁾

Zbliżał się bowiem czas, gdy wszystkie siedm czar Apokalipsy miały być wylane na tę śliczną krainę, — czas mordów, głodu, nędzy, hańby, niewoli, rozpacz.

W krajach włoskich, jak w wielu cielesnych ustrojach, przedwczesna zgrzybiałość była karą przedwczesnej przyspieszonej dojrzałości. Wczesna ich wielkość i wczesny upadek głównie przypisać należy tejże przyczynie, mianowicie przewadze, którą miasta w układzie politycznym zyskały.

W społeczeństwie złożonem z myśliwych lub pasterzy, każdy łatwo, a nawet koniecznie, staje się wojownikiem, codzienne bowiem jego zatrudnienia w doskonałej są zgodzie ze wszystkimi obowiązkami wojakowego. Jakkolwiek odległą być może wyprawa, do jakiej należy, łącono mu przychodzi zabrać w drogę zasoby, z których żyje. Cały lud jest tam wojskiem, a cały rok — marszem. Taki był stan społeczeństwa, który ułatwił olbrzymie podboje Attyli i Tamerlana.

Lud zaś, co się utrzymuje z uprawy roli, znajduje się w nader odmiennem położeniu. Rolnik jest przywiązany do gleby, którą orze. Długa wyprawa byłaby dlań zgubną. Jednakże rodzaj zatrudnień jego jest taki, iż nadaje naturze jego zarówno czynną jak bierną siłę, niezbędną żołnierzowi; a nadto, przynajmniej w dzieciństwie nauki

⁽¹⁾ Płacze, gdy wspomnę rycerze i damy,
Ich gry, turnieje, jakich dziś nie mamy:
W piersi, gdzie wrzała miłość i zalotność,
Dziś tylko chłodna gnieździ się przewrotność.

(Danteo Czyścicie, pieśń XIV, przekład Juliana Korsaka, str. 387).

(Przypisek pana Jana Karłowicza).

rolniczej, zatrudnienia te nie wymagają nieprzerwanej troskliwości. W niektórych porach roku, rolnik prawie nie ma do roboty i może bez szkody własnej część czasu obrócić na niedługą wyprawę wojenną. Takim sposobem tworzył Rzym legiony w pierwszych wojnach swoich: część roku, gdy pola nie wymagały obecności ziemianina, wystarczała na niedalekie napady i utarczki. Takie wojowanie, chociaż zbyt często się przerywało, iżby przynieść mogło stanowcze skutki, przykładało się jednak do utrzymania w ludzie pewnego stopnia karności i odwagi, a to go czyniło nie tylko bezpiecznym o siebie, ale nawet groźnym. Łucznicy i kopijnicy średniowieczni, co-to z zapasem na czterdzieści dni na plecach zamieniali domową zagrodę na obóz, stanowili siłę zbrojną tejże natury.

Ale gdy zakwitnie handel i przemysł, następuje wielka zmiana. Człowiekowi przyzwyczajonemu do siedzenia za kantorem lub przy warsztacie nieznosnemu się wydają zajęcia i trudy wojenne; a nadto zawód kupca i rzemieślnika wymaga ciągłej obecności i baczności. W takim też społeczeństwie mało jest zbywającego czasu, ale za to dużo zbywających pieniędzy. Najmują się więc niektórzy członkowie jego, aby resztę współobywateli uwolnić od zajęcia nieodpowiedniego ani ich zwyczajom, ani powołaniu.

Dzieje greckie w tym, jak i w wielu innych względach, najlepszą są wyjaśnieniem włoskich. Pięćset lat przed erą chrześcijańską, obywatele rzeczypospolitych, otaczających morze Egejskie, składali najpiękniejszą może, jaka kiedykolwiek istniała, siłę zbrojną. Ale ze wzrostem bogactwa i zbytów system obrony stopniowo się zmieniał. W jońskich krajach najpierw zaczęto uprawiać handel i sztuki, i tam też najpierw dawna gotowość wojenna upadła. W osmdziesiąt lat po bitwie pod Plateą, ⁽¹⁾ w utarczkach i oblężeniach występują wszędzie wojska najemne. Za czasów Demostenesa nie było prawie możliwości skłonienia lub zmuszenia Ateńczyków do wstąpienia w obcą służbę. Prawa Likurga zakazywały handel i rękodziela; Spartańczycy tedy długi czas wystawiali jeszcze wojsko narodowe, gdy sąsiedzi posługiwali się najemnem; ale duch wojskowy podupadł w nich wraz z ich szczególnymi prawami. W drugim nareszcie wieku przed Chrystusem Grecya zawierała jeden tylko wojowniczy krąg — dzikich góralsi etolskich, którzy o kilka pokoleń pozostali w tyle za rodakami swoimi pod względem cywilizacji.

Wszystkie przyczyny, które sprowadziły takie skutki u Greków, daleko silniej działały w nowożytnych Włoszech. Zamiast państwa jak Sparta, nawskróś wojowniczego, zawierały one kraj z natury rzeczy pokojowy, państwo kościelne. Gdzie dużo jest niewolników, tam

(1) W r. 479 po Chrystusie. Właściwie należałoby mówić w liczbie mnogiej „Plateae;“ w takiej używa tej nazwy Curtius w swej „Historji Grecji.“

każdy wolny człowiek z konieczności oswajać się musi z władaniem bronią; ale w rzeczachpospolitych włoskich nie roili się tysiące tych wrogów domowych, jak w Grecji. Zresztą sposób, w jaki się urządzała wojskowość za czasów pomyślności Włoch zgola nie sprzyjał zaprowadzeniu potężnej siły zbrojnej. Ludzi okrytych żelazem od stóp do głów, uzbrojonych ciężkimi spisami i siedzących na roslach koniach, uważano za serce wojska. Piechotę poczytywano za stosunkowo nie wartą i zaniedbywano dopóty, aż istotnie takową się stała. Podobna taktyka panowała całe stulecia w większej części Europy. Mniemano, iż byłoby rzeczą niesłychaną, aby piesi żołnierze zdołali oprzeć się naciskowi ciężkiej jazdy; aż wreszcie w końcu XV wieku nieokrzesani górale szwajcarscy, ku zdumieniu najdoświadczeńszych wodzów, rozwalili to złudzenie, wytrzymując straszliwe natarcie nieprzepartym lasem oszczepów.

Władania dżdą greką, rzymskim mieczem i nowożytnym kądem nie tak dalece trudno jest się nauczyć; ale ileż-to lat codziennej wprawy wymagało wdrożenie się do dźwigania ciężkiej zbroi i używania niezgrabnej broni! W całej Europie najważniejsza ta gałąź wojskowości stanowiła oddzielny zawód. Za Alpami zresztą, choć się praktykowała w formie odrębnej professyi, nie stała się wszelakoż przeważnie rodzajem handlu: owszem, wchodziła w skład obowiązków i rozrywek znacznej części szlachty wiejskiej, bo nią opłacała ona za trzymane przez siebie lenności i nią też uprzyjemniała sobie chwile wypoczynku, w braku rozrywek umysłowych. Ale w krajach północnych Włoch, jakieśmy już powiedzieli, wzrastająca potęga miast, jeżeli gdzie nie usunęła zgola tej klasy ludzi, to do gruntu przynajmniej zmieniła jej zwyczaje. Tam więc wszedł w powszechnie użycie najem wojowników i to w czasach, gdy go gdzieindziej wcale jeszcze nie znano.

Kiedy wojowanie stało się rzemiosłem oddzielnej warstwy ludzi, wówczas dla rządów najmniej niebezpieczną drogą jest obrócenie tej warstwy w wojsko stałe; bo niepodobniestwemby było, iżby człowiek, służąc całe życie jednemu krajowi, nie nabył pewnego współczucia dla jego losów: zwycięztwo tego kraju musi się stać jego zarazem wygraną i odwrotnie, klęska kraju z jego niepowodzeniem związać się musi; tak więc kontrakt najmu traci tu nieco swój czysto handlowy charakter; służba żołnierza uważa się za skutek jego patriotycznej gorliwości, a płaca za dar wdzięczności narodowej; zdrada państwa, które go najmuje, a nawet zaniedbanie w służbie, stają się w oczach jego najniegodziwszymi i najsromotniejszymi przestępstwami.

Gdy monarchie i rzeczypospolite włoskie zaczęły się uciekać do wojsk najemnych, najstosowniejby uczyniły tworząc oddzielne krajowe siły zbrojne; — ale, na nieszczęście, postępowały inaczej. Najemnicy przeto na półwyspie, zamiast być przywiązanymi do służby państw odrębnych, uważani byli za wspólną własność wszystkich. Stosunek

więc kraju do jego obrońców wyrażał się prostym i jawnym frymarkiem. Awanturnik wystawiał konia swojego, oręż, siłę swą i doświadczenie na rynku. Kto dobil targu, — czy król neapolitański, czy książę medyolański, czy papież, czy starszyzna florencka, — było to dla niego rzeczą zupełnie obojętną: on szukał tylko najwyższego żołdu i najdłuższego terminu. A gdy kampania, na którą się umówił, była skończoną, nie istniało ani prawo, ani poczucie honoru, któreby mu nie dozwalało natychmiast oręża obrócić na byłego swojego pana; co innego bowiem był żołnierz, a zupełnie co innego obywatel lub poddany.

Naturalne skutki takiego systematu nie mogły się nie pojawić. Wojna, oddana w ręce ludzi, co ani kochali tych, których bronili, ani nienawidzili tych, z którymi się bili, co nieraz większy pociąg czuli do przeciwnego obozu niż do kraju, któremu służyli, co tracili na ukończeniu, a zyskiwali na przedłużeniu walki, — wojna tedy zmieniała zupełnie naturę. Każdy najemnik przybywał na pole bitwy ze świadomością, że może za dni kilka pobierać będzie żołd od państwa, przeciw któremu go obecnie używano, oraz, że może jutro walczyć będzie wraz z wrogami przeciw dzisiejszym towarzyszom. Bardzo silne więc pobudki i uczucia wpływały na łagodzenie nieprzyjaźni w takich, co niedawno byli, i wkrótce znowu być mogli, zbratani pod jednym sztandarem. A do tego jednostajność powołania łączyła ich wspólnym węzłem, o którym nie zapominali pełniąc służbę nawet w wojujących z sobą przeciwników. Ztąd-to dzieje wojenne Włoch w ciągu dwu niemal wieków składają się z owych, nieznanych gdzieindziej, chwiejnych a nie nie znaczących obrotów, marszów i kontrmarszów, wypraw i oblężeń z celem plądrowania, kapitulacyj i potyczek bez rozlewu krwi. Nieraz walczyły z sobą dwie potężne armie od wschodu do zachodu słońca: jedna z nich odniosła wielkie zwycięstwo: wzięła tysiące jeńców, ale nikt tej sprawy życiem nie przypłacił. Rzecz można, że walna bitwa, w istocie, mniej była naówczas niebezpieczna od zwykłej zamieszki ulicznej.

Męstwo stało się odtąd przymiotem niepotrzebnym dla żołnierza. Ludzie starzeli się w obozach i zdobywali sobie ogromną sławę swojemi czynami waleczności, nie wystawiając się ani razu na istotne niebezpieczeństwo. Polityczne następstwa takiego stanu rzeczy zbyt dobrze są znane. Najbogatsze i najoświecześniejsze kraje wystawione były bez obrony na najazdy barbarzyńskich napastników, na drapieżność Szwajcarów, na zuchwalstwo Francuzów i na dziką cheiwość Aragończyków. Moralne zaś skutki takiego porządku jeszcze były ważniejsze.

U nieokrzesanych ludów, osiadłych za Alpami, odwaga stanowiła niezbędny przymiot: bez niej nikt nie mógł się odznaczyć, a mało kto być bezpiecznym. Oczywiście tedy, lekliwość uważała się za najśromotniejszą wadę. Tymczasem u oświeconych Włochów, bogacą-

ych się handlem, rządzących się prawami i namiętnie przywiązanych do literatury, do wszystkiego się dochodziło tylko wyższością umysłów. Same nawet ich wojny, bardziej pokojowe niżeli pokój u sąsiadów, wymagały raczej cywilnego niż wojskowego uzdolnienia. Dla tego-to, gdy męstwo stanowiło ideał w innych krajach, we Włoszech bystrość umysłu była ideałem.

Z tej zasady, drogą jednostajnego wnioskowania, wynikły dwa przeciwne pojęcia o moralności praktycznej. W całej prawie Europie wady cechujące szczególnie bojaźliwe charaktery, a stanowiące przyrodzoną obronę słabości, jak podstępność i obluda, uchodziły zawsze za hańbiące; a przeciwnie, wybryki śmiałych i wyniosłych umysłów przyjmowano z pobbazaniem, a nawet z poszanowaniem. Włosi zaś z równą wyrozumiałością patrzyli na występki, wymagające panowania nad sobą i zrzeczności, bystrego dostrzegania, obfitości pomysłów i głębokiego poznania natury ludzkiej.

Taki monarcha jak nasz Henryk V musiał być bożyszczem na północy. Szaleństwa jego młodości, samolubna ambicja wieku dojrzałego, pieczenie Lollardów na wolnym ogniu, mordowanie jeńców na polu bitwy, przedłużenie upadającego panowania duchowieństwa na następne stulecie, przekazanie przyszłemu pokoleniu niesłusznej i beczelowej wojny: wszystko to puszczono mu w niepamięć, oprócz tylko zwycięstwa pod Azincourt. Z drugiej strony, Franciszek Sforza wzorem był bohaterów włoskich. Z panów swoich i współzawodników poczynił on sobie narzędzia. Przemogłszy otwartych wrogów przy pomocy wiarołomnych sprzymierzeńców, obrócił oręż na tych ostatnich, korzystając ze zdobyczy wziętej na nieprzyjaciela. Z niezrównaną zrzecznością, z przykrego i zależnego stanu awanturnika wojskowego, wzniósł się na pierwszy tron we Włoszech. Takiemu człowiekowi wiele przebaczały rodacy: i fałszywą przyjaźń, i walkę nieszlachetną i wiarołomstwo. Do takich-to, wręcz sobie przeciwnych, błędów dochodzą ludzie, gdy moralność ich staje się, nie nauką, lecz modą, gdy zapominają zasad odwiecznych dla przypadkowych kombinacji.

Objaśniliśmy twierdzenie nasze przykładem z dziejów; przytaczamy drugi jeszcze z dziedziny wyobraźni. Otello morduje żonę; wydaje rozkaz zabicia swojego chorążego, a kończy samobójstwem. A jednak nigdy nie traci szacunku i przychylności północnych czytelników, bo nieustraszona i ognista dusza jego okupuje wszystko. Szczera ufność, z jaką słucha doradcy, zgroza, z jaką się wzdyga na myśl o sromocie, namiętna burza, w której uniesieniu zbrodnię popełnia, i dumna nieustraszonosc, z jaką ją wyznaje, nadają niezwykle zajęcie jego charakterowi. Przeciwnie, Jago jest przedmiotem powszechnego obrzydzenia. Wielu nawet chce przypuszczać, że Szekspir dopuścił się niezwykłej sobie przesady i odmalował potwora niemałego wzoru w naturze ludzkiej. Nam się jednak zdaje, że słuchacze

włoscy w XV wieku doznawali wcale odmiennych uczuć. Otello przejąłby ich tylko wstrętem i pogardą. Zślepienie, z jakim przyjmuje zapewnienia przyjaźni człowieka, którego wyniesieniu przeszkodził: łatwowierność, z jaką bierze niczem nie poparte twierdzenia i powszednie okoliczności za niezbite dowody; gwałtowność, z jaką odpycha uniewinnienie aż do chwili, gdy takowe pogorszyć tylko może jego niedolę: wszystko to obudziłoby niesmak i odrzę w widzach. Postępowanie Jaga pewnoby oni potępili; lecz potępiłoby je tak, jak my potępiamy postęпки jego ofiary. Przymieszałoby się zresztą i nieco zajęcia oraz uznania do tej ich nagany. Przypomność umysłu zdraycy, jasność sądu jego, przenikliwość, z jaką wyczytuje myśli innych a kryje własne, — pozyskałyby dlań pewien stopień szacunku.

Tak wielką była różnica pomiędzy Włochami a ich sąsiadami. Podobna sprzeczność zachodziła między Grekami z drugiego wieku przed Chrystusem, a ich władcami, Rzymianami. Odważni i dzielni, wierni swym zobowiązaniom, mocno napojeni uczuciami religijnymi, zdobywcy byli zarazem ciemni, samowolni i okrutni. W rękach zwyciężonych leżała cała skarbnica sztuk, nauk i literatury świata zachodniego. W poezyi, filozofii, w malarstwie, budownictwie, rzeźbie, nie mieli sobie równych. Obyczaje posiadali łagodne, umysł bystry, łatwy i wynalazczy; odznaczała się tolerancją, uprzejmością i ludzkością; ale odwagi i szczerości prawie zupełnie byli pozbawieni. Nieokrzesany centuryon pocieszał się w swej umysłowej niższości spostrzeżeniem, że nauka i sztuka zdawały się prowadzić ludzi do bezbożności, tchórzowstwa i niewoli. Długi czas różnica ta trwała bez zmiany i dostarczyła wybornego tematu do niemilościwych szyderstw Juwenalisa.

Obywatel włoskiej rzeczypospolitej był Grekiem z czasów Juwenalisa i Grekiem z czasów Peryklesa w jednej osobie. Rojaźliwy był i giętki, przebiegły i podły, jak pierwszy; ale jak drugi, posiadał ojczyznę, której niepodległość i pomyślność drogo cenił; i jeżeli charakter jego szpeciły brzydkie przywary, to z drugiej strony zdobyło go poczucie ducha publicznego i zaszczytnej ambicji.

Wady uświęcone mniemaniem powszechnem są poprostu wadami: jest to zło, które się kończy samo przez się. Ale wady, potępiane przez opinię publiczną, wywierają szkodliwy skutek na cały charakter. Pierwsze są chorobą miejscową, drugie — zarazą całego organizmu. Gdy przestępca traci dobre imię, bardzo często pozbywa się z rozpacz i resztek cnoty. I tak, ów szkocki szlachcic, coto sto lat temu żył zdzierstwem sąsiadów, dopuszczał się takiego samego przestępstwa, za jakie dwakroćstotysięcy ludu z wrzaskiem gnało Wilda aż do Tyburnu. Jednakże niema wątpliwości, że był on daleko mniej zepsutym od Wilda. Czyn, za który powieszono panią Brownrigg, niczem jest w porównaniu z postępowaniem Rzymianina, który ofiarowywał pu-

bliczności sto par gladiatorów; a wszakże skrzywdzilibyśmy tego Rzymianina przypuszczeniem, że serce miał tak okrutne jak pani Brownrigg. U nas w kraju kobieta traci wstęp do towarzystwa za to, co w mężczyźnie zbyt często się uważa za zaszczytne odznaczenie, a w najgorszym razie za grzech powszedni. Wynikają ztąd oczywiste skutki: zasady moralne kobiety nieraz więcej się nadwątlają jednym zboczeniem z drogi cnoty, niżeli u mężczyzny dwudziestu latami intryg. Starożytność klasyczna dostarczyłaby nam jeszcze dobitniejszych, jeżeli to być może, przykładów.

Zastosujmy tę zasadę do rzeczy przez nas rozpatrywanej. Nałóg obłudy i fałszywości w naszym wieku, u nas, ściągają na człowieka zarzut niegodziwości i ohydy. Lecz ztąd wcale nie wynika, iżby podobny sąd miał być słusznym, gdy chodzi o średniowiecznego Włocha. Owszem, bardzo często przywary, które zwykliśmy poczytywać za pewne wskazówki całkowitego zepsucia serca, znajdujemy obok wielkich i zacnych przymiotów, obok szlachetności, uczynności, bezinteresowności. Z takiego stanu społeczeństwa, „Palamedes,” w przedziwnym dyalogu Humego, zaczerpnąłby wzorków do swej teorii, równie dobitnych, jak te, których mu dostarczał Fourli. Wiemy dobrze, iż tego rodzaju wskazówek ani historycy nie lubią udzielać, ani czytelnicy chętnie słuchać; nie przeto są jednak bezpożyteczni. Jak Filip rozstawił swoje wojsko pod Cheroneą; w którym miejscu Hannibal przebył Alpy; czy Marya wysadziła w powietrze Darnleya; czy Siquier zastrzelił Karola XII? — i dziesięć tysięcy innych pytań, takież doniosłości, — nie mają same w sobie znaczenia. Rozwiązywanie ich może nas bawić, ale nie uczyni mędrszymi. Ten tylko prawdziwie umie czytać dzieje, kto, mając na uwadze jak potężnie okoliczności wpływają na uczucia i przekonania ludzkie, jak często występki obracają się w enoty, a paradoksy w aksjomata, uczy się odróżniać co jest przypadkowego i przechodniego w naturze ludzkiej, od tego, co jest w niej zasadniczem i niezmiennem.

W tym względzie żadne dzieje nie nasuwają więcej ważnych rozmyślań, nad historję rzeczypospolitych Toskańskich i Lombardzkich. Charakter polityki włoskiego na pierwszy rzut oka wydaje się mieszaniną sprzeczności, jakimś widmem tak potwornem, jak „Odzwierciedlenie” u Milтона, pół bóstwem, a pół wężem, wspaniałem i pięknem u góry, a pełzającym i jadowitem u spodu. Jest to człowiek, którego myśli i słowa żadnego z sobą związku nie mają, który nigdy nie waha się przysiądź, gdy chce uwieść, któremu nigdy nie zabraknie pozorów, gdy zamierza zdradzić. Okrucieństwa jego wynikają nie z gorącości krwi, ani też z upojenia nieograniczoną władzą, ale z głębokiego i zimnego rozmysłu. Namietności jego, jak dobrze wyćwiczone wojsko, wybuchają prawidłowo i w najzaciętszym szaleństwie nigdy nie zapominają dyscypliny, do której zostały przyzwyczajone. Dusza jego aż

do głębi przejęta jest szerokimi i powikłanymi planami ambicji. Ale oblicze i mowa pełna filozoficznym umiarkowaniem. Nienawiść i zemsta nurtują serce jego; ale każde spojrzenie wyraża uśmiech serdeczny, a każdy ruch poufałą pieczęcią. Nigdy nie obudza on podejrzeń przeciwników drobnymi zaczepkami. Zamiary jego wtedy dopiero się ujawniają, gdy są dokonane. Twarz jego jest wypogodzona, mowa gładka; a gdy potrafi uspić czujność, gdy odszuka słabej strony w przeciwniku i dobrze na cel weźmie, natenczas ugodzi po raz pierwszy i ostatni. Co do odwagi wojennej, nie ceni i nie posiada jej, ani jak chępliwym i głupowatym Niemiec, ani jak swawolnym i świergotliwym Francuz, ani jak romantycznym i zuchwałym Hiszpan. Unika niebezpieczeństwa, nie żeby nieczułym był na wstyd, ale dla tego, że w społeczeństwie otaczającym go lekliwość przestała być haniebą. Krzywda jawna w jego oczach, równie jest brzydką, jak potajemna, tylko że daleko mniej korzystną. Dla niego najzaszczytniejszymi sposobami są sposoby najpewniejsze, najprędsze i najciemniejsze. Nie może on pojąć dlaczego się nie miało oszukiwać tych, których się ma zgubić. Uważałby za szaleństwo wypowiadanie otwartej wojny współzawodnikowi, którego może przebić w przyjaznym uścisku, albo otrucie poświęconą hostyą.

Jednakże taki człowiek, oszepecony przywarami, które uważamy za najbrzydsze, — zdrajca, obłudnik, tchórz, skrytobójca, — wcale nie był pozbawiony zalet, które powszechnie uchodzą za wskazówkę wyższości charakteru. Owi barbarzyńcy wojownicy, co nie opuszczają pierwszych szeregów w potyczce lub na wałach, daleko niżej stoją od niego w odwadze cywilnej, wytrwaniu i przytomności umysłu. Te nawet niebezpieczeństwa, których unikał, z przezornością prawie lekkością, nigdy nie mąciły mu myśli, nie obezwładniały twórczości i nie zdołały wydrzeć tajemnicy z jego słodkich ust i niezbadanego czoła. Będąc niebezpiecznym jako wróg, a jeszcze niebezpieczniejszym jako współnik, umiał być sprawiedliwym i dobroczynnym urzędnikiem. Dopuszczając się w polityce tylu nierzetelności, posiadał umysł wysoce dokładny. Rozmijając się z prawdą w stosunkach życiowych, najuczciwiej pilnował jej w poszukiwaniach filozoficznych. Swawolnego okrucieństwa nie było w jego naturze. Owszem, kiedy tylko nie wchodziły w grę widoki polityczne, postęпки jego odznaczały się łagodnością i miłosierdziem. Wrażliwość nerwów i czynność wyobraźni usposabiała go do współczucia dla innych i zamyślenia o głębi i przyjemności życia towarzyskiego. Poniżając się ciągle do czynów, które w oczach naszych znamionują do gruntu zepsute serce, pomimo to posiadał wyborne poczucie szczytności w naturze i duchu, piękności i wzniosłości pomysłów. Przyzwyczajenie do drobnych intryg i nieszczerości uczyniłoby go może niezdolnym do wielkich i szerokich poglądów, gdyby badania filozoficzne rozszerzaniem zakresu jego myśli nie za-

pobiegały temu. Najwyższą rozkosz znajdował w dowiepie, wymowie i poezji. Przyczyniał się do rozwoju sztuk pięknych zarówno surowością sądu, jak szczodroliwością orędownictwa. Wizerunki niektórych znakomitszych Włochów owego czasu w zupełnej są zgodzie z naszym opisem. Czoło wyniosłe i szerokie, brew czarna i wydatna, choć nie zmarszczona, oczy spokojnie i szeroko patrzące, zdają się wszystko dostrzegać, same nie nie wyrażając; policzki blade od myśli i siedzącego życia, usta zarysowane z niewieścim wdziękiem, ale zaciśnięte z więcej niż mężką stanowczością: wszystkie te rysy znamionują ludzi przedsiębiorczych zarazem i bojaźliwych, ludzi zarówno biegłych w odkrywaniu cudzych zamysłów, jak w tajeniu własnych, ludzi, co musieli być strasznymi wrogami i niepewnymi przyjaciółmi, a jednak obdarzonych miłym i spokojnym temperamentem, oraz umysłem szerokim i przenikliwym, uzdolniającym ich do odznaczenia się w życiu tak praktycznym, jak umysłem, do rządzenia i do nauczania innych.

Każdy wiek i każdy naród mają pewne, prawie powszechne a charakterystyczne wady, do których bez wahania się przyznają, a które surowi nawet moralisci naganiają tylko zlekka. Następne pokolenia zmieniają modę w moralności, tak samo jak w kapeluszach i powozach, biorą inny jakiś rodzaj niegodziwości pod swą opiekę i dziwią się skażeniu przodków. Nie koniec na tem. Potomność, ów najwyższy trybunał, niezmordowany w chwaleńiu własnej sprawiedliwości i mądrości, postępuje w podobnych razach nakszałt rzymskiego dyktatora po wielkim buncie: uważając, że zawiele jest winowajców, aby wszyscy mogli być ukarani, wybiera niektórych na chybił trafił, i ci ponoszą całą karę za przestępstwo, którego nie więcej winnymi są od innych, nieukaranych. Czy dziesiątkowanie dogodną jest formą dla wojennych egzekucyj, tego nie wiemy; lecz uroczyste protestujemy przeciwko wprowadzeniu tej zasady do filozofii dziejów.

W obecnym razie kolej przypadła na Macchiavellego, męża, którego postępowanie publiczne było prawe i szanowne, którego pojęcia o moralności, jeżeli się w czem różniły od pojęć ludzi go otaczających, to chyba na jego korzyść, a którego jedyną winą było to, iż przejawiając się niektórymi zasadami, naówczas powszechnie wyznawanymi, ułożył je z większą jasnością i wyraził z większą dobitnością od innych pisarzy.

Oczyściwszy do pewnego stopnia, jak sądzimy, charakter osobisty Macchiavellego, przechodzimy do rozbioru dzieł jego. Jako poeta, nie ma on prawa do wysokich zaszczytów; ale i komedye jego zasługują na uwagę.

W szczególności zaś *Mandragola* przewyższa najlepsze sztuki Goldoniego, a ustępuje chyba najprzedniejszemu Molierowi. Widać z niej, że jeżeli autor poświęcił się dramaturgii, doszedłby zapewne

najwyższego szczebla i wywarłby stały a zbawienny wpływ na smak narodu. Wnosimy to nie tyle ze stopnia, ile raczej z rodzaju doskonałości. Są bowiem utwory, znamionujące daleko większe zdolności, czytające się bez porównania przyjemniej, ale o nich nieraz zupełnie inaczej sądzimy. Książki nie nie warte najmniej są szkodliwymi, a najpewniejszą oznaką stanowczego upadku w każdej sztuce jest częste pojawianie się, nie niedostatków, ale piękności nie w miejscu. Słowem, tragedia ginie wymową, a komedia — dowcipem.

Istotnem zadaniem dramatu jest wystawienie charakterów. Rozumiemy, że zadanie takie nie jest żadną samowolną normą, wynikającą ze zbiegu pewnych okoliczności miejscowych, jak owe prawidła, przepisyujące liczbę aktów dla sztuki, a zgłosek dla wiersza. Temu zasadniczemu prawu podlegają wszystkie inne. Sytuacye, najdobitniej rozwijające charakter, stanowią najlepszą ośnowę, a szczerza mowa namiętności daje styl najlepszy.

Ta zasada, jeżeli jest dobrze zrozumiana, nie przeszkadza pocie w wyszukiwaniu najwdzięczniejszego układu sztuki. Niéma stylu, którymby dana osobistość w danych okolicznościach czasem nie przemawiała. Niéma więc stylu, któregoby dramat nie przypuszczał, któregoby w pewnych razach nie wymagał. Słabsi poeci chybiają w nieodróżnianiu warunków miejsca, czasu i osób. Fantastyczny rapsod Merkucya, wypracowania deklamacya Antoniusza, tak, jak je Szekspir umieścił, naturalnemi są i przyjemni. Ale Dryden kazałby Merkucyowi wyzywać Tybalta w tak fantastycznie przesadnych wyrażeniach, jakiemi opisuje Wóz Maba. Corneille zaś wystawiłby Antoniusza gromiącego i głoszącego Kleopatę mierzonemi frazesami mowy pogrzebowej.

Nikt tak wielkiej krzywdy nie zadał komedii angielskiej, jak Congreve i Sheridan. Obaj oni obdarzeni byli świetnym dowcipem i doskonałym smakiem; ale, na nieszczęście, wszystkie charaktery tworzyli na obraz i podobieństwo swoje. Utwory ich tak się mają do prawdziwego dramatu, jak transparent do obrazu. Niéma w nich delikatnych odcieni i rysów, niespostrzeżenie zlewających się z sobą: wszystko jaśniej jednostajnym blaskiem. Kontury i barwy toną w ogólnej jaskrawości, która wszystko oświeca. Mnóstwo tam kwiatów i owoców dowcipu; ale to mnóstwo robi wrażenie gęstwiny, nie ogrodu, — gęstwiny duszącej, odurzającej, niepożytecznej własną swoją obfitością, ekliwej zbytciem woni. Każdy wierzyciel, każdy prostak, każdy fagas prawi tam dowcipy. Głupcy nawet i niedoładzy jak Tattle, Witwoud, Puff i Acres zaćmiewają hotel Rambouillet. Aby okazać błędność zasad tej szkoły, dosyć jest użyć sposobu, który zdjął czary z Florimela, postawić prawdziwą Talię obok fałszywej i umieścić najbardziej chwalone charaktery, stworzone przez wymienionych pisarzy obok Filipa z *Króla Jana* i Mamki z *Romea i Julii*.

Pewno, że nie z braku dowcipu Szekspir tak odmienną poszedł drogą. Obok Benedykta i Beatryczy, Mirabel i Millamant stoją w cieniu. Wszystkie koncepta pociesznych panów Absolute i Surface mogłyby być usunięte z samej roli Falstaffa bez szczególnej szkody⁽¹⁾. Łatwo by przyszło niewyzerpanemu umysłowi temu włożyć w usta Bardolfa i Shallowa tyleż dowcipu, ile go ma książę Hall, a także kazać Dogberremu i Vergesowi odcinać się świetnemi epigramatami. Ale wiedział on, iż taka nieuzasadniona rozrzutność, że użyjemy trafnego jego wyrażenia, „chybiała celu komedii, której zadaniem, dawniej i dzisiaj, było i jest, trzymanie niejako zwierciadła przed obliczem natury.“

Powyższe zboczenie ułatwi czytelnikom naszym zrozumienie tego, co chcemy wyrazić mówiąc, że w *Mandragoli* Macchiavelli złożył dowody doskonałego pojmowania sztuki dramatycznej i posiadał zdolności, mogące mu zapewnić odznaczenie się w niej. Poprawnością i śmiałością malowania charakterów, autor obudza zajęcie, choć jego sztuce braknie zręcznej i ciekawej intrygi, i wywołuje śmiech bez najmniejszego silenia się na dowcip. Kochanek, nie bardzo zresztą delikatny i szlachetny, oraz darmozjad, jego doradca, przedstawieni są nader żywo. Obłudny spowiednik wybornym jest portretem. Posłużył on, jeśli się nie mylimy, za wzór ojca Dominika, najlepszej postaci komicznej Drydena. Lecz koroną sztuki jest stary Nicjasz. Nie nie możemy przypomnieć, coby doń było podobnem. Niedorzeczności, które Molier wyśmiewa, pochodzą z wymuszenia raczej niż z głupoty. Poluje on głównie na fireyków i pedantów, ale nie na czystych głupców. Szekspir posiada wprawdzie sporą kolekcję gapiów; ale, jeżeli dobrze sobie przypominamy, nie zawiera ona tego właśnie gatunku, o którym mówimy. Shallow jest głupcem. Ale wrodzony instynkt zastępuje mu do pewnego stopnia rozsądek. Rozmowa jego tak się ma do rozmowy Sir Johna, jak woda sodowa do wina szampańskiego: kipi, choć nie ma smaku. Slender i Andrzej Aguecheek są głupcami; dręczy ich niemiła świadomość własnej głupoty, czyniąc ostatniego potulnym i pokornym, a pierwszego — niezgrabnym, upartym i zmieszonym. Cloten jest głupcem zarozumiałym, Osric głupcem wymuskany, Ajax głupcem dzikim; ale Nicjasz, jak powiada Tersytes o Patrokle, jest po prostu głupcem. W duszy jego nie gości żadne silniejsze uczucie; przyjmuje wszystkie wrażenia, ale

(1) „Mirabel“ i Millamant“ kochanek i kochanka z komedii Wilhelma Congreve'a p. t. *The way of the world*. „Sir Antony Absolute“ i syn jego, „Kapitan Absolute“ występują w komedii Sheridana *The rivals*, a bracia Józef i Karol Surface'owie, w komedii tegoż autora *The school for scandal*. (Przypisek p. Jana Karłowicza).

nie zatrzymuje żadnego; wyraz jej zmienia się, ale nie pod wpływem namietności, lecz tylko skutkiem przechodnich i wątplych ich pozorów; fałszywa radość, fałszywy strach, fałszywa miłość, fałszywa duma, przebiegają jedna po drugiej, naksztalt cieni, po jej powierzchni, i nikną równie szybko, jak się ukazują. Jest on tyle właśnie idyotą, aby stanowić przedmiot, nie politowania lub zgrozy, ale pośmiewiska. Ma pewne podobieństwo do Calandrina, którego przygody, opowiedziane przez Boccaccia, przeszło czterysta lat bawiły całą Europę. Jeszcze więcej może podobnym jest do Szymona da Villa, któremu Bruno i Buffalmacco obiecali miłość hrabiny Civillari. Nieyas, również jak Szymon, należy do stanu uczonego, a godność, z jaką nosi tę doktorską, czyni niedorzeczność jego daleko zabawniejszą. Stare toskańskie narzecze najodpowiedniejszym jest dla tej postaci. Szczególna prostota jego najgłębszym rozumowaniom i najświetniejszym dowcipom nadaje wdzięk dziecinny, prawie zawsze czarujący, choć czasami nieco dziwaczny dla czytelnika cudzoziemca. Bohaterowie i politycy zdają się szeplenić, gdy nim przemawiają; ale Nieyasowi doskonale on przypada i wszystkie jego głupstwa czyni jeszcze głępszymi.

Dodajmy, że wiersze, które przeplatają *Mandragolę*, wydają się nam najbardziej ożywionymi i poprawnemi ze wszystkich Macchiavellego. On sam, zdaje się, że był tegoż zdania, bo niektóre z tych wierszy pomieszczał gdzieindziej. Współcześni nie byli obojętnymi na zalety tej znakomitej komedii: grano ją we Florencji z wielkiem powodzeniem; a Leon X wysoko ją cenił i kazał wystawić w Rzymie (1).

Clizya jest naśladowaniem *Casiny* Plauta, która swoją drogą jest naśladowaniem zatraconej komedii Dyfila: Κληρονομία. Plautus, niewątpliwie, był jednym z najlepszych pisarzy łacińskich; ale *Casina* wcale nie należy do lepszych jego utworów, ani też nie jest łatwą do naśladowania. Treść jej tak jest obcą nowożytnym kierunkom życia, jak sposób prowadzenia rzeczy — nowożytnym pojęciom o układzie komedii. Przez całą sztukę kochanek siedzi na wsi, a bohaterka w swoim pokoju, pozostawiając rozstrzygnięcie swych losów głupiemu ojcu, przebiegłej matce, i dwójgu niegodziwym sługom. Jednakże Macchiavelli wywiązał się z zadania rozważnie i pięknie. Przeniósł intrygę do innego stanu społeczeństwa i nader zręcznie powiązał ją ze współczesnemi mu dziejami. Opowiadanie o figlu spletanym staremu bałamutnemu kochankowi pełne jest wybornego humoru, znacznie też

(1) Rzecz oczywista, że Paweł Jovius zna *Mandragolę* pod nazwą „Nieyasza.“ Nie wspominalibyśmy tak widocznej rzeczy, gdyby ta tak naturalna zmiana nazwiska w gruby błąd nie wprowadziła przenikliwego i uczonego Bayle'a. (P. Autora).

przewyższa odpowiedni ustęp komedii łacińskiej i zaledwie ustępuje opowiadaniu Falstaffa o jego nurku.

Dwie jeszcze komedye bez tytułów, jedna prozą a druga wierszami napisane, figurują w dziełach Macchiavellego. Pierwsza jest bardzo krótka, dosyć ożywiona, ale niewielkiej wartości. Co do drugiej, wątpimy, żeby była autentyczną: ani zaletami swemi, ani wadami nie przypomina ona znakomitego autora. Wydrukowano ją po raz pierwszy r. 1796 z rękopisu odkrytego w sławnym księgozbiorsze Strozziach. Autentyczności jej, jak nas zapewniano, ma dowodzić jedynie podobieństwo pisma. Podejrzenie nasze tem się jeszcze wzmacnia, iż tenże sam rękopis zawierał opis powietrza w r. 1527, który oczywiście dodano także do dzieł Macchiavellego. Najsilniejsze zewnętrzne dowody wszelakoż nie zdołałyby przekonać nas, ażeby ostatnie to pismo miało być jego utworem. Nie równie obrzydliwego co do treści i formy nigdy nie napisano. Opowiadania, rozmyślenia, żarty i narzekania najnędniejszego są gatunku w swoim rodzaju, oklepiane i nienaturalne, prawdziwe łachmany z takich literackich zaułków jak Rag-Fair i Monmouth-Street. Mierny student potrafiłby napisać taką ramotę i po napisaniu mieć ją za coś daleko piękniejszego od nieporównanego wstępu do *Dekameronu*; ale byłoby rzeczą niepojętą, iżby bystry polityk, którego pierwsze dzieła odznaczają się prawdziwie mężką myślą i mową, mając pod sześćdziesiąty rok życia, miał się zniżyć do takiego dzieciństwa.

Powiatka *Belfegor* ładnie jest osnuta i ładnie opowiedziana; tylko zbytek satyryczności szkodzi nieco wrażeniu. Macchiavelli nie był szczęśliwym w małżeństwie; a chęć pomszczenia siebie i towarzyszków niedoli uniosła go poza granice dozwolone wymysłów. Złaje się, że Jonson, połączywszy niektóre rysy tej powieści z wątkami z Boccaccia, wysnuł komedję *Dyabel jest Osłem*, która chociaż nie tak starannie wykonana jak inne twory, najsilniej, bodaj, świadczy o jego genialności.

Korrespondencya polityczna Macchiavellego, ogłoszona najpierw w r. 1767, jest niewątpliwie autentyczną i wysoce zajmującą. Nieszczęśliwe okoliczności, w jakich się kraj znajdował przez większą część jego życia publicznego, niezwykle były bodźcem dla talentów dyplomatycznych. Od chwili, gdy Karol VIII Alpy przestąpił, zmienił się do gruntu charakter polityki włoskiej. Rządy półwyspu przestały być niezależnemi jednostkami. Wyparte z dawnych swych orbit ciążeniem ku większym ciałom, zbliżającym się teraz do nich, stały się po prostu satellitami Francji i Hiszpanii. Wszystkie swe spory wewnętrzne i zewnętrzne poczęły załatwiać za pomocą obcego pośrednictwa. Zajęcia niezgodnych stronniów wytaczały się, nie jak dawniej, w senatach i na rynkach, ale w przedpokojach Ludwika i Ferdynanda. W takim położeniu pomyślność krajów włoskich

zawisła daleko więcej od zręczności ich agentów zagranicznych niżeli od postępowania tych, którym poruczone były rządy domowe. Poseł miał do załatwiania sprawy daleko drażliwsze od przysyłania orderów, prezentowania turystów lub oświadczenia współkolegom wysokiego swojego szacunku i poważania. Był on adwokatem, którego pieczy powierzano najdroższe interesa klientów; był on szpiegiem, przyobleczonego nietykalnością. Zamiast obowiązku podtrzymywania sztywnem postępowaniem i dwuznacznemi słowy godności tych, których był przedstawicielem, musiał zanurzać się we wszystkie intryki dworu, na którym przebywał, musiał wyszukiwać każdej słabostki panującego, i faworyty, która nim rządziła, i lokaja, który rządził faworytą — i słabostce tej schlebiać. Musiał prawie komplementa metresie, pozyskiwać spowiednika, wychwalać lub błagać, śmiać się lub płakać, zastosowywać się do wszelkich kaprysów, usypiać wszelkie podejrzenia, śledzić każdą wskazówkę — być wszystkim, wszystkiego dostrzegać, wszystko znosić. Słowem, czasy były takie, iż należało wznieść się do wysokości, na jakiej intryga polityczna stanęła we Włoszech.

Używano nieraz Macchiavellego do podobnie trudnych poselstw. Jeździł traktować z królem rzymskim i z księciem Valentinois. Dwukroć był ambasadorem na dworze rzymskim, a trzykroć na francuskim. Z tych misyj i niektórych innych, mniejszej wagi, wywiązał się z wielką zręcznością. Doniesienia jego należą do najbardziej zajmujących i nauczających. Opowiadanie odznacza się jasnością i przyjemnością; uwagi o ludziach i rzeczach — trafnością i głębokością. Rozmowy umie powtarzać żywo i charakterystycznie. Czujemy się przeniesionymi do grona ludzi, co wciągnęli owych pamiętnych lat dwudziestu, wazyli w swych rękach losy Europy. Stają nam przed oczami dowcipy ich, wyskoki, drażliwości i uciechy. Przysłuchujemy się ich pogawędkom, przypatrujemy się zwykłym ich ruchom. Z największem zajęciem, z powodu okoliczności uchodzących uwagi dziejopisów, dowiadujemy się jak bezsilną była gwałtowność i płytką chytrą Ludwika XII; jak lichą była pozorna pracowitość Maksymiliana, dręczonego bezsilną świerżbiączką sławy, porywczego i bojaźliwego, upartego a zarazem płochego, ciągle śpieszącego, a zawsze się spóźniającego; poznajemy dziką i dumną energię, która okraszała godnością wybrki Juliusza, oraz słodkie i łagodne ułożenie Cezara Borgii, pokrywające jego nienasyconą ambicję i nieubłaganą nienawiść.

Wspomnieliśmy Cezara Borgię. Niepodobna nie zatrzymać się na chwilę na tej postaci, w której tak wybitnie uwydatniła się włoska moralność polityczna, zabarwiona w części bardziej ponuremi rysami charakteru hiszpańskiego. Macchiavelli dwukrotnie z nim się zetknął: raz, gdy potężna niegodziwość Cezara dokonała najświetniejszego tryumfu, łowiąc na jedno sidło i druzgocząc za jednym zamachem wszystkich najstraszniejszych współzawodników; powtórnie, kiedy wy-

ciężony chorobą, przygnębiony niedolą, od której żadna zabiegliwość ludzka nie byłaby zdolną go uchronić, znajdował się w niewoli u śmiertelnego wroga swojego rodu. Ten stosunek największego w teorii z największym w praktyce politykiem owego czasu szczegółowo jest opisany w listach Macchiavellego i stanowi najciekawszy może w nich ustęp. Z niektórych miejsc *Księcia*, a może także z pewnych niejasnych podań, pewni autorowie wysnuli istnienie daleko ściślejszych, niż były w istocie, stosunków pomiędzy tymi dwoma głośnymi mężami. Oskarżano go o zachęcanie do zbrodni tego przebiegłego i niemiłosiernego tyrana. Lecz ze źródeł urzędowych oczywiście jest, że stosunek ich, acz na oko przyjacielski, w gruncie wcale takim nie był. Jednakże nie można wątpić, że osobistość Cezara silnie oddziaływała na wyobraźnię Macchiavellego oraz na jego pomysły o rządzie, okazując mu człowieka, co przy tak dziwnym charakterze i wśród tak dziwnych kolei losu, pomimo takich przeszkód, tylu czynów dokonał; co, nasyciwszy zmysły niezmierzonymi i najrozmaitszemi uciechami, znalazł silniejszą i trwalszą podniętę w nienasyconem pragnieniu władzy i zemsty; co, zrzuciwszy z siebie gnuśność i zbytki purpury rzymskiej, stał się pierwszym władcą i wodzem swojego wieku; co, wychowany w duchu wcale nie wojowniczym, stworzył dzielne wojsko z mętów niebitnego ludu; co, dostawszy się do panowania zniszczeniem wrogów, pozyskał popularność skruszeniem swych narzędzi; co, dla najzbawienniejszych celów począł używać władzy, zdobytej najhaniebniejszymi sposobami; co w obrębie żelaznego swojego despotyzmu nie znosił żadnego łupieżcy i ciemniźcy, oprócz siebie samego; co nareszcie upadł wśród żalu i przekleństw ludu, wielbiącego jego geniusz i mogącego przezeń być uratowanym. Niektóre występkę Borgii, które nas zgrozą przejmują, nie czyniły takiego wrażenia na Włochu piętnastego wieku, dla przyczyn, któreśmy roztrząsali. Patriotyzm mógł także usposabiać Macchiavellego do pewnej pobłażliwości i pewnego żalu względem jedynego naówczas człowieka, któryby zdołał obronić niezależność Włoch od sprzymierzonych w Cambray napastników.

Na tym punkcie Macchiavelli najbardziej był drażliwym. W istocie, wygnanie obcego najazdu i przywrócenie złotego wieku, który panował przed wtargnięciem Karola VIII, były to marzenia, które naówczas rozpląmieniały wszystkie wyższe umysły włoskie. Świetne to widmo oczarowało wysoki, acz źle skierowany, duch Juliusza. Zaprzętało również myśli płochego Leona, obok rękopisów i sosów, obok malarzy i sokołów. Dało ono popęd do szlachetnej zdrady Moronego. Natchnęło chwilowym zapalem słabe ciało i umysł ostatniego Sforzy. Obudziło, choć na krótko, uczciwą ambicję w fałszywym sercu Pescary. Okrucieństwo i zuchwalstwo nie należały do przywar narodowych Włochów; tylko, że ich kodeks moralny zbyt pobłażliwie patrzył na roz-

myślne zbrodnie polityków, popełniane w imię wielkich celów na pewnych znakomitszych ofiarach. Ale chociaż się uciekano do barbarzyństwa, służyło ono za środek raczej, niż za pobudkę. Owszem, ze wstrętem patrzono na okrucieństwa cudzoziemców, co przelew krwi zdawali się lubić dla niej samej, co, nie zadawalniając się podbojami, śpieszyli niszczyć, znajdując szatańską rozkosz w burzeniu wspaniałych grodów, w mordowaniu nieprzyjaciół błagających o życie, w duszeniu tysięcy bezbronnych mieszkańców w pieczarach, gdzie szukali schronienia. Takie-to były okropności, budzące codzienny wstręt i zgrozę w ludzie, który dotychczas przywykł widzieć największe nieszczęście żołnierza pośród walnej bitwy w stracie konia i wydatku na okup. Bydłęca niewstrzeźliwość Szwajcarów, wileza chciwość Hiszpanów, wyuzdana swawola Francuzów, pogwałcająca gościnność, przystojność, samą nawet miłość; sprośna nieludzkość, wspólna najeźdźnikom: wogóle wszystko to uczyniło ich celem śmiertelnej nienawiści dla mieszkańców półwyspu. Zasoby, nagromadzone wiekami pomyślności i pokoju, ginęły nagle; a wyższość umysłowa pogwałconego ludu jeszcze dotkliwiej dawała mu uczuwać poniżenie polityczne. Literatura i kunszt wprawdzie pokrywały rumieńcem chorobliwego wdzięku i połysku, wyniszczenie nieuleczonego upadku. Żelazo nie dostało się jeszcze do serca. Nie nadszedł jeszcze czas, gdy trzeba było kneblować wymowę, zawiązywać oczy rozumowi, zawieszać harfę poety na wierzbach Arno, a prawicy malarza zapominać o kunszcie. Ale już naówczas wprawniejsze oko mogło dostrzedz, że natchnienie i nauka nie o wiele przeżyją stan rzeczy, który je wytworzył, i że wielcy mężowie, których talenta uświetniały te smutne czasy, wyrosli pod wpływem szczęśliwszej doby i nie pozostawiają następców po sobie. Okresy jaśniejące największym blaskiem w dziejach piśmiennictwa nie zawsze zasługują na największą wdzięczność ze strony umysłu ludzkiego. Łatwo się o tem przekonać, porównyując następujące po nich pokolenie z poprzedzającym. Często w złych czasach dojrzewają owoce, wyrosłe z zasiewu lepszej doby. Tak było poniekąd z wiekiem Augusta. To samo da się powiedzieć i o czasach Rafaela i Aryosta, Alda i Vidy.

Macchiavelli głęboko ubolewał nad niedolą ojczyzny, jasno pojmując jej przyczynę, oraz środki zaradcze. Sposób prowadzenia wojny pozbawił Włochów męstwa i karności, wystawując mienie ich na łup cudzoziemskiego najeźdźnika. Sekretarz florentyński przeto ułożył projekt, równie zaszczytny dla serca jego i głowy, doradzający wyprawienie z użycia wojsk najemnych i urządzenie narodowej siły zbrojnej.

Usiłowania czynione przezeń ku osiągnięciu tego wielkiego celu powinnyby same jedne już oczyścić imię jego od potwarzy. Pomimo całą niewojowniczość położenia swego i nałogów, z największą pilno-

ścią badał on teorię wojny i zgłębił ją szczegółowo. Rząd florentyński podzielał jego widoki. Ustanowiono radę wojenną. Nakazano pobór do wojska. Niezmordowany Macchiavelli przebiegał kraj, czuwając nad wykonywaniem swoich pomysłów. Chwila poniekąd była pomyślna dla wysiłen. W zasadach taktyki wojennej nastąpił znaczny przewrót. Przestano uważać jazdę za główną siłę armii. Godziny które obywatel mógł oszczędzić od zwykłych zatrudnień, jakkolwiek wcale nie wystarczały na oswojenie go z powołaniem wojskowego, mogły jednakże uczynić zeń użytecznego żołnierza pieszego. Obawa obcego jarzma, rabunku, mordów i pożogi mogła przezwyteńczyć ów wstręt do wojskowości, jakiemu zwykle pracowitość i próżniactwo wielkich miast dają początek. Jakiś czas zamysły te dobrze wróżyły. Nowe wojsko trzymało się dobrze na polu bitwy. Macchiavelli z ojcowskimi zachwyceniami spoglądał na powodzenie swoich projektów i począł mieć nadzieję, że oręż włoski może raz jeszcze odstraszyć barbarzyńców z nad Tagu i Rennu. Ale burza nieszczęść nadeszła wprzód, nim przygotowano zapórę do jej powstrzymania. Czas jakiś wprawdzie Florencya cieszyła się wyjątkowym szczęściem. Głód, zaraza i miecz spustoszyły urodzajne równiny i okazałe miasta nad Padem. Wszystkie przekleństwa, ciśnięte przed wieki na Tyr, zdawały się spadać na Wenecję. Kupiectwo jej usunęło się daleko, oplakując swój gród wspaniały. Zdawał się niedalekim czas, gdy trawa morska porośnie na milczącym Rialto, a rybak zacznie płukać swe sieci w opustoszałym arsenale. Neapol cztery razy został wzięty i odebrany przez ciemieżców, równie obojętnych na jego pomyślność, i równie łakomych jego łupów. Florencya tymczasem znosić musiała tylko upokorzenie i zdzierstwo, poddając się rozkazom obcych władz, wykupując i odkupując za niezmierną cenę to, co było jej własnością, dziękując za to, że miała słusność. Ale wkrótce została pozbawiona i tego niezaszczytnego i służalczego spokoju. Zburzono wojskowe i polityczne urządzenia. Medyceusze, pod skrzydłem obcego najazdu, wrócili z długoletniego wygnania. Zarzuceno politykę Macchiavellego, a obywatelskie zasługi wynagrodzono mu ubóstwem, więzieniem i torturą.

Po swym upadku trzymał się on swojego projektu z nieostygłą gorliwością. W zamiarze obronienia go od pewnych powszechnie powtarzanych zarzutów i zbitcia niektórych zakorzenionych błędów co do nauki wojskowości, napisał siedm ksiąg o Sztuce Wojennej. Wyborne to dzieło ułożył w formie rozmów. Swoje własne zdania włożył w usta Fabrycyusza Colonna, możnego arystokraty z Państwa Kościelnego, oraz wojownika odznaczonego w służbie króla hiszpańskiego. Ten Colonna odwiedza Florencję po drodze z Lombardyi do dóbr swoich. Zaproszony jest do towarzystwa kilku przyjaciół w domu Koźmy Ruccellaiego, miłego i wykształconego młodzieńca, którego śmierć przedwczesną Macchiavelli czule oplakuje. Po spożyciu wy-

kwintnej uczty, usuwają się oni od upału w najcienistszy zakątek ogrodu. Fabrycyusz zadziwiony jest widokiem pewnych niepospolitych roślin. Kozina powiada, iż choć obecnie są rzadkimi, wspominają jednak o nich często pisarze klasycyści i że dziad jego, podobnie wielu innym Włochom, zabawiał się zaprowadzaniem starożytnego ogrodnictwa. Na to Fabrycyusz żal swój wyraża, iż ci, co w ostatnich czasach naśladowali zwyczaje dawnych Rzymian, wybierają najczęściej błahę rzecz do naśladowania. Ztąd zawiązuje się rozmowa o upadku sztuki wojennej i o najlepszych sposobach jej podniesienia. Colonna broni zręcznie urządzenia milicyi florenckiej, nasuwając pewne ulepszenia w szczegółach.

Szwajcarów i Hiszpanów w owym czasie uważano za najlepszych żołnierzy w Europie. Hufiec szwajcarski składał się z kopijników i wielkie miał podobieństwo do greckiej falangi. Hiszpanie, nakształt rzymskich żołnierzy, uzbrojeni byli w miecze i tarcze. Zwycięstwa Flaminina i Emiliusza nad królami macedońskimi zdają się dowodzić wyższości uzbrojenia legionów. Świeżo naówczas stwierdziło się to na polu bitwy pod Rawenną; w straszny dzień ów szaleństwo i złośliwość ludzkie tyle wyrządziły spustoszenia ile głód lub morowa zaraza. W pamiętnym owym boju piechota Aragońska, złożona z weteranów Gonsalva, opuszczona przez wszystkich związkowych, wyrabiała sobie przejście przez las dzid cesarskich i dokonała porządnego odwrotu, w oczach weteranów de Foix'a i rozgłośniej artyleryi d'Estego. Fabrycyusz, a raczej Macchiavelli, zachęca do połączenia dwu tych systematów, radząc uzbroić przednie szeregi pikami, dla odparcia jazdy, a tylną straż mieczami, jako bronią przydatną do wszelkiego innego użytku. W całym dziele przebiega się najwyższe uwielbienie autora dla sztuki wojennej starożytnych Rzymian, oraz zupełna pogarda dla zdań przyjętych przez dowódców włoskich poprzedniego pokolenia. Przekłada on piechotę nad jazdę, oraz warowne obozy nad warowne miasta. Wolałby powolne i wyczekujące obroty rodaków zastąpić szybkimi ruchami i stanowczemi starciami. Bardzo mało wagi przyznaje on wynalezieniu prochu; mniema nawet, iż nie wprowadzi ono żadnej zmiany w uzbrojeniu i rozkładzie wojska. Dodać jednak należy, iż ze zgodnych świadectw dziejopisów wynikać się zdaje, że źle urządzona i źle obsługiwana artylerja ówczesna, choć pożyteczna przy oblężeniu, mało korzyści przynosiła na polu bitwy.

Nie odważamy się wyrazić naszego zdania o taktyce Macchiavellego: pewni jesteśmy, że i to pismo dobre jest i zajmujące. Jako zaś komentarz do dziejów ówczesnych, wartość ma nieocenioną: wdzięk, oryginalność i przejrzystość stylu, wymowność i żywość niektórych ustępów—dostarczają przyjemności i takim czytelnikom, których sam przedmiot nie pociąga.

Książę i Rozprawy o Liwiuszu napisane zostały po upadku rządu republikańskiego. Pierwsze dzieło poświęcone było Wawrzyńcowi Medyceuszowi młodszemu. Ta okoliczność zdaje się, że zniechęciła współczesnych ku autorowi, daleko bardziej od samej treści, która później pismo to tak nienawistnem uczyniła. Dedykację tę uważano za dowód odstępstwa politycznego. W istocie jednakże sądziłby wypadało, że Macchiavelli, straciwszy nadzieję wolności dla Florencyi, gotów był popierać każdy rząd, mogący ocalić jej niepodległość. Przepaść dzieląca gminowładztwo i samowładzę, Soderiniego i Wawrzyńca, zdawała się niknąć wobec różnicy pomiędzy przeszłym a teraźniejszym stanem Włoch, pomiędzy bezpieczeństwem, zamożnością i spokojem, jakich one zażywały pod rządami rodaków, a nędzą, w jakiej się pogrążyły od owego nieszczęsnego roku, w którym pierwszy obcy ciemiecza przekroczył Alpy. Wniosłe i rozrzucające napomnienie, zamykające *Księcia*, okazuje jak głęboko czuł autor tę przemianę.

Książę kreśli czyny człowieka ambitnego, a *Rozprawy* dzieje takiegoż ludu. Te same zasady, któremi w pierwszym dziele wyjaśnione jest wyniesienie jednostki, w drugim zastosowane są do dłuższej trwającego i bardziej powikłanego organizmu—do społeczeństwa. Dziśjszemu politykowi forma rozpraw może się wydawać dziecinną. Oczywiście, Liwiusz nie należy do historyków, na którychby wolno było polegać ze wszelką ufnością, nawet w takich razach, gdy miewał wszelką możliwość dowiedzenia się prawdy. A nadto, pierwsza Dekada, którą się Macchiavelli ograniczył, nie na więcej podobno wiary zasługuje od naszej Kroniki Królów Brytańskich, panujących przed wtargnięciem Rzymian. Ale komentator zapożyczył z Liwiusza kilka tekstów jedynie, któreby z równą łatwością mógł wyjąć z *Wulgaty* albo *Dekameronu*; cały zaś tok myśli jest jego własnym.

Wyraziliśmy powyżej mniemanie nasze o rodzaju niemoralności, który *Księcia* uczynił niepopularnym, a daje się tak samo prawie dostrzec i w *Rozprawach*. Staraliśmy się okazać, że zasady takie właściwe były raczej wiekowi niż człowiekowi, oraz, że świadczyły o częstkowem, a wcale nie o ogólnem skażeniu. Nie możemy jednak zaprzeczyć, że i to wielką jest plamą i że w znacznym stopniu zmniejsza ona rozkosz, jaką zkądinad to dzieło musi przynosić każdemu głębszemu umysłowi.

Trudno bowiem wyobrazić sobie czerstwiejszy i potężniejszy ustrój rozumowy nad ten, który to dzieło wydał. Widać że, iż przyimoty praktycznego i teoretycznego statysty skojarzyły się w umyśle piszącego z rzadką i znakomitą jednolitością. Wiadomości jego o szczegółach spraw nie przyszły mu kosztem poglądów ogólnych, nie zmniejszyły widnokregu myśli: owszem, posłużyły mu do poprawności w pomysłach i do zaprawienia ich ową cechą żywotności i wykona-

ności, która je tak dalece wyróżnia z pośród niewyraźnych, po większej części, teoryj filozofów politycznych.

Ktokolwiek poznał świat, ten wie, że niema nic bardziej nieużytecznego od maksym. Najmoralniejsze i najprawdziwsze w najlepszym razie służyć mogą chyba tylko do wzorów kaligraficznych w szkółkach. Dowcipne i oryginalne, jak na przykład La Rochefoucaulda, przydać się mogą na dewizę do wypracowania. Ale, zaprawdę, ani jeden z tych wszystkich apotezmatów wygłoszonych od czasu Siedmiu Mędrców greckich aż do *Biednego Ryszarda*, nie zapobiegł dokonaniu ani jednego niedorzecznego postępu. Dlatego na szczególną i wysoką pochwałę zasługują sentenecje Macchiavellego, bo często istotną korzyść przynieść mogą w pokierowaniu naszej woli, niekoniecznie dlatego, żeby były słuszniejszymi lub głębszemi od zdań innych pisarzy, ale dlatego, iż mogą być snadniej zastosowane do wydarzeń życia praktycznego.

Są błędy w dziełach tego autora; lecz w jego położeniu były one prawie nie do uniknięcia. Pochodzą one głównie z jednej przyczyny, która zdaje się nam przenikać cały jego pogląd, tej mianowicie, że w zasadach swych politycznych więcej się zapatrywał na środki, niż na cele. Nie dosyć jasno pojmował tę wielką zasadę, że społeczeństwa i prawa po to tylko istnieją, ażeby powiększać pomyślność jednostek. U niego głównym celem zdaje się być dobro całości organizmu, bez względu na dobro członków, a często nawet w sprzeczności z tem ostatnim. Ze wszystkich złudzeń politycznych, to może najszerze i najszkodliwsze wywierało działanie. Stan społeczeństwa w małych rzeczachpospolitych greckich, ścisły związek, wzajemna zależność obywateli, oraz surowość praw wojny: wszystko to przykładowało się do utwierdzenia ludzi w tem mniemaniu, które zresztą w podobnych okolicznościach trudno by nazwać mylnem. Dobro każdej jednostki nierozzerwanemi się tam węzłami łączyło z interesami kraju. Najazd niszczył zasiewy pojedynczego obywatela, niweczył mu winnice, wypędzał go z domu i przymuszał do znoszenia wszelkich ciężarów życia pod bronią; zawarcie zaś pokoju przywracało mu bezpieczeństwo i wygodę. Zwycięstwo podwajało liczbę jego niewolników, a przegrana jego samego takowym uczynić mogła. Perykles istotną prawdę wyrażał, mówiąc w czasie wojny peloponezkiej do Ateńczyków, że gdy ojeżyzna ich zwycięży, to straty prywatne prędko się wynagrodzą, ale że kiedy dadzą się pobić, to każdy z nich zapewne będzie zruinowany. Przemawiał on do ludzi, którym daniny miast zdobytych dostarczały pokarmu i ubrania, zapewniały zbytkowne kąpiele i widowiska, którym powodzenie kraju zapewniało wyniesienie, a przed którymi drżeli mieszkańcy mniej szczęśliwych kraików; do ludzi, co na przypadek zmiany losu ogólnego, co najmniej, pozbawieniby byli wszelkich przyjemności życia i wszelkich przywilejów. Śmierć na

dymiących się zgłiszczach rodzinnego miasta, wędrowka w łańcuchach na rynek, gdzie sprzedawano niewolników, widok jednego dziecka, porwanego od rodziców do kopalni sycylijskich, a drugiego do pilnowania haremów persepolskich: takie to były najczęstsze i zwyczajne następstwa klęsk publicznych. Ztąd to u Greków patryotyzm stał się zasadą panującą, albo raczej niedającą się opanować namiętnością. Prawodawcy ich i filozofowie przeto nie wątpili, iż, starając się o wielkość i potęgę kraju, zapewniali koniecznie pomyślność ludu. Pisarze z czasów cesarstwa rzymskiego żyli pod despotami, których władza ogarniała sceny ludów, a których ogrody większe bywały od drobnych rzeczypospolitych, jak Fluntyska albo Platejska. A jednak przemawiali tak samo, głosząc obowiązek poświęcenia wszystkiego dla kraju, któremu nie nie zawdzięczali!

Przyczyny, wpływające na umysły Greków, działały przeważnie i na mniej energiczne i śmiałe charaktery Włochów. Byli oni, jak Grecy, obywatelami szczupłych kraików. Każdego z nich żywo obchodziła pomyślność społeczności, do której należał, każdy bowiem był uczestnikiem jej bogactwa i ubóstwa, jej chwały i sromu. Szczególnie widzieć się to dawało za czasów Macchiavellego. Wypadki publiczne przyniosły nędzę i pohańbienie jednostkom. Północi na jezdnicę wnieśli niedostatek do domów, hańbę do rodziny, ogień pod strzechę i rzeź powszechną. Rzecz oczywista, iż człowiek, żyjąc w takich czasach, przesadzał ważność tych środków, które naród czynią postrachem sąsiadów, lekceważąc te, co mu zapewniają wewnętrzną pomyślność.

W traktatach politycznych Macchiavellego nie nas tak nie uderza, jak czystość serca autora. Przebija się ona prawie tak samo wyraźnie tam, gdzie się on myli, jak i tam, gdzie ma słuszną. Nigdy nie wygłasza on błędnego zdania, dlatego, że jest nowem albo świetnem, że je może przystroić brzmiącym frazesem, albo przysłonić dowcipnym sofizmatem. Pomyłki jego odrazu się wyjaśniają odniesieniem się do okoliczności, które go otaczały. Oczywiście nie szukał on tych błędów: spotykał je na drodze i niełatwo mógłby je ominąć. Zboczeń takich koniecznie dopuszczają się pierwiastkowi myśliciele w każdej nauce.

Z tego względu zajmującym jest porównanie *Księcia* i *Rozpraw z Duchem Praw*. Monteskiusz największego używa może rozgłosu ze wszystkich pisarzy politycznych nowożytnej Europy. Zawdzięcza to zapewne po części własnej zasłudze, ale daleko więcej przypadkowi, jak wybrany kochanek w dzień ś. Walentego (!). Udało mu się

(!) Jest w Anglii zwyczaj, że w dniu 14 lutego, lub w przeddzień wieczorem, młode osoby wybierają sobie losem kochanki i kochanków; taki przeznaczony kochanek lub kochanka nazywa się *Valentine*. (*Przypisek p. Jana Karłowicza*).

zwrócić na siebie oczy narodu francuzkiego w chwili, gdy się ten obudził z długiego snu politycznego i religijnego i skutkiem tego stał się jego ulubieńcem. Anglik w owym czasie patrzył na Francuza mówiącego o rękojmiach konstytucyjnych i prawach zasadniczych, jak na dziwo, niemniej osobliwe od uczonego prosięcia albo muzykalnego dzieciaka. Napuszysz, choć płytki, godzący na efekt, obojętny na prawdę, cheiwy wzniesienia systematu, ale niedbały na zgromadzenie takich zasobów, z których jedynie ułożyć można zdrowy i trwały systemat, dowiecipny prezes budował teorie tak żwawo i lekko jak domki z kart, które równie się prędko wznoszą jak wymyślają, a potem równie się prędko zdmuchiwają i idą w niepamięć. Macchiavelli dlatego tylko błądzi, że doświadczenie jego, nabyte w nader niezwykłym stanie społeczeństwa, niezawsze dozwalało mu obliczyć skutki instytucyj, różnych od tych, których działaniu się przypatrywał. Monteskiusz zaś tem błądzi, że mając coś pięknego do powiedzenia, nie może wytrzymać, aby tego nie powiedział. Jeżeli zjawiska, które ma przed oczyma, nie układają mu się po myśli, to przewraca całą historię. A jeżeli nie wspartego niezawodnemi świadectwami nie może nagiąć, lub przykroć do prokrustowego łoża swojej hipotezy, wówczas łąta się jaką potworną bajką o Syamie, Bantamie, albo Japonii, opowiedzianą przez pisarzów, przy których Lucyan i Gulliver są prawdomównymi, a którzy kłamią podwójnie: jako podróżnicy i jako jezuiti (1).

Trafność myśli i trafność wyrażenia razem zwykle się spotykają. Zawilść i przesada stanowią dwie największe wady stylu. Niejasność wyrażen wynika pospolicie z zamętu w myślach, a ta sama chęć błyszczenia bądźco bądź, rodząca przesadę w sposobie pisania, łatwo prowadzi do sofistycznych rozumowań. Jasny i otwarty umysł Macchiavellego odbija się w świetnym mężkim i gładkim jego stylu. Przeciwnie, sposób pisania Monteskiusza na każdej stronie okazuje żywą i dowiecipną, ale powierzchowną inteligencję. Każdy zwrot, od tajemniczej zwięzłości wyroczeni, aż do świegotliwości paryzkiego eleganta, służy do zasłonięcia mylności jednych twierdzeń, lub pospolitości drugich. Niedorzeczności jaśnieją w formie epigramatów, a oklepane rzeczy występują w postaci ciemnych zagadek. Z trudnością najcięższy wzrok wytrzymuje tu blask, oświecający jedne ustępy i przenika cienie kryjące inne.

Dzieła polityczne Macchiavellego nabierają szczególnego uroku skutkiem owej ponurej powagi, która występuje, ilekroć dotyka on spraw, mających związek z nieszczęściami ojczyzny. Trudno wyobrazić położenie boleśniejsze nad te, gdy wielki człowiek skazany jest na

(1) Trudno nie zwrócić uwagi na surowość, jaką tu objawia Macaulay względem Monteskiusza, kosztem Francuza wynosząc Włocha.

przypatrywanie się powolnemu konaniu wycieńczonego kraju, gdy musi pielegnować go wśród przystępów odrętwienia i szaleństwa, poprzedzających śmierć, widzieć oznaki życia gasnące jeden po drugim, aż je zastąpi zimno, mrok i zgnilizna. Posepną i niewdzięczną tę powinność musiał wypełnić Macchiavelli. Używając silnego wyrażenia proroka, był on „nieprzytomny widokiem, który oczy jego widziały,“ patrząc na niezgody w radach, zniewieściałość w obozie, na wolność zatraconą, upadek handlu, na splamioną cześć narodu, na lud wykształcony i kwitnący, rzucony na pastwę dzikich i ciemnych łupieżców. Chociaż przekonania jego nie uszły skażenia niemoralnością polityczną, odznaczającą jego rodaków, wrodzone jednakże usposobienie zdawało się go pociągać raczej ku surowości i porywczoci, niżeli ku pokorze i wykrętom. Ilekroć sromota i upokorzenie Florencyi, oraz beczne zniewagi, które sam wycierpiał, przychodzą mu na myśl, znika przymuszona słodycz jego powołania i narodowości, ustępując miejsca szlachetnej goryczy wzgardy i gniewu. Przemawia on jak człowiek zdręczony nieszczęsnymi czasy i nikiemnością ludu, wśród którego los go postawił. Tęskni za potęgą i chwałą starożytnego Rzymu, za różgami Brutusa i mieczem Scypiona, za powagą krzesła kurulskiego i za krwawą świetnością uroczystości tryumfalnych. Wydaje się on przeniesionym w owe dni, gdy osiemkroćstotysięcy rzymskich wojowników porwało za oręż na wieść o wtargnięciu Gallów. Tehnie on duchem owych nieustraszonych i dumnych senatorów, co to zapominali o najdroższych węzłach przyrodzenia na głos obowiązku publicznego, co z pogardą spoglądali na słonie i złoto Pyrrusa i słuchali z niewzruszonym obliczem straszliwej nowiny z pod Kannów. Charakter jego, nakształt starożytnej świątyni, oszpeconej barbarzyńskimi dodatkami późniejszego czasu, nabiera zajęcia z samych tych okoliczności, które go poniżają. Pierwotne rozmiary tem więcej się ujawniają, im większą się dostrzega sprzeczność z lichymi i niestosownymi przyczynkami.

Wpływ uczuć, któreśmy opisali, nie w samych tylko pismach Macchiavellego się uwydatnia. Zapal jego, odwrócony od celu, który sobie obrał, zdaje się znajdować odpływ dla siebie w rozpaczliwej płochości. Pozwalał on sobie mściwej rozkoszy, znieważając opinię społeczeństwa, którem pogardzał. Nie dbał już na względy, którychby ludzie wymagać od niego mogli, jako od męża, tak wysoce odznaczającego się w świecie literackim i politycznym. Szyderska gorycz rozmów jego nie podobała się takim, którzy skłonniejsi byli do obwiniania niewstrzemięźliwości jego mowy, niż własnego upodlenia, i którzy niezdolni byli pojąć owej gwałtowności wzruszeń, ukrytej pod żartami nieszczęśliwych i pod wybrykami mędrców.

Pozostają nam jeszcze do rozpatrzenia pisma historyczne Macchiavellego. *Żywot Castruccio Castracaniego* nie długo nas przy so-

bie zatrzyma; pominęlibyśmy go nawet, gdyby nie zwrócił na siebie, więcej niż zasługuje, uwagi powszechnej. Pewno, że mało książek mogłoby tak być zajmującymi, jak wypracowane i sumienne opowiadanie, i to z pod takiego pióra, o znakomitym księciu Lukki, najwydatniejszym z owych władców włoskich, którzy jak Pizystrat i Gelon, doszli do panowania uczuwanego raczej, niż widomego, a opartego, ani na prawach, ani na dawności, lecz tylko na miłości powszechnej i wysokich własnych zaletach. Taki opis ujawniłby nam prawdziwe znaczenie tego rodzaju władzy, tak często w dziwny sposób tłómaczonej i zapoznawanej, którą Grecy nazywali „tyranią“, a która, zmieniona nieco przez feudalność, ukazała się znowu w rzeczachpospolitych Lombardyi i Toskanii. Ale krótki utwór Macchiavellego zgola nie jest historią i nie rości żadnej pretensyi do wiarygodności. Jest to po prostu fraszka, i-to niezbyt udatna, a zapewne niewiele bliższa prawdy od powieści o Belfegorze, choć daleko nudniejsza.

Ostatniem wielkiem dziełem tego znakomitego męża były dzieje jego rodzinnego miasta. Napisane zostały z rozkazu papieża, który, ako głowa rodu Medyceuszów, był zarazem władcą Florencyi. Jednakże charakter Koźmy, Piotra i Wawrzyńca są tu odmalowane ze swobodą i bezstronnością, równie zaszczytną dla piszącego jak i dla orędownika. Niedola i upokarzająca zależność, chleb goryczą zaprawny i ciernista droga, którą musiał przebywać: wszystko to nie złamało ducha Macchiavellego; a najbardziej demoralizujące stanowisko w demoralizującym zawodzie nie skaziło szlachetnego serca Klemensa.

Dzieje Florencyi nie zdają się być owocem długich trudów i poszukiwań. Niewątpliwie nie są też dokładnymi. Ale odznaczają się wytwornością, życiem i malowniczością, jak żadne inne dzieło włoskie. Jesteśmy przekonani, że czytelnik nabywa z nich wierniejszego i jaśniejszego wyobrażenia o charakterze i zwyczajach narodowych, niżeli z poprawniejszych źródeł. Rzecz można, iż utwór ten należy raczej do starożytnej, niż do nowożytnej literatury. Stylem przypomina prędej Herjodota i Tacyta, aniżeli Davile lub Clarendona. Można by nazwać dzieje klasyczne romansami na faktach opartymi. Opowiadanie, w głównych punktach jest wprawdzie ściśle prawdziwem. Ale mnóstwo owych drobnych wydarzeń, podnoszących interes, wyrazy, ruchy, spojrzenia, oczywiście, są dziełem wyobraźni autora. W ostatnich czasach postępujemy inaczej: dziejopis podaje daleko wierniejsze opowiadanie. Wolno wątpić czy czytelnik zyskuje przez to dokładniejsze pojęcie. Najlepsze portrety te są może, do których przymieszano nieco karykatury; może więc najlepszą historią jest ta, w którą się zrzęcznie wplata cokolwiek przesady i wymysłu. Traci się nieco na dokładności, ale się zyskuje wiele efektu. Zacierają się w umyśle

słabsze kontury, ale wielkie rysy charakterystyczne wrażają się weń nazawsze.

Dzieje kończą się ze śmiercią Wawrzyńca Medyceusza. Zdaje się, że Macchiavelli dalej zamierzał je prowadzić; ale zgon jego stanął temu na przeszkodzie. Guicciardiniemu zatem wypadło opisywać upadek i hanbę ojczyzny.

Macchiavelli dożył jeszcze początku ostatniej walki za wolność florencką. Wkrótce po śmierci jego monarchia ostatecznie się ugrunтоваła; nie była ona władzą tego rodzaju, jakiej podwaliny założył Koźma w instytucjach i uczuciach rodaków, ani jaką Wawrzyńiec przyozdobił zdobyczami nauk i sztuk: była to tyrania wstrętna, dumna i niegodziwa, okrutna a bezsilna, bigocka a rozpustna. Charakter Macchiavellego nienawistny był nowym panom Włoch, a te strony jego teorii, które zupełnie przypadły do ich codziennej praktyki, dostarczyły pozorów do spotwarzenia jego imienia. Dzieła jego uczeni przedstawiali opacznie, nieucy pojmowali fałszywie, kościół cenzurował, a ślepe narzędzia nikczemnych rządów, oraz księża z nikczemniejszymi zabobonami nienawidzili ich z całą zawziętością fałszywej cnoty. Imię człowieka, którego geniusz oświecił wszystkie ciemne punkta polityki, którego patryotycznej mądrości uciśniony naród zawdzięczał ostatnie widoki wyzwolenia i odwetu, przeszło w przysłowie, oznaczając nikczemność. Więcej niż dwieście lat prochy jego spoczywały w zapomnieniu. Nareszcie pewien magnat angielski oddał ostatnią posługę największemu politykowi Florencyi. W kościele Santa Croce wzniesiono na cześć jego pomnik, z poszanowaniem oglądany przez każdego, co umie rozeznawać zalety wielkiego umysłu wśród skażenia zepsutego wieku, a do którego zbliżać się będą ludzie z większą czcią jeszcze, gdy osiągnięty zostanie cel, któremu wielki mąż ów całe swe życie polityczne poświęcił: gdy obce jarzmo upadnie, gdy drugi Procida pomści nieszczęścia Neapolu, szczęśliwszy Rieni przywróci pomyślność Rzymu.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

	<i>str.</i>
Wiadomość o życiu i pismach Macaulaya	V.
Bertrand Barère	1
Mirabeau i rewolucya francuzka	79
Fryderyk Wielki	107
Macchiavelli	179

WIADOMOŚĆ O ŻYCIU I PISMACH AUTORA

Po wiekach krwawych zapasów wewnętrznych i walki z Anglią przyszły na Szkocję dni cichej pracy, pokoju i zapomnienia. Oreż i nóż ustąpiły przed rozumem i pięknem. Miejsce Fingalów bajecznych, miejsce takich okrutników jak Macbeth, takich bohaterów jak Wallace lub Bruce—zastąpiły spokójne geniusze umysłowe, już nie niszczyciele ani walecznicy, ale wytwórcy piękna i prawd obrońcy. Przejście od jednych do drugich stanowi w połowie XVI w. ognisty Knox, który oreżem ziemskim królestwo niebieskie ustalić pragnie. Od czasu reformy presbiteryańskiej szybko się Szkocya do Anglii zbliża. Błędy własnej dynastyi Szkotów na tronie Anglii same przyspieszają nieunikniony proces historyczny. W środku XVIII w. ostatnie usiłowanie Stuartów do odzyskania władzy wykazuje całą ich bezsilność i brak poparcia w narodzie, na którego dążeniach zamiary swe zaszczerpieć chcieli. W *Waverleyu* rozstaje się już myśl szkocka z ideałem swoim, a twórca *Waverleya*, w chwili skonu, z ideału tego najdalej nawet już odblask nie pozostał. Zbieracze i naśladowcy pieśni ludowych są ostatnimi pracownikami dla przeszłości. W stosunku do Szkocyi Anglia inaczej zupełnie stała niż wobec Irlandyi. Upodobnienie dokonało się tu środkami nie politycznymi, ale cywilizacyjnymi; było złaniem się dwóch społeczeństw, które wszakże zachowały

pewne swoje odrębności, nie zaś zniszczeniem jednego państwa, jednę narodowości przez drugą; i ztąd też jest doskonałem i nie ujemne, lecz dodatnie przynosi owoce. Najlepszych ludzi w radzie, najdzielniejszego żołnierza w boju — dostarcza Szkocya wspólnemu państwu. Już w XVIII w. panowało przekonanie w Anglii, że Szkoci najważniejsze stanowiska w państwie ludźmi swymi zajmują; a co w państwie politycznym, to samo prawie dzieje się w tej rzeczypospolitej duchowej, którą życiem umysłowem nazywamy. Literatura angielska zyskała wielu ludzi genialnych z pomiędzy Szkotów. Wielkie umysły jak Burns, Walter-Scott, Carlyle, obaj Millowie, wreszcie szlachetny pieśniarz Campbell — ze Szkocyi wyszli. Ze Szkocyi także pochodzi Macaulay.

Macaulayowie na początku XVIII w. zamieszkiwali na wyspach przy zachodnim brzegu Szkocyi położonych: widzimy ich to na południowym krańcu Hebryd na wyspie Barray, w dzisiejszem hrabstwie Inverness, to dalej na południe, w hrabstwie Argyle, na wyspach Tyrree i Coll. Przenoszą się później na ląd stały i osiadają około Dumbartonu. Każde ich pokolenie ma w sobie duchownego; stan ten dziedzicznie w ich rodzie z ojca na syna przechodzi. Biedni są, a liczném przytem potomstwem obdarzani. Doznają opieki przemożnych Argyle'ów; ale nie wnoszą się nad poziom. Jan Macaulay, dziad wielkiego historyka, jest presbiterem w Cardross w Dumbartonshire. Podejmuje Johnsona, podczas jego sławnej wycieczki na Hebrydy, i dotrzymuje mu jak może placu w rozprawach literackich; wszelako rzeczywiste wykształcenie jego jest ściśle jeszcze kościelnem. Dopiero dzieci jego z zaścianka szkockiego pod szersze widnokręgi się dostają. Aulnay otrzymuje miejsce w kościele anglikańskim i dobija się pewnej wziętości w nauce i piśmiennictwie. Córka Joanna wychodzi za Tomasza Babingtona z Leicester, dziedzica Rothley-Temple, którego przodkowie jeszcze w XIV w. przy boku Edwarda III walczyli, a jeden z nich przyłożył się do pogromu Francuzów pod Crecy. Związek ten daje później oparcie całej rodzinie. Drugi syn Jana Macaulaya, Alexander, objął po ojcu zmarłym w roku 1789, probostwo w Cardross. Trzeci, Colin — pojechał w końcu XVIII w. do Indyi Wschodnich, a na początku XIX powrócił ztamtąd generałem. Ostatni wreszcie, o którym pamiętnik rodziny wspomina, Zacharyasz, duchem wzniosł się nad innych i po użytecznym, dla szlachetnych idei poświęceniem, życiu zmarł w r. 1838, bez majątku, ale z zaszczytem nieśmier-

telności ziemskiej. Wdzięczni ziomkowie dali mu miejsce w Westminsterze i tam popiersie jego, z napisem zasługi wyłuszczaćym, oglądać można.

Zacharyasz Macaulay urodził się w r. 1768. W bardzo młodym wieku posłany na Jamaikę do prowadzenia ksiąg w jednym z domów handlowych angielskich, przypatrzył się zblizka wszystkim okropnościom niewoli, od której zupełnego zniesienia Anglię podówczas jeszcze pół wieku oddzielało. Serce jego ścisnęło się na widok nieszczęść ludzkich: i w umyśle zabłysnął zamiar polepszenia losu murzynów — nie zbawianych, bynajmniej, raczej prześladowanych tak okrutnie przez cywilizację europejską. Ze szlachetną myślą powrócił młodzieniec do kraju; a kiedy w roku 1788 pierwsze humanitarne Stowarzyszenie dla dobra Murzynów zawiązało się w Anglii, młody dwudziesto-czteroletni Macaulay został do niego przyjętym jako towarzysz i współdziałacz Wilberforce'a, Thorntona, Granville-Sharpe'a. Zalecił go był tym mężom szwagier jego, Babington, sam w dziele ludzkości uczestniczący. Nie pożałowali oni nabytku. Poznawszy jego gorącą miłość sprawy oraz zdolności, a wyzyskując młodzieńczą energię, posłali go w r. 1793 jako drugiego z rzędu, co do godności, członka rady zarządzającej nowo-założoną osadą murzyńską w zachodniej Afryce, w Sierra-Leone. Tu Zacharyasz był duszą ożywiającą wszystko. Osada zaczęła się już rozwijać, kiedy nagle, na jesieni r. 1794, zjawiła się eskadra francuzka, której naiwny komendant, zbombardowawszy już miasteczko, wystąpił do Anglików z pretensjami: jak śmiać święcić niedzielę i czytać Biblię, skoro Konwencya zadekretowała, że niéma żadnej niedzieli, a Biblia cała jest jednym wielkiem kłamstwem? Koniec końców osada została zniszczona, i trzeba było szukać środków do podźwignięcia jej nanowo. Udał się więc Macaulay do Anglii; przedstawił nagle potrzeby kielkującego osadnictwa; wyjednał ich zaspokojenie: ale tymczasem poznał w domu Hanny More, znanej przyjaciółki Garrieka, tragedyo-pisarki i literatki wzbogaconej na literaturze, młode dziewczę, będące jeszcze wówczas na pensyi, Selinę Mills. Była ona córką księgarza w Bristolu, z przekonania kwakra i mistyka. Młodzi zakochali się w sobie; ale Macaulay, ze skarbem posiadanej wzajemności i nadzieją połączenia się, na początku r. 1796 do Afryki powrócić musiał.

W r. 1799 zaczęła się już przejawiać myśl, aby korona angielska objęła na siebie osadę w Sierra-Leone; urzeczywistniono ją dopiero w dziewięć lat później. Zacharyasz Macaulay w tym roku był już drugim powrotem w Anglii — i nie miał jej już więcej opuścić. Dziewczę owo dotrwało mu w wierności i dnia 26 sierpnia 1799 r. narzeczeni stanęli u ołtarza w Brystolu. W roku następnym państwo Babingtonowie zaprosili młodych małżonków do Rothley-Temple — i tu dnia 25 października przyszedł na świat Macaulay, nazywany na cześć swego wuja To maszmem Babingtonem. Dzień jego urodzin był rocznicą bitwy pod Azincourt; w późniejszym wieku syn Zacharyasza Macaulaya, zostawszy wielkim człowiekiem, z przyjemnością wspominał ten zbieg daty swego urodzenia z datą owego Waterloo XV wieku. Zacharyasz Macaulay zamieszkał w Clapham, miejscowości położonej pod samym Londynem, od strony południowej. Tomasz wzrastał mu prawdziwie na *cudowne dziecko*; podobiznę, jaką Mill z dzieciństwa swego zdejmuje, przenieść możemy na Macaulaya. Dziwnie obudzała się w chłopcu już czteroletnim fantazja objawiająca się w częstem używaniu przenośni, oraz zadziwiający porządek w myślach i słowach. W ósmym roku życia, kiedy zazwyczaj dziecię nie przechodzi poza miedzę bytu zwierzęcego — to dziecię cudowne było już wyraźnie duchem ludzkim. Nie miał jeszcze pięciu lat wieku wtedy, kiedy matka, napędzając go pewnego razu do nauki, pod groźbą, że nie dostanie chleba z masłem, tę z ust jego usłyszała przenośnię: „Tak, matko, pilność będzie mi chlebem a uwaga masłem.“ Chodził już wtedy do miejscowej szkółki; ale i teraz już i w późniejszych latach, nawet uniwersyteckich już studyów, szkoła sprawiała na nim raczej przykre niż przyjemne wrażenie. Lubiał czytać i pojmować, ale w zupełnej niezależności od prawa i przymusu wszelkiego. Przy całej swobodzie i wesołości, przy bezmyślnem wypromienianiu się nazewnątrż, które stanowi właściwość wieku dziecinnego — był w istocie swej poważnym, cichym i zamkniętym od świata.

W ósmym roku już dziecko żyło oderwane od zmysłowości; umysł jego wielkie już plany kołysał. Oto chciał napisać historję powszechną od stworzenia świata aż do Cromwella, „który był człowiekiem złym i niegodziwym“; układał poemat w sześciu pieśniach (*Bitwa pod Cherioty*); stylizował odezwę do Indyan na wybrzeżu Malabarskiem, aby ich na chrześcijaństwo nawrócić — a jeden z przyjaciół domu

odezwę tę miał na język krajowców przetłómaczyć; wyśpiewywał wreszcie poemat, *Olaw Wielki*, z którego dwie pieśni w archiwach rodziny do dziś dnia pozostały: pieśniarz obrał sobie tego bohatera przed innymi, czeił w nim bowiem ojca klanu, do którego Macaulaye należeli. Dostrzegano w dziecku, bardzo słusznie, przyszłego poetę, próżności jego jednak nie rozpalając i starając się utrzymać umysł w karbach pracy uporządkowanej. Wysoce idealna atmosfera domu wytworzała też i rzadką idealność w dziecku. Tak np. bez tych dążeń, które głównie ojca zajmowały, synowi nigdyby nie przyszło na myśl pisanie owęj odezwy do niewiernych; bez zajmowania się książką i jej sprawami, nigdyby Macaulay młodzieniaszek tak wcześnie już czytany nie był. Postęp w rozwoju umysłowym był bardzo szybki; pomimo wstępu do *lekcyi*, dziecko uczyło się dobrze, bo uczyło się nie dlatego, że musiało, ale dlatego, że kochało wiedzę i było jej chciwe. W dwunastym roku życia bard, — do którego pieśni dołączyć jeszcze potrzeba powitanie wracającego z Indyj stryja, Colina, — poszedł do szkoły utrzymywanej przez duchownego Prestona, w Little Shelford, w pobliżu Cambridge. Tam zyskał początki wiedzy i umiejętności klasycznej, w której Angliecy tak wysoko górują, a która im tak zbawienną jest przy materyalistycznych i materyalizujących zkadinał dążeń i zajęciach. Tomasz wzbijał się nad swoich współczesników i razu pewnego jakiś dygnitarz, zwiedzając szkółkę, przepowiedział mu, że poprzód królami stanie. Rev. Preston musiał mieć wielkie zalety jako nauczyciel i ochmistrz, gdy bowiem w r. 1814 przeniósł się do Aspenden-hall w Hertfordshire, pozostawiono mu chłopca na dalszą naukę, i tu zostawał też młody Macaulay do r. 1818. U Prestona należycie się chłopiec przygotował do tej własnej pracy nad sobą, która się słuchaniem nauk w uniwersytecie nazywa. Listy jego do rodziny, do matki głównie pisane, pokazują, że się skala ducha nie zmniejszyła, jak bywa w tysiącznych wypadkach w przejściu z wieku dziecinnego do młodzieńczego; ale przeciwnie, nabierała jeszcze rozciągłości. Żywo go zajmowały wielkie wypadki współczesne. Powrót Burbonów wyrwał z pacholęcej piersi okrzyk szczerzej radości. Piętnastoletni młodzieniaszek zawiązywał już stosunki i korespondencyę literacką. Znał już wtedy Chaucera, Milтона, Richardsona, Walter-Scotta, Byrona, Gibbona, Kamoensa, Le Sage'a, Boccaccia, którego niezmiernie matce swej zachwalał. Sam nie przestawał pisać

wierszy. Do dawniejszych hymnów Claphamskich, w ógień zapewne wrzuconych, przybyły nowe, niewątpliwie na takiż sam los skazywane. Archiwum rodzinne niejeden utwór Macaulaya z tej epoki mieści; ale rozumna wstrzeźliwość, wielki społeczny takt Anglików — nie popisują się przed powszechnością temi, oczywiście niedołącznemi, rozpędami muzy jeszcze młodzieniaszkowej. Między innemi powstały w tej epoce: poemat opiewający czyny Antoniego Babingtona z czasów Elżbiety, oraz napis na kolumnę upamiętniającą zwycięstwo pod Waterloo.

W październiku 1818 r. wstąpił Macaulay do Trinity-College w Cambridge. Tu zostawał do r. 1824. Duch jego młodzieńczy pięknie się przez te lat sześć rozwinał. W kolegium była młodzież wyborowa; żarliwością i wzniosłością swoją przewodniczył jej, znakomity później wig, Karol Austin. Macaulay najszczerze uczucie odbierał od poety Moultrie'go. Towarzystwo takiej młodzieży było osłoną dla jego szlachetnych popędów. Rozmowy i rozprawy, nieraz gorące, wykształcały zdolność dyalektyczną, którą Macaulay później w tak wysokim stopniu objawił. Nauka gruntowna, choć pedantkiem nieco sposobem podawana, założyła w umyśle niewzruszone fundamenta dla przyszłej twórczości. Bogata biblioteka dozwalała powiększać zasób wiedzy, zbieraną na ławach szkolnych. W Cambridge Macaulay poznał klasyków greckich i łacińskich, wczytał się w Milтона i jego *Raj utracony* tak zapamiętał, że zwykł był mawiać, iż gdyby utwór ten w jakikolwiek sposób zaginął, onby go z pamięci odtworzył. Toż samo było i z *Grandisonem* Richardsona. Doskonala pamięć, zespalać się z fantazją, wytwarzała już zasoby przyszłego stylu. Rozmowy ujawniały człowieka z wielkim darem opowiadania, a mniejszym może, darem słuchania — co rzeczywiście w późniejszych czasach zarzucano Macaulayowi, mówiąc, że zbyt narzuca się z myślami swemi i innym mówić nie daje. Największe miał zamiłowanie do starożytności: znał ją też wybornie, nie będąc jej badaczem, ale z badań innych korzystając. I ludzie i myśli, i treść i forma tych duchów dawnych — miały dla niego urok większy niż ludzie i rzeczy kraju własnego. Nie lubił matematyki i ubolewając nad losem swoim, iż na uczęnie się jej skazanym został, dowcipnie, z humorem, w listach do matki, wyrażał prawdy filozoficzne i obrazy poezji w formułach matematycznych z *cosinusami* i *tangensami*. „Bywajcie mi zdrowi — woła — Homerze i Sofoklesie, i ty Cyceronie!“ Ale była to tylko gorączka mło-

dzieńcza. Nie szkodziła i matematyka umysłowi przyszłego dziejopisa, przyszłego obrońcy i oskarżyciela ludzi dziejowych; i ani Homer ani Sofokles, ani Cycero nie potrzebowali przed nią ustępować. Twórczość umysłu stała jeszcze wtedy na rozdrożu pomiędzy wierszopisarstwem a artystyczną prozą; nie wiadomo było jeszcze: czy Macaulay będzie mową bogów przemawiał, czy też w piękne formy swej myśli dziejopisarstwo lub filozofię przyodziewać zacznie. Podobnież u nas Szajnocha od poezji zaczynał, aby na pięknym stylu dziejopisarskim skończyć. Wierszopisarstwo Macaulaya nie ustawało w kolegium; w r. 1819 napisał utwór na temat zniszczenia Pompei, później na temat bitwy pod Waterloo, a w r. 1821 otrzymał nagrodę za „Wieczór“ — wcale piękny już utwór liryczny. W r. 1820 powitał odą okolicznościową powrót królowej Karoliny po znanym procesie jej o cześć niewieścią. Obok tej poetycznej działalności występują już i początki dziejopisarskiej: w Cambridge około r. 1820 napisał Macaulay rozprawkę o Wilhelmie III; była to praca jeszcze bardzo surowa.

W tej jeszcze epoce życia, podczas zostawania na uniwersytecie, zaczął się już Macaulay na świat literacki wychylać. Pismem, które najpierwsze jego prace, na publiczny użytek oddane, zamieściło, był *Knight's Quarterly Magazine*, przeważnie na młodych siłach oparty i umyślnie dla akademickiej, na dokończeniu już nauk będącej, młodzieży założony. Zacharyasz Macaulay, człowiek bardzo surowych zasad, nie zgadzał się na żadną niewolę na świecie: chciał wyzwolenia murzynów, ale chciał także i wolności przekonań, dla siebie i dla drugich; a zdawało mu się, że tę wolność właśnie w nim samym pogwałca należenie syna do pisma, którego zasad nie podzielał, w którym raczej żadnych zasad dopatrzeć się nie mógł; obawiał się przytem, jak zawsze, wybijania ambicji i pracy bezładnej: wyraźnie więc objawił synowi niechęć swoją, a posłuszny syn zobowiązał się już nigdy nie pisać do zbioru niezasługującego na zaufanie ojca. Kilka już jednak prac weszło do „*Magazynu*“, a przytem i stary Macaulay w oporze swym zmieknął: to też w latach 1823 i 4 *Knight's Magazine* wiele najpierwszych prób Macaulaya zamieścił. Były tu najpierw dwa poematy: *The girl of France* i *Roxana and Statira*, których nie spotkaliśmy nigdzie później przedrukowanych; była apostrofa do Rozamundy; były rozprawy o *Niewolnictwie w Indyach Zachodnich*, o *Stowarzyszeniu królewskiem do spraw literatury*; była ciekawa *Rozmowa pomiędzy*

p. *Abrahamem Cowleyem* a p. *Janem Miltonem* o wielkiej wojnie domowej (1640—1660 r.); był wreszcie mały dramacik, *Uczty Ateńskie*, z Alcybiadesem i Charykleją oraz urywek z Powieści Rzymskiej z czasów Katyliny, — oba z dobrą charakterystyką starożytności. W tym samym kwartalniku znajdować się musiała satyryczna „Wellingtoniada” i inne drobne wytwory i rozprawy, zamieszczone w tomie dzieł mieszanych *Reviews, Essays and Poems*.

W r. 1822 został Macaulay bakałarzem (Bachelor of Arts); w r. 1824, w październiku, w chwili kiedy wychodził z kolegium nadano mu godność, z emolumentami znacznymi połączoną, „towarzysza” (Fellow, franc. *agrégé*). Miał się magistrować w r. 1825, ale dopiero rokiem później otrzymał stopień „Master of Arts.” Tego samego roku (1826) rozpoczął zawód prawniczy: po ukończeniu nauk odpowiednich w Lincoln-Inn, został dopuszczonym, a, jak Angliecy mówią, „powołanym (called)” do krutek sądowych w Leeds. Dlaczego tak daleko od Londynu? — trudno pojąć; ale adwokatura Macaulaya, bliska czy daleka od domu rodzicielskiego, nigdy rzeczywiście sercu jego bliską być nie mogła. O zawodzie swoim wyrażał się Macaulay z lekceważeniem, jak człowiek, który nie uważa za własność swoją tego stanowiska, na którym stoi. Dawał do zrozumienia, że najwyższym czynem jego w zawodzie obrończym było uwalnianie tak drobnych przestępców, iż żaden sąd skazałby ich nie chciał. Adwokatura nie przypadała do jego usposobienia: nie mógł gonić za zyskiem, a odbiegać od przekonań, jak to często w zawodzie tym jest nieuchronne. Dni więc jego prawnictwa policzone były. W latach 1826 i 1827 przebywał w Leeds, Lancaster, Bradford, York. Nie mając żadnej prawie praktyki, jeszcze przed rokiem 1828 zupełnie adwokaturę zarzucił. Położenie jego majątkowe nie było wcale — pomimo owego *fellowshipu*, dającego rocznie 300 f. st. — rozkosznem, a adwokatura w nieczem go nie polepszyła. Wielkie miał Macaulay względem rodziny swej obowiązki. Ojciec historyka, po przejściu kolonii w Sierra Leone na rząd, założył był około r. 1810 wraz z siostrzeńcem swoim, Babingtonem, dom handlowy; w dziesięć lat później Zacharyasz Macaulay był człowiekiem zupełnie już prawie zruinowanym majątkowo i nigdy się już nie podźwignął. Przeniósł się z pod Londynu do samego miasta; w r. 1823 mieszkał na Great Ormond Street, gdzie, mimo przykrych często warunków życia, upłynęły rodzinie, według

własnych jej wspomnień, najpiękniejsze lata życia. Rodzeństwo Macaulaya kochało się między sobą, a miłość wiele rzeczy zaciera i wiele upiększa. Z tem wszystkiem Macaulay jeszcze nauk nie skończył, a już pracować na siebie musiał. W r. 1822 z radością donosi ojcu że dostał dwóch maleców na naukę, której udzielać im ma przez półtora roku, za co otrzyma 200 gwinei. Kiedy już był członkiem parlamentu, znajdował się nieraz w tem położeniu, że wróciwszy późno w nocy z posiedzenia, nie miał się czem posilić. Na początku r. 1828 Macaulay, znany już jako niepospolity pisarz, otrzymał posadę komisarza bankructw (*commissioner of the Bankruptcy*). To zespolecie ciemnego jakiegos kommissaryatu z literaturą nie miało w sobie nic nowego w Anglii: przecież na wiele lat przed Macaulayem poeta Cowper był już kommissarzem bankructw, a wiadomo, że wielki Robert Burns na posadzie oficjalisty akcyzowego życie zakończył.

Dzięki temu, mniej czy więcej zaszczytnemu, kommissaryatowi roczne dochody Macaulaya wzrosły do 1000 f. st.; ale on — syn i brat dobry — za własności swą nie uważał, na utrzymanie zaś licznej rodziny, z jakimi takimi wygodami, summa powyższa była w Londynie, już przed pół wiekiem, niewystarczającą. Owe dochody powstawały z emolumentów uniwersyteckich, z pensyi kommissarskiej i wreszcie z honoraryów literackich. Wszystko to jednak nie wystarczało, i Macaulay często brak cierpiał.

Rodzina Zacharyasza Macaulaya była bardzo liczna. Kiedy późniejszy historyk, syn pierworodny, kończył trzynasty rok życia, przychodziło na świat dziewięte z rzędu dziecko. Pięć siostr i trzech braci miał Tomasz. W domu, w którym Ewangelia była najwyższem prawem, wychowanie musiało rozwijać miłość ideału i wzajemne przywiązanie pomiędzy należącymi do społeczności rodzinnej. Takie też wychowanie odebrał Tomasz Macaulay — i niezależnie od umysłowej atmosfery i późniejszego umysłowego ukształcenia, wychowaniu temu zawdzięcza w znacznej mierze czystość swoją jako pisarz i artysta słowa. Praca naukowa i literacka najczęściej odrywa człowieka od życia, mianowicie od tych jego zakresów, w które bezpośrednio nie wkracza; rodzina żywa bardzo często traci, gdy nauka oderwana zyskuje, — i szczęśliwe tylko natury, dobrze wychowane, umieją jedno z drugim pogodzić. To właśnie miał w sobie Macaulay: zatopiony w badaniach, przemysliwający nad pracami swemi, zachował jednak-

że do ostatka zamiłowanie życia rodzinnego, i ten, co na wielkiej scenie świata tak świetnie wystąpił, umiał także wdzięcznie, z prostotą i szczerością uczucia, z humorem i mądrością niebryzgającą w oczy, poruszać się na małej scenie własnej rodziny. Ton jego listów wskazuje, że musiał bardzo kochać matkę, mniej ojca, dla którego miał raczej szacunek niż miłość: nie nowa-to historia, że matka lepiej jest kochaną niż ojciec. Z pomiędzy rodzeństwa najżywsze przywiązanie czuł dla dwóch siostr, Małgorzaty i Hanny: pierwsza z nich, istota silnie uczuciowa, wyszedłszy za mąż zmarła młodo; druga została później panią Trevelyan. Jej-to syn, Jerzy Otto Trevelyan, członek parlamentu, należący do stronnictwa postępowego, ogłosił w roku zeszłym pamiętnik o Macaulayu, z listów jego złożony. Z pamiętnika tego właśnie czerpaliśmy dane do niniejszej wiadomości.

W r. 1824, w miesiącu czerwcu, Macaulay, zostający jeszcze na uniwersytecie, miał na meetingu przeciwko niewolnictwu mowę, która bardzo się podobała w kołach postępowych. Powitano w niej nowy talent, nowe ognisko przekonań, mających sprowadzić, ciągłem szturmowaniem do praw obowiązujących, dokonane wreszcie ostatecznie w r. 1834, podniesienie Murzynów do godności ludzi. Mianowicie *Edinburgh Review*, stanowiący do dziś dnia wielką powagę w Anglii, pochwałą swoją uwagę na młodego bakałarza umiejętności wyzwolonych zwrócił. Toż samo pismo miało w rok potem pierwsze otworzyć Macaulayowi progi działalności literackiej. Nie dobijał się on o ten, istotny i podówczas i podziśdzień, zaszczyt, żeby pracę swoją w *Edinburgh Review* umieścić; początkowanie wyszło od samej redakcyi, która szukała sił młodych i dzielnych, a nigdzie podówczas nie zdołałaby ich znaleźć w takim natężeniu, jak właśnie u Macaulaya. Umysł jego, zdobywszy rozległą wiedzę, potrzebował ją z siebie wydać, fantazyja dopominała się wywarcia swej potęgi w tworzeniu. Już wtedy jasnym było, że z chaosu różnostronnych zdolności, jakie posiadała potężna ta natura, wyłoni się talent, nie poety-wierszopisa, ale prozaika, wielkiego mówcy i stylisty. Tak go też oceniono, kiedy w r. 1825, w zeszycie sierpniowym, ogłosił swoje najpierwsze Essay — mianowicie nad *Miltonem*. Wielka miłość przedmiotu tryskała z każdego okresu. Znajomość rzeczy gruntowna; czytanie zadziwiające; forma artystycznie piękna; rozwarcie umysłu na interesu rzeczywistej wolności, światła i porządku społecznego; wyzwolenie się z pod wszelkich

koteryjnych dążeń; rozumne a sprawiedliwe ocenienie ruchu politycznego i religijnego w tej wielkiej epoce, w której się nowa Anglia narodziła; poczucie piękna i zdolność do sądzenia o niem; wreszcie, żetak powiemy, talent odbudowywania dusz ludzkich: wszystko to mówiło Anglii, iż zyskała nowego pisarza, który się nad innych wzbije, a może i, jak ów dostojnik chłopcu kilkunastoletniemu jeszcze był przepowiedział, z czasem „poprzed królami stanie.“

Studium nad Miltonem rozpoczęło cały szereg prac podobnego rodzaju nad rozmaitemi osobistościami w historii literatury i polityki, tak angielskiej jak i powszechniej, znanymi. Mówiąc o ludziach, Macaulay mówił o całych epokach, w których działali, roztrząsał, odmalowywał stosunki ogólniejsze i zawsze, nawet wtedy, gdysię zajmował twórcami i utworami piśmienniczymi, był więcej historykiem niż krytykiem naukowym lub literackim. Pochop do pisania dawało mu wyjście z druku jakiegoś dzieła, pamiętnika, zbioru pism, opowiadania lub rozprawy, dotyczącej jakiejś wybitniejszej osobistości. Nie poprzestawał na samej wewnętrznej krytyce przedmiotu, na odtwarzaniu ludzi i czasów, z tych tylko materyałów, jakich mu dane wydawnictwo dostarczało; ale materyały te samoistnie przebierał, uzupełniał i porządkował, z obcych źródeł czerpiąc, i tworzył nieraz nowe zupełnie obrazy i opowiadania, przeciwstawiające się rozbieranym. O połowie jego studyów powiedzieć, można, że nie są one wcale krytykami, a choćby tylko najlżejszemi recenzjami, podpisane zaś pod nimi tytuły dzieł, rzekomo rozbirowi poddawanych, służą tylko za pozór do mówienia o danym przedmiocie. W tym przypadku naprzykład znajduje się znakomite malowidło postaci dziejowej *Fryderyka Wielkiego* do spolszczenia przez nas wybrane; toż samo powiedzieć potrzeba o *Macchiavellim*. W *Mirabeau* łatwo jest część krytyczną od samoistnie opowiadającej oddzielić. Najwięcej cechy krytycznej ma *Barère*; ale i tu wielki pisarz nie trzymał się niewolniczo przedmiotu, i zbijając wywody pana Carnota, własny malował obraz wstrętnego konwencyonisty, własnymi rękoma, na mocy własnego wyroku, na szubienicy „z której go potomość nie ściągnie“ niegodziwca i tchórza zawieszał. Wszędzie samodzielność i oryginalność; wszędzie gorąca żądza tworzenia i wywołane przez miłość prawdy—prawdy dochodzenie. Mnóstwo zdań głębokich, dowodzących zrozumienia człowieka pojedynczego i zbiorowego w twórczości piśmienniczej i w dziejach, rozsiał Macaulay po swoich

Essays. Nie napisał dzieła większego, systematycznego; ale to, co wypowiedział, tworzy prawie zupełnie zgodną w sobie całość: potrzebaby tylko poglądy jego zebrać i w jedno ułożyć, aby mieć najważniejsze epoki w dziejach powszechnych i angielskich w świetle rozumu i prawdy moralnej ukazane. Nie jest Macaulay filozofem, nie ma nastroju filozoficznego, co więcej, nawet terminów filozoficznych nie używa; nie ubolewa nad ludzkością i nie chce jej z gruntu, jak Carlyle, przetwarzać; nie spełnia żadnej misji apostolskiej przez swoje pióro: ale niemniej ma swoją filozofię, ma swoją moralność, swoje ideały i gorące do nich przywiązanie; tylko tego całego przyrzędu zasad trwałych nigdy w abstrakcyach nazewnątrz nie wyprowadza. Ma zasady w sobie dla siebie; czytelnikowi daje tylko ich zastosowania. Nieuogólnia niczego, niczego nie odrywa od konkretnego człowieka; wszystko wiąże się u niego niezerwalnie z faktami. Zasady jego trwałe, nie występując przed czytelnika w filozoficznej postaci, zasiadają zawsze w trybunale sądzącym ludzi, ich czyny i czasy, w których żyli.

Macaulay w Essays swoich więcej jest artystą, twórcą, niż badaczem, usiłującym dobrać się do samego dna prawdy. Nie arnuje talentu swego na drobnostki, nie zasada działalności dziejopisarskiej na tem, żeby poznać wszystkie najdrobniejsze sprężyny działań i koleje przypadku, tego potężnego współdziałacza dziejów: ale gdy mu się drobny jaki szczegół nawinie — jakże go umiejętnie, z jaką bystrością psychologiczną, z jaką doniosłością wynikową dla ogólnego sądu spożytkowuje! Rzadko kiedy oddala się od prawdy — trzeba sobie bowiem wybić z głowy złudzenie jakoby byli na świecie historycy nieomylni — ale w tej wojnie, jaką każdy poznający toczy z nieznanem, często przez to, iż postępuje wielkimi liniami strategicznymi, lekceważy pomniejsze i nie ukazuje prawdy w należytej pełni. Ma też miłości i nienawiści swoje i wszystko, co poznał, jednym lub drugim uczuciem przejmie. Obiektywności nie zna; historyzofii pozytywnej usuwającej człowieka, a wprowadzającej na jego miejsce *sily ślepe*, wpływy zewnętrzne bądź naturalne, czysto fizyczne, bądź umysłowe, ale niezależnie od jednostki działające: takiej historyzofii Macaulay jeszcze nie posiadał — i jak z jednej strony do wpadającego czasem w mistycyzm Carlyle'a, tak z drugiej do sceptycznego Buckle'a — szczególnego nabożeństwa nie miał. Był historykiem dawnej szkoły, wyznającej zasadę odpowiedzialności człowieka za swe czyny; dziejopisarstwo jego jest nowocze-

snem tylko przez to, że historyi do polityki nie ogranicza, i owszem, jaknajszerzej jaknajrozumniej i zarazem najwspanialej ją pojmuje: toć przecież mówiono o nim że nawet kamienie przydrożne opisywał. Historia jego jest historią społeczeństw, nie przestając być historią człowieka; spoczywa silnie na podstawach rozumowych, nie przechodząc w fizyologię i fizykę społeczną. Umie się wszakże liczyć z prądami ogólnymi, z duchem czasu, z tą summa uczuć i pojęć, która każdą epokę dziejów, niby powietrze niewidzialne a w każdą duszę przenikająca, wypełnia: i właśnie w charakterystykach ogólnych znakomity pisarz celuje. W jego potędze piśmienniczej odnajdują się wszystkie te przymioty, które on sam, na początku jeszcze zawodu swego, w krótkim traktacie *O historyi*, dziejopisarzowi za potrzebne wskazał: Macaulay jest opowiadaczem wiernym, sędzią sprawiedliwym, psychologiem głębokim, artystą twórczym; dziejopisarstwo bowiem, będące czemś odrębnem i od erudycji, i od czystego opowiadania, i od filozofii dziejowej, jest sztuką samoistną. Oprócz innych danych potrzeba do niego jeszcze czynnej fantazyi; i błędne są zdania jakoby historyk wyobraźnię kępować w sobie musiał, chcąc być prawdomównym. Nie, stokroć nie: można pogodzić wiedzę z wyobraźnią, ale do tego potrzeba mieć talent. U nas miał go tylko Szajnocha; poza Szajnochą mamy tylko badaczy lub opowiadaczy — nie mamy historyków.

W późniejszych latach życia Macaulay z niechęcią się odzywał o swoich krytykach literackich, włączanych w studia nad wybitniejszymi pisarzami; ale był tylko dla siebie niesprawiedliwym. Wiek XVII i część XVIII, „wiek Królowej Anny“ od Adisona do Pope'a, mając w nim wielbiela największego, miał niezawodnie mało równie dobrych znawców. Ze studyów nad Adisonem, Bunyanem, Drydenem, Popem, opierających się historyczną koleją na rozbiórach Bacona i Milтона — można się całej literatury angielskiej z owej epoki nauczyć; a w wyrażonych tam zdaniach estetyczno-krytycznych, nie niewłaściwością nie uderza. Darem patrzenia w duszę ludzką obdarzony, przywrócił Macaulay do rzeczywistej wielkości, niepospolitą w każdym razie, postać Johnsona; jego zaś niepomiarowanego chwale, Boswell'a, uwiecznił w swoim „*Mendacium Boswellianum*.“ Nie upajał się wcale sławą Byrona i cały bezład tej istoty i tego talentu w rozbiórze dzieła Moore'a wykazał. Montgomery'ego poezję bardzo nisko oceniał; a i przed Southey'em, poetą-laureatem, wcale czołem bić nie

myślał. Wogóle, nadewszystko wynosił jasność i zaokrąglenie w myślach i wymagał ich też na pierwszym miejscu i od prozaików i od wierszopisów. Sam przez ogień poezji przeszedłszy, znał doskonale jej tajniki, jej kulisy i dekoracje, — i czyste, silne natchnienie, prawdziwą sztukę, od czegoś i udania odróżniał. Miał wielu przeciwników i nieprzyjaciół umysłowych: jak Sadler, Croker, Jakób Mill, Bentham, Gladstone, Gleigg; ale rzeczywistą polemikę prowadził, jako równy z równym, tylko z Millem i Benthamem. Sadlerowi, który mu nie tylko torę myśli, ale później także i drogę życia krzyżował, stanął nogą na piersiach — i miłosierdzia dlań nie miał. Wogóle nie był w polemice dość spokojnym. Wiele względności wszakże okazał dla Gladstone'a, gdy podziękowawszy Bogu, za to „iż mu w ręce wydał młodego torysa“ — umiał jednak oddzielić przekonania od talentu i pracy literackiej, i do wytrwania w zawodzie piśmienniczym zachęcał człowieka, z którego poglądów jednej strzępki nawet nie był zostawił.

Zanim od pism do człowieka wrócimy, winniśmy jeszcze wymienić główne kategorie przedmiotów, jakim poświęcone są Essays Macaulaya. Więc najpierw wyróżnić należy szkice literackie; po nich historyczne; następnie biografie ludzi żyjących w literaturze i dziejach politycznych; dopiero po tych trzech kategoriach przychodzą polemiki: kategorię zaś piątą, już właściwie do rodzaju Essays nienależącą, stanowią traktaty, że tak powiemy, zasadnicze t. j. wyrażające zasady wyznawane przez Macaulaya we względzie porządku umysłowego, moralnego, społecznego i państwowego. Tu wielki pisarz jest, mimo woli swej, filozofem; tu układ i styl jest inny niż w szkicach właściwych. Macaulay występuje w tej kategorii już nie jako malarz przeszłości, ale jako wyznawca pewnej wiary ludzkiej, przekonań, namiętności i zadań współczesnych — i wyłuszczenie tej wiary główny jego cel stanowi. Do tej kategorii należą rozprawy: *O rządzie podług p. Milla*; *Utylitarna teoria rządu*; *Odpowiedź na obronę Milla*; *O niezdolności prawnej Żydów*; *O Stosunku kościoła do państwa* (Gladstone'a); a w części znacznej *O historii Papieża Rankiego*. Tu również zaliczyć należy traktat *O historii*, wskazujący ogólne zasady dziejopisarstwa. Wszystkie te prace, podobnie jak inne Essays, drukowane były w *Edinburgh Review*, który przeszło 40 szkiców Macaulaya zamieścił.

W r. 1828, w zeszycie wrześniowym *Edinburgh Review*, ogłosił Macaulay rozbiór *Historii konstytucjonalizmu angielskiego* Hallama,

świeżo podówczas wyszłej. Wypowiedziany tu pogląd na wielką rewolucję i dalszy rozwój jej żywiołów, był tak śmiałym a trafnym, że go nad pracę samego Hallama wyniesiono, a sława autora ze sfer literackich przenikać już zaczęła w sfery czysto-polityczne. Pomiedzy innymi, zwrócił uwagę na Macaulaya lord Lansdowne, człowiek wielkiego wpływu, przezuwając w nim przyszłą podporę i luminarza stronnictwa wigów, do którego sam należał. Na początku r. 1830 zawałował mandat przedstawiciela z Calne, małego miasteczka w Wiltshire; Lansdowne ofiarował Macaulayowi kandydaturę i zobowiązał się ją przeprowadzić. Jakoż protekcyja nie była daremną: autor Essays edynburskich wybranym został do parlamentu, i chociaż uznawał całą władzę wpływów magnata, mógł jednak mieć w duszy tę sprawiedliwą ambicję, że ostatecznie własnem tylko piórem podwoje parlamentarne sobie otworzył. Pomiedzy młodym autorem a arystokratą zawiązała się przyjaźń, a wdzięczny Macaulay, wydając później swe mowy, lordowi Lansdowne je przypisał. Zabrał się nowy członek Izby Gmin rażno do pracy. Ledwie co Peel przeprowadził był ten wymiar sprawiedliwości dziejowej, to wynagrodzenie krzywdy, które się *Emancypacyą katolików* nazywa, kiedy, wraz z nowym gabinetem, przyszła pod obrady Izby ważna sprawa: reformy parlamentu. Dnia 1 marca 1831 Russel wniósł ją poraz pierwszy na posiedzenie. Odtąd przez 14 miesięcy wśród najzmienniejszych kolei, przy niezłomnym, zdawało się oporze, Izby Wyższej, sprawa agitowała się nie tylko w parlamencie, ale w Anglii całej; aż ją nareszcie uwieńczyło zupełne prawie zwycięstwo stronnictwa postępowego, liczącego i Macaulaya w swym składzie. Jego namiętna, jędrna a głęboko rozumna wymowa nie mało się do zwycięstwa przyczyniła. Młodzieńczy zapał unosił go, zarówno podczas boju jak i przy ocenianiu tryumfu: na innem już miejscu zwróciliśmy uwagę, że Macaulay, pod wrażeniem szczęśliwej walki, owoce jej przeceniał. Ale nie mniej zasługi jego były wielkie, zapał szlachetny, a krasomówstwo zadziwiające. Sześć razy głos zabierał; słuchano go z coraz większą uwagą: a wielka to już wygrana na trybunie, gdy słuchacze nie odwracają od niej uszu i oczu. Na krótki czas przed sporami o reformę parlamentu wytoczyła się była sprawa o zniesienie *Kommissoryatu bankructw*, do której to magistratury sam Macaulay, jak wiemy, należał. Osobisty interes nie wstrzymał go wcale od postanowienia, które z pobudek publicznych za

nakazane uważał: głosował za zniesieniem własnej posady, będącej dlań podówczas jedynym już źródłem stałego dochodu.

Ludzie stojący u steru rządu chcąc nagrodzić Macaulaya za udział w walce o reformę parlamentarną, wkrótce po zamienieniu billu w prawo (czerwiec 1832 r.) powołali świetnego mówcę do Kommissyi Kontrolli nad Kompanią Wschodnio-Indyjską (*Board of Control*). Dawało mu to wyższe już stanowisko i znaczne uposażenie. Zdolności jego szybko posuwały go naprzód. W tym samym roku, jeszcze przed wyborami ogólnymi do zreformowanego parlamentu, został Macaulay sekretarzem kommissyi i urząd ten przez rok cały, do grudnia 1833 r. zajmował. Na wyborach ogólnych, w 1832 roku odbytych, został przedstawicielem miasta Leeds. O zaszczyt powierzenia mu mandatu ubiegało się i małeńkie Calne, oszczędzone przez reformę, która wszystkie „rotten-boroughs“ zmiotła; ale Macaulay przełożył nad nie miasto, w którym niegdyś za adwokata był uważany.

Wszedłszy do zreformowanej Izby niższej, w grudniu 1832 roku, Macaulay zostawał w niej aż do początków 1834 r. Obrany ponownie w lecie 1839 r. przedstawiał aż do r. 1847 Edinburg. Po pięcioletniej przerwie otrzymał napowrót mandat od Edinburezyków w roku 1852 i sprawował go przez lat 4. Ostatecznie w r. 1856 rzekł się prawa przedstawicielnego w Izbie niższej, a w rok później, otrzymawszy od królowej tytuł barona z Rothley-Temple, przeszedł do Izby Lordów, z której po dwóch latach śmierć go zabrała. Dołączając do przedstawicielstwa początkowe w Izbie Gmin,—najpierw z Calne, później z Leeds,—otrzymujemy chronologicznie pięć okresów działalności parlamentarnej Macaulaya. O pierwszym, aż do wyborów ogólnych, jużśmy wspominali. W okresie drugim najwybitniejsza jest mowa z dnia 10 lipca 1833 r. w obronie Billu Indyjskiego, przez którą chciałno ulepszyć administrację nad Gangesem i wzmocnić nadzór rządu nad kompanią wschodnio-indyjską. Po tej mowie winszowano Macaulayowi, że krasomówstwem swoim o Burke'm i Foxie zapominać każe. Mowa miała niesłychane powodzenie, nie tylko we wrażeniu dobieżnym ale i w skutkach. Tej mowie zawdzięcza Macaulay wysokie dostojenie, jakie w pięć miesięcy później otrzymał. Do tego samego okresu należy mowa w przedmiocie uprawnienia żydów, poruszoną już poprzednio w *Edinburgh Review*—mowa dowodząca całej postępowości umysłu Macaulaya. Ważniejszego jeszcze przymiotu dowiódł ten

umysł, gdy dnia 19 Lutego 1844 r. wygłosił mowę w poparciu mocyi Russell'a, dopominającej się zwrócenia uwagi na polityczny i społeczny stan Irlandyi. Macaulay okazał się tu sprawiedliwym sędzią dla własnego kraju i jego historii i z odwagą moralną i obywatelską przypomniał Anglikom główne momenta ich stosunku do Irlandczyków. Kto chce poznać talent ze strony prawości, tę mowę przeczytać powinien. Poraz-to wtóry już za Irlandczykami Macaulay się ujmował. W parę lat po wyjściu z Cambrigde, podczas agitacyi wszczętej przez zacnego Peela, zebrał był dawnych kolegów i nowych uczniów uniwersytetu i urządził z nimi manifestację na korzyść prawa emancypacyjnego. Od najpierwszej młodości był wigiem w duszy swojej, w stronnictwie myśli swoich, zanim się stał wigiem przez wejście do rzeczywiście nazewną organizowanego stronnictwa. Niema enoty wyższej, geniuszu wyższego na ziemi, nad sprawiedliwość: stronnictwo liberalne w Anglii najpiękniejsze karty swoje zapisało występowaniem w obronie Ameryki i Irlandyi.

W rok po pierwszym przemówieniu za Irlandyą, podczas rozpraw nad etatem kollegium katolickiego w Maynooth, Macaulay wypowiedział dwie mowy: jedną za udzieleniem etatu a przeciwko ministerium Peela, drugą przeciwko kościołowi anglikańskiemu w Irlandyi, który, zdaniem jego, był niesprawiedliwością w wiekach dawnych, a niedorzecznością w dzisiejszym. Wykazując ohydne ciężenie tego kościoła na społeczeństwie irlandzkim, Macaulay popchnął umysły do wniosku, że czasy prozelityzmu bezpowrotnie minęły; ale, nie poprzestając na napomknienie, nie wahał się sam głośno wniosku tego wypowiedzieć. Nie chciał obciążać skarbu, a widział gotowe fundusze nieużytecznie na zaspakajanie głupiej próżności narodowej marnowane, poparł więc wniosek, aby instytucję katolicką wyposażyć z etatu ogólnego na duchowieństwo w Irlandyi. Taka rozumna i sprawiedliwa polityka nie podobała się Edinburezykom: Ateńczycy Szkoccy uważali, że nie minęły jeszcze czasy Mikołaja Bacona i lorda Cecila i że pomimo emancypacyi śmiesznie uprzywilejowane stanowisko kościoła anglikańskiego niewzruszenie utrzymanem być powinno. A gdy jeszcze w parę lat później dowiedzieli się, że ich przedstawiciel nie tylko nie przemawia za zniesieniem akeyzy, czego się właśnie dopominali, lecz jeszcze podwyższyć ją pragnie — cofnęli mu swe zaufanie i na wyborach w r. 1847 Macaulay doznał porażki: nie wybrano go. W tym sa-

mym Edynburgu w r. 1845 miał mowę przeciwko cłom od zboża—zaliczaną do najpiękniejszych w dziedzinie współczesnego krasomówstwa angielskiego; Macaulay zestawia w niej Anglię z Polską ze względu na ceny zboża i ich doniosłość społeczną.

Na tem kończy się zawód Macaulaya publiczno-mówniczy. W okresie czteroletnim od 1852—6 rzadko głos zabierał; osłabienie mówić mu nie pozwalało; jako lord niczem się nie odznaczył. Miał z baronostwa synekurę zupełną, o tyle zaszczytną, że zasłużoną. Jako mówca nie dorównał tym, do których przyrównywano go za życia, ale niektóre mowy jego do arcydzieł krasomówstwa angielskiego należą. Dwadzieścia dziewięć mów, przez niego samego wybranych i ogłoszonych daje nam poznać jego talent, rozum i uczciwość, jego przekonania niepodległe i zawsze głęboko ugruntowane. Będąc wigiem, był Macaulay w wigizmie swym zawsze Anglikiem i zarazem zachowawcą. Nie miał w sobie nic z kosmopolitycznego radykalizmu, a wtedy tylko wyżej ponad Anglika się wznosił, gdy Anglik przez zamknięcie się w sobie przestawał być człowiekiem. Najwyższym rozumem stanu była dla niego zgodność z prawdą, prawość i sprawiedliwość. Przekonania się zmieniają, namiętności nikną jak dym, ustępując miejsca innym, zasady wyrozumowane od okoliczności zależą; ale niezmienną i wieczną być może polityka poszanowania człowieka przez człowieka; głosił ją też Macaulay i jako historyk i jako literat i jako trybun ludu, i jako wreszcie członek rządu W. Brytanii.

W grudniu 1833 r. kompania wschodnio-indyjska obrała Macaulaya członkiem najwyższej rady zarządzającej w Indyach (*Supreme Council of India*). Z nominacją na to wysokie stanowisko, odpłynął Macaulay do Indji w lutym 1833 r. i przez cztery lata już nie widział Anglii. Człowiek z jego umysłem mógł być, bezwątpienia, więcej dokonać na swoim urzędzie: brakło mu zdolności praktycznych, które częściej wydzierają się tam, gdzie znowu potęga umysłu nie bardzo dotrzymuje placu. Uzdolnienie Macaulaya było więcej teoretycznem: znać w nim było zawsze więcej człowieka myśli i pióra, niż męża stanu. niesprawiedliwemi są jednak zdania niechętnych jakoby na urzędzie swoim zrobił *fiasco*. Wcale tak nie było. Prawdą jest tylko, że się stał niepopularnym, nie tylko z winy przekonań, ale także i z winy temperamentu swego; a niepopularność ta wiele mu i w Anglii samej zaszkodziła. Gdy do Indji przybył, uczucie sprawiedliwości od razu

zjednało mu niechętnych w warstwie panującej t. j. między Anglikami. Istniało w Indyach oddawna prawo, na mocy którego Anglik w sporze z krajowcem miał dla siebie przywilej odwołania się do sądu wyjątkowego. Macaulay uważał przywilej taki za niesprawiedliwość, powstał przeciwko niemu i przeprowadził jego zniesienie w dekreście noszącym nazwę Czarnego Aktu (*Black act*); ztąd gniewy, które się już zażęgnąć nie dały liberalnemi zasadami co do prassy: właśnie prassa kalkucka, zapominając o tem, że wolności jej bronił, choć przeciw kierującą nią powstawał, największą była Macaulaya przeciwniczką. Ale poza opinią, wistocie rzeczy, czynami, pracą swoją, zwolennik nowego porządku publicznego w Indyach dowodził najlepiej, że darmo w radzie najwyższej nie zasiada. Stał się w tej radzie niezbędnym, a rosnące zaufanie kolegów i rozszerzający się ciągle zakres działalności wskazywały, że nie był ostatnim i przeciwnie innych za sobą pociągał. Polityka jego względem Indji odznaczała się szlachetną hojnością rozumu, która wszystkie objawy jego umysłu przejmowała. Zarysował politykę tę Macaulay w zakończeniu wspomnianej wyżej mowy z d. 10 lipca 1833 r. „Przyszłość nieznana — mówił Anglikom — czy utrzymamy panowanie swoje nad Indyami czy je utracimy, niech dzieło nasze po nas zostanie. Dajmy krajowcom cywilizację prawdziwą i oświatę rzetelną: w dziele cywilizacji i oświaty żyć będziemy.“ Gorąco się też zajął sprawą oświaty i zostawszy prezesem kommisji edukacyjnej opracował projekt odpowiedni. Zamysły jego nie przyniosły jednak owoców, a powstanie z r. 1857 obezwładniło do reszty cywilizacyjne posłannictwo Anglii w Indyach. Prawoznawstwo, nieużyteczne w spełzłej advokaturze, miało się przydać Macaulayowi po latach dziesięciu, jako mężowi stanu w Indyach. Układano kodeksa nowe dla Hindostańczyków; Macaulay stanął na czele kommisji prawodawczej i sam napisał cały kodeks karny dla Indyan. Minęły czasy, kiedy jeden człowiek mógł być doskonałym prawodawcą; dziś całe powszechności narodowe nad prawami pracują, a jednak prawa nie wychodzą doskonałemi. Trudno też i Macaulaya poniżyć za to, że jego kodeks, przez niego samego tylko ułożony, niepraktycznym się okazał. Trzeba posłuchać ludzi specjalnych co mówią o wartości samej pracy, wewnętrznie w sobie uważanej. Ciekawych odsyłamy do dzieła Trevelyan'a, który przytacza zdanie znakomitego w Anglii Stephen'a, następcy Macaulaya (T. II str. 203). Z uwagi na małe spożytkowanie i ztąd nieuniknio-

ny zastój nabytej wiedzy prawniczej, autor kodeksu karnego złożył dowody zadziwiającej znajomości kryminalnych praw angielskich. Kodeks ogłoszono w początku r. 1838. W kilka, może w kilkanaście dni potem, zmęczony pracą, a może i zniechęcony stanowiskiem, Macaulay opuszczał Kalkutę zrzekłszy się wszystkich swych urzędów.

Zanim z Indyj powrócił, ojciec jego umarł (w Maju 1838 r.) Wspomnieliśmy już, że popioły Zacharyasza Macaulaya złożono w Westminsterze a pamięć jego uczczono stosownym napisem. Trevelyan przytacza ten piękny napis, uważając go za jedyną biografię człowieka, który nietyle zdolnościami umysłu ile szlachetnością uczuć dla drugich zajaśniał. Szczęśliwy naród, który umie i może każdą, byle powszechną a rzetelną, zasługę wdzięcznością odpłacać! Powróciwszy do Anglii, Macaulay nie zastał rzeczy publicznej w tym stanie, jaki mu nadzieje jego w pierwszej chwili po reformie parlamentu zarysowywały. Stronnictwo Wigów było bez porządnego steru w działaniach i jednolitości w zasadach. Potrzeby niezaspokojone występowały jedna po drugiej. Oba główne stronnictwa współzawodniczyły ze sobą w ulepszaniu prawodawstwa i administracji, oba zgaadzały się z sobą prawie zupełnie na to co robić; ale różniąc się co do tego jak robić, właściwie różniły się i w samym programacie. Chciano koniecznie nanowo przywiązać Macaulaya do siebie; ofiarowano mu wysoką godność Judge-advocate; nieprzyjął jej. W roku następnym, 1839, Melbourne wprowadził go do swego gabinetu na urząd sekretarza czyli ministra wojny. Ministerium to w Anglii należy do pomniejszych i urzędowe stanowisko Macaulaya ani do jego uzdolnienia zastosowane nie było, ani też mu władzy rzeczywistej nie nadawało. Na urzędzie swoim zostawał b. członek rady najwyższej w Indjach do r. 1841. W tej epoce właśnie nastąpił przełom stanowczy w jego zawodzie: okazało się, że Macaulay nie będzie mężem stanu w ścisłym znaczeniu tego wyrazu; że, czy to nie chce, czy nie może, czy nie umie—dość, że się w rządzie swego kraju na czoło już nie wybije. Która z tych trzech możliwości ma za sobą największe podobieństwo do prawdy? Ni żywym ni umarłym pochwlebiać się nie godzi, a wywyższanie sławy angielskiej sercu naszemu obcem być musi; o ileśmy jednak charakter i umysł Macaulaya poznali, sądzimy, iż dlatego tylko nie zajął stanowiska, które w prawodawstwie wewnętrznym uświetnili za jego czasów Grey, Russell, Peel, a w zagranicznej polityce Palmer-

ston, że zając go nie chciał: ta szlachetna ambicja, ta miłość czy namiętność, która nadaje osobistości rozpęd w życiu i kierunek jej drogi wytyka—ta siła rozpędowa życia, jeśli ją tak nazwać można, przeznaczała Macaulaya na pisarza na mówcę, na wytwórcę myśli nie czynów. Co innego było w parlamencie głos niekiedy zabrać, a co innego wolę, rozum, sztukę życia—mieć na każdą chwilę w pogotowiu i nie z zagadkami wiedzy historycznej, nie z umarłymi, ale z żywymi istotami się ucierać. Otóż takiej walki, takiego trudu nie chciał Macaulay, taki trud go nie nęcił. Rzecz oczywista: za tą niechęcią zasadniczą, za tym brakiem szlachetnej do czynów ambicji, pójść musiało w kolej czasu, nieusposobienie, nieudolność do rzeczywistego zawodu męża stanu—i Macaulay, który z początku nie chciał progą przestąpić, choć mógł, potem już przestąpić go nie mógł, choćby chciał. Piszemy to w tym celu, aby ułatwić czytelnikowi właściwe zrozumienie osobistości Macaulaya i zarazem sprowadzić zawód publiczny tego męża do rzeczywistego, na bezstronnym sądzie opartego, znaczenia. Rola Macaulaya w rządzie angielskim jest bardzo mała i nieustosunkowana do potęgi jego umysłu, do ogromu jego talentu. Ani sekretaryat za Melbourne'a ani późniejsze, od połowy r. 1846 do końca r. 1847, płatnikowstwa armii, zaministrowania Russella: nie były urzędami odpowiedniami dla autora *Essays* i *Historyi Anglii*. Tacy ludzie jak Macaulay mogą być tylko pierwszymi wszędzie gdzie staną; inaczej powiedzieć o nich potrzeba, że nie stanęli właściwie.

Działalność publiczna nie leżała w przeznaczeniu Macaulaya. Od najpierwszej młodości wszystko go do pióra popychało: nie wyrzekł się też pióra nigdy, ani w parlamencie, ani na urzędzie swoim indyjskim. W Indjach zebrał materiały do życiorysów *Clive'a* i *Hastings'a*, które wraz z Barèrem i Fryderykiem W. do najpóźniejszych jego *Essays* należą; z Indyj nadesłał Napierowi studium o *Baconie*. Nad Hugłą nie przestawał obcować z Grekami i Rzymianami; odczytywał klasycznych pisarzy obu tych narodów, przyczem z zamiłowaniem do Schillera zaglądał. Po powrocie do Anglii, odbywając, od Października 1838 r. do pierwszych dni Lutego 1839 r. trwającą, podróż po Francji i Włoch zachowywał się przeważnie jako miłośnik literatury i sztuki. W Rzymie powziął pierwszą myśl wydanych w r. 1842 *Baśni starożytnego Rzymu* (*Lays of ancient Rome*), najważniejszego i najlepszego wytworu swej muzy poetycznej. Baśni, te przez kry-

tykę angielską wychwalane z powodu wielkiej swej prostoty, siły i charakterystyki, z czterech składają się opowiadań: w pierwszym występuje przygoda Horacyusza Coclesa, w drugim Bitwa nad jeziorem Regillus, w trzecim Śmierć Wirginii, w czwartym Proroctwo Capysa. Tyle się u nas tragedji i nietragedji drugo i trzeciorzędnych przyswaja, że nie byłaby z pewnością stracona praca na przekład Baśni Macaulayowskich. Raz tylko jeszcze jeden potem, o ile wiemy, talent Macaulaya w poetycką uderzył strunę: po niepowodzeniu na wyborach edynburskich w r. 1847. Zaśpiewał wtedy na temat niestałości losów; ale o samej krzywdzie, jaką mu Edynburezcy wyrządzili rychło zapomniał. Miał już wtedy lada chwila otrzymać świetne zadośćuczynienie, już nie tylko od jednego miasta, ale od całego narodu.

W r. 1841 rozpoczął był pracę nad historią drugiej rewolucji angielskiej w XVII w. Ta epoka przełomu stanowczego w politycznym porządku Anglii od wczesnych lat już umysł jego wabiła. W Cambridge jeszcze próbował był sił swoich w rozprawie na zadany temat; próba, jak już wiemy, była niepomyślną. Teraz, w dwadzieścia kilka lat później, inaczej być mało. Po sześciu latach pracy usilnej, ze szperaniem po archiwach i bibliotekach, z naocznem miejscowości historycznych oglądaniem połączonej, stworzył dzieło prawie doskonałe, — prawie mówimy, bo w treści główna praca Macaulaya nie jest wolną od usterek, nieodłącznie wszelkim czynom ludzkim towarzyszących — stworzył dzieło, bezwątpienia, najlepsze, jakie miała Anglia o danej epoce, wspaniały obraz przeszłości zmarłej, którą wielki talent umiał do nowego, idealnego życia powołać. Pełniejszego obrazu przeszłości nikt nigdy nie dał. Tę Anglię z końca XVII w. można jakgdyby dzisiejszą myślami przebiegać: zna się ją, widzi, dotyka się jej; ludzie i rzeczy w dawnym swym bycie i kształcie występują; groby wszystkie otwarte — umarli z nich powychodzili i żyją. Talent pisarza po tej nitce życia, jaką są źródła dziejowe, doszedł do życia samego.

Zamierzył był sobie Macaulay spisać dzieje Anglii od roku 1685 do czasu, po który sięga pamięć ludzi najstarszych. Przypuszczając że taką granicę w chwili ukazania się *Historyi* stanowił r. 1760 t. j. epoka wstąpienia na tron Jerzego III, otrzymamy jeszcze na rozciągłość chronologiczną zamierzonego dzieła lat 75. Dwa pierwsze tomy wyszły w r. 1848, dwa drugie w 1855, ostatni wreszcie już po śmierci autora, w r. 1861. Wszystkie te pięć tomów doprowadzają

opowiadanie dopiero do r. 1702. Ponieważ, mówiąc słowami Moraczewskiego, historia rozszerza się jak przestrzeń między ramionami kąta, gdyby więc Macaulay chciał istotnie dzieło swoje do oznaczonego czasu doprowadzić, musiałby napisać z jakie 40 tomów i nie miałby ani możliwości przedmiotu swego opanować, ani by mu życia na taką pracę starczyło. Wrażenie, jakie wywołały *Dzieje Anglii*, było ogromnem. Macaulay niedość, że wskrzesił przeszłość, ale umiał ją nawet przed oczy prostaczków postawić, umiał ją przystępną dla wielkiej gromady ludzkiej uczynić. Przymioty złożone już w *Essays*: piękność stylu, dar rozumienia życia i duszy człowieczej, wyrazistość obrazów — złączyły się z naturalnością, z trzeźwym rozsądkiem opowiadania. Nigdy może nie było popularniejszego dzieła historycznego; od roku 1848 do 1855 wyszło jedenaście edycji dwóch pierwszych tomów *Historyi*. Lud je czytał w Anglii, czytała je Europa cała i Ameryka. Ta popularność dzieła, to jego przeniknięcie do warstw ludowych — nie małą przynosiły autorowi radość; a kiedy już zapal wykształconych ostygnał i rozpoczęły się krytyki, sława u ludu zyskana trwała niezmiennie. Krytyka zresztą dwa tylko pierwsze tomy nożem swym dotknęła, sumienna zaś i w nich mało złego znalazła. Złe pochodziło głównie z uogólniania niekiedy zjawisk szczególnych, a winne temu było namiętne usposobienie pióra. Zarzucano Macaulayowi surowość dla Penna, niesprawiedliwość względem Marlborough'a. Codo tego ostatniego, chodziło Anglikom o sławę angielską; Macaulay zaś siedł zawsze po liniach wytycznych charakteru, mało się o sławy uznane troszcząc. Toć przecież już w *Essays* nie wahał się sprowadzić wielkiego kawalera Temple do bardzo małych rozmiarów, a Johnson'a z półboga zrobić zwyczajnym człowiekiem.

Od księgarzy posypały się Macaulayowi tysiącami funty sterlingi; od panujących order i inne oznaki łaskawie zwróconej uwagi; od ciał uczonych wreszcie — zaszczyty. Uniwersytet w Glasgowie obrał Macaulaya w r. 1848 swym rektorem; Instytut francuzki przyjął go do swego grona na członka korespondenta; Akademia Królewska w Londynie zamianowała go profesorem historii, która to professura do najwyższych godności w Anglii należy. Pod wrażeniem uroku, jakim otoczyła Macaulaya wziętość jego głównego dzieła, Glasgowczycy dali mu u siebie obywatelstwo honorowe a Edynburezcy naprawili błąd w r. 1847 popełniony i pierwsi zwrócili wielkiemu pisarzowi odebrany

mu wówczas mandat. W r. 1857 dostał Macaulay najwyższego zaszczytu, jakiego w narodzie swoim Anglik za życia dostąpić może: otrzymał baronię, o której już wyżej wspomniano, i wszedł do Izby Lordów. Krótko już tylko miał się cieszyć tą godnością. Choroba, z powodu której usunąć się musiał z Izby Gmin, w trzy lata później wpędziła go do grobu. Zmarł wieczorem d. 28 grudnia 1859 r.; z rana tego dnia konać już zaczął. Przy śmierci byli najbliżsi krewni. Zwłokizłożono dnia 9 stycznia 1860 r. w Opaćwie Westminsterkiem, w „Ustroniu Poetów“ (Poets Corner) u stóp Adisona, którego Macaulay tak kochał: milszego, zaprawdę, nie można mu było dobrać towarzystwa. Napis skromny na kamieniu grobowym brzmi:

„Tomasz Babington, Lord Macaulay, urodzony w Rothley-Temple, w Leicestershire, d. 25 października 1800 r. zmarły w Holly-Lodge, w Campden-Hill, d. 28 grudnia 1859 r. Ciało jego pochowane w spokoju; imię jego zostało na zawsze.“

Macaulay był średniego wzrostu, z obliczem nie pięknym, ale niezmiernie ruchliwym, z głową nieodpowiednio do rozmiarów całej postaci dużą, pokrytą włosiem blond, z budową ciała silną, przez co ciało to krępem się wydawało, bez śladów wszakże otyłości, i przeciwnie, raczej chudym był niż tłustym Macaulay. Żadnego wyrobienia gimnastycznego nie posiadał: nie pływał, nie polował, konno nie jeździł; dosiadywał tylko czasem konia, gdy już od przyjemności tej wymówić się nie mógł. Będąc jeszcze ministrem, znajdował się raz na odwiedzinach w Windsorze; królowa kazała mu przygotować konia pod wierzech. „Jeżeli Najjaśniejsza Pani—odpowiedział Macaulay—chce mnie widzieć jadącego wierzechem, niech każe przyprowadzić słonia.“

Przy braku pięknej powierzchowności, miał osobistość ujmującą; szczególnie w rozmowie rzadki rzucał urok. Towarzystwo lubił i był bardzo w niem poszukiwany. Był czas na początku jego zawodu parlamentarnego, że go sobie wydzierano. Najczęstszym gościem bywał u Lady Holland, u Lansdowne'a, u Rogers'a, u kolegi swego Austina; później najmilej przebywał w domu p. Trevelyan. Po powrocie z Indyj utracił dawną rozmowność; stał się bardziej milczącym, skupionym w sobie. Serdeczności jako cnoty towarzyskiej nie miał: dla wybranego zachowywał ją grona. Kiedy z pensji indyjskiej, 10,000 f. st. rocznie wynoszącej, i z *Historyi Anglii*—milionowego dorobił się mają-

tku, wiele świadczył biednym i potrzebującym; wiemy już co robił dla swojej rodziny wtedy jeszcze, kiedy sam z pracy tylko utrzymywać się musiał. Miał zamiłowanie w życiu rodzinnem; ale znalazłszy już rodzinę gotową, do której sam, jako jedna z jej odrośli należał, nie chciał zakładać rodziny własnej i nie ożenił się wcale. Ktoś powiedział, może słusznie, że nie miał czasu na małżeństwo. Samotności nie lubiał, a w towarzystwie poziomej głupoty, fałszu lub nadętości czuł się obcym i samotnym. Lud i dzieci bardzo lubił. Znalazłszy się w dostatkach urządził w mieszkaniu swoim na Kensington mały przybytek muz; posiadał nieliczny wprawdzie, ale dobrany zbiór dzieł sztuki i piękną bibliotekę. Książki i ludzie wykształceni dotrzymywali mu towarzystwa do śmierci; do śmierci też kochał piękno i dobro, nietylko w książce, ale i w życiu, w żadne się nowinki filozoficzne nie bawiąc, jednej władzy duszy przez drugą nie upośledzając, starając się być zawsze i pisarzem zarazem i człowiekiem,—żył i umierał i idealistą szczerym i silnym. Pochwałę człowieka wyśpiewał Moultrie, kolega Macaulaya z Cambridge: proste wyrazy płyną tu z prawdę mówiącego serca. Wyjątki z tego poematu przytacza Trevelyan (T. I).

Do życia Macaulaya najlepszym materiałem jest dzieło jego synowca Jerzego Ottona Trevelyan: *The Life and Letters of Lord Macaulay* w przedruku Tauchnitza z r. 1876, w 4 tomach. W Londynie wyszło w r. b. drugie pomnożone wydanie. Z powodu tego wydawnictwa Gladstone napisał zajmującą ocenę człowieka i pisarza w *Quarterly Review* za Lipiec 1876 r. (przedruk Tauchnitza Vol. 1046) Charakterystykę pióra samego daje Taine w V t. w swojej *Historyi Literatury Angielskiej*. Wkrótce po śmierci Macaulaya Arnold wydał: *The public Life of Macaulay* (2-e wydanie Londyn 1863 r.).

Najzupełniejsze wydanie dzieł Macaulaya ukazało się w Londynie w r. 1860; zajmuje ono 25 tomów. Oprócz *Dziejów*, wydanych pod tytułem *The History of England from the accession of James II*, oprócz wiadomych już prac w *Knight's Magazine* i *Edinburgh-Review*, (te ostatnie sam w r. 1843 przebrał i wydał osobno w 3 tomach) dostarczył jeszcze Macaulay pięć bardzo cennych biografii do *Encyklopedyi Brytańskiej* (Encyclopaedia Britannica) mianowicie: Atterbury'ego, Bunyana, Goldsmitha, Johnsona i Pitta młodszego. Do poznania jego działalności naukowo-literackiej potrzebny jest jeszcze zbiór: „*Reviews, Essays and Poems*, by Lord Macaulay“ (London. Ward, Lock and

Tyler — bez daty); mieszczą się tu prócz studyów, w rodzaju edinburskich, lub też wprost z edinburskiego przeglądu wyjętych, młodzieńcze prace prozą i poetyckie utwory Macaulaya. *Lays of ancient Rome* znajdują się w zbiorze Tauchnitza, który nadto przedrukował: *Historye Anglii* (10 tomów) *Essays* krytyczne i historyczne (5 tomów) biograficzne (1 tom) dwie biografie z pomienionej Encyklopedyi: Williama Pitt'a i Atterbury'ego (1 tom) i nakoniec *Mowy*, przez samego Macaulaya w roku 1853 do druku podane (2 tomy).

W języku polskim, przed wyjściem obecnie wydanych czterech Szkiców, istniały, o ile wiemy, dwa tylko przekłady z Macaulaya: w r. 1864 ogłoszono dwie biografie z *Encyklopedyi Brytańskiej*, te same, które przedrukował był Tauchnitz; a w latach 187^{3/4} wydano w Warszawie, pod kierunkiem prof. Pawińskiego, główne dzieło Macaulaya p. t. *Dzieje Anglii od wstąpienia na tron Jakóba II*, podobnie jak u Tauchnitza w 10tomach.

Obeeny przekład zaznajamia czytelnika bliżej jeszcze z tym znakomitym pisarzem. Dodano do textu Macaulayowskiego noty objaśniające o chronologii i biografii osób w texcie wspomnianych; chciało w nich przytem wytłómaczyć wyrażenia i fakta mniej czytelnikowi polskiemu zrozumiałe i znane; w niektórych uzupełniono myśli Macaulaya, lub starano się zrównoważyć pewną w nich jednostronność; wreszcie tam, gdzie wielki Anglik z bogatego skarbcza pamięci swej przytaczał myśli cudze, nie wymieniając źródeł, usiłowano źródła te wskazać. Mieliśmy na uwadze nie głęboko uczonego czytelnika, ale jedynie średnio wykształconego: dla niego też przeznaczona jest niniejsza książka.

S. K.

